

Pieszczota nocy

Laurell K. Hamilton



calibre 0.9.27

PIESZCZOTA NOCY

(Przełożył: Piotr Grzegorzewski)

Zysk i s-ka 2004

Dla J., który wlewał we mnie hektolitry herbaty i po raz pierwszy był świadkiem procesu tworzenia książki. Co więcej wciąż mnie kocha – wszyscy, którzy są mężami lub żonami artystów wiedzą, że niełatwa to sztuka.

Podziękowania

Shaunie Summers, mojej nowej redaktorce, dziękuję za jej profesjonalizm. Podziękowanie należy się również Darli Cook, która pomogła zrobić korektę tej książki, kiedy już nie było na to czasu. Mojej cierpiącej w milczeniu grupie pisarskiej: Tomowi Drennanowi, Rhettowi MacPhersonowi, Deborah Millitello, Marelli Sands, Sharon Shinn i Markowi Sumnerowi dziękuję za cierpliwość okazaną wtedy, gdy mój świat rozpadł się na kawałki, po czym poskładał na nowo.

Rozdział 1

Światło księżyca pomalowało pokój na setki odcieni szarości, bieli i czerni. Dwaj mężczyźni leżący w łóżku byli pogrążeni w głębokim śnie. Spali tak mocno, że kiedy wyswobodziłam się z ich objęć, ledwie się poruszyli. Moja skóra błyszczała w księżycowej poświacie. Krwista czerwień moich włosów wyglądała jak czerń. Ponieważ było chłodno, włożyłam jedwabny szlafrok. Mogą to sobie nazywać słoneczną Kalifornią, ale późno w nocy, kiedy świt jest ledwie odległym marzeniem, zimno przenika do szpiku kości. Zwłaszcza w grudniu. Gdybym była teraz w domu, w Illinois, za oknem widziałabym śnieg, a w płucach czuła mroźne powietrze.

Wiatr wpadający przez okno za moimi plecami przynosił zapach eukaliptusa i oceanu. Nad brzegiem oceanu można umrzeć z pragnienia. Od trzech lat stałam nad jego brzegiem i codziennie po trochu umierałam. Jednak nie z pragnienia, a z tęsknoty. Jestem Meredith NicEssus, członkini Dworu Faerie, jedyna księżniczka elfów, jaka przyszła na świat na amerykańskiej ziemi. Kiedy zniknęłam jakieś trzy lata temu, stałam się sensacją dnia. Ludzie widywali zaginioną amerykańską księżniczkę elfów równie często jak Elvisa. I to na całym świecie. A ja w tym czasie przebywałam w Los Angeles. Jako Meredith Gentry (dla przyjaciół Merry) pracowałam w Agencji Detektywistycznej Greya zajmującej się zjawiskami paranormalnymi oraz magią.

Powszechnie jest przekonanie, że istota magiczna w normalnym świecie umiera. Nie do końca odpowiada to prawdzie. W moich żyłach płynie tyle ludzkiej krwi, że przebywanie w otoczeniu metalu wcale mi nie szkodzi. Niektóre z istot magicznych mogłyby dosłownie uschnąć w mieście stworzonym przez człowieka. Większość z nas potrafi jednak w nim przetrwać. Może nie jesteśmy szczęśliwe, ale jakoś żyjemy. Umierają tylko te, które wiedzą, że nie wszystkie motyle są naprawdę motylami. Te, które widziały na nocnym niebie istoty o pokrytych łuską skrzydłach, zwane przez ludzi smokami lub demonami, te, które widziały sidhe przejeżdżające na rumakach utkanych z marzeń i światła gwiazd.

Nie byłam na wygnaniu; uciekłam ze strachu przed zamachem. Moja magia nie była na tyle silna, by mnie mogła skutecznie chronić. Uciekając, ocalałam życie. Ocalałam życie, lecz utraciłam coś innego. Utraciłam dom.

Teraz, opierając się o parapet, czując zapach oceanu, spoglądałam na dwóch mężczyzn leżących w łóżku i wiedziałam, że jestem w domu. Obaj byli sidhe i obaj pochodzili z Dworu Unseelie,

którym mogłabym rządzić któregoś dnia, gdybym zdołała tylko umknąć zamachowcom.

Rhys leżał na brzuchu. Jedna ręka zwisała mu bezwładnie z łóżka, druga tkwiła pod poduszkami. Białe loki opadały mu na nagie plecy. Prawą stronę twarzy miał przyciśniętą do poduszki i dlatego nie było widać, że nie ma oka. Uśmiechał się przez sen. Jest po chłopięcemu przystojny i taki pozostanie na zawsze.

Nicca leżał skulony na boku. Po przebudzeniu jego twarz jest przystojna, prawie piękna; we śnie ma twarz cherubinka. Wygląda tak niewinnie i delikatnie... Nie jest tak muskularny jak Rhys. Mimo że jego ręce są szorstkie od władania mieczem, a pod gładką jak aksamit skórą leżą twarde jak skała mięśnie, nie jest tak silny jak inni strażnicy. To bardziej dworzani niż wojownik. Ma ponad sześć stóp wzrostu, z czego większość przypada na długie nogi. Jego skóra ma kolor mlecznej czekolady, a proste włosy, które sięgają do kolan, są ciemnobrązowe niczym liście, które leżały długo w poszyciu leśnym. W rozświetlanym jedynie blaskiem księżyca mroku nie widziałam wyraźnie jego pleców ani ramion. Tymczasem to jego plecy właśnie kryją największą niespodziankę. Jego ojciec musiał być jakąś istotą ze skrzydłami motyla. Syn wprawdzie nie odziedziczył po nim skrzydeł, genetyka obdarzyła go za to ogromnym znamieniem w ich kształcie, przypominającym tatuaż, jednak o barwach o wiele bardziej od niego intensywnych. Całe jego plecy i pośladki pokryte są tym wielobarwnym malowidłem.

Obaj mężczyźni spoczywali w mroku, tak że wyglądali jak dwa cienie owinięte w pościel, jeden blady, drugi ciemny. Był jednak ze mną ktoś o jeszcze ciemniejszej skórze.

Drzwi do sypialni otworzyły się bezdźwięcznie i - tak, jakbym go przywołała myślami

- do pokoju wślizgnął się Doyle. Zamknął za sobą drzwi równie cicho, jak je otworzył. Nigdy nie rozumiałam, jak on to robi. Gdybym ja otworzyła drzwi, narobiłabym hałasu. Doyle jednak, kiedy chce, potrafi nadejść równie bezszelestnie i niedostrzegalnie jak noc. Na dworze królewskim nazywało się go Ciemnością Królowej albo po prostu Ciemnością. Królowa zwykła mawiać: „Gdzie moja Ciemność? Dajcie mi moją Ciemność”. I ktoś krwawił albo umierał. Teraz Doyle jest MOJĄ Ciemnością.

Wspomniałam już, że Nicca ma skórę koloru brązowego. Nie zdążyłam wspomnieć, że Doyle jest cały czarny. Nie czernią ludzkiej skóry, ale ciemnością nocnego nieba. On nie zniknął w ciemności pokoju, ponieważ jest jeszcze ciemniejszy niż cienie rzucane w blasku księżyca; był mrocznym kształtem sunącym w moim kierunku. Jego czarne dżinsy, i czarny T-shirt pasowały do ciała jak druga skóra. Nigdy nie widziałam, by nosił coś, co nie byłoby czarne, wyjąwszy biżuterię i miecz. Nawet jego pistolet jest czarny.

Odeszłam od okna, kiedy zbliżał się w moim kierunku. Powinien się zatrzymać w nogach łóżka, ponieważ było za mało miejsca, by się precyzyjnie między nim a drzwiami szafy wnękowej. A jednak Doyle'owi udało się ta sztuka. Przeszedł obok szafy, nie musnąwszy nawet łóżka, mimo że był ponad stopę wyższy ode mnie i prawdopodobnie o jakieś sto funtów cięższy. Ja zdążyłabym w tym czasie wpaść na to łóżko przynajmniej z sześć razy. On natomiast precyzyjnie się między łóżkiem i szafą tak, jakby to była najprostsza rzecz w świecie.

Łóżko zajmowało większość miejsca w sypialni, więc kiedy Doyle wreszcie dotarł do mnie, stanął tak blisko, że prawie się dotykaliśmy. Zdołał zachować odrobinę dystansu, tak że nasze ubrania nawet się nie otarły. To był sztuczny dystans. Byłoby naturalniej się dotykać, a sam fakt, że starał się tak bardzo, by mnie nie dotknąć, czynił całą sytuację daleko bardziej niezręczną. Przestałam się już spierać z Doyle'em o to, że cały czas trzyma się ode mnie z daleka. Zapytany kiedyś o to wprost, powiedział:

„Chcę być dla ciebie kimś wyjątkowym, a nie jednym z tłumu”.

Wówczas wydawało mi się to szlachetne; obecnie tylko mnie irytuje.

Tu, przy oknie, światło było mocniejsze, i mogłam zobaczyć jego wysokie kości policzkowe, wydatną szczękę oraz diamentowe ćwieki i srebrne kółka, które tkwią w jego spiczastych uszach. Tylko te uszy zdradzają, że, podobnie jak ja i Nicca, jest mieszanej krwi. Mógłby je ukrywać pod włosami, ale prawie nigdy tego nie robi. Jego kruczoczarne włosy sprawiają wrażenie bardzo krótkich, ale tak naprawdę są zaczesane w gruby warkocz, który sięga mu aż do kostek.

- Usłyszałem coś - wyszeptał. Ma niski i mroczny głos, który kojarzy mi się z melasą.

- Coś czy mnie? - spytałam, patrząc mu w oczy. Jego usta drgnęły, tak jak zawsze, kiedy ma się uśmiechnąć.

- Ciebie.

- W łóżku mam przy sobie dwóch strażników. Uważasz, że to nie jest wystarczająca ochrona?

- To dobrzy ludzie, ale nie są mną.

Zmarszczyłam brwi.

- Chcesz przez to powiedzieć, że nikt poza tobą nie jest w stanie zapewnić mi bezpieczeństwa?

Nasze głosy brzmiały cicho, niemal spokojnie, jak głosy rodziców szepeczących nad śpiącymi dziećmi. Cieszyło mnie, że Doyle jest tak czujny. To jeden z najwspanialszych wojowników sidhe.

Dobrze go mieć przy swoim boku.

- Może Mróz... - powiedział niepewnie.

Potrząsnęłam głową. Moje włosy odrosły już na tyle, by łaskotać ramiona.

- Strażnicy królowej to najznakomitsi wojownicy w Krainie Faerie, a ty mi mówisz, że nikt nie może równać się z tobą. Ty arogancie...

Nie mogę powiedzieć, że się do mnie zbliżył - na to staliśmy zbyt blisko siebie - raczej ledwie się poruszył, napierając na tyle, że rąbek mojego szlafroka musnął jego nogi. Światło księżyca padło na naszyjnik, który zawsze nosił: maleńki pająk na delikatnym srebrnym łańcuszku. Pochylił głowę tak, że czułam na twarzy jego oddech.

- Mógłbym cię zabić, zanim którykolwiek z nich połapałby się, co się dzieje wyszeptał.

Ta groźba sprawiła, że serce zabiło mi mocniej. Wiedziałam, że nie skrzywdziłby mnie. Wiedziałam, a mimo to... Byłam świadkiem tego, jak Doyle zabija gołymi rękami, bez broni. Wiedziałam ponad wszelką wątpliwość, że gdyby chciał mnie zabić, nikt, ani ja, ani tych dwóch śpiących strażników za mną, nie zdołałby go powstrzymać.

Nie wygrałabym walki, ale mogłabym w jakiś sposób odwrócić jego uwagę i wtedy go rozbroić. Zbliżyłam się do niego minimalnie, tak że moja twarz naciskała na jego szyję; moje wargi dotykały leciutko jego skóry, kiedy mówiłam. Przez policzek czułam jego puls.

- Nie chcesz mnie skrzywdzić, Doyle.

Musnął ustami płatek mego ucha. To był prawie pocałunek.

- Mogłem zabić was wszystkich troje.

Za nami dało się słyszeć ostry mechaniczny dźwięk, dźwięk odbezpieczanej broni. W ciszy panującej w pokoju był tak głośny, że aż podskoczyłam.

- Nie sądzę, żeby ci się to udało - powiedział Rhys dźwięcznym, donośnym głosem. Był całkowicie przebudzony, celował w plecy Doyle'a, w każdym razie tak mi się wydawało. Doyle zasłaniał mi widok, a i on, ponieważ nie miał oczu z tyłu głowy, mógł się tylko domyślać, co Rhys robi.

- Broni automatycznej nie trzeba odbezpieczać - powiedział spokojnym głosem, nawet nieco rozbawionym. Nie widziałam jego twarzy, więc nie mogłam sprawdzić, czy jego mina pasuje do tonu głosu. Staliśmy dalej nieruchomo.

- Wiem - odparł Rhys. - Może zabrzmiało to nazbyt dramatycznie, ale wiesz, jak się mówi: Jeden

przerażający dźwięk wart jest tysiąca grózb.

- Wcale się tak nie mówi - zaprzeczyłam, ustami wciąż dotykając szyi Doyle'a. Kapitan mojej straży w dalszym ciągu się nie poruszał i obawiałam się, że spowoduję coś, czego nie będę mogła zatrzymać. Nie chciałam tej nocy żadnych wypadków.

- A powinno - powiedział Rhys.

Łóżko za nami zatrzeszczało.

- Mam broń wycelowaną w twoją głowę, Doyle. - To był głos Nicki. W jego słowa wpleciona była niepokój. Podczas gdy w głosie Rhysa nie było strachu, w głosie Nicki było go za dwóch. Ale nie musiałam widzieć Nicki, by wiedzieć, że mierzy ze swego pistoletu pewnie, a palec trzyma na spuście. W końcu to Doyle go szkolił.

Poczułam, jak napięcie opuszcza ciało Doyle'a. Uniósł głowę na tyle wysoko, że już nie mówił do mojej skóry.

- Być może nie mógłbym zamordować was wszystkich, ale zdołałbym zabić księżniczkę, zanim wy zabilibyście mnie, a wtedy wasze życie niewiele byłoby warte. Królowa nie darowałaby wam tego, że dopuściliście do zamordowania jej następczyni.

Teraz widziałam jego twarz. Nawet w świetle księżyca było widać, że jest odprężony. Spojrzenie miał odległe, nie patrzył na mnie. Był zbyt skoncentrowany na lekcji, którą dawał swoim ludziom, by zaprzętać sobie mną głowę.

Oparłam się plecami o ścianę, ale nie zwrócił na to uwagi. Położyłam dłoń na środku jego klatki piersiowej i pchnęłam. Odchylił się do tyłu, z trudem łapiąc równowagę.

- Przestańcie wszyscy - powiedziałam donośnym głosem. Rzuciłam gniewne spojrzenie na Doyle'a. - Odsuń się ode mnie.

Skinął głową, ponieważ nie było miejsca na głębszy ukłon, po czym cofnął się, unosząc ręce, by pokazać strażnikom, że nic w nich nie ma. Stał między łóżkiem a ścianą, nie mając miejsca na jakikolwiek manewr. Dopiero teraz ich ujrzałam. Rhys leżał na boku, mierząc cały czas w Doyle'a. Nicca stał na drugim końcu łóżka, trzymając broń w obydwu rękach, w standardowej postawie strzeleckiej. W dalszym ciągu traktowali Doyle'a jak zagrożenie. Miałam już tego dosyć.

- Męczą mnie te gierki, Doyle - powiedziałam. - Albo masz pewność, że twoi ludzie zapewnią mi bezpieczeństwo, albo nie. Jeśli nie, znajdź mi innych strażników albo dopilnuj, żebyście ty i Mróz byli zawsze przy mnie. Ale daj już spokój.

- Gdybym był jednym z twoich wrogów, twoi strażnicy mogliby przespać twoją śmierć.

- Nie spałem - zaprotestował Rhys. - Prawdę mówiąc, myślałem, że w końcu poszedłeś po rozum do głowy i zamierzasz zaliczyć ją pod tą ścianą.

Doyle zgromił go spojrzeniem.

- To do ciebie podobne, że pomyślałeś o czymś tak ordynarnym.

- Jeśli jej pragniesz, Doyle, to po prostu powiedz. Jutro w nocy może być twoja kolej. Sądzę, że odstąpilibyśmy ci jeden wieczór, gdybyś miał zamiar złamać swój... celibat.

- Odłóżcie broń - poleciłam.

Popatrzyli na Doyle'a, oczekując potwierdzenia.

- Odłóżcie broń! - krzyknęłam. - Jestem księżniczką, następczynią tronu. On jest tylko kapitanem mojej straży. Kiedy mówię wam, żebyście coś zrobili, macie to zrobić.

Nadal patrzyli na Doyle'a. Skinął nieznacznie głową.

- Wyjść - powiedziałam. - Wszyscy wyjść.

Doyle pokręcił głową.

- Nie wydaje mi się, żeby to było rozsądne posunięcie, księżniczko.

Zwykle nalegam, by wszyscy zwracali się do mnie „Meredith”, ale właśnie powołałam się na swój status. Nie mogłam mieć pretensji do Doyle’a, że nazwał mnie księżniczką.

- A więc moje rozkazy nic nie znaczą, tak?

Wyraz twarzy Doyle’a był nieodgadniony. Rhys i Nicca odłożyli broń, ale żaden z nich nie patrzył mi w oczy.

- Księżniczko, zawsze musisz mieć przy sobie przynajmniej jednego z nas. Nasi wrogowie są... nieustępliwi.

- Książę Cel zostanie stracony, jeśli jego ludzie spróbują mnie zabić w czasie, gdy on odbywa karę. Przez pół roku mamy spokój.

Doyle pokręcił głową.

Popatrzyłam na tych trzech mężczyzn, przystojnych, nawet na swój sposób pięknych, i nagle zapragnęłam zostać sama. Musiałam pomyśleć, dojsć do tego, czyich właściwie rozkazów słuchają, moich czy królowej Andais. Dotąd myślałam, że moich, ale nagle przestałam być tego pewna.

Spojrzałam na nich. Rhys patrzył mi w oczy, Nicca unikał mojego wzroku.

- Nie wykonacie moich rozkazów, prawda?

- Naszym podstawowym obowiązkiem jest dbać o twoje bezpieczeństwo, księżniczko. Spełnianie twoich zachcianek znajduje się dopiero na drugim miejscu - powiedział Doyle.

- Czego ode mnie oczekujesz? Proponowałam, byś dzielił ze mną łóżko, ale odmówiłeś.

Otworzył usta, chcąc coś powiedzieć, ale uniosłam dłoń.

- Nie, nie chcę już słuchać twoich wymówek. Uwierzyłam w bajeczkę o tym, że pragniesz zostać ostatnim z moich mężczyzn, ale dobrze wiesz, że jeśli zajdę w ciążę, zgodnie z tradycją sidhe ojciec dziecka zostanie moim mężem. A wtedy stanę się monogamistką. Stracisz szansę na przerwanie celibatu, w którym trwasz od tysiąca lat. - Skrzyżowałam ręce na piersi. - Albo powiesz mi prawdę, albo zakazę ci zbliżania się do mojej sypialni. Jego twarz była prawie obojętna, jednak widać było, że ledwie nad sobą panuje.

- Dobrze, skoro chcesz prawdy, to popatrz na swoje okno.

Zmarszczyłam brwi, ale odwróciłam się, by spojrzeć na okno za zwiewnymi białymi zasłonami, poruszającymi się delikatnie na wietrze. Wzruszyłam ramionami.

- No i co?

- Jesteś księżniczką sidhe. Patrz czymś więcej niż oczami.

Wciągnęłam głęboko powietrze i wypuściłam je powoli, starając się uspokoić. Denerwowanie się na Doyle’a nie przynosi żadnych rezultatów. To, że jestem księżniczką, nie daje mi zbytnej przewagi, naprawdę.

Przywołałam tylko tyle magii, ile było potrzeba do opuszczenia osłony. Ludzie o zdolnościach nadprzyrodzonych zazwyczaj muszą długo pracować, by ujrzeć w końcu inną rzeczywistość. Ja jestem po części istotą magiczną, a to oznacza, że muszę poświęcić ogromną ilość energii, by owej innej, magicznej rzeczywistości nie widzieć. Magia przyciąga magię i bez osłony mogłabym utonąć w jej strumieniu, który przepływa nad Ziemią każdego dnia.

Opuściłam osłonę i spojrzałam tą częścią umysłu, która pozwala zobaczyć sny. Nagle zaczęłam lepiej widzieć w ciemnościach i zobaczyłam jarzącą się osłonę na oknie i na ścianach. I w tej jarzącej się osłonie ujrzałam coś małego, przyciśniętego do okna. Kiedy rozsunęłam zasłony, na oknie nie zobaczyłam nic poza migotaniem bladych barw osłony. Skoncentrowałam się. I wówczas znów to ujrzałam. W osłonie na oknie był wypalony odcisk dłoni, mniejszej od mojej. Spróbowałam się mu przyjrzeć z bliska, ale zniknął. Zmusiłam się, by przyjrzeć się mu pod innym kątem. Odcisk był humanoidalny, ale nie należał do człowieka.

Zasunęłam zasłony i powiedziałam, nie odwracając się:

- Jakaś istota usiłowała sforsować osłonę, kiedy spaliśmy.

- Zgadza się - potwierdził Doyle.

- Niczego nie poczułem - powiedział Rhys.

- Ja również - dodał Nicca.

- Zawiedliśmy cię, księżniczko - westchnął Rhys. - Doyle ma rację. Mogłaś przez nas zginąć.

Odwróciłam się i popatrzyłam na nich wszystkich, po czym zatrzymałam wzrok na Doyle'u.

- Kiedy to poczułeś?

- Przyszedłem tutaj, żeby sprawdzić, co z tobą.

Pokręciłam głową.

- Nie o to pytałam. Kiedy poczułeś, że coś próbuje się przebić przez osłonę? Spojrzał mi prosto w twarz.

- Mówiłem ci, księżniczko. Tylko ja potrafię sprawić, że będziesz bezpieczna. Znowu pokręciłam głową.

- Niedobrze, Doyle. Sidhe nigdy nie kłamia, starają się mówić wprost, a ty dwukrotnie unikałeś jasnej odpowiedzi na moje pytanie. Masz odpowiedzieć w tej chwili. Pytam po raz trzeci: Kiedy wyczułeś, że coś próbuje przebić się przez osłonę?

Sprawił wrażenie na poły zażenowanego, na poły złego.

- Kiedy szeptałem ci do ucha.

- Zobaczyłeś to przez zasłony? - spytałam.

- Tak - odparł gniewnie.

- Nie wiedziałeś, że coś próbuje się tu dostać! - wykrzyknął triumfalnie Rhys. - Po prostu wszedłeś tu, bo usłyszałeś, że Merry chodzi po pokoju.

Doyle nie odpowiedział, ale nie musiał. Milczenie było wystarczającą odpowiedzią.

- Ta osłona jest moim dziełem. Ustawiłam ją, kiedy wprowadziłam się do tego apartamentu. To moja moc, moja magia nie wpuściła tu tej istoty. Moja moc przypaliła ją tak, że pozostawiła swoje... odciski palców.

- Twoja osłona zatrzymała tę istotę tylko dlatego, że miała ona małą moc - powiedział Doyle. - Jakaś silniejsza istota sforsowałaby bez trudu każdą osłonę, jaką byś ustawiła.

- Być może, ale chodzi o to, że wcale nie wiedziałeś więcej niż my.

- Nie jesteś nieomylny - ponownie zatriumfował Rhys. - Dobrze wiedzieć.

- Czy to na pewno powód do radości? - spytał z powątpiewaniem Doyle. - Pomyślcie sami. Tej nocy żadne z nas nie wiedziało, że jakaś istota próbowała się dostać do środka. Nikt z nas tego nie wyczuł. Jakaś silniejsza istota musiała ją ukryć za swoją osłoną.

Spojrzałam na niego.

- Sądzisz, że ludzie Cela ryzykowałiby jego życie, żeby mnie zabić?

- Czyżbyś już zapomniała, jaką logiką kieruje się Dwór Unseelie? Cel był oczkiem w głowie królowej, od stuleci jej jedynym następcą. Kiedy uczyniła cię następczynią, jego notowania spadły. To z was, które doczeka się pierwsze dziecka, zasiądzie na tronie. Co się jednak stanie, jeśli oboje zginiecie? Co się stanie, jeśli zostaniesz zabita przez ludzi Cela, a królowa będzie zmuszona stracić Cela za zdradę? Nagle zostanie bez następcy.

- Królowa jest nieśmiertelna - powiedział Rhys. - Zgodziła się ustąpić z tronu tylko dla Merry lub Cela. A jeśli ktoś chce śmierci zarówno księcia Cela, jak i księżniczki Meredith, to nie cofnie się też przed zgubieniem królowej.

Wszyscy spojrzeliśmy na niego.

- Nikt by nie ryzykował jej gniewu - zaproponował Nicca.
 - Zaryzykowałby, jeśli miałby pewność, że nie zostanie schwytany - stwierdził Doyle.
 - Kto byłby tak zuchwały? - zapytał Rhys.
- Doyle roześmiał się straszonym śmiechem.
- Kto byłby tak zuchwały? Rhys, jesteś dworzaniem. Lepiej zapytaj, kto nie byłby tak zuchwały?
 - Mów, co chcesz, Doyle - powiedział Nicca - ale większość dworzan boi się królowej o wiele bardziej niż Cela. Zawsze byłeś jej pupilkiem. Nie wiesz, jak to jest być zdany na jej łaskę i niełaskę.
 - Ja wiem - wtrąciłam. Wszyscy odwrócili się w moją stronę. - Zgadzam się z Niccą. Nie znam nikogo poza Celem, kto zaryzykowałby gniew jego matki.
 - Jesteśmy nieśmiertelni, księżniczko. Mamy ten luksus, że możemy poczekać na odpowiedni moment. Może jakiś przebiegły wąż czeka od stuleci na chwilę, kiedy królowa będzie słaba. A stanie się taka, jeśli będzie zmuszona zgładzić własnego syna.
 - Nie jestem nieśmiertelna, więc nie mogę się pochwalić taką cierpliwością ani przebiegłością. Jedno wiemy na pewno: jakaś istota tej nocy usiłowała sforsować moją osłonę. Musi mieć oparzenie na dłoni lub łapie. Można je będzie dopasować do odcisków palców.
 - Widziałem osłony nastawione tak, żeby zranić istotę, która próbuje je sforsować, ale nigdy przedtem nie widziałem osłony, która umożliwia zebranie odcisków palców powiedział Rhys.
 - Sprytne - uznał Doyle. W jego ustach był to wielki komplement.
 - Dziękuję. - Zmarszczyłam brwi, patrząc na niego. - Jeśli nigdy przedtem nie widziałeś takiej osłony, to skąd wiedziałeś, co to jest?
 - To Rhys powiedział, że nigdy nie widział czegoś podobnego. Ja tego nie powiedziałem.
 - Gdzie jeszcze to widziałeś?
 - Jestem zabójcą i myśliwym, księżniczko. Dobrze jest dysponować jakimiś śladami.
 - Znak na dłoni oznaczy tę istotę, ale nie będzie ona dzięki niemu zostawiać śladów.
- Doyle prawie niezauważalnie wzruszył ramionami.
- Szkoda, to byłoby przydatne.
 - Potrafisz sprawić, żeby istota magiczna zostawiała magiczne ślady? - spytałam.
 - Tak.
 - Ale mogłaby ujrzeć je za pomocą własnej magii i zrzucić zaklęcie.
- Wzruszył ramionami.
- Świat nigdy nie okazał się na tyle duży, by ukryć zwierzyńnię, którą tropiłem.
 - Jesteś... doskonały - powiedziałam.
- Spojrzał na okno za mną.
- Nie, księżniczko, obawiam się, że nie jestem. A najgorsze jest to, że nasi wrogowie już to wiedzą.
- Bryza przeszła w wiatr wydymający białe zasłony. Widziałam mały szponiasty odcisk zastygły w migotliwej magicznej osłonie. Pół kontynentu dzieli mnie od najbliższego bastionu faerie. Wydawało mi się, że jestem wystarczająco daleko, byśmy mogli się czuć bezpieczni, ale najwidoczniej się myliłam. Po latach wygnania miałam wreszcie przy sobie jakąś część domu. Domu, który tak naprawdę nigdy się nie zmienił. Zawsze był piękny, zmysłowy i bardzo, bardzo niebezpieczny.

Rozdział 2

Niebo za oknami mojego gabinetu było niemal idealnie błękitne. Rzadko się takie widuje nad Los Angeles. Budynki w centrum miasta błyszcząły w słońcu. Dzisiaj był jeden z tych rzadkich dni, które pozwalają ludziom wierzyć w to, że w LA trwa wieczne lato, stale świeci słońce, woda jest zawsze błękitna i ciepła, a wszyscy są piękni i uśmiechnięci. Prawda jednak jest taka, że nie wszyscy są tacy

piękni i nie wszyscy się cały czas uśmiechają (jeśli o to chodzi, to LA ciągle ma jeden z najwyższych wskaźników samobójstw w kraju, co naprawdę nie nastraja zbyt optymistycznie), a ocean jest zimny i bardziej szary niż błękitny. Jedyne ludźmi, którzy w południowej Kalifornii w grudniu wchodzą do wody bez odpowiednich kombinezonów, są turyści. Z tym wiecznie świecącym słońcem to też nie do końca prawda, bowiem od czasu do czasu lubi sobie tutaj popadać, a smog jest gęstszy niż w jakimkolwiek innym mieście. To był najpiękniejszy dzień, jaki tu widziałam od trzech lat. Aż żal, że zdarzył się tylko po to, by utrzymać przy życiu mit. Może ludzie po prostu chcą wierzyć w jakieś magiczne miejsce, a południowa Kalifornia o wiele lepiej się do tego nadaje niż Kraina Faerie. W każdym razie, na pewno jest od niej o wiele bezpieczniejsza.

Wcale mi się nie podobało, że marnuję taki piękny dzień, siedząc w czterech ścianach. W końcu jestem księżniczką. Czy to nie oznacza, że nie muszę pracować? Ano, nie. Tak samo, jak to, że jestem księżniczką elfów, nie znaczy od razu, że gdybym sobie zażyczyła góry złota, natychmiast by się ona w magiczny sposób przede mną pojawiła (a chciałabym!). Ten tytuł, podobnie jak wiele innych tytułów królewskich, ma niewielkie przełożenie na pieniądze, ziemię czy władzę. Jeśli faktycznie zostanę królową, to się zmieni; do tego momentu jestem sama. No, prawie sama.

Doyle siedział za mną na krześle stojącym przy oknie. Był ubrany tak jak ostatniej nocy, z tym że włożył jeszcze czarną skórzaną kurtkę i czarne okulary przeciwsłoneczne. Promienie słońca skrzyły się we wszystkich srebrnych kółkach tkwiących w jego uszach i sprawiały, że diamentowe ćwieki w płatkach uszu tworzyły maleńkie tęcze na blacie mojego biurka. Większość ochroniarzy bardziej martwiłaby się o drzwi niż o okna. W końcu znajdowaliśmy się dwadzieścia trzy piętra nad ziemią. Ale istoty, przed którymi Doyle mnie chronił, mogły równie dobrze przylecieć, jak przyjść. Stworzenie, które pozostawiło maleńki odcisk łapy na moim oknie, albo przypełzło jak pająk, albo przyfrunęło niczym ptak.

Siedziałam przy biurku, a promienie słońca grzały mnie w plecy. Tęcza z diamentów Doyle'a spoczęła na moich splecionych dłoniach, uwydatniając zieleń lakieru do paznokci. Lakier pasował do zakietu i krótkiej spódnicy. Światło słoneczne i szmaragdowa zieleń ubrania podkreślały czerwień moich włosów, a także zieleń i złoto moich oczu. Dobrałam takie cienie do powiek, by te barwy stały się jeszcze wyraźniejsze. Szminka była czerwona. Cała byłam radośnie kolorowa. Jedną z zalet tego, że nie udaję już człowieka, jest to, że nie muszę ukrywać blasku włosów, oczu i skóry.

Aż po błądy świt zastanawialiśmy się, co to za istota usiłowała sforsować moją osłonę. W efekcie padałam z nóg. W końcu jednak zrobiłam sobie makijaż, ubrałam się i poszłam do biura, z myślą, że nawet jeśli zginę, to przynajmniej niezłe wyglądając. Wzięłam ze sobą mały, czterocalowy nóż. Wsunęłam go za podwiązkę, tak że metalowa rękojeść dotykała nagiej skóry. Po ostatniej nocy Doyle uznał, że tak będzie najlepiej, a ja się nie spierałam.

Nogi miałam grzecznie skrzyżowane, nie z powodu siedzącego przede mną klienta, ale z powodu człowieka, który przycupnął pod moim biurkiem. No, może nie dokładnie człowieka - goblina. Skóra Kitta jest biała jak światło księżyca, tak blada jak moja czy Rhysa albo Mroza. Gęste, lekko falowane, krótko przystryżone włosy są tak czarne jak włosy Doyle'a. Ma tylko cztery stopy wzrostu i przypominałby lalkę o wyglądzie mężczyzny, gdyby nie to, że jego plecy są pokryte błyszczącymi łuskami, a wielkie oczy w kształcie migdałów, tak błękitne jak dzisiejsze niebo, mają eliptyczne źrenice, co czyni go podobnym do węża. W jego ustach kryją się jadowite kły i długi niczym wstążka, rozwidlający się na końcu język, który sprawia, że syczy, gdy nie jest należycie skoncentrowany. Kitto nie czuje się dobrze w dużym mieście. Zdaje się czuć najlepiej, kiedy może mnie dotykać, przycupnąć przy mojej stopie, usiąść mi na kolanach, zwinąć się w kłębek przy mnie, kiedy śpię. Ostatniej nocy musiałam go wyprosić ze swojej sypialni, ponieważ Rhys nie zniósłby jego

obecności. Kilka tysięcy lat temu gobliny wyłupiły mu oko. Nigdy im tego nie wybaczył.

Rhys stał w kącie przy drzwiach, w miejscu, w którym rozkazał mu stać Doyle. Miał na sobie drogi, biały prochowiec - wypisz, wymaluj Humphrey Bogart. Rhysowi bardzo się podoba, że jesteśmy prywatnymi detektywami, i zwykle w pracy nosi albo prochowiec, albo jeden z kapeluszy ze swojej ogromnej kolekcji. Do tego nakłada przepaskę na oko. Dzisiaj białą, ponieważ musiała pasować do koloru ubrania i włosów.

Kitto pogładził mnie po nodze. Nie spoufalął się przesadnie; po prostu musiał mnie dotykać. Naprzeciwko mnie siedział pierwszy klient. Jeffery Maison miał niecałe sześć stóp wzrostu, był barczysty, wąski w pasie, szykownie ubrany, miał zadbane dłonie i brązowe, misternie ufryzowane włosy. Jego uśmiech był tak olśniewająco biały, że nie ulegało wątpliwości, że jego zęby są dziełem bardzo drogiego dentysty. Był przystojny, ale bezbarwny, nijaki. Jeśli nad jego wyglądem pracowali chirurdzy plastyczni, powinien ich zwolnić, ponieważ jego twarz można było uznać za przystojną, ale nie można jej było zapamiętać. Dwie minuty po jego wyjściu miałyby się kłopoty z przypomnieniem sobie jakiegokolwiek jego cechy. Powiedziałabym, że jest niedoszłym aktorem, ale tacy nie mogą sobie pozwolić na doskonale skrojone, markowe garnitury.

Wciąż się uśmiechał, ale w jego oczach nie było radości. Spojrzenie miał ciągle utkwione w Doyle'u. Był bardzo niezadowolony z faktu, że w moim gabinecie znajdują się strażnicy. To nie wynikało z obawy - uczucia, które moi strażnicy budzą w wielu ludziach. Nie, panu Maisonowi chodziło o prywatność. Był tak niezadowolony, że miałam wielką ochotę poszczuć go Kittem. Powstrzymałam się jednak. To byłoby nieprofesjonalne. Bawiłam się tą myślą, próbując nakłonić Jeffery'ego Maison, by mimo obecności strażników powiedział, co go do mnie sprowadza.

Dopiero kiedy Doyle oznajmił, że ta rozmowa albo będzie się toczyć przy nich, albo w ogóle, Maison się uspokoił. Chyba aż za bardzo. Siedział teraz przede mną, szczerząc te swoje ząbki jak perełki, i prawił mi komplementy.

- Nie widziałem jeszcze nikogo, kto by miał naturalne włosy w kolorze szkarłatu sidhe. Odnosi się wrażenie, że są zrobione z rubinów.

Uśmiechnęłam się, po czym przeszłam do konkretów.

- Co pana sprowadza do Agencji Detektywistycznej Greya? - spytałam.

- Nakazano mi pomówić z panią na osobności, panno NicEssus - spróbował po raz ostatni.

- Wolę, gdy mówi się do mnie „panno Gentry”. NicEssus to znaczy: „córka Essusa”. To bardziej tytuł niż nazwisko.

Uśmiechnął się nerwowo, po czym posłał mi przepaszające spojrzenie. Musiał je chyba ćwiczyć przed lustrem.

- Przepraszam, nie przywykłem do obcowania z księżniczkami elfów. - Uśmiechnął się znowu i spojrzał mi głęboko w oczy. To jedno spojrzenie wystarczyło. Już wiedziałam, jak Jeffery płaci za swoje garnitury.

- Istotnie, księżniczki w dzisiejszych czasach to towar deficytowy - przyznałam z uśmiechem, starając się być miłą. Szczerze mówiąc, chciałam to mieć jak najszybciej za sobą. Byłam niewyspana i miałam nadzieję, że gdy uda nam się splawić Jeffery'ego, zrobimy sobie przerwę na kawę.

- Zieleń pani zakietu podkreśla zieleń i złoto pani oczu. Nigdy nie widziałem osoby z takimi tęczęwkami.

Rhys roześmiał się ze swojego kąta, nawet nie usiłując zamaskować tego kaszlem. Znał się na etykietce równie dobrze jak ja.

- Ja też mam takie tęczęwki, a nie pochwaliłeś mojego wyglądu - powiedział z wyrzutem. Miał rację. Dosyć już tych uprzejmości.

- Nie wiedziałem, że powinienem był to zrobić. - Maison sprawiał wrażenie zakłopotanego. Nareszcie coś autentycznego.

Wyprostowałam nogi i pochyliłam się do przodu, kładąc splecione dłonie na biurku. Ręka Kitta przesunęła się w górę mojej łydki, ale zatrzymała się na kolanie. Swego czasu ustaliliśmy, dokąd Kitto może się posunąć. Linie graniczną stanowiły moje kolana. Przekroczy ją i może wracać do domu.

- Panie Maison, dla pana wygody przełożyliśmy ważne spotkanie. Byliśmy uprzejmi i profesjonalni. Prawienie mi komplementów nie jest ani uprzejme, ani profesjonalne.

Popatrzył na mnie niepewnie i jego spojrzenie było chyba najbardziej szczere od momentu, kiedy przekroczył próg mojego gabinetu.

- Myślałem, że prawienie komplementów sidhe jest ogólnie przyjęte. Powiedziano mi, że dla sidhe nie ma większej zniewagi niż to, że ktoś ją ignoruje, mimo że zrobiła wszystko, by wyglądać atrakcyjnie.

Przypatrzyłam mu się uważnie. Wreszcie powiedział coś naprawdę ciekawego.

- Większość ludzi nie ma pojęcia o zwyczajach sidhe, panie Maison. Skąd pan o tym wie?

- Moja pracodawczyni chciała mieć pewność, że nikogo nie urażę. Czy miałem również prawić komplementy mężczyźnie? Nic o tym nie mówiła.

A więc przysłała go tu kobieta. To była najważniejsza informacja z wszystkich tych, które uzyskałam od niego przez cały ten czas, kiedy siedział przede mną.

- Kim ona jest? - spytałam.

Popatrzył na Rhysa, potem na mnie, potem na Doyle'a i wreszcie znowu na mnie.

- Otrzymałem wyraźne polecenie, by mówić tylko z panią, panno Gentry. Nie wiem, co mam w takiej sytuacji robić.

No, to było przynajmniej szczere. Trochę mu współczułam. Oględnie mówiąc, miał problemy z samodzielnym myśleniem.

- Dlaczego nie zadzwonisz do swojej pracodawczyni? - spytał Doyle. Jeffery podskoczył na dźwięk jego niskiego głosu. Mnie natomiast przeszedł dreszcz. Czasami jego głos sprawia, że cała dygoczę. - Powiedz swojej pracodawczyni, co się stało, i może ona wymyśli jakieś rozwiązanie.

Rhys znowu się roześmiał. Doyle posłał mu wrogie spojrzenie i przestał się śmiać, jednak musiał zakryć twarz dłonią i zakaszczyć. Nie obchodziło mnie to. Miałam przeczucie, że jeśli będziemy żartować sobie z Jeffery'ego, spędzimy tu cały dzień.

Obróciłam stojący na biurku telefon w jego stronę i podałam mu słuchawkę.

- Zadzwon do swojej szefowej, Jeffery. Wszyscy chcemy wyrobić się z pracą, prawda? - Z rozmysłem zwróciłam się do niego po imieniu. Miałam nadzieję, że w ten sposób zmuszę go do działania.

Wziął słuchawkę i nacisnął klawisze.

- Cześć, Marie - przywitał się - tak, muszę z nią rozmawiać. - Przez kilka chwil milczał, potem wyprostował się i powiedział: - Właśnie siedzę naprzeciwko niej. Ma ze sobą dwóch ochroniarzy, którzy odmawiają wyjścia. Mam rozmawiać przy nich?

Czekaliśmy cierpliwie, podczas gdy on chrząkał nerwowo i powtarzał: „hm”, „tak”, „nie”; w końcu odłożył słuchawkę.

- Moja pracodawczyni uznała, że mogę wtajemniczyć was w szczegóły sprawy, ale nie powinienem wyjawiać jej imienia, przynajmniej na razie.

Spojrzałam na niego wyczekująco.

- Słuchamy - powiedziałam.

Po raz ostatni spojrzął nerwowo na Doyle'a, po czym nabrał powietrza w płuca i zaczął:

- Moja pracodawczyni znajduje się w nader niezręcznej sytuacji. Chciałaby z panią porozmawiać, ale uważa, że pani... - Zmarszczył brwi, szukając odpowiedniego słowa. Wyglądało na to, że może mu to zająć trochę czasu, więc mu pomogłam.

- Moi strażnicy.

Uśmiechnął się z widoczną ulgą.

- Właśnie, pani strażnicy i tak by się dowiedzieli prędzej czy później, więc już lepiej, żeby dowiedzieli się prędzej... - Wydawał się niezmiernie zadowolony z siebie. Nie, zdecydowanie myślenie nie było jego mocną stroną.

- Dlaczego po prostu nie przyjdzie do biura i nie pomówi z nami?

Przestał się uśmiechać i znowu wyglądał na skonsternowanego. Chciałam przyspieszyć obrót spraw. Problem polegał na tym, że Jeffery'ego tak łatwo było zbić z tropu, że nie miałam pojęcia, jak tego uniknąć.

- Moja pracodawczyni obawia się rozgłosu, jaki panią otacza, panno Gentry.

Nie musiałam pytać, co ma na myśli. W tej właśnie chwili grupa reporterów i fotoreporterów koczowała przed budynkiem, w którym mieściło się biuro. W moim apartamencie, w obawie przed teleobiektywami, w ogóle nie rozsuwaliśmy zasłon.

Jak media mogłyby się oprzeć królewskiej córce marnotrawnej powracającej do domu po tym, jak została uznana za martwą? Już samo to zasługiwało na uwagę. A gdy jeszcze dodało się do tego dużą dawkę romansu, nie schodziłam z pierwszych stron gazet. Historyjka, którą wymyśliliśmy na użytek publiczny, głosiła, że wyszłam z ukrycia, by znaleźć męża na dworze królewskim. Tradycyjny sposób, w jaki członkini rodu królewskiego znajdowała małżonka, polegał na przespaniu się z jak największą liczbą kandydatów. Jeśli zaszła w ciążę, wychodziła za męża; jeśli nie, nie wychodziła. Istoty magiczne nie miewają wielu dzieci; członkowie rodów królewskich miewają ich jeszcze mniej, więc wychodzenie za męża, jeśli nie jest się w ciąży, nie jest dobrze widziane.

Andais rządziła Dworem Unseelie przez ponad tysiąc lat. Mój ojciec powiedział kiedyś, że bycie królową znaczy dla niej więcej niż cokolwiek innego na świecie. Obiecała jednak ustąpić z tronu, jeśli Cel albo ja damy życie następcy. Jak już wspomniałam, dzieci są dla sidhe bardzo ważne.

Tyle wersja oficjalna. Zatajała ona wiele, jak na przykład fakt, że Cel usiłował mnie zamordować i właśnie odbywał za to karę. Media nie wiedziały o wielu sprawach, a ponieważ królowa chciała, by tak pozostało, nie byliśmy zbyt rozmowni.

Moja ciotka powiedziała, że pragnie, by następca był tej samej krwi co ona, nawet jeśli ta krew miałaby być zbrukana przez domieszkę jakiejś innej krwi, jak to jest w moim wypadku. Kiedyś, gdy byłam dzieckiem, usiłowała mnie nawet utopić, ponieważ nie byłam dla niej prawdziwą sidhe. Musimy starać się zadowolić naszą królową; im jest szczęśliwsza, tym mniej jej poddanych umiera.

- Wcale się nie dziwię, że twoja pracodawczyni nie chce brać udziału w tym cyrku powiedziałam.

Jeffery posłał mi znowu olśniewający uśmiech, ale tym razem w jego oczach widać było ulgę, a nie pożądanie.

- A zatem zgadza się pani spotkać z moją pracodawczynią w jakimś bardziej ustronnym miejscu.

- Tylko nie myśl sobie, że księżniczka spotka się z nią sama - wtrącił się Doyle.

Jeffery pokręcił głową.

- Wiem. Chodziło mi tylko o to, że moja pracodawczyni chciałaby uniknąć rozgłosu.

- Nie wiem, jak ona sobie to wyobraża - powiedziałam. - Dziennikarze są w stanie wywęszyć wszystko. Chyba że chce rzucić na nich zaklęcie, ale wykorzystywanie zaklęć przeciwko mediom jest zabronione.

Jeffery znów się zamyślił. Westchnęłam. Miałam go już serdecznie dosyć i marzyłam tylko o jednym: żeby stąd wyszedł. Z pewnością następny klient będzie mniej uciążliwy. Mój szef Jeremy Grey brał od każdego potencjalnego klienta bezzwrotną zaliczkę. Mieliśmy tak dużo zleceń, że podejmowaliśmy się tylko najciekawszych spraw. Może powinnam po prostu powiedzieć Jeffery'emu Maisonowi, żeby sobie poszedł.

- Moja pracodawczyni nie pozwoliła mi wypowiedzieć głośno swego imienia. Powiedziała, że to powinno dla pani coś znaczyć.

Wzruszyłam ramionami.

- Przykro mi, panie Maison, ale nie znaczy.

Zasępił się jeszcze bardziej.

- Była pewna, że będzie.

Pokręciłam głową.

- Przykro mi. - Wstałam. Dłoń Kitta ześlizgnęła się z mojej nogi. Goblin pozostał pod biurkiem. Wprawdzie, wbrew powszechnemu przekonaniu, gobliny nie rozpuszczają się w promieniach słońca, ale za to bardzo często cierpią na agorafobię.

- Proszę - powiedział Jeffery. - Proszę, to na pewno dlatego, że nie potrafię się wysłowić.

- Panie Maison, mamy za sobą ciężki ranek, za ciężki, żeby bawić się teraz w zgadujzgadulę. Albo powie nam pan coś konkretnego o sprawie swojej pracodawczyni, albo niech pan poszuka sobie innej agencji detektywistycznej.

- Moja pracodawczyni chciałaby znowu spotkać istoty swego rodzaju. - Wpatrywał się we mnie intensywnie, jakby chciał siłą woli zmusić mnie, bym wreszcie zrozumiała.

Spojrzałam na niego podejrzliwie.

- Co to znaczy: istoty swego rodzaju?

Zmarszczył brwi, wyraźnie zmieszany, ale próbował dalej.

- Moja pracodawczyni nie jest człowiekiem, panno Gentry. Ona jest... bardzo dobrze poinformowana na temat tego, do czego są zdolne istoty magiczne z dworu królewskiego. Mówił ściszym głosem, jakby nic więcej nie mógł już powiedzieć i miał nadzieję, że się domyślę, o co mu chodzi.

Na szczęście, albo i nie, domyśliłam się. W Los Angeles przebywa trochę istot magicznych, ale jeśli chodzi o członków dworu królewskiego, to poza mną i moimi strażnikami mieszka tu tylko Maeve Reed, złota bogini Hollywood. Jest złotą boginią Hollywood już od pięćdziesięciu lat, a ponieważ jest nieśmiertelna i nigdy się nie zestarzeje, może nią być jeszcze i przez sto.

Dawno, dawno temu była boginią Conchenn. Potem Taranis, Król Światła i Iluzji, wygnał ją z Dworu Seelie i zakazał istotom magicznym się z nią kontaktować. Miała być bojkotowana, traktowana jak zmarła. Król Taranis to mój wuj i teoretycznie jestem piąta w kolejce do tronu. Nie jestem tam jednak mile widziana. Dosyć wcześnie dano mi do zrozumienia, że mój rodowód odrobinę odbiega od ideału i że żadna domieszka krwi Seelie nie jest w stanie zrównoważyć tego, że w moich żyłach płynie również krew Unseelie.

Niech i tak będzie. Już ich nie potrzebowałam. Kiedy byłam młodsza, Dwór Seelie coś dla mnie znaczył, ale to się zmieniło. Moja matka oddała mnie na Dwór Unseelie, by móc zaspokoić swoje ambicje polityczne. Od tej pory nie miałam matki.

Nie zrozumcie mnie źle. Królowa Andais również za mną nie przepada. Nawet teraz nie jestem całkowicie pewna, dlaczego wybrała mnie na swoją następczynię. Być może po prostu kończą jej się krewni. Tak bywa, kiedy za dużo ich ginie.

Otworzyłam usta, by wymówić nazwisko Maeve Reed, ale w ostatniej chwili ugryzłam się w język. Moja ciotka jest Królową Powietrza i Ciemności. Może usłyszeć wszystko, co wypowiedane jest po

zmroku. Nie sądzę, by król Taranis dysponował podobną zdolnością, ale nie mam całkowitej pewności. Ostrożności nigdy za wiele. Maeve Reed obchodziła królową nie więcej niż zeszłoroczny śnieg. Andais jednak dba o rzeczy, które mogą być pomocne w negocjacjach albo przemawiają na niekorzyść króla Taranisa. Nikt nie wiedział, dlaczego wygnał Maeve Reed. Musiało to być jednak coś ważnego, skoro uczynił to osobiście. Informacja, że Maeve popełniła coś zakazanego, mogłaby mieć dla niego dużą wartość. Było nie było, skontaktowała się z członkiem dworu. A jest taka niepisana zasada, że jeśli jeden władca wygna kogoś z Krainy Faerie, drugi szanuje jego decyzję. Powinnam była odesłać Jeffery'ego Maison'a do Maeve Reed. Powinnam była powiedzieć „nie”. Jednak nie uczyniłam tego. Dlaczego? Pewnego razu, kiedy byłam młoda, zapytałam kogoś z rodziny królewskiej o los Conchenn. Taranis to podsłuchał. Pobił mnie prawie na śmierć; bił mnie tak, jak bije się nieposłusznego psa. Wszyscy dworzanie stali i patrzyli na to, i nikt, nawet moja matka, nie spróbował mi pomóc. Zgodziłam się spotkać z Maeve Reed, ponieważ po raz pierwszy miałam wystarczająco dużo siły, by przeciwstawić się Taranisowi. Zranienie mnie teraz oznaczałoby wojnę pomiędzy dworami. Nawet Taranis nie zaryzykowałby jej tylko z powodu urażonej dumy. Oczywiście, jak znam swoją ciotkę, nie musiałyby to być od razu wojna. Znajduję się pod ochroną królowej, co znaczy, że każdy, kto mnie skrzywdzi, odpowie przed nią osobiście. Taranis mógł wybrać wojnę zamiast osobistej zemsty królowej. W końcu podczas wojny królowie rzadko oglądają działania na froncie. Gdyby jednak naprawdę zdenerwował królową Andais, musiałby sam stawić jej czoło. Próbowałam przeżyć, a nie na próżno powiada się, że wiedza jest najpotężniejszą bronią.

Rozdział 3

Kiedy za Jefferym Maisonem zamknęły się drzwi, pomyślałam sobie, że pewnie moi strażnicy zaraz zaczną się ze mną kłócić. Dużo się nie pomyliłam.

- Daleko mi do kwestionowania twoich słów, księżniczko - powiedział Rhys - ale czy pomyślałaś, jak zareaguje król na wiadomość o tym, że złamałaś warunki wygnania Maeve Reed?

Wzdrygnęłam się, gdy wymówił jej imię i nazwisko na głos.

- Czy król ma możliwość słyszenia wszystkiego, co jest wypowiedziane przy świetle dnia, tak jak królowa, która słyszy wszystko po zmroku?

Rhys spojrzał na mnie zmieszany.

- Cóż... mówiąc szczerze, nie wiem.

- Więc może lepiej nie wymawiaj na głos imienia i nazwiska naszej klientki.

- Nigdy nie słyszałem, żeby Taranis posiadał taką umiejętność - powiedział Doyle.

Odwróciłam się, by na niego spojrzeć.

- Miejmy nadzieję, że nie. Tym bardziej, że właśnie wymówiłaś na głos jego imię.

- Spiskowałem przeciwko Królowi Światła i Iluzji przez tysiąclecia, księżniczko. Czyniłem to zwykle za dnia. Wielu z naszych sprzymierzeńców kategorycznie odmawiało spotkań z Unseelie po zmroku. Uważali, że bezpieczniej będzie się spotykać za dnia. Wyglądało na to, że Taranis nie wie, co robimy, ani za dnia, ani w nocy. Moim zdaniem nie posiada on daru naszej królowej. Andais może usłyszeć wszystkie słowa wypowiedziane po zmierzchu. Król jest równie głuchy jak każdy człowiek. Każdego innego zapytałabym, czy jest pewien tego, co powiedział, ale Doyle nigdy nie mówił czegoś, jeśli nie miał pewności. Gdyby o czymś nie wiedział, przyznałby się do tego. Nie było w nim fałszywej dumy.

- A więc król nie słyszy nas, gdy rozmawiamy tysiące mil od niego - powiedział Rhys.

- To dobrze. Proszę cię jeszcze tylko o jedno: przekonaj Merry, że to zły pomysł.

- Co jest złym pomysłem? - zapytał Doyle.

- Pomaganie Maeve... - Rhys spojrzał na mnie, i skończył: - ...to znaczy... tej aktorce.

Doyle zmarszczył brwi.

- Nie pamiętam, żeby ktokolwiek o tym imieniu został kiedykolwiek wygnany z któregoś dworu.

Popatrzyłam na niego. W świetle słońca nie mogłam zobaczyć wyrazu jego twarzy, ale mogłam się założyć, że wygląda na zaskoczonego.

Usłyszałam szelest jedwabnego płaszcza. To Rhys podszedł do nas. Spojrzałam na niego. Uniósł pytająco brwi. Oboje popatrzyliśmy na Doyle'a.

- Nie wiesz, kim ona jest, prawda? - spytałam.

- To imię, które wymówiłaś, Maeve Jakaśtam - powinienem je znać?

- Od ponad pięćdziesięciu lat nazywana jest królową Hollywood - powiedział Rhys.

- Chyba wiem, o czym mówicie. Ludzie z tego Hollywood zgłaszają się co jakiś czas do królowej, żeby uzyskać pozwolenie na zrobienie filmu o jej życiu.

- Czy ty w ogóle kiedykolwiek widziałeś jakiś film? - spytałam.

- Widziałem filmy w twoim mieszkaniu - odparł urażony.

Spojrzałam na Rhysa.

- Musimy ich wszystkich zabrać do kina.

Rhys przysiadł na moim biurku.

- Wszyscy moglibyśmy się rozerwać wieczorem.

Kitto pociągnął mnie za spódnicę. Zajrzałam pod biurko. Promień słońca spoczął mu na twarzy. Przez chwilę światło wypełniało jego oczy, sprawiając, że z szafirowoniebieskich stały się szare. Potem wtulił twarz w moje udo i powiedział, nie patrząc w górę:

- Nie chcę iśść zzz wami. - Musiał być bardzo zdenerwowany, bo strasznie syczał. Kitto bardzo się starał mówić zrozumiale. Kiedy jednak ma się rozdwojony język, nie jest to wcale takie proste.

Dotknęłam jego głowy; jego czarne loki były miękkie jak włosy sidhe, nie były tak szorstkie jak włosy goblinów,

- W sali kinowej jest ciemno - powiedziałam, głaszcząc go po głowie. - Mógłbyś zwinąć się w kłębek przy mnie i wcale nie patrzeć na ekran.

Potarł głową o moje udo jak kot.

- Naprawdę? - zapytał.

- Naprawdę - potwierdziłam.

- Spodoba ci się - dodał Rhys. - Jest ciemno, a podłoga jest tak brudna, że przykleja się do stóp.

- Zzzabrudzę ssswój ssstrój - powiedział Kitto.

- Nie sądziłem, że goblin będzie się przejmował brudem.

- On jest tylko w połowie goblinem - zauważyłam.

- Ach tak, więc jego tatuś zgwałcił jedną z naszych kobiet.

- Jego matka pochodziła z Dworu Seelie, nie Unseelie - sprostowałam.

- A jaka to różnica? Jego ojciec zniewolił sidhe.

- A ilu naszych wojowników sidhe podczas wojen zniewalało goblinki? - spytał Doyle.

Na twarzy Rhysa pojawił się nieznaczny rumieniec. Popatrzył na Doyle'a.

- Nigdy nie tknąłbym kobiety, która nie odpowiedziałaby na moje zaloty.

- Oczywiście, że nie, jesteś członkiem straży królowej, jej Kruków, a wy nie możecie dotknąć żadnej kobiety poza królową, inaczej zginęlibyście w męczarniach. Ale co z wojownikami, którzy nie są członkami osobistej straży królowej?

Rhys odwrócił wzrok, jego rumieniec pociemniał.

- Jasne, odwracaj wzrok, tak jak my wszyscy przez stulecia - powiedział Doyle.

Rhys przeszył go gniewnym spojrzeniem. Miało się wrażenie, jakby wszystkie mięśnie nagle zastygły mu z gniewu. Tej nocy miał w rękę broń i nie wzbudzał strachu. Teraz, siedząc na brzegu mojego biurka, był przerażający.

Na pozór był spokojny; tylko napięcie ciała sugerowało, że jest o krok od zrobienia czegoś strasznego. A jednak nie uczynił nic. Jeszcze nie, jeszcze nie teraz.

Chciałam spojrzeć na Doyle'a, ale nie mogłam się odwrócić od Rhysa. Miałam wrażenie, jakby tylko moje spojrzenie trzymało go na wodzy. Wiedziałam, że to nieprawda, ale czułam, że jeśli się odwrócę, nawet na chwilę, stanie się coś bardzo złego.

Kitto wtulił się tak mocno w moje nogi, że czułam, jak się cały trzęsie. Moje dłonie nadal spoczywały na jego głowie, ale nie sędzę, by to był uspokajający dotyk.

Twarz Rhysa stała się mlecznobiała, jak gdyby coś białego i świecącego przesunęło się pod jego skórą - właśnie nie po twarzy, a pod skórą. Źrenica jego jedyne oko nagle zaczęła błyszczeć trzema odcieniami błękitu. Kolory nie wirowały, choć wiem, że mogłyby. Jego włosy były nadal białymi lokami; poświata nie przeniosła się na nie. Rhys przywołał swoją moc. Nie osiągnęła jednak ona jeszcze apogeum.

Chciałam odwrócić się i zobaczyć twarz Doyle'a, ale nie odważyłam się tego zrobić. Nie mogłam dopuścić do pojedynku, zwłaszcza z tak głupiego powodu.

- Rhys - powiedziałam łagodnie.

Nie patrzył na mnie. Jego jedyne oko było skupione na kapitanie mojej straży, jakby nikt inny nie istniał.

- Rhys! - powiedziałam ponownie głosem bardziej natarczywym.

Zamrugnął, popatrzył na mnie. Mając cały ciężar jego gniewu skierowany na siebie, zaczęłam się odsuwać z krzesłem do tyłu. W momencie, kiedy zdałam sobie sprawę z tego, co robię, zatrzymałam się. Nie mogłam tego ruchu cofnąć, ale mogłam udać, że chcę zrobić coś innego. Wstałam i to był mój największy błąd. Wstając, wyciągnęłam spod biurka Kitta przytulonego do mojej nogi. W chwili, gdy mały goblin stał się widoczny, wściekłe spojrzenie Rhysa padło na niego.

Kitto wydawał się rażony tym spojrzeniem, ponieważ objął ramionami moje nogi tak mocno, że omal nie upadłam. By odzyskać równowagę, położyłam dłoń na blacie, a Rhys rzucił się przez biurko z rękami wyciągniętymi w kierunku goblina. Czułam Doyle'a za sobą, ale nie było czasu. Widziałam, jak Rhys zabija jednym dotknięciem. Chwyciłam go za płaszcz i wykorzystałam jego własny pęd, by ściągnąć go z biurka i uderzyć nim o ścianę obok Doyle'a. Ściana zadrżała od uderzenia i miałam chwilę na to, by pomyśleć, co by się stało, gdyby zamiast w nią, uderzył w okno. Kątem oka ujrzałam, że Doyle wyciąga pistolet.

Wyjęłam nóż, który miałam za podwiązką, i kiedy Rhys znalazł się na czworakach, potrząsając głową, przycisnęłam mu ostrze do szyi. Byłoby lepiej, gdybym je wbiła. Dzięki temu miałabym pewność, że nie zdoła się odwrócić i podciąć mi nóg, ale to było najlepsze, co mogłam zrobić w tak krótkim czasie. Wiedziałam, jak szybko strażnicy dochodzą do siebie. Miałam ledwie kilka sekund, by cokolwiek zrobić.

Rhys zamarł z opuszczoną głową, oddychając nierówno. Czułam ciężar jego ciała na swoich nogach. Byłam zbyt blisko, ale ostrze spoczywało pewnie przy jego szyi. Poczulałam, jak nóż zagłębia się w skórę. Nie chciałam go zranić; po prostu za bardzo się spieszyłam, by uważać. Ale on nie wiedział, że to wypadek, a nic tak nie przekonuje ludzi, że chciało się zrobić im krzywdę, jak widok ich własnej krwi.

- Miałam nadzieję, że z biegiem czasu nauczysz się tolerować Kitta, ale wygląda na to, że z tobą jest coraz gorzej. - Mój głos był cichy, mówiłam niemal szeptem, każde słowo wypowiadając bardzo

ostrożnie, jak gdybym nie miała pewności, co by się stało, gdybym krzyknęła. W rzeczywistości ledwie mogłam mówić.

Rhys uniósł głowę, ale ja dalej trzymałam nóż przy jego szyi i jeszcze bardziej go zraniłam. Jeśli myślał, że się cofnę, to był w błędzie. Zatrzymał się.

- Zrozum to wreszcie, Kitto jest mój, tak jak wy wszyscy. Nie pozwolę, żebyś z powodu swoich uprzedzeń mu zagrażał.

Z trudem wydobył z siebie głos, jakby był przekonany, że mogę użyć noża zgodnie z jego przeznaczeniem.

- Zabiłabyś mnie z powodu goblina.

- Zabiłabym cię za skrzywdzenie istoty, którą mam chronić. Atakując go, okazałeś mi brak szacunku. W nocy nie okazał mi go Doyle. Jeśli nauczyłam się czegoś od ciotki i ojca, to tego, że przywódca, który nie jest szanowany przez swoich ludzi, jest tylko figurantem. Nie będę twoim jebadełkiem. Albo będę twoją królową, albo nikim.

Mój głos obniżył się jeszcze bardziej, tak że ostatnie słowa były wypowiedziane ochrypłym szeptem. W tym momencie nie żartowałam. Jeśli dzięki przelaniu krwi Rhysa zyskałabym na znaczeniu, zabiłabym go. Znałam go całe życie. Był moim kochankiem i na swój sposób przyjacielem. Jednak mogłabym go zabić. Brakowałoby mi go i żałowałabym, że musiałam to zrobić, ale wiedziałam, że muszę zmusić moich strażników do tego, by mnie szanowali. Pożądałam moich strażników; lubiłam tych, z którymi sypiałam; właściwie nawet kochałam jednego czy dwóch, ale niewielu z nich chciałabym widzieć obok siebie na tronie. Władza absolutna, prawdziwe życie i śmierć - komu można zaufać, mając taką władzę? Któremu z nich? Odpowiedź: żadnemu. Wszyscy mają swoje słabe strony, wszyscy przekonani są o własnej nieomyślności. Ufałam sobie, jednak były i takie dni, kiedy w siebie wątpiłam. Miałam nadzieję, że zwątpienie pozwoli mi pozostać uczciwą. Może się łudziłam. Może nikt, komu dano taką władzę, nie może pozostać sprawiedliwy i uczciwy. Może prawdą było stare powiedzenie, że władza deprawuje, a władza absolutna deprawuje absolutnie. Wiedziałam jedno: jeśli teraz nie opanuję sytuacji, moi strażnicy utracą do mnie resztki szacunku. Mogłabym zyskać tron, ale straciłabym wszystko inne. Tak naprawdę to nawet nie chciałam tronu. Chciałam jednak spróbować zmienić świat na lepsze. I, oczywiście, to właśnie pragnienie było moim słabym punktem. Myślałam, że wiem, co będzie najlepsze dla całego Dworu Unseelie. Cóż za arogancja.

Roześmiałam się. Śmiałam się tak bardzo, że musiałam usiąść na podłodze. Trzymałam zakrwawiony nóż i obserwowałam dwóch strażników, którzy patrzyli na mnie z niepokojem. Oko Rhysa już nie błyszczało. Kitto dotknął mojej ręki, delikatnie, jakby bał się mojej reakcji. Objęłam go, przytuliłam do siebie i najzwyczajniej w świecie się rozplakałam. Trzymałam Kitta, zakrwawiony nóż i płakałam.

Nie byłam lepsza od innych. Władza deprawuje - oczywiście, że tak. Po to w końcu jest. Skuliłam się na podłodze i pozwoliłam Kitlowi, by mnie kołysał, a potem nie opierałam się, gdy Doyle bardzo ostrożnie wyjął nóż z mojej ręki.

Rozdział 4

W końcu wylądowałam w jednym z foteli przeznaczonych dla klientów z kubkiem gorącej miętowej herbaty w dłoni i moim szefem, Jeremym Greyem, przy boku. Nie wiem, co go ostrzegło o kłopotach, ale wparował przez drzwi jak małe tornado i kazał strażnikom wyjść. Doyle, rzecz jasna, zaczął się spierać, że Jeremy nie może mi zapewnić bezpieczeństwa.

- Ani żaden z was - odparował mój szef. Zapadła cisza i Doyle wyszedł, nie powiedziawszy już ani słowa. Rhys, z chusteczką przyłożoną do szyi, by nie poplamić jeszcze bardziej krwią białego płaszcza, udał się w jego ślady.

Kitto został, ponieważ się do niego tuliłam, ale uspokoiliłam się już. Teraz goblin jedynie siedział mi na stopach, z jedną ręką położoną na moich kolanach, drugą poruszającą się w górę i w dół po mojej nodze. Kiedy istota magiczna dotyka kogoś zbyt intymnie i zbyt często, jest to widoma oznaka zdenerwowania, ale i ja głaskałam Kitta po włosach wolną ręką, więc byliśmy kwita.

Jeremy oparł się o biurko i popatrzył na mnie. Miał na sobie modny, doskonale skrojony garnitur. Mój szef ma cztery stopy, jedenaście cali wzrostu (jest więc o cal niższy ode mnie), jest silny i szczupły. Zwykle nosi szare garnitury, które współgrają z jego karnacją. Jego krótkie, bezbłędnie ułożone włosy również są szare, jaśniejsze od skóry, ale nie za bardzo. Nawet oczy ma szare. Jediną rzeczą, która psuje jego doskonały wygląd, jest nos. Wydał majątek na zęby, ale pozostawił długi i haczykowaty nos. Nigdy o to nie pytałam. Co innego Teresa. Ale ona ostatecznie jest tylko człowiekiem i nie rozumie, że między istotami magicznymi pytanie o wygląd poczytywane jest za najgorszą zniewagę. Sugerować, że coś w ich wyglądzie nie jest pociągające... no, tak się po prostu nie robi. Jeremy wytłumaczył jej pewnego dnia, że duży nos u drowów jest jak duże stopy u ludzi. Teresa oblała się rumieńcem i nie pytała już o nic więcej.

Skrzyżował teraz ręce na piersi, błyskając złotym rolexem, i spojrzał na mnie. Istoty magiczne nie pytają, dlaczego ktoś dostał ataku hysterii. Takie pytanie uchodzi za niegrzeczne. Do diabła, czasem za niegrzeczne uchodziło nawet zauważenie, że ktoś ma ataki hysterii. Zazwyczaj jednak tak było w przypadku władców. Wszyscy musieli udawać, że z królem czy z królową jest wszystko w porządku. Lepiej nie zauważać, że wieki endogamii uczyniły jakieś szkody.

Wziął głęboki wdech, wypuścił powietrze, po czym westchnął.

- Jako twój szef muszę wiedzieć, czy czujesz się na siłach, żeby odbyć resztę umówionych na dzisiaj spotkań. - W ten sposób okrężną drogą usiłował dowiedzieć się, co się dzieje.

Skinęłam głową, unosząc kubek, nie po to jednak, by się napić, lecz po to, by wciągnąć słodki aromat mięty.

- Poradzę sobie, Jeremy.

Uniósł brwi, które, z tego co wiem, skubał i modelował. Jako drow miał problem z krzaczastymi, zrosniętymi brwiami. Musiał je więc wyskubywać. Wygląd neandertalczyka po prostu nie pasuje do garniturów od Armaniego i mokasynów od Gucciego.

Mogłam po prostu zbyć jego pytanie milczeniem i przez szacunek dla naszych zwyczajów musiałby dać mi spokój. Ale Jeremy był moim szefem i przyjacielem jeszcze w czasach, kiedy nikt nie wiedział, że jestem księżniczką. Dał mi pracę, bo miałam odpowiednie kwalifikacje, a nie dlatego, że chciał przyciągnąć klientów faktem posiadania w swoim zespole prawdziwej księżniczki elfów. Tak naprawdę zainteresowanie mediów utrudnia mi tylko pracę. Prowadząc śledztwo, muszę zwykle używać zaklęcia do zmiany wyglądu. Niestety, nie zawsze daje to jakiś efekt. Większość reporterów specjalizujących się w tropieniu istot magicznych posiada zdolności nadprzyrodzone. Jeśli natykają się na zaklęcie, potrafią sprawić, by straciło moc. To bardzo niebezpieczne, gdy akurat jest się w samym środku tajnej operacji.

Przebywałam między ludźmi wystarczająco długo, by domyślić się, że jestem winna Jeremy'emu wyjaśnienia.

- Sama nie wiem, jak to się stało. Rhys zaczął nagle wymyślać goblinom, potem chciał chwycić Kitta, a wtedy rzuciłam nim o ścianę.

Jeremy wyglądał na zaskoczonego, co nie było zbyt uprzejme.

Spojrzałam na niego, marszcząc brwi.

- Może i nie jestem tak silna jak oni, ale nie zapominaj, że potrafię przebić pięścią drzwi samochodu,

nie łamiąc sobie przy tym kości.

- Twoi strażnicy potrafiliby pewnie podnieść ten samochód i kogoś nim przygnieść.

Pociągnęłam łyk herbaty.

- To prawda, są silniejsi, niż na to wyglądają.

Roześmiał się.

- Ty też nie wyglądasz na tak silną, jak jesteś w rzeczywistości.

- To samo można powiedzieć o tobie - zauważyłam.

Uśmiechnął się, błyskając swoimi drogimi zębami.

- Tak, swego czasu zaskoczyłem kilku ludzi. - Przestał się uśmiechać. - Gdybyś wolała, żebym pilnował swoich spraw, zrobiłbym to. Ale ty sama opowiedziałaś mi, co się stało, więc chyba nie będziesz miała nic przeciwko temu, żebym zadał ci jeszcze kilka pytań.

Skinęłam głową.

- To prawda, sama zaczęłam. Pytaj.

- Rhys nie mógł poplamić krwią płaszcz w wyniku uderzenia o ścianę.

- To nie jest pytanie - powiedziałam.

Wzruszył ramionami.

- Skąd wzięła się ta rana?

- Od noża.

- Doyle?

Pokręciłam głową.

- To ja go skaleczyłam.

- Ponieważ chciał skrzywdzić Kitta?

Skinęłam głową.

- Ostatniej nocy nie usłuchali moich rozkazów. Jeśli nie zyskam ich szacunku, mogę zdobyć tron, ale będę królową tylko z nazwy. Nie chcę ryzykować życia swojego i ludzi, na których mi zależy, będąc marionetką.

- Więc zraniłaś Rhysa, żeby udowodnić swoje racje?

- To też. Ale tak naprawdę to był po prostu odruch. Próbował skrzywdzić Kitta z powodu jakiegoś głupiego wydarzenia sprzed wieków. Kitto nigdy nie dał Rhysowi powodu do nienawiści.

- Nasz białowłosy strażnik nienawidzi goblinów, Merry.

- Kitto jest goblinem. Nie zmieni tego.

Jeremy skinął głową.

- To prawda.

Popatrzyliśmy na siebie.

- Co mam zrobić?

- Nie chodzi ci tylko o Rhysa, prawda?

Wymieniliśmy kolejne długie spojrzenie. Opuściłam wzrok i napotkałam przenikliwe spojrzenie Kitta. Gdzie nie popatrzyłam, wszyscy czegoś ode mnie oczekiwali. Kitto chciał, by się nim zaopiekować. Jeremy... cóż, chciał po prostu, bym była szczęśliwa, przynajmniej tak mi się wydaje.

- Myślałam, że zyskałam ich szacunek w Illinois, ale wygląda na to, że przez ostatnie trzy miesiące coś się zmieniło.

- Co? - zapytał.

Pokręciłam głową.

- Nie wiem.

Kitto uniósł głowę. Dotknęłam jego karku.

- Doyle - powiedział cicho.

Popatrzyłam na niego.

- Co „Doyle”?

Opuścił wzrok, jakby obawiał się spojrzeć prosto na mnie. To nie była kokieteria; to była oznaka, że jest moim sługą.

- Doyle mówił, że dobrze zaczęłaś, ale nie wykorzystwałaś swojego traktatu z goblinami. - Uniósł wzrok, ale tylko odrobinę. - Gobliny będą twoimi sojusznikami jeszcze tylko przez trzy miesiące. Jeśli w tym czasie wybuchnie wojna, to do ciebie, a nie do naszego króla Kuraga, królowa zwróci się z prośbą o posiłki. Doyle obawia się, że przez te trzy miesiące po prostu będziesz się pieprzyć ze wszystkim, co się rusza, zamiast podjąć działania przeciwko naszym wrogom.

- Czego on chce? Mam wypowiedzieć komuś wojnę?

Kitto wtulił twarz w moje kolano.

- Nie wiem, pani, ale wiem na pewno, że za nim pójda inni. To jego przede wszystkim musisz dla siebie pozyskać.

Jeremy podszedł do nas.

- To dla mnie trochę dziwne, że wojownicy sidhe mówią przy tobie tak swobodnie. Bez obrazy, Kitto, ale jesteś goblinem. Dlaczego mieliby ci się zwierzać?

- Oni mi się nie zwierzają. Po prostu czasami rozmawiają nade mną, jakby mnie w ogóle nie było. Tak jak wy teraz.

Jeremy zmarszczył brwi.

- Rozmawiam z tobą, a nie nad tobą, Kitto.

Goblin spojrzał na nas.

- Ale przedtem rozmawialiście, jakbym był czymś, co was nie rozumie, jak pies czy krzesło. Wszyscy tak robicie.

Zmrużyłam oczy, wpatrując się w jego niewinną buźkę. Chciałam temu zaprzeczyć, ale powstrzymałam się i zastanowiłam nad tym, co właśnie powiedział. Czy miał rację? Kitto po prostu z nami był. Nie chciałam jego opinii ani jego pomocy. Szczerze mówiąc, nie pomyślałam, że mógłby mi w czymkolwiek pomóc. Postrzegałam go jako kogoś, kim trzeba się zaopiekować, a nie przyjaciela. Westchnęłam i odsunęłam od niego lewą rękę. Teraz tylko on mnie dotykał, ja jego nie. Z przerażeniem chwycił moją dłoń i położył ją na powrót na swojej głowie.

- Proszę, nie bądź na mnie zła. Proszę!

- Nie jestem zła. Myślę, że masz rację. Traktuję cię tak, jakbyś był zwierzątkiem domowym, nie osobą. Nie mogłabym tak po prostu siedzieć i pieścić kogoś z mężczyzn bez podtekstu seksualnego. Nie powinnam cię tak traktować. Przepraszam.

- Nie o to mi chodziło. Uwielbiam, kiedy mnie dotykasz. Czuję się wtedy bezpiecznie. To jedyna rzecz, która sprawia, że czuję się bezpiecznie w tym... miejscu.

Podaliśmy kubek z herbatą Jeremy'emu. Postawił go na brzegu biurka. Ujęłam w dłonie twarz Kitta, sprowadzając jego wzrok z powrotem na mnie.

- Mówisz mi, że traktuję cię jak psa, jak krzesło, ale kiedy próbuję traktować cię jak osobę, protestujesz. Nie rozumiem, czego ode mnie chcesz.

Chwycił moje dłonie i przycisnął je mocno do swojej twarzy. Jego dłonie były malutkie; był jedynym mężczyzną, jakiego kiedykolwiek spotkałam, którego dłonie były mniejsze od moich.

- Chcę, żebyś mnie dotykała, Merry. Nie przestawaj. Nie przejmuję się tym, że niektórzy rozmawiają nade mną. Dzięki temu więcej wiem.

- Kitto - powiedziałam cicho.

Wgramolił się na moje kolana jak dziecko, zmuszając mnie do tego, bym go objęła. Prawą dłonią gładziłam jego łuski na plecach, lewą chwyciłam jego gładkie, pozbawione owłosienia udo. Sidhe nie mają zbyt dużo owłosienia na ciele, a węzowe gobliny są go w ogóle pozbawione. Kitto jest idealnie gładki, jakby był cały nawoskowany. Wygląda jak porcelanowa laleczka. Urodził się podczas ostatniej wojny między sidhe a goblinami, a to znaczy, że ma ponad dwa tysiące lat. Gdy tak trzymałam go na rękach, trudno mi było w to uwierzyć. Nie do wiary, ta istotka zwinięta na moich kolanach urodziła się niedługo przed śmiercią Chrystusa.

Doyle jest jeszcze starszy. Tak samo Mróz. Rhys pod innym imieniem, którego nigdy mi nie wyjawiał, był wielbiony jako bóg śmierci. Nicca ma tylko kilkaset lat, w porównaniu z nimi jest młody. Galen jest starszy ode mnie tylko o siedemdziesiąt lat; to niemal tak, jakbyśmy byli rówieśnikami.

Dorastałam, widząc ich cały czas takich samych. Są nieśmiertelni; ja nie. Starzeję się odrobinę wolniej od ludzi, ale nie za dużo. Jestem jakąś dekadę albo dwie od miejsca, w którym powinnam być. Dwadzieścia dodatkowych lat to coś wspaniałego, ale trudno to nazwać wiecznością.

Spojrzałam w górę na Jeremy'ego w oczekiwaniu na podpowiedź, co zrobić z goblinem. Rozłożył ręce.

- Nie patrz tak na mnie. Nigdy nie miałem pracownika, który mi siadał na kolanach i dopominał się pieszczot.

- On właściwie nie chce być pieszczony - powiedziałam. - On chce być zaspokojony.

- Dlaczego więc go nie zaspokoisz?

- Możesz zostawić nas samych? - spytałam. W tej chwili poczułam, że Kitto zaczyna się przy mnie rozluźniać. Wsunął rękę pod mój żakiet, by objąć mnie w pasie. Przesunął moją dłoń na udo, aż na brzeg jego szortów. Ponieważ klienci go nie widywali, mógł ubierać się nader niezobowiązująco.

Jeremy poprawił krawat i wygładził poły marynarki.

- Zostawię was, chociaż myślę, że gdy Doyle się połapie, że jesteście tu sami, zaraz tu wpadnie.

- Dużo czasu nam nie trzeba - powiedziałam.

- Wyrazy współczucia - odparł Jeremy. Otworzył usta, jakby chciał coś dodać, potem jednak potrząsnął głową i wyszedł.

Ledwie drzwi się za nim zamknęły, popatrzyłam na goblina. Nie zamierzaliśmy robić tego, o czym Jeremy najwyraźniej myślał. Nigdy nie przespałam się z Kitem i nie miałam zamiaru tego zrobić. Musiałam dzielić ciało z jednym z goblinów, by scementować sojusz między nimi a mną, ale dzielenie ciała może dla goblina oznaczać wiele rzeczy. Mówiąc ściśle, pozwoliłam kiedyś, by Kitto zostawił na moim ramieniu odcisk zębów. Królowi Kuragowi pokazałam świeży ślad po ugryzieniu. Rana jednak zagoiła się, nie pozostawiając blizny. A bez blizny nie było dowodu, że należę do Kitta. Ból po ugryzieniu Kitta zniknął podczas uprawiania seksu z kimś innym, zniknął, kiedy osiągnęłam ten stan, w którym przyjemność i ból się zacierają.

Kitto miał prawo oczekiwać zaspokojenia poprzez dzielenie się ciałem, cokolwiek to dla nas znaczy. Miałam dużo szczęścia. Zachowuje się w stosunku do mnie służalczo. Nie przeczę, że mi to odpowiada. Mój ojciec postarał się, bym poznała wszystkie kultury Unseelie, i wiem, co w świecie Kitta jest prawdziwym zaspokojeniem, a co nie. Musiałam grać wobec niego fair. Podejrzywałam, że Kurag byłby zły, gdyby dowiedział się, że nie mam widocznego znaku goblina na ciele. Jakby tego było mało, Kitto nie uprawiał ze mną seksu. Starłam się więc bardzo przestrzegać wszystkich innych zasad.

Musiałam zaspokoić Kitta i przejść do reszty dzisiejszych obowiązków. Musiałam się jeszcze spotkać z dwoma klientami, zanim mogliśmy wyruszyć na spotkanie z Maeve Reed. Pani Reed, według Jeffery'ego Maisona, nalegała, żebyśmy się spotkali po południu, nie wieczorem. Jeśli nie

uda się dzisiaj po południu, następny termin wypada jutro rano.

Kitto przytulił się do mnie, masując mi plecy i talię. To było delikatne przypomnienie, że nadal tu jest, czeka.

Drzwi nagle się otworzyły i stanął w nich Rhys. Ogarnęła mnie złość.

- Wejdz, przyłącz się do nas. - Mój głos był chłodny, odległy, zły.

Pokręcił głową.

- Zawołam Doyle'a.

- Nie - powiedziałam.

Zatrzymał się w drzwiach i w końcu popatrzył na mnie, napotkał mój wzrok.

- Wiesz, że nie zamierzam dzielić się tobą z tym... - opamiętał się, zanim powiedział „goblinem”, i dokończył niezręcznie: - ...nim.

- A jeśli ci rozkażę?

- Przyszedłem tu, żeby cię przeprosić, Merry. Gdybym zranił Kitta, mogłoby to narazić na szwank twój sojusz z goblinami. Przepraszam, poniosło mnie.

- Przyjęłabym przeprosiny, gdyby to był pierwszy taki incydent. Ale nie jest. Słowa już nie wystarczą.

- Czego ode mnie żadasz, Merry? - Znowu wydawał się zły.

- Pieść mnie, kiedy będę zaspokajać Kitta.

Pokręcił gwałtownie głową. Skrzywił się i położył dłoń na szyi. Miał na niej opatrunek, ale najwidoczniej jeszcze go bolało. Za kilka godzin jednak rana powinna być ledwie wspomnieniem.

- Złożyłem śluby, że nie pozwolę się już nigdy dotknąć żadnemu goblinowi, Merry. Wiesz o tym.

- On będzie dotykał mnie, nie ciebie.

- Nie, Merry, nie.

- A zatem pakuj manatki i wynoś się stąd.

- Jak to?

- Nie mogę ryzykować, że skrzywdzisz Kitta i zerwiesz traktat z goblinami.

- Mówiłem już, że jest mi przykro.

- Ale nie na tyle, żeby się zaprzyjaźnić z Kitem. Nie na tyle, żeby zachowywać się jak ochroniarz z prawdziwego zdarzenia, a nie jak zepsuty szczeniak.

- Czy chcesz powiedzieć, że wyrzuciłabyś mnie, przedkładając tego... goblina nade mnie?

Pokręciłam głową.

- Od trzech miesięcy moi wrogowie są wrogami goblinów. Dzięki temu jestem o wiele bardziej bezpieczna niż dzięki wam. Nikt nie chce ryzykować konfrontacji z całą armią goblinów. To, że przez swoje uprzedzenia nie widzisz, jakie to ważne, oznacza, że masz zbyt dużo wad, by być moim strażnikiem.

Przejechałam dłonią po rękę Kitta, po czym przycisnęłam jego głowę mocniej do swojego ramienia, zmuszając Rhysa, by na niego patrzył.

Nie ukrywał wściekłości.

- To oni - wskazał Kitta - uczynili mnie takim. - Zdarł opaskę z oka i wszedł do pokoju. - Oni mi to zrobili. - Wskazywał palcem Kitta, zbliżając się do nas. - On to zrobił!

Kitto uniósł głowę i powiedział:

- Nigdy cię nie skrzywdziłem.

Dłonie Rhysa trzęsły się, kiedy zaciskał je w pięści. Stanął nad nami, trzęsąc się z gniewu, ledwie się powstrzymując przed zaatakowaniem kogoś.

- Uspokój się - powiedziałam cichym, spokojnym głosem. Bałam się, że jeśli podniosę głos,

sprawokuję go. Naprawdę nie chciałam go stracić, ale nie chciałam też skrzywdzić Kitta. Usłyszałam za nami jakieś poruszenie. Rhys jednak zasłaniał mi drzwi, więc nie wiedziałam, kto to.

- Jakiś problem? - rozległ się głos Doyle'a.

- Przez Rhysa muszę odnowić moje śluby z Kitem, więc zaproponowałam mu, żeby mnie pieścił, kiedy będziemy to robić.

- Z przyjemnością cię popieszczę, księżniczko - zaoferował swe usługi Doyle.

- O tak, jesteś świetny w grze wstępnej. Nigdy jednak nie ma ciągu dalszego. Powiedzmy sobie szczerze: tylko działasz mi tym na nerwy - powiedziałam.

- Wkrótce Mróz powinien powrócić z misji, którą mu przydzieliłem. Powiedział tej gwiazdce, że musi sobie znaleźć kogoś innego do ochrony przed fanami.

- Myślałam, że pozostanie jej ochroniarzem przynajmniej do końca tygodnia.

- Po ostatniej nocy uznałem, że lepiej, jeśli będzie z nami. Wysłałem go na zwiad do domu Maeve Reed.

- Na zwiad?

- Maeve jest sidhe pochodzącą z Dworu Seelie, była boginią, ale już nie należy do żadnego dworu. Mogła poczuć, że jest poza granicami naszego prawa. Byłbym naprawdę kiepskim strażnikiem, pozwalając ci wejść do jej domu bez poczynienia przedtem pewnych przygotowań.

- Więc po prostu odwołałeś Mroza, który wykonywał zlecenie dla naszej agencji, i przydzieliłeś mu nowe zadanie, nie pytając o zgodę ani Jeremy'ego, ani mnie.

Nic nie odpowiedział.

- Potraktuję to milczenie jako „tak”. - Zmierzyłam wzrokiem Rhysa. - Odsuń się powiedziałam. - Twoje groźby nie robią na mnie wrażenia.

Rhys wyglądał na nieco zaskoczonego. Prawdopodobnie całe to przedstawienie nie było adresowane do mnie, tylko do Kitta. Chyba się udało, bo goblin był blady i wyglądał na bardzo przestraszonego.

- Na co czekasz?!

- Zrób, co księżniczka każe - powiedział Doyle. Dopiero wtedy Rhys przesunął się niechętnie na bok. Popatrzyłam na Doyle'a, który stał w drzwiach.

- Albo Rhys będzie mnie pieścił w czasie, gdy będę zaspokajała Kitta, albo spakuje swoje rzeczy i wróci do Illinois.

Doyle sprawiał wrażenie kompletnie zaskoczonego. Takiej reakcji u Ciemności Królowej nie widuje się za często. Dało mi to odrobinę satysfakcji.

- Myślałem, że jesteś zadowolona z opieki Rhysa.

- Uwielbiam się z nim kochać, ale to nieważne. Jeśli nie potrafi się kontrolować w stosunku do Kitta, to kiedyś może go skrzywdzić. Wiesz, że Kurag nie chciał zawrzeć ze mną sojuszu. Od początku usiłował się od tego wykręcić. Jeśli Kitlowi stanie się krzywda albo gorzej, zginie, król goblinów może użyć tego jako pretekstu do zerwania naszego traktatu. Pogłaskałam Kitta po twarzy, odwracając jego uwagę od Rhysa. - Czy naprawdę myślisz, że drugi goblin, którego przyśle Kurag, będzie tak miły jak Kitto? To ja tu ryzykuję, nie Rhys ani nie ty.

- To prawda, księżniczko - powiedział Doyle. - Ale jeśli odeślesz Rhysa do domu, królowa przyśle mi w zastępstwie nowego strażnika, a on może być niezbyt miły.

- Nieważne. Albo Rhys to zrobi, albo się pożegnamy. Mam już dosyć tej komedii.

Doyle westchnął ciężko.

- W takim razie zadbam o wasze bezpieczeństwo.

Rhys odwrócił się w jego stronę.

- Nie chcesz chyba, żebym to zrobił?

- Księżniczka Meredith NicEssus dała ci wyraźny rozkaz. Jeśli go nie wykonasz, poniesiesz karę.

Rhys podszedł do Doyle'a.

- Wyrzuciłbyś mnie za to? Jestem jednym z twoich najlepszych strażników.

- Nie chciałbym cię stracić - odparł Doyle - ale nie mogę się sprzeciwić woli księżniczki.

- Nie to mówiłeś ostatniej nocy - powiedział Rhys.

- Księżniczka ma rację, zagroziłeś naszemu przymierzu z goblinami. Jeśli nie potrafisz kontrolować swojego gniewu, stanowisz zagrożenie dla nas wszystkich. Powinieneś zmierzyć się ze swoim strachem.

- Ja się go nie boję - zaprotestował Rhys.

Kitto wtulił się znowu we mnie, bojąc się jego złości.

- Każda bezmyślna nienawiść wyrasta ze strachu - stwierdził Doyle. - Gobliny skrzywdziły cię dawno temu i boisz się trafić znowu w ich ręce. Możesz ich nienawidzić, jeśli chcesz, i możesz się ich bać, jeśli musisz, ale oni są naszymi sojusznikami, i tak powinieneś ich traktować.

- Nie pomogę temu... czemuś zatopić kłów w księżniczce Unseelie.

- Gdybyś się zachowywał jak należy - powiedziałam - nie musiałabym tego robić. Przez ciebie będę musiała znosić ból, więc mógłbyś przynajmniej uczynić go nieco znośniejszym.

Rhys podszedł do okna.

- Nie wiem, czy potrafię - powiedział, wpatrując się przed siebie.

- Spróbuj - odparłam. - Nie dowiesz się, dopóki nie spróbujesz. Jeśli naprawdę nie możesz tego znieść, to o tym porozmawiamy, ale najpierw musisz spróbować.

Oparł głowę o szybę. Wreszcie ją uniósł, wyprostował ramiona i odwrócił się do nas.

- Postaram się. Ale muszę mieć pewność, że nie będzie mnie dotykał.

Spojrzałam na bladą twarz i przestraszone oczy małego goblina.

- Nie sądzę, żeby Kitto chciał dotykać cię bardziej, niż ty chcesz dotykać jego.

Rhys skinął głową.

- Dobrze, zatem zrobmy to. Klienci czekają. - Uśmiechnął się. - Tajemnice do rozwiązania i źli faceci do złapania.

Odwzajemniłam uśmiech.

- No, to rozumiem.

Doyle zamknął drzwi i oparł się o nie.

- Nie będę się wtrącał, chyba że pojawi się jakieś zagrożenie.

Po raz pierwszy nie chronił mnie przed siłą zewnętrzną, ale przed jednym z moich strażników. Patrzyłam, jak Rhys idzie w kierunku Kitta i moim. Opatrunek na jego szyi był prawie tak duży jak moja dłoń. I wtedy pomyślałam, że Doyle był tu prawdopodobnie nie po to, by chronić Kitta i mnie przed Rhysem; prawdopodobnie był tu również, by chronić Rhysa przede mną.

Rozdział 5

Rhys położył płaszcz na biurku i stanął przed nami. Kitto zwinął się w kłębek, wpatrując się w niego tak, jak małe stworzenia obserwują kota: jakby uważały, że jeśli pozostaną w bezruchu, kot ich nie zauważy.

Rhys miał na sobie białą koszulę. W tej samej barwie była jego kabura na broń.

- Proszę, oddaj swój pistolet Doyle'owi.

Spojrzał na Doyle'a, który wrócił na swoje krzesło pod oknem.

- Sądzę, że denerwujesz tego małego - powiedział.

- Ach, jak mi przykro - odparł Rhys, a w jego głosie pobrzmiwał sarkazm graniczący z okrucieństwem.

Spojrzałam na niego i poczułam pierwsze oznaki mocy. Poddałam się jej. Pozwoliłam, by wypełniła moje oczy. Wiedziałam, że pojawiło się w nich migotanie kolorów i światła.

- Uważaj, bo za chwilę wyjdiesz stąd i już nie wrócisz. - Mój głos znowu był cichy i spokojny. Trzymałam magię na wodzy.

Chyba widać było, że nie żartuję, ponieważ odwrócił się bez słowa i podszedł do Doyle'a. Oddał mu pistolet i postać tam kilka chwil. Ramiona miał wyprostowane, a dłonie zaciśnięte w pięści. Sprawiał wrażenie, jakby bez broni czuł się cokolwiek niepewnie. Rozumiałabym to, gdyby groziło mu prawdziwe niebezpieczeństwo. Kitto jednak nie stanowił dla niego zagrożenia. Nie potrzebował pistoletu.

Odwrócił się w naszą stronę. Był teraz bardziej przestraszony niż wściekły. Doyle miał rację: Rhys bał się Kitta - czy też raczej goblinów. To było coś w rodzaju fobii. Fobii spowodowanej traumatycznymi przeżyciami; fobii, która może być nieuleczalna.

Zatrzymał się przed nami, mając tak żaloszny wyraz twarzy, że chciałam powiedzieć: „Nie, nie musisz tego robić”. Ale nie mogłam tego powiedzieć. On naprawdę musiał to zrobić. Jeśliby teraz tego nie zrobił, pewnego dnia mógłby stracić panowanie nad sobą i zranić albo zabić Kitta. Nie mogliśmy ryzykować zerwania sojuszu. Poza tym Kitto znajdował się pod moją opieką. Nie jestem pewna, co zrobiłabym, gdyby Rhys go zabił w chwili paniki. Nie chciałam zostać zmuszona do rozkazu zabicia kogoś, kogo znałam całe życie.

Chciałam uspokoić Rhysa, powiedzieć mu, że wszystko gra, ale równocześnie nie chciałam okazać słabości. Siedziałam więc z Kittem na kolanach i milczałam.

- Zawsze wychodziłem z pokoju, kiedy zajmowałaś się... tym czymś... nim powiedział Rhys. - Co teraz?

Nagle przestałam go żałować. Spojrzałam na Kitta.

- Proponuję ci kawałek ciała albo wodnistą krew. - Kawałek ciała w języku goblinów oznacza grę wstępną. Wodnista krew natomiast to nieznaczące uszkodzenie skóry albo nawet tylko pozostawienie siniaków. Było duże prawdopodobieństwo, że wcale nie będę potrzebowała pieścizot Rhysa. Powoli uczyłam Kitta takich rodzajów gry wstępnej, które były o wiele mniej stresujące dla wszystkich zainteresowanych.

Popatrzył w dół i wyszeptał:

- Kawałek ciała.

- W porządku - odparłam.

Rhys zmarszczył brwi.

- Co to było?

Popatrzyłam na niego.

- Zawsze trzeba uzgodnić z goblinami, dokąd można się posunąć. Jeśli się tego nie robi, może się to skończyć zranieniem.

Spojrzał na mnie ponuro.

- Tamtej nocy, kiedy straciłem oko, byłem więźniem. Nie miałem możliwości uzgadniania czegokolwiek.

Westchnęłam i pokręciłam głową. Większość sidhe wie bardzo mało o zwyczajach innych istot magicznych. To rodzaj uprzedzenia, które każe wierzyć, że nic poza kulturą sidhe nie jest warte poznania.

- Właściwie, według prawa goblinów, miałeś. Co innego, gdyby cię torturowali, choć i w czasie tortur jest czas na negocjacje. Gdy jednak w grę wchodzi seks, zawsze możesz negocjować. Taki mają zwyczaj.

Zasępił się jeszcze bardziej. Jego spojrzenie było pełne bólu. Stałam na wprost Rhysa, stawiając Kitta między nami. Przez chwilę Rhys zdawał się nie zauważać, jak blisko niego jest goblin.

- Gdy jesteś w niewoli u goblinów, zawsze możesz ustalić, co mogą, a czego nie mogą ci zrobić.

Jego dłoń uniosła się powoli do blizn, jednak powstrzymał się przed ich dotknięciem.

- To znaczy, że... - Nie dokończył.

- To znaczy, że mogłeś powstrzymać ich przed oszpecceniem cię na zawsze. - Mój głos był bardzo łagodny. Chciałam mu o tym powiedzieć od chwili, gdy kilka miesięcy temu dowiedziałam się, w jaki sposób stracił oko, jednak bałam się jego reakcji.

Odwrócił się do mnie. Na twarzy miał wyraz przerażenia. Dotknęłam jego policzków, uniosłam się na palcach i przyciągnęłam jego głowę. Złożyłam na jego ustach delikatny pocałunek, a potem przywarłam do niego całym ciałem i taki sam delikatny pocałunek złożyłam na bliźnie.

Odskoczył do tyłu, tak że straciłam równowagę. Tylko ręka Kitta obejmującego mnie w talii powstrzymała mnie przed upadkiem.

- Nie - powiedział Rhys. - Nie.

Wyciągnęłam do niego rękę.

- Chodź do mnie.

Ciągle się cofał. W końcu o mało nie wpadł na stojącego za nim Doyle'a.

- Jeśli jeszcze raz uciekniesz, będziesz musiał wrócić do Krainy Faerie - powiedział kapitan mojej straży.

Rhys spojrzał najpierw na niego, potem na mnie.

- Ja nie uciekłem, ja po prostu... nie wiedziałem...

- Większość sidhe nic nie wie o zwyczajach goblinów - powiedziałam. - Jednym z powodów, dlaczego gobliny wzbudzają powszechny strach, jest to, że nikt ich nie rozumie. Przed wiekami wygralibyśmy z nimi, gdyby ktokolwiek zadał sobie trud, żeby je poznać. I nie chodzi mi o poddawanie ich torturom. W ten sposób nie nauczymy się cudzej kultury.

Doyle położył ręce na ramionach Rhysa i zaczął prowadzić go z powrotem w naszym kierunku. Rhys już nie wyglądał na przestraszonego, raczej na zaszokowanego, zupełnie jakby zawalił mu się cały świat.

Doyle przyprowadził go do nas. Delikatnie dotknęłam jego twarzy. Rhys zamrugał, zaskoczony, jakby zapomniał, że tam jestem.

- Nie jesteś szpetny. Jesteś piękny.

Stałam na palcach, by pocałować go w bliznę. Kitto nadal obejmował mnie w talii. Teraz jego ręka została uwięziona między naszymi ciałami. Rhys nie protestował, więc pozwoliłam, by tam została. Wreszcie mogłam dokończyć to, co zaczęłam.

Wędrowałam ustami w górę jego twarzy, aż dotarłam do krawędzi blizny. Szarpnął głową i myślę, że tylko uścisk rąk Doyle'a powstrzymał go przed ponowną ucieczką. Zamknął jedyne oko jak skazaniec, który nie chce widzieć nadlatującej kuli. Przebiegłam ustami wzdłuż blizny, aż w końcu poczułam pod ustami gładką skórę. A wtedy delikatnie pocałowałam pusty oczodół.

Rhys był cały spięty, prawie się trząsał. Pocałowałam bardziej zdecydowanie zgrubiałą skórę, pozwalając moim ustom otwierać się i zamykać nad tym miejscem. Jęknął. Polizałam, bardzo delikatnie, bliznę. Z jego gardła wydobył się kolejny jęk, ale nie był to wyraz bólu.

Powoli, ostrożnie lizałam gładką skórę. Jego oddech przyspieszył. Ręce mu drżały, ale nie z gniewu. Przebiegłam ustami i językiem po bliźnie, aż nogi ugięły mu się w kolanach. Kitto złapał go w pasie. Mały człowieczek trzymał go tak, jakby nic nie ważył.

Pocałowałam Rhysa w usta. Odwzajemnił pocałunek, jakby się topił i mógł znaleźć ożywczy oddech

w moich ustach. Opadliśmy na kolana. Kitto nadal obejmował Rhysa w pasie. Rhys przycisnął mnie mocno do siebie, tak mocno, że nawet z ręką Kitta między nami wiedziałam, że jest już gotowy. Jakaś sprzączka czy pasek musiały uwierać Kitta, bo jęknął cicho. Ten odgłos otrzeźwił Rhysa. Rozejrzał się, a kiedy zobaczył, że mały goblin obejmuje go w pasie, krzyknął i odskoczył od nas. Już otwierałam usta, by powiedzieć, że Rhys zrobił wystarczająco dużo, by mnie zadowolić, gdy odezwał się Kitto.

- Ogłaszam, że zostałem zaspokojony.

Spojrzałam na niego zaskoczona.

- Jeszcze niczego nie dostałeś.

Pokręcił głową, mrugając swoimi niebieskimi oczami.

- Jestem zaspokojony. - Przez chwilę sprawiał wrażenie, jakby chciał jeszcze coś dodać, ale w końcu pokręcił tylko głową.

- Jeszcze nie dostałeś swojego kawałka ciała - zauważył Rhys.

- To prawda - przyznał goblin - ale mam prawo się go zrzec.

- Dlaczego miałbyś to robić? - zapytał Rhys.

- Merry potrzebuje swoich strażników. Nie chciałbym, żeby przeze mnie straciła jednego z nich.

Rhys wpatrzył się w niego.

- Wyrzekłeś się swojego kawałka ciała, żebym został?

Kitto zamrugał, po czym wpatrzył się w podłogę.

- Tak.

Rhys zmarszczył brwi.

- Litujesz się nade mną? - W jego głosie pojawiła się nutka gniewu.

Kitto uniósł wzrok, sprawiając wrażenie zaskoczonego.

- Niby czemu miałbym się nad tobą litować? Jesteś piękny i dzielisz z Merry łożę. Masz szansę zostać królem. Blizny, które, jak ci się wydaje, szpecą cię, są wśród goblinów oznaką wielkiej urody i nie mniejszego bohaterstwa. - Pokręcił głową. - Jesteś wojownikiem sidhe. Nie boisz się nikogo poza królową. Popatrz na mnie. - Wyciągnął przed siebie swoje małe rączki. - Jestem zupełnie pozbawiony szponów, mam niewiele kłów. Wśród goblinów znaczę niewiele więcej niż człowiek. - Po raz pierwszy w jego głosie dało się słyszeć gorycz. Gorycz, która musiała potężnieć przez lata złego traktowania, egzystowania w świecie, w którym nagradzane są siła i przemoc, przez lata bycia uwięzionym w ciele, które według standardów goblinów jest zbyt słabe. Trzymał te swoje rączki wyciągnięte w kierunku Rhysa, a na jego małej, delikatnej twarzy malował się gniew. Gniew i bezradność. Kitto bardzo dobrze wiedział, kim jest, a kim nie. Dla innych goblinów był nic nie znaczącym kawałkiem mięsa. Nic dziwnego, że chciał zostać przy mnie, nawet w tym dużym, złym mieście.

Rozdział 6

Jeśli się zapyta ludzi, zwłaszcza turystów, gdzie w południowej Kalifornii mieszkają sławni i bogaci, większość z nich odpowie, że w Beverly Hills. Ale naprawdę wielkie pieniądze znajdują się w Holmby Hills. Pieniądze, a także ziemia - skryta za wysokimi ogrodzeniami, które chronią od ciekawskich spojrzeń przejeżdżających obok szaraczków, wypatrujących sławnych i bogatych. Holmby Hills nie jest już tak modnym miejscem, jakim było niegdyś, miejscem, w którym osiedlały się młode, wschodzące gwiazdy kina, ale jedna rzecz pozostała niezmienna: aby tu zamieszkać, trzeba mieć pieniądze, mnóstwo pieniędzy. Być może właśnie dlatego świeżo odkryte sławy nie przeprowadzają się tu zbyt często; po prostu ich na to nie stać.

Maeve Reed było na to stać. Była wielką gwiazdą, ale, na szczęście dla nas, nie należała do tych najpopularniejszych dwóch procent. Gdyby była, powiedzmy, Julią Roberts, musielibyśmy unikać zarówno dziennikarzy węszących za nami, jak i tych, którzy podążają za nią. Jeden zastęp reporterów to było i tak za dużo jak na jeden dzień.

By przechytrzyć media, niekoniecznie trzeba się od razu uciekać do magii - czasami, na przykład, w zupełności wystarczy stary biały van z plamami rdzy, który większość czasu stoi na parkingu w podziemiach naszego budynku. Agencja Detektywistyczna Greya używa go w sytuacjach, gdy inny samochód za bardzo by się rzucał w oczy. Dziennikarze za każdym razem puszczają się w pogoń za nowym vanem, sądząc, że właśnie nim jedzie księżniczka i jej świta. Dzięki temu mogliśmy teraz bez przeszkód pojechać starym vanem, nawet jeśli pasował do Holmby Hills jak pięść do nosa.

Jedna z jego tylnych szyb jest zakryta kartonem. Karoseria okryta jest rdzą niczym ranami. Zarówno karton, jak dziury w karoserii pozwalają na zastosowanie kamer i innego sprzętu. Dziury w karoserii w razie czego mogą nawet służyć za otwory strzelnicze.

Prowadził Rhys. Reszta z nas siedziała z tyłu. Rhys ukrył swoje białe włosy pod czapką. Oprócz tego miał przyklejoną sztuczną brodę i wąsy. Strażnicy stali się niemal tak rozpoznawalni jak ja, więc trzeba było dobrego przebrania. A Rhys uwielbiał bawić się w detektywa.

Kitto leżał przy moich nogach na podłodze. Doyle siedział na końcu, daleko ode mnie. Mróz zajął miejsce pośrodku.

Ci dwaj mężczyźni są niemal dokładnie tego samego wzrostu. Mróz jest wyższy od Doyle'a zaledwie o kilka cali. Jego ramiona są odrobinę szersze, a ciało nieco bardziej muskularne. To nieduża różnica, trudna do wychwycenia, kiedy obaj są ubrani. Królowa Andais traktowała ich niemal tak, jakby byli dwiema stronami jednej monety. Jej Ciemność i jej Mróz. Doyle, oprócz przydomku nadanego przez królową, ma przynajmniej imię; coś, czym Mróz nie może się poszczycić. Jest po prostu Mrozem albo Zabójczym Mrozem, i tyle.

Dzisiaj miał na sobie szare spodnie, wypucowane na glanc mokasyny, białą koszulę ze stójką oraz bladoszarą marynarkę, pod którą znajdowała się kabura na broń skrywająca błyszczącą, niklowaną czterdziestkę czwórkę. Pistolet był tak duży, że ledwie mogłam go utrzymać jedną ręką, nie mówiąc już o strzelaniu.

Srebrne jak włosie anielskie włosy miał upięte w koński ogon, dzięki czemu jego twarz wydawała się silna, czysta i niemal zbyt przystojna, by móc w spokoju na nią patrzeć. Włosy opadały na oparcie siedzenia. Kilka kosmyków spadło na moje ramię, kiedy Mróz zdawał relację Doyle'owi. Dotknęłam ich. Miały metaliczny połysk, więc powinny być szorstkie w dotyku jak metal, były jednak cudownie miękkie. Nie miałabym nic przeciwko temu, by spływały po moim nagim ciele. Jakaś cząstka mnie uważa, że mężczyzna powinien mieć włosy przynajmniej do kolan. Wojownicy sidhe z dworu królewskiego mogą się właśnie takimi poszczycić.

Mróz dotknął biodrem mojego biodra, co mogło wynikać z bliskości foteli. Ale potem dotknął mnie również udem, a to już musiał uczynić z rozmysłem.

Przyłożyłam jego włosy do swojej twarzy, przez chwilę patrząc na świat przez srebrzystą koronkę. Nie uszło to uwagi Doyle'a.

- Słuchasz nas, księżniczko Meredith? - spytał.

Przestraszyłam się i pozwoliłam włosom opaść.

- Tak, oczywiście.

Wyraz jego twarzy mówił jasno, że mi nie wierzy.

- Więc powtórz, o czym mówiliśmy.

Mogłam mu powiedzieć, że jestem księżniczką i nie muszę niczego powtarzać, ale to by było

dziecinne. Poza tym naprawdę słuchałam.

- Mróz widział za murami posiadłości Maeve ludzi z Agencji Kane'a i Hearta. Najwidoczniej wykonują dla niej jakieś zadanie, które wymaga zdolności metapsychicznych.

- Agencja Kane'a i Hearta to jedyna prawdziwa konkurencja dla Agencji Detektywistycznej Greya. Kane jest jasnowidzem i ekspertem sztuk walki. Bracia Heart to najpotężniejsi ludziczarodzieje, jakich spotkałam. Do niedawna ich agencja nie miała sobie równych, jeśli chodzi o ochronę mienia i osób. Dopiero pojawienie się moich strażników zmieniło sytuację. Doyle spojrzął na mnie.

- I?

- Co „i”? - spytałam.

Mróz roześmiał się; czasami ten dźwięk mówi więcej niż słowa.

Nie musiałam pytać, wiedziałam, co go tak bawi. Bawiło go to, że jestem tak zdekoncentrowana, mając go przy sobie. Mróz jest najbardziej dekoncentrujący ze wszystkich strażników, z którymi sypiam.

Spojrzał na mnie tymi swoimi burzowo szarymi oczami, ciągle się śmiejąc. Śmiech uczynił jego twarz nieco bardziej ludzką.

Koniuszkami palców dotknęłam jego policzka. Śmiech zamarł mu na ustach.

Wpatrzyłam się w jego oczy. Nie są trójkolorowe jak moje czy Rhysa, a jednolicie szare, chociaż, rzecz jasna, nie jest to zwykła szarość. Mają barwę chmur w deszczowy dzień, która zmienia się w zależności od nastroju Mroza. Były szare niczym pierś gołębia, kiedy pochylił głowę, by mnie pocałować.

Z wrażenia nie mogłam oddychać. Złożył delikatny pocałunek, który wstrząsnął moim ciałem. Spojrzeliśmy sobie w oczy i nagle już wiedziałam. Sypialiśmy ze sobą od trzech miesięcy. Stał na straży mojego bezpieczeństwa. Wprowadziłam go w XXI wiek. Obserwowałam, jak na nowo uczy się śmiać i uśmiechać. Łączyły nas setki intymnych chwil, dziesiątki dowcipów i tysiące nowych odkryć, a mimo to żadna z tych rzeczy nie wystarczała, bym to wiedziała. Trzeba było dopiero tego jednego spojrzenia, trzeba było tego jednego delikatnego pocałunku, bym przejrzała na oczy. Kochałam go, a sądząc z zaskoczenia, które malowało się na jego twarzy, on odwzajemniał to uczucie.

Głos Doyle'a przywrócił nas do rzeczywistości.

- Nie usłyszałaś jednego, Meredith. A mianowicie tego, że posiadłość Maeve Reed jest skryta za osłoną. Za osłoną, którą nasza złota bogini tworzyła przez ostatnie czterdzieści lat.

Spojrzałam na Mroza, usiłując przestawić się na słuchanie Doyle'a i rozumienie tego, co mówi. Słyszałam go, ale nie byłam pewna, czy docierają do mnie jego słowa.

Gdybym była sama z Mrozem, mogliśmy porozmawiać o tym, co nas łączy, ale nie byliśmy sami i tak naprawdę to, że byliśmy zakochani, niewiele zmieniało. To znaczy, zmieniało wszystko i nic. Miłość do kogoś na pewno cię zmienia, ale trzeba pamiętać o tym, że członkowie rodów królewskich rzadko biorą ślub z miłości. Zawieramy małżeństwa dla scementowania sojuszków, uniknięcia wojen lub zawarcia nowych sojuszków. Sidhe zawierają małżeństwa dla potomstwa. Sypiałam z Rhysem, Niccką i Mrozem od ponad trzech miesięcy, i nie byłam w ciąży. Jeżeli nie doczekam się dziecka, nie będę mogła żadnego z nich poślubić. Minęły jednak dopiero trzy miesiące. Zwykle poczęcie dziecka zajmuje sidhe rok albo i dłużej. Nie martwiłam się - aż do tej chwili. A i teraz nie tyle martwiłam się tym, że nie jestem w ciąży, ile tym, że mogę przez to utracić Mroza. Nagle zdałam sobie sprawę, że nie wolno mi tak myśleć.

Musiałam oddać ciało mężczyźnie, którego nasienie uczyni mnie brzemienną. Mogłam kochać innego, ale moje ciało nie mogłoby do niego należeć. Musiałam do tego dążyć za wszelką cenę. Gdyby Cel

został królem, stałby się panem życia i śmierci wszystkich sidhe. Z pewnością zabiłby mnie i każdego, kogo uważałby za zagrożenie. Mróz i Doyle z pewnością by nie przeżyli. Co do Rhysa i Nicki, nie byłam pewna. Cel chyba nie obawiał się ich mocy, mógł więc pozostawić ich przy życiu. Choć wcale nie musiał.

Odsunęłam się od Mroza, kręcąc głową.

- Co się stało, Meredith? - spytał. Chwycił moją rękę, kiedy ją zabierałam z jego twarzy. Trzymał moją dłoń w swojej, ściskając ją prawie do bólu, jakby widział niektóre z moich myśli.

Skoro nie mogłam mówić innym o miłości, to oczywiście tym bardziej nie mogłam im mówić o cenie bycia księżniczką. Musiałam zająć się ciężką. Musiałam zostać następną królową Dworu Unseelie, inaczej wszyscy zginiemy.

- Księżniczko - powiedział cicho Doyle. Spojrzałam na niego. Wyraz jego oczu mówił mi, że myśli o tym samym co ja. Co oznaczało również, że zdaje sobie sprawę z tego, co czuję do Mroza. Nie podobało mi się, że jest to tak widoczne. Miłość podobnie jak ból jest zbyt intymną rzeczą, by się nią ze wszystkimi dzielić. No, chyba że się tego chce.

- Tak? - spytałam ochryplym głosem.

- Osłony takiej mocy uniemożliwiają wykrycie magii wewnątrz posiadłości. Nie wiemy, jakie niespodzianki mogą nas spotkać w środku. - Jego głos wciąż był cichy i łagodny. Gdyby to był ktoś inny, mogłabym pomyśleć, że z litości.

- Czyżbyś uważał, że nie powinniśmy tam wchodzić? - spytałam. Wyswobodziłam rękę z uścisku Mroza.

- Nie, choć muszę przyznać, że jej pragnienie spotkania się z tobą, z nami wszystkimi, jest dosyć intrygujące.

Van zatrzymał się pod bramą. Rhys odwrócił się do nas.

- Głosuję za tym, żebyśmy wracali. Jeśli król Taranis dowie się, że z nią rozmawialiśmy, wpadnie we wściekłość. Czy coś jest warte takiego ryzyka?

- Przyczyny jej wygnania są wielką zagadką - powiedział Doyle.

- To prawda - przyznał Mróz. Osunął się w fotelu, z nieobecny wzrokiem, jakby zamykał się przede mną. Poruszyłam się, a on nawet nie zareagował.

- Plotka głosi, że miała być następną królową Seelie.

Odsunął nogę, tworząc fizyczny dystans między nami. Obserwowałam, jak jego twarz robi się zimna, twarda i arogancka - stara maska, którą przez lata nosił na Dworze Unseelie. Nie mogłam tego znieść. Ujęłam jego dłoń. Zmarszczył brwi, patrząc na mnie ze zdziwieniem. Zaczęłam całować kostki jego palców, aż wreszcie jego oddech stał się płytki. Miałam łzy w oczach. Z wielkim trudem udało mi się nie rozplakać.

Mróz znowu się uśmiechnął, wyraźnie uszczęśliwiony. Cieszyło mnie to. Powinno się zawsze dążyć do tego, by ludzie, których się kocha, byli szczęśliwi. Rhys tylko na nas popatrzył. Zachował nieprzenikniony wyraz twarzy. Ostatniej nocy była jego kolej, ta miała należeć do Mroza. Rhys nie robił z tego problemu.

- Czy to, dlaczego została wygnana, ma jakieś znaczenie? - spytał.

- Nie wiadomo - odparł Doyle. - Nie dowiemy się, dopóki nie zapytamy.

Spojrzałam na niego ze zdziwieniem.

- Chcesz otwarcie zapytać o coś tak osobistego?

Pokręcił głową.

- Nie ja, a ty. Jesteś częściowo człowiekiem. Możesz pytać o to, o co my nie możemy.

- Dobre maniery nie pozwalają mi na zadawanie tak osobistych pytań zaprotekowałam.

- My wiemy, że masz dobre maniery. Maeve Reed nie musi o tym wiedzieć.

Wpatrzyłam się w niego. Palce Mroza ocierały się o kostki mojej dłoni.

- Twoim zdaniem powinnam udawać głupszą, niż jestem?

- Moim zdaniem powinniśmy wykorzystać każdą broń, jaką mamy w arsenale. Twoja mieszana krew może okazać się dzisiaj zaletą.

- To byłoby prawie kłamstwo - zauważyłam.

- Prawie - powtórzył z naciskiem i uśmiechnął się cierpko. - Sidhe nigdy nie kłamia, ale zaciemnianie prawdy od dawna jest naszą ulubioną rozrywką.

- Zdaję sobie z tego sprawę - przyznałam. W moim głosie było tyle sarkazmu, że mógłby on wypełnić cały samochód.

Doyle błysnął zębami w uśmiechu.

- Jak my wszyscy, księżniczko, jak my wszyscy.

- Nie sądzę, żeby warto było aż tak ryzykować - orzekł Rhys.

Pokręciłam głową.

- Już to przerabialiśmy. Ja uważam, że warto. - Spojrzałam na Mroza. - A ty? Odwrócił się do Doyle'a.

- A co ty o tym sądzisz? - spytał. - Wolałbym nie narażać księżniczki na niebezpieczeństwo, ale potrzebujemy sprzymierzeńców, a sidhe wygnana z Krainy Faerie wiele zaryzykuje, żeby do niej wrócić.

- Sugerujesz, że Maeve chce pomóc Meredith zostać królową - ni to spytał, ni to stwierdził Doyle.

- Jeśli Meredith zostanie królową, może zaproponować Maeve powrót do Krainy Faerie. Nie sądzę, żeby Taranis ryzykował otwartą wojnę z powodu jednego ułaskawionego wygnańca.

- Naprawdę uważasz, że członek rodu królewskiego Dworu Seelie może pragnąć zaproszenia na Dwór Unseelie? - spytałam.

Mróz popatrzył na mnie.

- Jakikolwiek uprzedzenia Maeve wobec Unseelie nie mają już znaczenia, bo od stuleci jest pozbawiona kontaktu z innymi sidhe. - Uniósł moje dłonie do swoich ust i pocałował koniuszki palców, owiewając każdy z nich swoim oddechem, zanim go dotknął ustami. Dreszcz przeszył całe moje ciało. - Wiem, co to znaczy pragnąć dotyku sidhe i być go pozbawionym - powiedział. - Ja przynajmniej żyłem cały czas w otoczeniu innych sidhe. Nie potrafię sobie wyobrazić, jak bardzo samotna musiała być przez te wszystkie lata. - Ostatnie zdanie wyszeptał. Jego oczy były teraz szare szarością ciemnej chmury deszczowej.

Wiele mnie to kosztowało, ale udało mi się przenieść wzrok z niego na Doyle'a.

- Sądzisz, że Mróz ma rację? Sądzisz, że ona szuka sposobu, by powrócić do Krainy Faerie?

Wzruszył ramionami.

- Wiem jedno: ja po stu latach izolacji z pewnością bym to robił.

Skinęłam głową.

- A więc dobrze, podjęliśmy decyzję. Wchodzimy do środka.

- Wcale nie - zaprotestował Rhys. - Ja składam weto.

- Proszę bardzo, i tak jesteś przegłosowany.

- Ale przynajmniej będę mógł później powiedzieć: „A nie mówiłem?”

Skinęłam głową.

- Pod warunkiem, że w ogóle zdążysz cokolwiek powiedzieć.

- W takim razie będę nawiedzał cię we śnie.

- Jeśli jest tam coś, co ma moc cię zabić, to ja umrę na długo przed tobą.

Łypnął na mnie okiem.

- To dosyć wątpliwe pocieszenie, Merry, naprawdę. - Ale odwrócił się do wielkiej bramy, wychylił przez okno i nacisnął interkom, by oznajmić nasze przybycie. Chociaż mogłam się założyć, że było to zbyt czułe. Maeve miała czterdzieści lat, by tę ziemię obłożyć zaklęciami. Conchem, bogini piękna i wiosny, z pewnością wiedziała, że tu jesteśmy.

Rozdział 7

Ethan Kane nie był taki wysoki, na jakiego wyglądał. Wzrostem był właściwie zbliżony do Rhysa, ale zawsze wyglądał na większego, jakby zabierał więcej miejsca. Był krótkowłosym brunetem. Nosił okulary bez oprawek, które były prawie niewidoczne na jego twarzy. Ethan mógłby się podobać. Miał szerokie ramiona i kwadratową szczękę z dziurką w brodzie, piwne oczy i długie rzęsy. Chodził w ubraniach szytych na miarę, więc wyglądem nie odbiegał od gwiazd, dla których zwykle pracował. Wszystko przemawiało za tym, że powinien mieć powodzenie. Czemu więc go nie miał? Z powodu usposobienia. Zdawał się ciągle z czegoś niezadowolony; kwaśny uśmiech, który miał przyklejony do twarzy, kradł cały jego urok.

Stał przed nami ze splecionymi rękami i szeroko rozstawionymi nogami, mierząc nas wzrokiem. Znajdowaliśmy się u stóp marmurowych schodów, które wiodły do drzwi frontowych rezydencji Maeve Reed. Ludzie Ethana stali między białymi kolumnkami, które podtrzymywały dach wąskiego ganku. Był wielki i imponujący, ale próżno by na nim szukać miejsca, gdzie można by postawić krzesła i stolik, by napić się mrożonej herbaty w gorące, letnie wieczory. Ten ganek miano podziwiać, a nie z niego korzystać.

Oprócz Ethana na ganku stało jeszcze czterech ludzi. Jednego z nich znałam. Max Corbin miał około pięćdziesiątki. Był ochroniarzem w Hollywood przez większość swego dorosłego życia. Do sześciu stóp wzrostu brakowało mu cala. Był kanciasty jak skrzynia: wszystko było w nim niezgrabne, kwadratowe, łącznie z wielkimi sękatymi dłońmi. Siwe włosy miał ostrzyżone na jeża, która to fryzura prezentowała się całkiem stylowo, szkopał w tym, że nie zmieniał jej od czterdziestu lat. Jego nos był już tyle razy złamany, że stał się krzywy i odrobinę spłaszczony. Max pewnie mógłby sprzedać swój drogi garnitur i zafundować sobie operację plastyczną, ale był przekonany, że dzięki temu nosowi wygląda jak twardziel. I wyglądał.

- Cześć, Max - powiedziałam.

Skinał głową.

- Witam, panno Gentry. Czy powinienem mówić: księżniczko Meredith?

- Wystarczy: panno Gentry.

Uśmiechnął się przelotnie, bo zaraz potem odezwał się Ethan, a wtedy spojrzenie Maxa momentalnie zmieniło się w puste spojrzenie ochroniarza. To spojrzenie mówi: „Nic nie widzimy i niczego nie będziemy pamiętać”. A zarazem: „Widzimy wszystko i zareagujemy w mgnieniu oka, jeśli zajdzie potrzeba. Twoje tajemnice są z nami bezpieczne, podobnie jak i ty. W Hollywood nie pracują ochroniarze, którzy mają za długie języki”.

- Co tu robisz, Meredith? - spytał Ethan.

Nie znaliśmy się na tyle, by mówić sobie po imieniu, ale nie protestowałam, ponieważ ja też zamierzałam się tak do niego zwracać.

- Przybyliśmy tu na zaproszenie pani Reed. A dlaczego ty tutaj jesteś?

Popatrzył na mnie, mrugając. Słabiutkie napięcie ramion sygnalizowało, że albo coś go niepokoi, albo uwiera go kabura na broń ukryta pod marynarką.

- Jesteśmy ochroniarzami pani Reed.

Skinałam głową i uśmiechnęłam się.

- Domyśliłam się. Chyba długo nie miałaś zleceń, co?

- Dlaczego tak sądzisz?

Uśmiechnęłam się szerzej.

- Bo większość twoich ludzi jest tutaj.

Spojrzał na mnie z wściekłością.

- Mam o wiele więcej pracowników, Meredith, dobrze o tym wiesz. - Wypowiedział moje imię, jakby to było przekleństwo.

Skinęłam głową. Faktycznie, wiedziałam.

- Czy istnieje jakiś powód, dla którego nas tutaj przetrzymujesz? Pani Reed bardzo zależało na tym, żebyśmy się z nią spotkali jeszcze za dnia. - Spojrzałam na słońce skrywające się za rząd eukaliptusów. - Jest już późne popołudnie. Zaraz zapadnie noc. - To była gruba przesada, do końca dnia zostało jeszcze dużo czasu, ale byłam już zmęczona tym stanem przed wejściem i czekaniem nie wiadomo na co.

- Powiedz, z czym przychodzisz, to może cię wpuścimy - zgodził się łaskawie Ethan.

Westchnęłam. Miałam już tego dosyć. Chciałam odejść w jakieś ustronne miejsce i pomyśleć. Za mną stali Mróz i Doyle, niemal oko w oko z ochroniarzami na ganku. Rhys stał naprzeciw Maxa, uśmiechając się do niego. Obaj byli wielkimi fanami Humphreya Bogarta. Pracując kiedyś nad jakąś sprawą, spędzili długie popołudnie, wymieniając się ciekawostkami dotyczącymi filmu *noir*. Od tamtej pory są przyjaciółmi.

Kitto nie stał na wprost ostatniego ochroniarza, a zaraz za mną, prawie się chowając. Wyglądał, jakby był z innej bajki, w krótkich szortach, bezrękawniku i dziecięcych butach Nike. Miał na nosie czarne okulary przeciwsłoneczne i gdyby nie to, mógłby uchodzić za czyjegoś siostrzeńca, jednego z tych, co to się zwykle w końcu okazują nie siostrzeńcami, a kochankami. Kitto miał wygląd ofiary. Nie mam pojęcia, jak zdołał tyle czasu przetrwać pomiędzy goblinami.

Popatrzyłam na ochroniarzy, po czym przeniosłam wzrok na Ethana stojącego na ganku niczym nieco wyższa wersja Napoleona i pokręciłam głową.

- Założę się, że chcesz wiedzieć, dlaczego pani Reed nas wezwała, skoro już wynajęła was, prawda? Pewnie zastanawiasz się, czy mamy was zastąpić?

Zaczął protestować.

- Proszę, daruj sobie. - Nie dopuściłam go do głosu. - Pani Reed nie powiedziała wyraźnie, dlaczego zależy jej na naszej obecności, ale chciała mówić ze mną, a nie z moimi strażnikami, więc sądzę, że jesteście bezpieczni. Najwyraźniej nie szuka nowych ochroniarzy.

Zmarszczył brwi.

- Nie jesteśmy tylko ochroniarzami, Meredith. Jesteśmy również detektywami. Do czego możesz być jej potrzebna?

Niedopowiedziana część zdania: „skoro ma nas” zawisła między nami w powietrzu. Wzruszyłam ramionami.

- Nie wiem, naprawdę nie wiem. Ale jeśli nas wpuścisz, wszyscy się tego dowiemy.

Spojrzał na mnie ze zdziwieniem.

- To niemal... miło z twojej strony. - Potem zrobił podejrzliwą minę, jakby się zastanawiał, co ja właściwie kombinuję.

- Potrafię być miła, jeśli tylko ktoś da mi szansę.

- A jak miła? - spytał Max tak cicho, że Ethan nie mógł go usłyszeć.

- Naprawdę bardzo miła - odparł Rhys, również półgłosem.

Roześmiali się obaj, jakby prowadzili jedną z tych męskich pogawędek, w których kobiety nie mogą

uczestniczyć, za to zawsze są ich tematem.

- Co was tak śmieszy? - spytał Ethan ostrym głosem.

Max pokręcił głową, jakby nie ufał sobie na tyle, by mówić.

- Tak tylko sobie gadamy, panie Kane - odparł Rhys.

- Nie płacą nam za gadanie, tylko za czuwanie nad bezpieczeństwem naszych klientów. - Spojrzał na nas. - Bylibyśmy kiepskimi ochroniarzami, gdybyśmy wpuścili was do domu, zwłaszcza uzbrojonych. Pokręciłam głową.

- Wiesz, że Doyle nie puści mnie nigdzie bez strażników, tak samo jak nie dopuści do tego, żebyś ich rozbroił.

Uśmiechnął się nieprzyjemnie.

- A więc nie wejdziecie.

Stojąc na twardym podjeździe na trójcalowych obcasach, w słońcu, które zaczynało tworzyć kropelki potu na mojej skórze, miałam już serdecznie tego wszystkiego dosyć. I wtedy zrobiłam coś prawdopodobnie najbardziej nieprofesjonalnego w całej swojej karierze prywatnego detektywa. Zaczęłam wrzeszczeć na cały głos.

- Maeve Reed! Maeve Reed! Wyjdiesz na dwór?! To ja, księżniczka Meredith! - I powtórzyłam: - Maeve Reed, Maeve Reed, wyjdiesz na dwór?!

Ethan kilka razy usiłował mnie uciszyć, ale lata publicznych wystąpień wyćwiczyły mi głos - byłam głośniejsza od niego. Żaden z jego ludzi nie wiedział, jak się w tej sytuacji zachować. Nie robiłam nikomu krzywdy, tylko wrzeszczałam. Po pięciu minutach w drzwiach pojawiła się młoda kobieta. To była Marie, asystentka pani Reed. „Czy zechcielibyśmy wejść?” „Tak, zechcielibyśmy”. Następne dziesięć minut zajęło nam przechodzenie przez próg, bo Ethan chciał nam odebrać broń. Dopiero, kiedy Marie ostrzegła go, że pani Reed go zwolni, dał za wygraną.

Max i Rhys tak się śmiali, że musieliśmy ich zostawić na zewnątrz. Przynajmniej oni dobrze się bawili.

Rozdział 8

Salon Maeve Reed był większy od całego mojego mieszkania. Chodnik w kolorze złamanej bieli pokrywał niczym waniliowe morze schody wiodące do położonego na niższym poziomie ogromnego pokoju, w którym sam kominek był tak duży, że można byłoby w nim upiec małego słonia. Półka nad kominkiem zajmowała większość ozdobionej sztukaterią ściany, której surową biel przerywały gdzieniegdzie czerwone i jasnobrązowe cegły. Przed kominkiem stała olbrzymia biała sofa, na której mogło się pomieścić ze dwadzieścia osób. Leżały na niej jasnobrązowe, złote i białe poduszki. Obok niej znajdował się jasny drewniany stół otoczony białymi krzesłami oraz mniejszy stolik z szachownicą z wielkimi figurami. Lampa podłogowa w stylu Tiffany wysyłała kolorowe refleksy na białe ściany oraz obraz wiszący przy kominku. Naprzeciwko wejścia, na podwyższeniu, stały kolejne białe krzesła oraz duża biała choinka, która powinna ożywiać pokój, ale tego nie robiła. To drzewko było po prostu kolejną pozbawioną życia dekoracją. Na odsuniętym pod ścianę stole stały wysokie dzbanki, w których znajdowało się coś, co wyglądało na herbatę mrożoną i lemoniadę. Na ścianach było jeszcze kilka innych obrazów, w większości dopasowanych do kolorów lampy. Ten pokój był bez wątpienia dziełem dekoratora wnętrz, lecz nie mówił nic o Maeve Reed, z wyjątkiem tego, że ma pieniądze i zleciła komuś urządzenie domu. To przemyślane do ostatniego szczegółu wnętrze nie było właściwie prawdziwym pokojem. Było tylko dekoracją.

Marie była wysoką, szczupłą dwudziestokilkuletnią kobietą, ubraną w lśniące perłowobiałe spodnium, które nie pasowało do jej oliwkowej cery i krótkich czarnych włosów. W butach na wysokim obcasie miała odrobinę ponad sześć stóp wzrostu.

- Pani Reed niebawem do nas dołączy. Czy ktoś życzy sobie coś do picia? - Uczyniła gest w kierunku stołu.

Nie miałabym nic przeciwko temu, by się czegoś napić, ale jest zasada, że nie przyjmuje się jedzenia ani picia od innej istoty magicznej, dopóki nie ma się pewności, że nic z jej strony ci nie grozi. Chodzi nie tyle o trucizny, ile o zaklęcia.

- Dziękuję... Marie, tak? Nie trzeba.

Uśmiechnęła się i skinęła głową.

- A więc proszę spocząć. Rozgośćcie się państwo, a ja powiem pani Reed, że już jesteście. - Skierowała się w stronę odległego wyjścia, które prowadziło do białego korytarza ginącego gdzieś w czeluściach domu.

Zmierzyłam wzrokiem Ethana i jego dwóch ochroniarzy. Jednego ze swoich ludzi pozostawił na zewnątrz z Maxem i Rhysem. Im Marie nie zaproponowała nic do picia. W końcu nie częstuje się ludzi, których się wynajęło. A skoro nas częstowano, to najwyraźniej nie zostaliśmy tu ściągnięci po to, by pracować dla Maeve. Czyżby naprawdę chciała tylko zobaczyć się z Sidhe z dworu królewskiego? Ryzykowałyby tak wiele dla ucięcia sobie pogawędki? Wydawało mi się to mało prawdopodobne, ale widziałam już Sidhe robiące większe głupstwa z błahszych powodów.

Poszłam w kierunku dużej sofy. Kitto podążył za mną jak cień. Spojrzałam za siebie.

- Chodźcie, chłopcy, siądźmy tu wszyscy i udawajmy, że się lubimy. - Usiadłam na brzeжку sofy, po czym poprawiłam złote i jasnobrązowe poduszki i wygładziłam spódnicę.

Kitto przycupnął u moich stóp, chociaż jedna bogini wie, że miejsca na sofie starczyłoby dla wszystkich. Nie kazałam mu wstać, ponieważ widziałam, że jest zdenerwowany. Ten duży biały salon zdawał się pogłębiać jego agorafobię. Siedział przy moich nogach, przytulony do jednej z nich jak do pluszowego misia.

Mężczyźni nadal stali, mierzając się nawzajem wzrokiem.

- Panowie - powiedziałam - usiądźmy wszyscy.

- Dobry ochroniarz nie odpoczywa w pracy - odparł Ethan.

- Wiesz, że nie jesteśmy zagrożeniem dla pani Reed. Nie wiem, przed kim masz ją chronić, ale na pewno nie przed nami.

- Dla prasy twoi strażnicy mogą być bohaterami, ale ja wiem, kim są w rzeczywistości.

- Niby kim? - Niski głos Doyle'a zadudnił w pokoju.

Ethan aż podskoczył.

Musiałam odwrócić głowę, by ukryć uśmiech.

- Unsseelie - wysyczał Ethan.

Odwróciłam się do nich. Doyle stał naprzeciwko niego, tyłem do mnie. Nie potrafiłam orzec, o czym myślał i prawdopodobnie nie umiałabym tego zrobić, nawet gdybym widziała jego twarz. Doyle jak nikt inny potrafi sprawić, że jego twarz nie wyraża żadnych emocji. Mróz stał naprzeciwko drugiego ochroniarza, z arogancką miną, którą znałam dobrze z Dworu Unseelie. Ręce Ethana drżały. Wpatrywał się w Doyle'a z nienawiścią.

- Wiesz co, Ethanie? Ty jesteś po prostu zazdrosny o to, że wielkie gwiazdy wolą wojowników Sidhe zamiast ciebie.

- Zaczarowaliście je - powiedział.

Uniosłam ze zdziwieniem brwi.

- Ja osobiście?

Wskazał niepewnie dwóch wojowników. Myślę, że ten gest byłby dużo pewniejszy, gdyby Ethan nie obawiał się reakcji Doyle'a.

- Oni.

- Ethanie, Ethanie - rozległ się męski głos. - Już ci mówiłem, że to nieprawda.

To był jeden z braci Heart. Zszedł po schodkach i ruszył w moją stronę. Po chwili rozpoznałam w nim Juliana. Jordon i Julian byli bliźniakami. Mieli brązowe włosy przystrzyżone bardzo krótko po bokach i odrobinę dłuższe na górze, tak że za pomocą żelu mogliby układać je w czuby, po sześć stóp wzrostu i byli tak przystojni, że mogliby pracować jako modele, czym się zresztą zajmowali, kiedy mieli po dwadzieścia lat, by uzbierać pieniądze na założenie agencji detektywistycznej. Julian miał na sobie atlasową bordową marynarkę oraz spodnie w bordowo-brązowe prążki. Stroju dopełniały lśniące czarne mokasyny, które nosił bez skarpet, tak że można było ujrzeć przeblęski opalonych stóp, kiedy szedł przez pokój. Oczy miał ukryte za okularami z żółtymi szklami, które, gdyby je nosił ktoś inny, kłóciłyby się z resztą stroju, ale na Julianie wyglądały w sam raz.

Zacząłam podnosić się, by go przywitać, ale powiedział:

- Nie, nie, moja piękna Merry, nie wstawaj, podejdę do ciebie.

Obszedł sofę, zerkając na czterech mężczyzn stojących nadal za nią.

- Ethan, kochanie, tyle razy ci powtarzałem, że wojownicy sidhe nie robią tego specjalnie. Są po prostu bardziej egzotyczni i piękniejsi od naszych ochroniarzy.

Wziął moją dłoń i ucałował ją nonszalancko, po czym usiadł obok i objął mnie ramieniem, tak że wyglądaliśmy jak para.

- Wiesz, jakie jest Hollywood, Ethanie. Każda gwiazda ochraniana przez wojownika ma zapewnioną bezpłatną reklamę. Myślę, że niektóre z nich wymyślają zagrożenie, byle tylko być przez nich chronione.

- To się zgadza z moimi obserwacjami - przyznał Mróz. Bezimienny ochroniarz stojący naprzeciw niego cofnął się, najwyraźniej przestraszony jego głosem. Ciekawe, co Ethan opowiadał innym o Unseelie?

- Kto nie chciałby spędzić czasu w twoim towarzystwie, Mrozie? - powiedział Julian.

Mróz tylko na niego spojrzał. Jego szare oczy były bardzo spokojne.

Julian roześmiał się i objął mnie mocniej ramieniem.

- Jesteś największą szczęściarą, jaką znam, Merry. Na pewno nie chcesz się nimi podzielić?

- A co u Adama?

- Och, Adam jest cudowny. - Znów się roześmiał. Adam Kane był starszym bratem Ethana, a zarazem kochankiem Juliana. Byli parą co najmniej od pięciu lat. Nadal zachowywali się jak młode małżeństwo.

Julian machnął ręką.

- Chodźcie, panowie, usiądźcie z nami.

Odwróciłam się. Żaden się nie poruszył.

- Doyle i Mróz nie ruszą się, dopóki Ethan i człowiek, który stoi naprzeciwko Mroza, tego nie zrobią.

Julian odwrócił się, by na nich spojrzeć.

- Pozwól, że przedstawię ci Franka - powiedział. - To nasz najnowszy nabytek. Wskazał ręką młodego, wysokiego mężczyznę, który nie wyglądał na Franka, a raczej na Cody'ego albo Josha.

- Miło mi cię poznać, Frank - powiedziałam.

Frank spojrzał na mnie, a potem przeniósł wzrok na wciąż zagniewanego Ethana. W końcu nieznacznie skinął głową. Sprawiał wrażenie, jakby nie był pewien, czy okazanie nam przyjaznych uczuć nie zmniejszy jego szans na dalsze zatrudnienie.

- Ethanie - powiedział Julian - na ostatnim zebraniu zarządu rozmawialiśmy o twoich zarzutach pod adresem wojowników sidhe. Uznaliśmy je za bezpodstawne. - Jego głos był teraz niski, poważny i

pełen czegoś bardzo podobnego do groźby.

Zastanawiałam się, co to za groźba. Ethan Kane był jednym z właścicieli firmy. Czy można wyrzucić jednego z właścicieli?

- Ethanie - powiedział Julian - siadaj, proszę. - W jego głosie zabrzmiała nutka rozkazu, której jeszcze u niego nie słyszałam. Przez chwilę zastanawiałam się, czy nie pomyliłam bliźniaków. Taki ton bardziej pasował do Jordona, który był agresywniejszy od swego brata, wiecznie dowcipkującego dyplomaty. Przyjrzałam się mu. Nie, dołek w kąciku ust odrobinę głębszy, policzki mniej wydatne. To był Julian. Co się ostatnio wydarzyło w tej firmie, że jego głos nabrał takiej twardości?

Cokolwiek to było, wystarczyło, bo Ethan zszedł po schodkach do salonu. Frank podążył za nim. Doyle i Mróz obserwowali ich przez chwilę, po czym udali się w ich ślady. Frank usiadł ostrożnie, jakby nie był pewien, czy mu wolno, z dala od Ethana, by mu nie przeszkadzać.

Doyle usiadł przy mnie.

- Meredith musi się skupić - mruknął do Mroza, jakby tłumacząc się, dlaczego nie wpuścił go na to miejsce. Nagle uderzyło mnie to, że nazwał mnie Meredith. Zwykle byłam dla niego „księżniczką” albo „księżniczką Meredith”, chociaż na początku, kiedy po raz pierwszy przybył do LA, zwracał się do mnie po imieniu. Zaczął zachowywać dystans słowny mniej więcej w tym samym czasie, kiedy oddalił się ode mnie fizycznie.

Mróz był wyraźnie niezadowolony z takiego rozkładu miejsc, ale wątpię, by ktokolwiek poza mną i Doyle'em zwrócił na to uwagę. Sztwywność jego ramion mówiła wiele, pod warunkiem że umiało się ją odpowiednio odczytać. Wiele czasu spędziłam, ucząc się języka jego ciała. Doyle z kolei znał wszystkich swoich ludzi jak mało który dobry dowódca.

Julian siedział o wiele bliżej mnie niż kapitan mojej straży. Przesunął teraz rękę, którą mnie obejmował, na oparcie sofy, tak że mógł dotknąć dłonią pleców Doyle'a.

Wiedziałam, że Julian kocha Adama, ale wiedziałam również, że nie do końca żartował, gdy pytał, czy nie chcę się podzielić swoimi strażnikami. Być może on i Adam żyli w otwartym związku, a może to towarzystwo sidhe tak wpływa na ludzi. Może.

Julian siedział teraz bardziej sztywno, jakby był skupiony na tym, by nie ruszać za bardzo dłonią. Doyle znosił kontakt fizyczny, ale nie w nadmiarze. Unikał w równym stopniu kontaktów z mężczyznami, jak i z kobietami. Tysiąc lat celibatu zmusiło go, podobnie jak wielu innych strażników, do ustalenia restrykcyjnych zasad dotyczących dotykania. Jeśli nie można czegoś zakończyć, nawet mała pieszczota zamienia się w torturę. Rhys, podobnie jak Galen, kierował się zawsze inną zasadą: lepszy rydz niż nic.

Ethan spojrział na dwóch strażników i spochmurniał jeszcze bardziej. Przeniósł wzrok na Kitta i na jego twarzy ukazał się wyraz obrzydzenia.

- O co ci chodzi? - spytałam.

Zamrugał i utkwiał we mnie swój wzrok.

- Po prostu nie lubię potworów, nieważne jak ładne by były.

Julian zdjął rękę z oparcia i usiadł prosto, patrząc na swoich ludzi.

- Czy mam odesłać was do domu?

- Nie jesteś moim ojcem.. ani bratem. - To ostatnie słowo zostało wypowiedziane z dużym zabarwieniem emocjonalnym. Czyżby Ethan nie akceptował związku Juliana ze swoim bratem?

- Wydaje mi się, że nie powinniśmy omawiać naszych prywatnych spraw przy obcych

- nawet jeśli ci obcy są tak czarujący jak Merry. Jeśli nie jesteś w stanie sprostać zadaniu, które powierzyła nam pani Reed, powiedz to otwarcie, a zadzwonię do Adama. Jemu obecność Meredith z

pewnością nie będzie przeszkadzać.

- Jemu wiele rzeczy nie przeszkadza - powiedział Ethan, piorunując Juliana wzrokiem.

- Zadzwoń do Adama i powiem mu, żeby przyjechał cię zastąpić. - Julian wyjął mały telefon komórkowy z wewnętrznej kieszeni marynarki.

- To ja dowodzę tą operacją, Julianie. Ty tu jesteś tylko na wypadek, gdybyśmy potrzebowali wsparcia magicznego.

Julian westchnął, wpatrując się w telefon.

- Skoro ty tu dowodzisz, to zachowuj się tak, jak na dowódcę przystało. W tej chwili tylko ośmieszasz się w obecności tych dobrych ludzi.

- Ludzi? - Ethan zerwał się na równe nogi. - To nie są ludzie. To są... nieludzie.

- No, jeśli naprawdę tak pan myśli, panie Kane, być może pomyliłam się, zatrudniając pańską agencję

- dobiegł nas czysty, dźwięczny głos.

- W wejściu do salonu, na skraju waniliowego przestworu chodnika stała Maeve Reed. Nie wyglądała na zadowoloną.

Rozdział 9

Maeve Reed używała magii, by upodobnić się jak najbardziej do człowieka. Była wysoka i szczupła. Miała na sobie jasno-brązowe spodnie i kremowo-złotą bluzkę z długimi rękawami, która odsłaniała górę jej małych, jędrnych piersi. Była zbudowana jak modelka, tyle tylko, że nie musiała się głodzić ani ćwiczyć, by tak wyglądać.

Na głowie miała wąską brązową opaskę. Blond włosy sięgały jej do pasa. Była opalona na złocisty kolor - w końcu nieśmiertelni nie muszą się obawiać raka skóry. Miała tak delikatny makijaż, że początkowo myślałam, że w ogóle go nie ma. Jej oczy lśniły błękitem.

Była piękna, ale ludzkim pięknem. Ukrywała się przed nami. Być może z przyzwyczajenia, a może miała inne powody.

Julian wstał, witając ją, zanim podeszła do sofy. Wyszeptał coś, pewnie przeproszał za Ethana i jego niefortunne komentarze na temat „nieludzi”.

Pokręciła głową, potrząsając maleńkimi złotymi kolczykami.

- Jeśli naprawdę tak myśli, to lepiej, żeby pracował gdzie indziej.

Ethan również podniósł się z sofy.

- Nie chodziło mi o panią, panno Reed. Pani przecież należy do Dworu Seelie. Co innego oni. - Pokazał nas ręką. - To potwory rodem z koszmarów. Nie powinni być w ogóle wpuszczeni do tego domu. Stanowią zagrożenie dla pani i dla wszystkiego wokół.

- Ile spraw przez nas tracisz? - spytałam i z jakiegoś powodu mój głos spowodował, że nagle zapadła cisza.

Ethan odwrócił się w moją stronę, prawdopodobnie po to, by znowu powiedzieć coś niefortunnego. Julian chwycił go za rękę. Ten uścisk wyglądał na mocny. Ethan skrzywił się z bólu i przez chwilę myślałam, że staniemy się świadkami bójki.

- Po prostu stąd wyjdź - powiedział Julian, zniżając głos.

Ethan wyszarpnął się z jego uścisku. Ukłonił się sztywno pani Reed.

- Pójdę. Ale chcę, żeby pani zrozumiała, że Seelie są dla mnie kimś innym niż Unseelie.

- Nie postawiłam stopy na Dworze Seelie od przeszło stulecia, panie Kane. Nie będę już nigdy jego członkiem.

Ethan zmarszczył brwi. Pewnie miał nadzieję, że Maeve Reed przyzna mu rację. Tymczasem srogo się zawiódł. Zwykle był ponury i nieprzyjemny, ale nie do tego stopnia. Chyba naprawdę tracili przez nas dużo spraw.

Ethan wybąkał jeszcze jakieś przeprosiny, po czym wyszedł, trzaskając drzwiami.

- Często się tak zachowuje? - spytałam.

Julian wzruszył ramionami.

- Ethan nie przepada za bardzo za ludźmi.

- Julianie, czuję się strasznie zaniedbana - powiedziała Maeve.

Zerknęłam na jej uśmiechniętą, piękną twarz. Wyglądała szczerze, nawet jej błękitne oczy błyszczały siłą tej szczerości. Trochę za mocno usiłowała wydawać się czarująca i podobna do człowieka. Byłoby jej o wiele łatwiej być czarującą, gdyby zrzuciła osłonę.

Julian popatrzył na mnie, po czym odwrócił się z uśmiechem do Maeve Reed.

On również stosował coś w rodzaju zaklęcia. Miał po prostu urok osobisty. To mogła być świadoma magia, ale wątpiałam w to. Ludzie przeważnie nie panują nad swoim czarem.

Obserwując ich, nagle zrozumiałam, że ten czar nie jest przeznaczony dla nas. Obejrzałam się za siebie na Franka. Wpatrywał się w Maeve, jakby nigdy przedtem nie widział kobiety, w każdym razie takiej kobiety. Przedstawienie, którego byliśmy świadkami, nie było przeznaczone dla nas, a dla ochroniarzy.

- Panno Reed - rozpływał się nad nią tymczasem Julian - nigdy bym pani nie zaniedbał, skąd to przypuszczenie. Jest pani nie tylko naszym klientem, ale jednym z najcenniejszych obiektów, o pilnowanie którego zostaliśmy poproszeni. Oddalibyśmy za panią życie. Cóż więcej mogą zrobić mężczyźni, kiedy wielbią kobiety?

Myślałam, że Maeve uzna to za grubą przesadę, ale nie znałam jej przecież. Może lubiła takie przesadne komplementy.

Oblała się rumieńcem. Wiedziałam, że jest on dziełem magii. Czułam ją w powietrzu. Czasem najprostsze zmiany fizyczne zabierają najwięcej magii. Wzięła Juliana pod rękę i zniżyła głos tak, że nie usłyszeliśmy, co mówi. Owszem, mogliśmy podsłuchać, ale byłoby to niegrzeczne i prawdopodobnie by to wyczuła. Nie chcieliśmy denerwować bogini, przynajmniej jeszcze nie teraz. Odwrócili się do nas, uśmiechnięci i czarujący, ona mocno ścisnęła jego ramię. Odniosłam wrażenie, że Julian usiłuje mi przekazać jakąś wiadomość, ale nie mogłam jej odczytać przez żółte szkła jego okularów.

- Panna Reed przekonała mnie, żebym pozostał przy jej boku na czas trwania waszej wizyty.

Wreszcie zrozumiałam. Maeve Reed wynajęła Kane'a i Hearta, by chronili ją przed nami. Tak bardzo obawiała się sidhe z Dworu Unseelie, że nie chciała pozostać z nimi sama. Mimo że jej dom aż buzował od magii, ciągle się nas bała. Wydawać by się mogło, że nie jesteśmy tak przesądni, zwłaszcza w stosunku do innych sidhe, ale jednak jesteśmy. Mój ojciec uważał, że bierze się to z braku znajomości innych kultur poza tą, w której się urodziłam. Ignorancja rodzi strach.

W murach domu Maeve było tyle magii, że niedługo po wejściu do niego, przestałam ją wyczuwać. Była to umiejętność, którą się nabywa, jeśli się spędza dużo czasu w miejscach wypełnionych złą magią. Trzeba stłumić jej dotyk, inaczej cały czas odczuwać się będzie jej obecność, a to stępia zmysły i jest niebezpieczne. To tak, jakby się próbowało słuchać stu rozgłośni radiowych naraz. W efekcie nie słyszy się nic.

Popatrzyłam na uśmiechniętą twarz Maeve Reed i pokręciłam głową. Odwróciłam się, by spojrzeć na Doyle'a. Próbowałam zapytać go oczami, jak daleko mogę się posunąć.

Nieznacznie skinął głową. Czy chciał przez to powiedzieć, że mogę się posunąć tak daleko, jak tylko zechcę? Miałam nadzieję, że o to właśnie mu chodziło, bo zamierzałam dziś przynajmniej kilka razy śmiertelnie znieważać złotą boginię Hollywood.

Rozdział 10

Wstałam z sofy, by się przywitać. Kitto chciał pójść ze mną. Musiałam zmusić go do pozostania przy kanapie. Inaczej cały czas byłby przy mojej nodze jak wierny szczeniak.

Uśmiechnęłam się do Maeve i Juliana.

- Nie potrafię wyrazić, jaki to zaszczyt panią poznać. - Wyciągnęłam rękę.

Podawała mi tylko czubki palców; było to nie tyle uściśnięcie dłoni, co muśnięcie. Widziałam wiele kobiet, które nie potrafiły porządnie podać ręki, ale Maeve Reed nawet specjalnie nie próbowała. Być może miałam ująć jej dłoń i uklęknąć, może liczyła na to, że złożę jej hołd. Jeśli tak, to się przeliczyła. Mam tylko jedną królową i jednego króla. Maeve Reed być może jest królową Hollywood, ale to nie to samo.

Popatrzyłam na nią i zafrasowałam się. Nie potrafiłam jej przejrzeć. Niedobrze.

- Naprawdę wynajęła pani Kane'a i Hearta, żeby chronili panią przed nami?

Maeve zwróciła ku mnie swoją piękną twarz, patrząc na mnie niedowierzająco: oczy szeroko otwarte, pięknie umalowane usta uformowane jak do wymówienia głoski „o”. Wyglądała, jakby pozowała do zdjęcia. Był to wyraz twarzy obliczony na zdobycie widowni i szefów wielkich wytwórni.

- Wystarczyłoby zwykłe tak albo nie, pani Reed.

- Proszę mi wybaczyć - powiedziała przeprasającym tonem. Siła, z jaką ścisnęła ramię Juliana, zadawała jednak kłam jej niewinnej minie.

- Czy wynajęła pani Kane'a i Hearta do ochrony przed nami? - ponowiłam pytanie.

Roześmiała się. Ten śmiech magazyn „People” nazwał kiedyś śmiechem wartym pięć milionów dolarów.

- Skąd ten pomysł? Zapewniam panią, panno Gentry, że się pani nie boję.

Uniknęła bezpośredniej odpowiedzi. Nie obawiała się mnie; to akurat musiała być prawda, ponieważ my, sidhe, nie możemy kłamać wprost. Gdyby Doyle nie zasugerował mi w vanie, bym była niegrzeczna, dałabym sobie spokój, ponieważ drażnienie tego tematu dalej byłoby wręcz obraźliwe - na dworze królewskim z błaższych powodów dochodziło do pojedynków. Ale znajomości etykiety można było oczekiwać tylko od tych sidhe, które wychowały się na dworze. Liczyliśmy na to, że Maeve Reed zakłada, iż wychowałam się wśród dzikusów - Unseelie i ludzi.

- A więc obawia się pani moich strażników? - spytałam.

Śmiech nadal rozjaśniał jej twarz, a oczy błyszczały, kiedy spojrzała na mnie.

- Kto pani podszeptał taki absurdalny pomysł?

- Pani.

Pokręciła głową, poruszając peleryną włosów. Śmiech nadal opromieniał jej twarz, a oczy były odrobinę bardziej błękitne. Nagle zdałam sobie sprawę, że to nie był blask spowodowany śmiechem, ale bardzo subtelny urok. Ona robiła to celowo! Usiłowała za pomocą magii przekonać mnie, że mówi prawdę.

Zmarszczyłam brwi, ponieważ nic nie wyczułam. Zwykle kiedy ktoś używa magii, wiem o tym.

Spojrzałam za siebie na strażników. Nie mogłam jednak nic wyczytać z ich spojrzeń ani wyrazów twarzy. Kitto nadal stał przy sofie, tam gdzie go zostawiłam. Trzymał się kurczowo oparcia, jakby dotykanie czegokolwiek było lepsze niż niedotykanie niczego.

Zastanawiałam, czy wyczuwał rzeczy, których ja nie mogłam. Jestem tylko po części sidhe; zawsze wydaje mi się, że coś przez to tracę. Ale również zyskuję - na przykład mogę używać magii w otoczeniu metalu. Najwidoczniej każdemu zyskowi musi towarzyszyć jakaś strata.

- Pani Reed, zapytam jeszcze raz: czy wynajęła pani Kane'a i Hearta do ochrony przed moimi strażnikami?

- Powiedziała tylko Julianowi i jego ludziom, że mam nadgorliwych fanów.

Nie zawracałam sobie głowy spojrzeniem na Juliana w celu potwierdzenia jej słów.

- Wierzę, że tak właśnie powiedziała pani Julianowi. A teraz proszę mi zdradzić, jaki jest prawdziwy powód ich wynajęcia.

Spojrzała na mnie z udawanym przerażeniem. Może zresztą było ono prawdziwe? Potem przeniosła wzrok na Mrożę i Doyle'a i spytała:

- Nie nauczyliście jej żadnych manier?

- Ma takie maniery, jakich potrzebuje - odparł Doyle.

Coś mignęło w oczach Maeve, strach, jak sądzę. Odwróciła się z powrotem do mnie i zobaczyłam, że na samym dnie tych delikatnie błyszczących, błękitnych oczu pozostaje blask. Bała się. Bardzo się bała. Ale czego?

- Czy naprawdę wynajęłaś Juliana i jego ludzi z powodu jakichś nadgorliwych fanów?

- Przestań - wyszeptała.

- Naprawdę wierzysz, że cię skrzywdzimy? - spytałam.

- Nie - odparła szybko.

- Więc dlaczego się nas obawiasz?

- Czemu mi to robisz? - spytała i w jej głosie był smutek dziewczyny, która przyłapała kochanka na wiarołomstwie.

Ścisnęło mnie w gardle. Julian wyglądał na dotkniętego.

- Wystarczy już tych pytań, Meredith.

Pokręciłam głową.

- Nie, nie wystarczy. - Popatrzyłam w jej pełne bólu niebieskie oczy i dorzuciłam: Nie musisz się przed nami ukrywać.

- Nie wiem, o czym mówisz.

- Tu już jest prawie kłamstwo - powiedziałam cicho.

Jej oczy nagle zaczęły przypominać błękitny kryształ i zdałam sobie sprawę, że wypełniły się łzami. Potem te łzy spłynęły powoli po jej złocistych policzkach, a kiedy spadły, jej oczy zmieniły się. Nadal były błękitne, ale miały trzy odcienie.

Jej tęczówka na obrzeżach miała odcień jasnoszafirowy, w środku - miedziany, a przy samej źrenicy - złoty. Ale tym, co wyróżniało jej oczy nawet między sidhe, było to, że tęczówkę przecinała oprócz tego miedzianozłota smuga.

Jej oczy były jak burzowe błękitne niebo rozcięte kolorową błyskawicą.

Przez czterdzieści lat była gwiazdą kina i żadna kamera nie widziała nigdy tych oczu. Jej prawdziwych oczu. Jestem pewna, że jakiś agent albo szef wytwórni przekonał ją dawno temu, by ukryła najmniej ludzkie z cech. Ukrywałam, kim jestem i jak wyglądam tylko przez trzy lata, a i to zabiło jakąś część mnie. Maeve Reed robiła to od dziesięcioleci.

Miała oczy odwrócone od Juliana, jakby go nie chciała widzieć. Zdjęłam jej dłoń z jego ramienia; próbowała się opierać, więc nie próbowałam jej ciągnąć. Tylko utrzymywałam lekki nacisk na jej nadgarstek, aż uniosła rękę z własnej woli. Wtedy wzięłam jej dłoń w swoją, przytulając ją. Uklękałam na wprost niej i uniosłam jej dłoń do swoich ust. Złożyłam najłżejszy z pocałunków na tej złocistej dłoni i powiedziałam:

- Masz najpiękniejsze oczy, jakie kiedykolwiek widziałam.

Stała nieruchomo, spoglądając na mnie, a po jej policzkach spływały łzy. Powoli zdjęła osłonę. Opalenizna zbladła, włosy zbladły, aż stały się niemal całkowicie białe. Trzymałam obie jej dłonie w swoich. Nagle pokój wypełnił się kolorami i słodkim zapachem kwiatów, które rosły tysiące mil

od tego pustynnego miejsca. Ścisnęła moje dłonie, jakbym była jej jedynym ratunkiem, jakby bała się, że zginie, jeśli ją puszcze.

Odrzuciła głowę do tyłu i jej złoty blask wypełnił pokój, tak że miałam wrażenie, jakby wzeszło przede mną małe słońce. Płakała i trzymała moje dłonie tak mocno, że aż bolało. Nagle odkryłam, że również płaczę i że jej blask wywołał mój własny, tak że moja skóra wygląda jak wypełniona światłem księżycy.

Uklękła przy mnie, patrząc z zachwytem na moje dłonie. Zaczęła się śmiać radośnie, nieco histerycznie.

- A ja... myślałam, że to mężczyźni... są dla mnie zagrożeniem - wyszeptała pomiędzy wybuchami śmiechu.

Nagle przytuliła się do mnie i przycisnęła usta do moich. Byłam tak zaskoczona, że po prostu na chwilę zamarłam. Co bym zrobiła, gdyby dała mi pomyśleć, nie wiem, ponieważ odskoczyła ode mnie i wybiegła z pokoju tą samą drogą, którą przyszła.

Rozdział 11

Julian wyszedł za Maeve. Młody ochroniarz Frank wyglądał na zaszokowanego. Wątpię, czy kiedykolwiek widział sidhe w jej pełnej mocy.

Nadal klęczałam. Blask zaczynał już blednąć na mojej skórze, kiedy Doyle stanął przy mnie.

- Wszystko w porządku, księżniczko?

Popatrzyłam na niego i zdałam sobie sprawę z tego, że sama również muszę wyglądać na zaszokowaną. Czułam gorąco na ustach w miejscu, gdzie jej wargi dotknęły moich. Czułam się tak, jakbym pociągnęła łyk wiosennego blasku słońca.

- Księżniczko?

Skinęłam głową.

- Nic mi nie jest. - Ale mój głos brzmiał ochryple i musiałam odchrząknąć, zanim powiedziałam: - Ja po prostu nigdy... - Spróbowałam ująć to w słowa. - Ona... smakowała jak promień słońca. Aż do tej chwili nie wiedziałam, że słońce ma smak.

Doyle ukląkł przy mnie i powiedział łagodnie:

- Dotyk tych, którzy władają mocami żywiołów, zawsze jest trudny do zniesienia.

Spojrzałam na niego, marszcząc brwi.

- Powiedziała, że myślała, że to mężczyźni są dla niej zagrożeniem. Co to znaczy?

- Pomyśl o tym, jak wielką czułaś samotność przez te ledwie kilka lat... i powiększ to do stulecia.

Otworzyłam szeroko oczy.

- Uważasz, że ją pociągam? - Pokręciłam głową, zanim mógł cokolwiek powiedzieć. Pociąga ją pierwszy sidhe, którego dotknęła od stu lat.

- Myślę, że nie doceniasz siebie. Inna sprawa, że nigdy nie słyszałem, by Conchenn pociągały kobiety, więc możliwe, że masz rację.

Westchnęłam.

- Nie mogę jej obwiniać. - I wtedy przyszła mi do głowy kolejna myśl. - Nie sądzisz, że ona zaprosiła nas tutaj, żeby zapytać mnie, czy podzielę się z nią jednym z was?

Ciemne brwi Doyle'a uniosły się ponad oprawki okularów.

- Nie pomyślałem o tym. - Zastanowił się nad tym, co powiedziałam. - Przypuszczam, że to jest możliwe. - Zmarszczył brwi. - Ale poproszenie o coś takiego byłoby szczytem niegrzeczności. Nie jesteśmy jedynie twoimi kochankami, ale też potencjalnymi mężami. To co innego.

- Jak sam powiedziałeś, jest sama od stulecia. Przez sto lat każdy by zapomniał o zasadach dobrego wychowania.

Za nami coś się poruszyło; odwróciliśmy się i ujrzelśmy Rhysa.

- Co wy tu robicie?

- O co ci chodzi? - spytałam.

Wskazał mnie i Doyle'a. Na mojej skórze nadal był nikły blask, jak wspomnienie światła księżyca. Pozwoliłam, by Doyle pomógł mi wstać; miałam kłopoty z utrzymaniem równowagi. Nigdy jeszcze nie byłam tak roztrzęsiona po dotyku sidhe.

W końcu udało mi się wydobyć z siebie głos.

- Maeve Reed zrzuciła osłonę.

Rhys otworzył szerzej oko.

- Poczulem coś na dworze. Czy chcesz powiedzieć, że wszystko, co zrobiła, to zrzuciła osłonę?

Skinęłam głowę.

Gwizdnął po cichu.

- O bogini!

- W tym cały szkopuł - powiedział Doyle.

Rhys spojrzał na niego.

- O czym ty mówisz?

- Wszystkim nam kiedyś oddawano cześć, ale dla większości z nas to zamierzchła przeszłość. Dla Conchenn to mniej niż trzysta lat. Kiedy poproszono nas o odejście z Europy, wciąż jeszcze była przedmiotem kultu.

- Twierdzisz, że ma więcej energii, ponieważ jeszcze do niedawna oddawano jej cześć? - spytał Rhys.

- Może nie energii - powiedział Doyle - ale...

- Ikry - zasugerowałam.

- Nie znam tego wyrażenia - stwierdził.

- No, wiesz... więcej... siły... - Zamachałam bezradnie rękami. - Rhys na pewno wie, o czym mówię.

Wszedł do salonu.

- Tak, wiem o czym mówisz. Ona ma więcej mocy.

Doyle w końcu skinął głową.

- O, właśnie.

Podszedł do nas Mróz. Doyle spojrzał na niego zza ciemnych okularów.

- Chciałbym jeszcze coś dodać, kapitanie - zaczął niepewnie.

Zmierzyli się spojrzeniami.

- O co ci chodzi? - spytałam Doyle'a. - Jeśli Mróz ma coś do dodania, pozwól mu mówić.

Mróz nadal patrzył na Doyle'a, jakby czekał. W końcu Doyle skinął głową. Mróz uklonił się.

- Oglądałem filmy w telewizorze Meredith. Widziałem, jak ludzie reagują na gwiazdy filmu. Ich uwielbienie jest rodzajem kultu.

Spojrzelśmy na niego.

- Jeśli ktoś mógłby udowodnić, że jest czczona... - wyszeptał Rhys.

Doyle dokończył za niego tę myśl.

- Wówczas wszyscy zostalibyśmy wygnani z tego kraju. Jedyna rzecz, której nam zabroniono, to pozwalać, by oddawano nam boską cześć.

Pokręciłam głowę.

- Ona nie uczyniła z siebie obiektu kultu. Ona tylko usiłowała zarobić na życie.

Przez kilka chwil zastanawiali się nad moimi słowami. W końcu Doyle skinął głową.

- Księżniczka ma rację, to nie jest zabronione.

- Nie sądzę, żeby Maeve Reed usiłowała obejść prawo - powiedziałam.

Pokręcił głową.

- Wcale tak nie twierdzę, ale bez względu na jej zamiary, przez ostatnie czterdzieści lat czerpała zyski z tego, że ludzie ją czcili. Gwiazda filmowa, która jest człowiekiem, nie potrafi wykorzystywać tej mocy, ale Maeve jest sidhe i dobrze wie, jak tego dokonać.

- Co powiesz w takim razie o europejskich modelkach i aktorkach, które mają w sobie krew sidhe? - spytałam. - Czy nawet o rodzinach królewskich w Europie? Swego czasu sidhe musieli się wżenić we wszystkie królewskie domy Europy dla scementowania ostatniego wielkiego sojuszu. Czy oni wszyscy czerpią siłę ze swych wielbicieli?

- Nie mnie o tym sądzić - powiedział Doyle.

- Spróbuję zgadnąć - zaofiarował się Rhys.

Doyle popatrzył na niego gniewnie.

- Nie płacą nam za zgadywanie.

Rhys uśmiechnął się za sztuczną brodą.

- Zrobię to gratis. Możesz więc pomyśleć o tym jako o dodatkowej korzyści płynącej z wynajęcia mnie.

Doyle opuścił okulary, tak że Rhys mógł zobaczyć jego oczy.

- Fiu, fiu... - powiedział. Potem, śmiejąc się, dodał: - Założę się, że każdy, kto ma odpowiednio dużą domieszkę krwi sidhe, może czerpać moc z tego całego ludzkiego uwielbienia. Być może nie każdy jest tego świadomy, ale jak inaczej wyjaśnić fakt, że te rodziny królewskie, w których żyłach płynie dużo krwi sidhe, mają się dobrze, podczas gdy te, które przyjęły w swe szeregi sidhe tylko raz, traktując je jak zło konieczne, już dawno wymarły?

Do salonu powrócił Julian.

- Pani Reed prosi, żeby to spotkanie kontynuować przy basenie, jeśli to nikomu nie przeszkadza.

- Nie widzę problemu, żeby przenieść się na dwór w tak piękny dzień - powiedziałam.

- Ani ja - dodał Doyle.

Inni też się zgodzili - wszyscy, z wyjątkiem Kitta. Nadal tulił się do sofy. Wreszcie musiałam do niego podejść i wziąć go za rękę.

- Tam będzie bardzo przestronnie i jasno, prawda? - wyszeptał.

Kitto spędził stulecia w ciemnych, ciasnych tunelach kopca goblinów. Zawsze się zastanawiałam, dlaczego w starych opowieściach gobliny walczą pod gołym niebem. Jeśli wszystkie były tak wrażliwe jak Kitto, prawdopodobnie nie były w stanie zbyt długo wytrzymać na otwartej przestrzeni. A może to tylko Kitto taki był? Nie powinnam uogólniać, znając bliżej tylko jednego goblina.

Wzięłam go za rękę i poprowadziłam jak dziecko.

- Możesz zostać przy mnie. Jeśli będziesz miał dosyć, Mróz zabierze cię z powrotem do vana.

- Jakiś problem? - spytał Julian.

- Ma agorafobię.

- To niedobrze - zafrasował się. - Basen jest bardzo duży i leży na otwartej przestrzeni.

- Jeśli chce pozostać w LA, będzie się musiał przyzwyczaić - powiedziałam.

Julian skinął głową.

- Jak chcesz, w końcu to twój pracownik.

Właściwie Kitto nie był moim pracownikiem. Nie pracował dla agencji. Po prostu nie pasował do takiej pracy. Nie byłam pewna, do jakiej pasował, ale z pewnością nie do pracy ochroniarza ani detektywa. Nie wyprowadziłam jednak Juliana z błędu.

- Jesteś pewna? - spytał.

Chwyciłam mocniej dłoń Kitta.

- Jestem.

- A więc proszę za mną, księżniczko, panowie. - Ruszył korytarzem, którym uciekła Maeve, a my podążyliśmy za nim. Doyle nalegał, by to on szedł pierwszy, a Mróz ostatni. Ja szłam pośrodku z Rhyssem po jednej i Kitem po drugiej stronie. Rhys wziął mnie za drugą rękę i próbował nakłonić, byśmy przebiegli przez korytarz w podskokach, śpiewając:

- Idziemy do czarnoksiężnika, czarnoksiężnika z Oz.

Rozdział 12

Julian prowadził nas z jednego pomieszczenia do drugiego, aż w końcu zatrzymaliśmy się nad basenem. Był błękitny i odbijał światło jak lustro. Maeve siedziała w cieniu dużego parasola. Była ciasno owinięta białym, jedwabnym płaszczem kąpielowym. Błysnęła złotobiałym bikini, po czym poprawiła płaszcz tak, że było widać tylko jej wypielęgnowane stopy. Paliła papierosa za papierosem. Julian miał za zadanie zapalać jej papierosy złotą zapalniczką z małej tacy, na której leżała papierośnica. Chociaż na jego barkach spoczywało też o wiele cięższe zadanie: uspokoić ją.

Znów ukryła się za osłoną. Nadal była piękna, ale znowu wyglądała jak Maeve Reed gwiazda filmowa, mimo że w bardzo zestresowanym wydaniu. Niepokój wprost z niej promieniował.

Inni ochroniarze, w tym Frank i Max, stali dookoła basenu i patrzyli na nas groźnie. Niektóre spojrzenia zdawały się skierowane na nas, ale nie braliśmy tego osobiście, a przynajmniej ja nie. Cokolwiek czuli moi ludzie, zachowywali to dla siebie.

Maeve nalegała, żebyśmy usiedli w pełnym słońcu. Nie byłam pewna dlaczego, ale mogłam się domyślić. Powiada się, że członkowie Dworu Unseelie nie znoszą światła słonecznego. Niektórzy z nas faktycznie za nim nie przepadają, ale akurat żadna z osób z mojego towarzystwa nie miała z tym problemu. Oczy Kitta były wrażliwe na światło, ale mógł je znieść w ciemnych okularach.

Przeszedł ją dreszcz i owinięła jeszcze szczelniej swoje piękne ciało płaszczem. W czasie gdy zajmowaliśmy miejsca, przerzuciła się z papierosów na szkocką.

Julian usiadł na krzeselku obok leżaka. Uparła się, by był blisko niej. Reszta ochroniarzy Kane'a i Hearta stała za nią niczym damy dworu; umięśnione, uzbrojone po zęby damy dworu.

Maeve uparła się, bym również wyciągnęła się na leżaku. Moja spódniczka była trochę za krótka, ale jakoś sobie poradziłam. Musiałam tylko uważać, by nie pokazać bielizny. Gdyby byli tam tylko inni sidhe, nie zawracałabym sobie tym głowy, ale kiedy wokół jest więcej ludzi niż sidhe, trzeba się postarać, by nie łamać ludzkich norm zachowania. Poza tym kiedyś odkryłam, że jeśli pozwoli się obcym mężczyznom patrzeć na swoją bieliznę, mogą to opatrzenie zrozumieć. Na sidhe aż tak bardzo to nie działa.

Doyle i Mróz stanęli za moimi plecami jak na dobrych ochroniarzy przystało. Rhys poszedł w towarzystwie Marie, asystentki Maeve, do budynku, by zdjąć swoje przebranie. Maeve była zdziwiona tym, że użył przebrania zamiast osłony, by umknąć uwadze prasy. Albo jej urok był lepszy od naszego, albo reporterzy po prostu nie zauważali w niej nikogo poza Maeve Reed, gwiazdą filmową.

Kitto usiadł przy mnie na krześle, chociaż robił wszystko, co było w jego mocy, by przycupnąć na oparciu mojego leżaka. Julian starał się utrzymać dystans między sobą a Maeve; Kitto chciał stale dotykać jakiejś części mojego ciała.

Z budynku przy basenie wyszła starsza, mniej więcej sześćdziesięcioletnia, kobieta w stroju pokojówki. Zaproponowała nam drinki, ale odmówiliśmy. Maeve dalej popijała szkocką. Na początku miała w szklance lód, ale kiedy stopniał, nie dorzuciła nowych kostek. Mimo że zdążyła przy nas osuszyć piątą szklaneczkę, w jej zachowaniu nie było widać żadnej zmiany. Sidhe mają

mocniejsze głowy niż ludzie, jednak piąta szkocka to piąta szkocka. Miałam nadzieję, że wypije na tyle dużo, by uspokoić nerwy, i na tym poprzestanie. Tak się jednak nie stało.

- Proszę rum z colą - powiedziała do służącej. - A ty, Meredith, na co masz ochotę?

- Dziękuję, ale na nic - odparłam.

- Wiem, że twoi i moi ludzie są w pracy, więc nie powinni pić. Ale ty i ja możemy sobie pozwolić na odrobinę czegoś mocniejszego.

- Dziękuję, nie.

Delikatna zmarszczka pojawiła się między jej doskonałymi brwiami.

- Naprawdę nie cierpię pić sama.

- Nie przepadam ani za szkocką, ani za rumem.

- Mamy dużą piwnicę z winami. Jestem pewna, że udałoby się w niej znaleźć coś, co odpowiada twojemu gustowi. - Uśmiechnęła się, nie tym olśniewającym uśmiechem, którym nas przywitała, ale szczerze. Był to dobry znak, pokręciłam jednak głową.

- Przykro mi, Maeve, ale naprawdę nie piję o tak wczesnej porze.

- Wczesnej? - powtórzyła, marszcząc doskonale wyskubane brwi. - Kochanie, w LA nigdy nie jest za wcześnie na picie.

Uśmiechnęłam się, po czym nieznacznie wzruszyłam ramionami.

- Dziękuję, ale naprawdę nie chcę.

Po raz kolejny zmarszczyła brwi i skinęła na służącą, która odeszła w kierunku budynku.

- Naprawdę nie cierpię pić sama - powtórzyła.

- Jestem pewna, że jest tu gdzieś twój mąż.

- Poznasz Gordona potem, gdy już skończymy omawianie naszych spraw.

- A co to za sprawy? - spytałam.

- Wolałabym o tym nie mówić przy świadkach.

Pokręciłam głową.

- Już raz to przerabialiśmy - z człowiekiem, którego przysłałaś do naszego biura. Tam gdzie ja, tam moi strażnicy. - Spojrzałam wymownie na jej ochroniarzy. - Jestem pewna, że to rozumiesz.

Skinęła głową.

- Oczywiście, że rozumiem, ale czy mogliby usiąść trochę dalej, żebyśmy mogły sobie w spokoju uciąć... babską pogawędkę?

Zdziwiłam się, ale nie dałam tego po sobie poznać. Spojrzałam na Doyle'a i Mroza.

- Co wy na to, chłopcy?

- Myślę, że moglibyśmy usiąść przy tamtym stole w cieniu, kiedy ty i pani Reed będziecie sobie ucinąć tę waszą... babską pogawędkę. - W głosie Doyle'a słychać było niedowierzanie.

Ukryłam uśmiech, odwracając głowę do Kitta. Nie wyglądało na to, by chciał się skryć w cieniu parasola. Nawet nie pytałam.

- Doyle i Mróz usiądą przy stole, ale Kitto musi zostać przy mnie.

Maeve pokręciła głową.

- Wykluczone.

Wzruszyłam ramionami.

- Nie licz na nic więcej.

Przekrzywiła głowę na bok.

- Jesteś bardzo obcesowa jak na księżniczkę sidhe.

Zwalczyłam pragnienie, by odwrócić się do Doyle'a.

- Mogłabym powiedzieć, że dorastałam poza dworem, między ludźmi.

- Mogłabyś, ale nie sądzę, żebym ci uwierzyła. - Jej głos był bardzo cichy, prawie gniewny. - Nikt, kto wychowywał się wśród ludzi, nie mógłby mieć takiej mocy. - Wstrząsnął nią dreszcz, owinęła się mocniej płaszczem. Było osiemdziesiąt stopni Fahrenheita, a słońce było ciepłe i przyjemne. Jeśli czuła zimno, nie był to ten rodzaj chłodu, który można odegnąć za pomocą płaszcza.

Ukloniłam się nieznacznie.

- Dziękuję.

Potrząsnęła głową.

- Nie dziękuj mi. Ja ci nie podziękuję za to, co mi zrobiłaś.

Chciałam jej powiedzieć, że to był wypadek, ale się rozmyśliłam. Maeve ewidentnie użyła magii, by mnie przekonać, że mówi prawdę. Dla szlachetnie urodzonej sidhe była to śmiertelna zniewaga. Okazywała w ten sposób, że uważa mnie za kogoś gorszego.

Patrzyła na mnie z ciekawością. Zdałam sobie sprawę, że za długo milczę. Zdołałam się uśmiechnąć.

- Twoje odejście z dworu jest zagadką dla wszystkich sidhe.

- Ja nie odeszłam, Meredith, ja zostałam wygnana.

W końcu usłyszałam to, co chciałam usłyszeć.

- Na dworze Seelie straszy się twoim losem młode sidhe. Mówi się: „Jeśli nie zadowolisz króla, skończysz jak Conchem”.

- Wierzą w to, że wygnano mnie za to, że nie zadowoliłam króla?

- Tak twierdzi król, kiedy się go przycisnie.

Roześmiała się szyderczo.

- Czy nikomu nie przyszło do głowy spytać, dlaczego w takim razie poniosłam tak srogą karę?

Skinęłam głową.

- Niektórzy kwestionowali surowość tej kary. Na dworze miałaś wielu przyjaciół.

- Miałam sojuszników. Tak naprawdę nikt tam nie ma przyjaciół.

Musiałam się z nią zgodzić.

- Niech będzie, miałaś tam wielu sojuszników. Jak już wspominałam, kwestionowali oni surowość tej kary.

- No i? - Odrobinę za dużo przejęcia było w tych słowach. Odniosłam wrażenie, że naprawdę chce wiedzieć. Chciałam powiedzieć: „Ty odpowiesz na moje pytania, a ja na twoje”, ale to by było odrobinę za prostackie. Subtelność, tego potrzebowała. Nie miałam do tego wrodzonych predyspozycji, ale się nauczyłam. W końcu.

- Zostałam pobita za to, że zapytałam o ciebie - powiedziałam.

Zamrugnęła powiekami.

- Co takiego?

- Jako dziecko zapytałam, dlaczego zostałam wygnana. Król mnie za to pobił.

Wyglądała na zaskoczoną.

- Nikt wcześniej nie pytał?

- Pytali - odparłam.

Zrobiła błagalną minę, ale nie dokończyłam tej myśli. Uważałam, by nie przejęła kontroli nad rozmową, ponieważ chciałam się dowiedzieć, dlaczego została wygnana. Jeśli utrzymywała milczenie przez sto lat, to trudno mi było uwierzyć, że łatwo się wygada.

- Do czasu, kiedy pojawiłam się na dworze, nikt już nie pytał.

- Co się stało z moimi sojusznikami? - To było bardzo bezpośrednie pytanie. Nie mogłam już udawać, że nie rozumiem, o co jej chodzi.

- Po tym, jak król zabił Emrysa, bali się już o ciebie pytać - powiedziałam.

Odniosłam wrażenie, że pobladła pod złocistą opalenizną.

Oczy rozszerzyły się jej z przerażenia, zanim opuściła wzrok. Chciała się napić, ale szklanka okazała się pusta.

- Nancy! - krzyknęła.

Służąca pojawiła się niemal jak za dotknięciem czarodziejskiej różdżki. Na tacy miała wysoką ciemną szklankę rumu i parę okularów przeciwsłonecznych w białych oprawkach. Oprócz tego przyniosła trzy skąpe kostiumy kąpielowe.

Wyglądały zwyczajnie, ale wygląd bywa zwodniczy. Czasami zakłęcie działa dopiero wtedy, gdy ma się strój na sobie. Zastanawiałam się przez chwilę, czy na Dworze Seelie są istoty, które pragną mojej śmierci. Czy moja śmierć mogłaby być ceną za powrót z wygnania? Mogłaby, pod warunkiem jednak, że mojej śmierci chciałby sam król. Cóż, Taranis nie przepadał za mną, ale nie stanowiłam dla niego zagrożenia, więc nie powinno mu zależeć na mojej śmierci.

Maeve przestała mówić. Wpatrywała się w basen, ale nie sądzę, by go widziała. W końcu przerwałam ciszę.

- Po co te kostiumy, pani Reed?

- Zdawało mi się, że mówimy już sobie po imieniu - powiedziała, nie patrząc na mnie.

Uśmiechnęłam się.

- Po co te kostiumy, Maeve?

- Pomyślałam, że mogłabyś chcieć poczuć się wygodniej, to wszystko. - Jej głos brzmiał beznamiętnie.

- Dziękuję, ale w tym ubraniu czuję się dobrze.

- Jestem pewna, że mogę znaleźć również jakieś stroje dla twoich strażników. Wreszcie spojrzała na mnie, ale nadal mówiła nieobecny głosem.

- Nie, dziękuję.

Postawiła pustą szklankę na tacy, wsunęła okulary na nos i dopiero wtedy wzięła do ręki nowego drinka. Opróżniła ćwierć szklaneczki jednym haustem, po czym spojrzała na mnie. Okulary były duże, okrągłe, o grubych białych oprawkach, i lustrzane, tak że widziałam swoje odbicie, kiedy poruszyła głową. Oczy i większa część jej twarzy były całkowicie ukryte. Właściwie osłona magii nie była już jej potrzebna.

Podciągnęła płaszcz pod szyję i znów napiła się rumu.

- Nawet Taranis nie odważyłby się skazać Emrysa. - Jej głos był cichy, ale wyraźny. Myślę, że bardzo chciała mi nie uwierzyć. Dała sobie trochę czasu, plotąc dyrdymały o strojach kąpielowych, by przemyśleć to, co powiedziałam. Nie podobało jej się to, więc zamierzała zamienić to w nieprawdę.

- Nie został stracony - powiedziałam i spojrzałam na nią, czekając, by poprosiła o szczegóły. Często dowiadujesz się więcej, gdy mówisz mniej.

Popatrzyła znad swojego drinka. Promienie słońca odbijały się od szkieł jej okularów.

- Powiedziałaś przecież, że Taranis kazał go stracić.

- Nie, ja powiedziałam, że go zabił.

Zmarszczyła brwi.

- Bawisz się ze mną w gierki słowne, Meredith. Emrys był jednym z niewielu dworzan, których mogłam nazwać przyjaciółmi. Jeśli nie został stracony, to co? Sugerujesz zabójstwo?

Pokręciłam głową.

- Nie. Król wyzwiał go na pojedynek.

Drgnęła, wylewając na płaszcz rum. Służąca podała jej lnianą chusteczkę. Maeve oddała kobiecie

szklankę i zaczęła wycierać dłoń, ale chyba nie zwracała uwagi na to, co robi.

- Król nigdy nie wyzywa nikogo na pojedyńki. Jest zbyt drogocenny dla dworu.

Wzruszyła ramionami, obserwując swoje odbicie w okularach Maeve.

- Ja tylko mówię, jak było, interpretację pozostawiam tobie.

Położyła chustkę na tacy. Służąca chciała podać jej szklankę z drinkiem, ale odmówiła. Pochyliła się do przodu, ciągle otulona szczelnie płaszczem kąpielowym.

- Przysięgnij mi uroczyście, że król zabił Emrysa w pojedynku.

- Daję ci słowo, że to prawda.

Opadła na oparcie, jakby nagle cała energia z niej uleciała. Jej dłonie nadal zaciskały się na płaszczu, ale wyglądała, jakby miała zemdleć.

- Wszystko w porządku? - spytała służąca. - Czy czegoś pani potrzebuje?

Maeve odprawiła ją słabym gestem.

- Nie... i wszystko w porządku - odpowiedziała na pytania służącej w odwrotnej kolejności.

Wyraźnie nie czuła się najlepiej.

- A więc miałam rację. - Jej głos był bardzo cichy, kiedy wymawiała ostatnie słowo.

- Miałaś rację w związku z czym? - spytałam równie cichym głosem. Uśmiechnęła się, ale to był słaby, smutny uśmiech.

- Nie łudź się, nie wydobędziesz ze mnie mojego sekretu.

Zmarszczyła brwi.

- Nie wiem, o czym mówisz.

Jej głos był głośniejszy, bardziej pewny siebie, kiedy spytała:

- Dlaczego tu przyszedłaś, Meredith?

Cofnęłam się odrobinę.

- Przyszedłam, bo mnie o to prosiłaś.

Westchnęła przeciągle.

- Ryzykowałabyś gniew Taranisa tylko po to, żeby złożyć wizytę innej sidhe? Myślę, że nie.

- Jestem następczynią tronu Unseelie. Myślisz, że Taranis naprawdę odważyłby się zrobić mi krzywdę?

- Wyzwał Emrysa na pojedynek tylko za to, że zapytał, dlaczego zostałam wygnana. Ty sama zostałam pobita jako dziecko za to, że zapytałaś o mój los. Teraz siedzisz tu i ze mną rozmawiasz. Nigdy nie uwierzy, że nie wyjawiałam ci powodu swojego wygnania.

- Ale przecież go nie wyjawiałaś - powiedziałam, starając się nie zdradzić najmniejszym gestem, że mi zależy na tym, by to zrobiła.

Znów się uśmiechnęła.

- Nigdy nie uwierzy, że nie podzieliłam się z tobą swoim sekretem.

- Może myśleć, co mu się podoba. Zrobienie mi krzywdy oznaczałoby wojnę między dworami. Nie wierzę, żeby jakikolwiek twój sekret był tego wart.

Znów roześmiała się szyderczo.

- Myślę, że zaryzykowałby.

- Dobrze, może i zaryzykowałby wojnę, ale na pewno nie zaryzykowałby pojedynku z królową Andais.

- Jesteś następczynią tronu w królestwie mroku, Meredith. Nie masz pojęcia, jaka moc drzemie w świetle.

- Znam Dwór Seelie, Maeve, i wcale się nie dziwię, że skoro kiedyś weszłaś z nim w konflikt, teraz boisz się światła. Tak naprawdę jednak wszyscy boją się mroku.

- Twierdzisz, że władca Dworu Seelie boi się władcy Dworu Unseelie? - spytała z niedowierzaniem.

- Wiem, że wszyscy na dworze Seelie boją się sluagh.

Maeve poprawiła się na leżaku.

- Wszyscy się ich boją, Meredith, na obu dworach.

Miała rację. Sluagh byli gorsi od Dworu Unseelie. To było zbiorowisko koszmarów zbyt przerażających, by na nie patrzeć.

- A kto ma władzę nad sluagh? - spytałam.

Wyglądała na niepewną, ale w końcu powiedziała:

- Królowa.

- Wysyła ich, gdy chce ukarać kogoś za popełnioną przez niego zbrodnię. Na przykład za zamordowanie krewnego.

- Rzadko sięga się po tę broń - zauważyła.

- Ale jeśli Taranis chciałby zabić następczynię królowej, nie sądzisz, że przypomnieliby sobie o tym?

- Nawet Andais nie odważyłaby się wysłać sluagh za królem.

- Nawet król nie ośmieliłby się zabić następczyni Andais.

- Myślę, że się mylisz, Meredith, w tym wypadku by się odważył.

- Ale za tę zbrodnię Andais mogłaby napuścić na niego sluagh. Nawet Król Światła i Iluzji musiałyby przed nimi uciekać.

Wzięła drinka z tacy, którą służąca nadal trzymała w zasięgu ręki. Wypiła duży łyk, po czym powiedziała:

- Nie sądzę, żeby król się nad tym zastanawiał. Ja... nie byłabym powodem do wojny pomiędzy dworami. - Wypiła następny łyk. - Chciałam przez te lata, żeby arogancja Taranisa została ukarana, ale nie przez Sholta i jego ludzi. Nie życzyłabym tego nikomu, nawet jemu.

Ponieważ sama byłam kiedyś ścigana przez sluagh, wiedziałam, że nie ma z nimi żartów. Ale wcale nie byli najgorsi. Mogli najwyżej zabić - w najgorszym razie zjeść żywcem. Bez tortur, powolnej śmierci. Naprawdę można skończyć gorzej niż w ich szponach.

Wiedziała również coś, czego Maeve nie mogła wiedzieć. Król sluagh Sholto, Pan Tego Co Pomiędzy, nie był zbyt lojalny wobec Andais - ani wobec nikogo innego, jeśli chodzi o ścisłość. Ostatnimi czasy sprawy wyslizgnęły się Andais z rąk i znaczenie Sholta i jego ludzi wymiernie wzrosło. Mieli być ostateczną groźbą. Z rozmów z Doyle'em i Mrozem wiedziałam, że stali się nadużywaną bronią. Nie do tego mieli służyć i to, że Andais korzystała z ich pomocy tak często, świadczyło o jej słabości.

Maeve jednak o tym nie wiedziała. Nikt na Dworze Seelie o tym nie wiedział. No, chyba że mieli szpiegów; a pewnie mieli.

- Naprawdę sądzisz, że król dowie się, że rozmawialiśmy ze sobą? - spytałam.

- Nie jestem pewna, ale nie zapominaj, że on jest bogiem, a w każdym razie kiedyś nim był. Boję się, że to odkryje.

- Dobrze, w takim razie chcę wiedzieć, dlaczego zostałam wygnana. Ale ty również chcesz czegoś ode mnie. W końcu bez powodu nie ryzykowałabyś życia. Co to jest, Maeve? Co może być dla ciebie aż tak ważne?

Pochyliła się do przodu, tak że poczułam masło kakaowe, którym pachniała jej skóra, i ostry zapach rumu w jej oddechu.

- Chcę mieć dziecko - wyszeptała mi do ucha.

Rozdział 13

Przez dłuższą chwilę pozostałam pochylona, ponieważ nie chciałam, by zobaczyła mój wyraz

twarzy. Dziecko? Chce mieć dziecko? Dlaczego mi o tym mówi? Myślałam o wielu rzeczach, których Maeve Reed mogłaby chcieć; na tej liście nie było dziecka.

Wreszcie spojrzałam na nią.

- Czego ty ode mnie chcesz, Maeve? - spytałam.

Opadła z powrotem na leżak.

- Właśnie ci powiedziałam, czego od ciebie chcę, Meredith.

Wbiłam w nią wzrok, marszcząc brwi.

- Słyszałam, co powiedziałaś, ale nie rozumiem... - Przerwałam, po czym

spróbowałam ponownie. - Nie rozumiem, jak akurat ja mogłabym ci pomóc. - Silniej zaakcentowałam słowo „ja”, ponieważ pomyślałam, że jednak mam kogoś, kogo ona może chcieć.

Mam mężczyzn.

Spojrzała na nich, na wszystkich, nawet na swoich ochroniarzy.

- Teraz rozumiesz, dlaczego zależało mi na tym, żeby ta rozmowa toczyła się bez świadków, prawda?

Westchnęłam. Chciałam być rozsądna. Chciałam być ostrożna. Rozumiałam jednak, dlaczego pragnie prywatności. Są sprawy, które każą zapomnieć o rozsądku i ostrożności. To była właśnie jedna z takich spraw. Nie mogłam już dłużej udawać ignorancji.

- Zgoda - powiedziałam.

Maeve przekrzywiła głowę.

- Ale na co?

- Na odrobinę prywatności.

Poczułam, że Mróz i Doyle poruszyli się. Choć tak naprawdę napięli tylko mięśnie, jakby gotowali się do skoku.

- Księżniczko... - zaczął Doyle.

- W porządku. Możecie dalej siedzieć pod parasolem, podczas gdy my będziemy kontynuować naszą babską pogawędkę.

Maeve zmarszczyła brwi, wydymając różowe, uszminowane usta. Najwyraźniej dochodziła już do siebie. Albo, być może, spędziła tak wiele czasu jako Maeve Reed, bogini seksu, że nie umiała już inaczej się zachowywać.

- Miałam nadzieję na trochę więcej prywatności.

Uśmiechnęłam się do niej.

- Dopiero co usiłowałaś wpłynąć na mnie za pomocą magii. Byłoby głupotą z mojej strony ufać ci całkowicie.

Zacisnęła usta.

- Udowodniłaś, że możesz pokonać mnie w magii, Meredith. Nie jestem tak głupia, żeby próbować szczęścia po raz drugi.

Byłam pewna, że wcale jej nie pokonałam. Co więcej, to jej magia rozbudziła moje naturalne zdolności. To nie było z mojej strony świadome, nie byłam w stu procentach pewna, czy potrafiłabym to powtórzyć, gdybym spróbowała. Ale Maeve była przekonana, że mogę to zrobić, gdy tylko zechcę, a ja nie miałam zamiaru wyprowadzać jej z błędu. Pozwoliłam jej wierzyć, że jestem potężna, a zarazem jestem paranoiczką, ponieważ nie chcę zniknąć całkowicie z oczu moim ludziom. Potężni paranoicy - oto krótka charakterystyka członków rodu królewskiego.

- Moi strażnicy mogą siedzieć w cieniu podczas naszej rozmowy. Jest to tyle prywatności, ile jestem skłonna ci dać, nawet jeśli faktycznie chodzi o typowo babską pogawędkę.

- Nie ufasz mi - stwierdziła.

- A powinnam?

Uśmiechnęła się.

- Nie powinnaś. Oczywiście, że nie powinnaś. - Pokręciła głową i wypła łyk rumu, po czym spojrzała na mnie znad krawędzi szklaneczki. - Nie chciałaś się napić. Boisz się trucizny albo zaklęcia.

Przytaknęłam.

Roześmiała się. Niejednokrotnie słyszałam ten śmiech z ekranu.

- Daję ci uroczyste słowo honoru, że nie skrzywdzę cię umyślnie.

W tym ostatnim słowie tkwił haczyk. Oznaczało to, że z jej winy nie dojdzie do niczego złego, ale wcale nie wykluczało, że jednak do czegoś nie dojdzie. Uśmiechnęłam się. Takie gierki słowne były charakterystyczne dla sidhe z dworu królewskiego.

- Chcę, żebyś mi dała słowo honoru, że żadna rzecz, żadna osoba, żadne zwierzę, żadna istota nie skrzywdzi mnie, kiedy tu będę.

Skrzywiła się.

- No, Meredith. Taka uroczysta przysięga? Mogę dać ci słowo, że będę bronić twojego bezpieczeństwa z całych swoich sił.

Pokręciłam głową.

- Musisz mi przyrzec, że żadna rzecz, żadna osoba, żadne zwierzę, żadna istota mnie nie skrzywdzi.

- Kiedy tu będziesz - dodała.

Skinęłam głową.

- Kiedy tu będę.

- Gdybyś opuściła tę ostatnią część przyrzeczenia, byłabym odpowiedzialna za twoje bezpieczeństwo zawsze i wszędzie. - Wzdrygnęła się. - Także na Dworze Unseelie, a nie jest to miejsce, w którym miałabym ochotę się o ciebie troszczyć.

- Rozumiem, nie musisz się tłumaczyć.

Zmarszczyła brwi.

- Wcale się nie tłumaczę, Meredith. Po prostu nie mogłabym strzec twojego bezpieczeństwa w tych mrocznych korytarzach.

Wzruszyłam ramionami.

- W królestwie mroku światło i śmiech goszczą równie często, jak ciemność i smutek w królestwie światła.

- Nie uwierzę, że Dwór Unseelie jest tak radosny jak Dwór Seelie.

Spojrzałam przez ramię na Doyle'a i Mroza, po czym przeniosłam wzrok z powrotem na Maeve.

- No, nie wiem, Maeve, w królestwie mroku też można zaznać przyjemności.

- Słyszałam o rozpuście panującej na dworze królowej Andais.

To mnie rozśmieszyło.

- Chyba żyjesz zbyt długo między ludźmi, skoro wymawiasz słowo „rozpusta” z takim obrzydzeniem. Przyjemności ciała są błogosławieństwem, a nie przekleństwem.

- O czym najlepiej powinni wiedzieć twój strażnik i moja asystentka. - Spojrzała za mnie, uśmiechając się. W naszym kierunku szli Rhys i Marie. Białe loki Rhysa znowu opadały swobodnie do pasa. Nie miał już brody, za to na swoje miejsce wróciła opaska na oko. Uśmiechał się, najwyraźniej zadowolony z siebie.

Marie podążała za nim. Jej włosy były w nieładzie, a biała koszula wyciągnięta ze spodnium. Dziewczyna nie wyglądała jednak na zadowoloną.

Jeśli prawdą było to, co sugerowała Maeve, Marie powinna się uśmiechać. Rhys miał swoje wady,

ale na pewno nie pozostawiłby dziewczyny bez uśmiechu na twarzy.

Zasepiłam się. Co powinnam o tym myśleć? W końcu był mój. Wyłącznie mój, według słów królowej.

Próbowałam być zraniona, zazdrosna czy chociaż urażona, ale po prostu nie byłam. Może to dlatego, że sypiałam z innymi mężczyznami. Może, żeby odczuwać prawdziwą zazdrość, trzeba być monogamicznym. Po prostu mnie to nie obchodziło. Co innego, gdyby odbył z nią pełny stosunek. W końcu to ja miałam zajść w ciążę, a nie asystentka jakiejś gwiazdy. W innym wypadku nie dbałam o to.

Rhys uklęknął przede mną na jedno kolano, przyciskając Kitta do leżaka. To, że dotknął goblina, było samo w sobie dobrym znakiem. Przyłożył moją dłoń do swoich ust, uśmiechając się.

- Uroczą Marie obdarzyła mnie swoimi względami.

Uniosłam brwi.

- No i?

- Byłoby niegrzecznie to zignorować.

Gdyby Marie była sidhe, musiałabym przyznać mu rację. Ale nie była.

- Ona jest człowiekiem - zauważyłam.

- Czyżbyś była zazdrosna? - spytał.

Pokręciłam głową, uśmiechając się.

- Nie.

Pocałował mnie delikatnie w policzek, po czym wstał.

- Wiedziałem, że jesteś bardziej sidhe niż człowiekiem.

Marie klęczała przy Maeve. Złota bogini Hollywood zwróciła w naszą stronę zatroskaną twarz.

- Marie twierdzi, że pozostałaś obojętny na jej wdzięki, strażniku.

- Dałem jej jasno do zrozumienia, że jest uroczą - powiedział Rhys.

- Ale wzgardziłaś tym, co ci ofiarowała.

- Jestem kochankiem księżniczki Meredith. Dlaczego miałbym oglądać się za innymi kobietami?

Okazałem twojej asystentce dokładnie tyle zainteresowania, na ile zasługuje, nie mniej i nie więcej. -

Wyglądał teraz na rozdrażnionego.

Maeve pogładziła dłoń kobiety, po czym odesłała ją do domu. Marie odeszła, nie patrząc na Rhysa.

Sądzę, że była zakłopotana. Być może nieczęsto spotykała się z odmową.

Wstałam.

- Dostyc już tych gierek, Maeve.

Wyciągnęła dłoń w moim kierunku, ale byłam zbyt daleko, by mogła mnie dotknąć.

- Proszę, Meredith, nie chciałam cię urazić.

- Wysłałaś swoją służącą, żeby uwiodła mojego kochanka. Usiłowałaś uwieść również mnie, jednak nie z żądzy, ale z chęci podporządkowania mnie sobie.

Zerwała się na równe nogi.

- To ostatnie nie jest prawdą.

- Ale nie zaprzeczasz, że wysłałaś swoją służącą, by uwiodła mojego kochanka.

Zdjęła okulary przeciwsłoneczne, tak że zobaczyłam, jak bardzo jest zakłopotana. Byłam gotowa się założyć, że to gra.

- Pochodzicie z Dworu Unseelie.

Tym razem to ja byłam zakłopotana.

- A co mój dwór ma z tym wspólnego? Obraziłaś mnie i moich ludzi.

- Pochodzicie z Dworu Unseelie - powtórzyła.

Pokręciłam głową.

- I co z tego?

- Nie włożyliście strojów kąpielowych - powiedziała cicho ze spuszczonego wzrokiem.

- Co takiego?

- Gdyby Marie zobaczyła go nagiego, wiedziałaby, czy jego ciało jest czyste.

Zmarszczyłam brwi.

- O czym ty mówisz?

- Pochodzicie z Dworu Unseelie, Meredith. Muszę być pewna, że nie jesteście... nieczyści.

- Chciałaś powiedzieć: zdeformowani - stwierdziłam, nie skrywając już gniewu w głosie.

Skinęła głową.

- Dlaczego wygląd naszych ciał ma dla ciebie znaczenie?

- Mówiłam ci już przecież, czego chcę.

Skinęłam głową i byłam na tyle miła, że nie zdradziłam jej tajemnicy przy wszystkich, mimo że nie zasługiwała na taką wspaniałomyślność.

- Jeśli ktoś, kto będzie mnie wspierał w moich staraniach, jest nieczysty, to... Ruchem głowy dała mi do zrozumienia, bym resztę dopowiedziała sobie sama.

Przysunęłam się do niej i wysyczałam:

- Dziecko może być zdeformowane.

Żadna osłona nie mogłaby ukryć zapachu masła kakaowego, alkoholu i dymu papierosowego, którym przesycone były jej włosy i skóra. Poczulałam mdłości.

Cofnęłam się i byłabym upadła, gdyby Rhys mnie nie podtrzymał.

- Co się stało? - spytał.

Pokręciłam głową.

- Jestem już zmęczona przebywaniem w towarzystwie tej kobiety.

- Zatem opuśćmy to miejsce - zaproponował Doyle.

Znowu pokręciłam głową.

- Jeszcze nie. - Ścisnęłam rękę Rhysa i odwróciłam się do Maeve. - Powiesz mi, dlaczego zostałaś wygnana. Powiesz mi całą prawdę albo opuścimy cię na zawsze.

- Gdyby się dowiedział, że powiedziałam to komukolwiek, zabiłby mnie.

- Jeśli się dowie, że tu byłam i rozmawiałam z tobą, i tak to zrobi.

Wyglądała teraz na przerażoną, ale nie obchodziło mnie to.

- Albo mi powiesz, albo wyjdziemy, a ty już nie znajdziesz nikogo, kto mógłby ci pomóc.

- Meredith, błagam...

- Nie - powiedziałam. - Wspaniały, czysty Dwór Seelie! Jeśli urodzi się na nim zdeformowane dziecko, zabijacie je. W każdym razie, zabijaliście, dopóki jeszcze mogliście mieć dzieci. Odkąd macie z tym problemy, nawet potwory stały się cenne. Czy wiesz, co dzieje się potem z takimi dziećmi, Maeve? Czy wiesz, co działo się ze zdeformowanymi dziećmi Seelie przez ostatnie czterysta lat? Wierz mi, endogamia ma skutki uboczne nawet wśród nieśmiertelnych.

- Ja... nie wiem.

- Owszem, wiesz. Wszyscy wiecie. Moją kuzynkę zatrzymaliście na dworze, ponieważ była skrzatem. Nie odrzuciliście jej, ponieważ skrzaty należą do Seelie - nie są szlachetnie urodzone, ale przynajmniej są stworzeniami światła. Ale co się dzieje z dziećmi-potworkami, które wydają na świat błyszczący, czyści sidhe Seelie?

Płakała teraz, małymi srebrnymi łzami.

- Nie wiem.

- Owszem, wiesz. Te dzieci trafiają na Dwór Unseelie. Przygarniamy te potwory, te czyste potwory Seelie. Bierzymy je do siebie, ponieważ mile witamy każdego. Nikt nie jest wyrzucany z Dworu Unseelie, zwłaszcza maleńkie, nowo narodzone dzieci, których jedyną zbrodnią było to, że ich rodzice nie zadali sobie trudu przestudiowania na tyle dokładnie swoich drzew genealogicznych, by uniknąć poślubienia własnej siostry lub brata. - Ja też płakałam, ale ze złości, nie ze smutku. - Daję ci słowo, że ja, Mróz i Rhys jesteśmy czyści. Zadowolona? Gdybyś chciała tylko się przespać z którymś z moich ludzi, wcale nie musiałabyś mnie zobaczyć w stroju kąpielowym. Ale nie, ty chcesz rytuału płodności, Maeve. Potrzebujesz mnie i co najmniej jednego z moich mężczyzn.

Byłam zbyt wściekła, by się martwić, czy ktoś poza Maeve usłyszał to, co mówię. Po prostu nic mnie to nie obchodziło.

Odepchnęłam Rhysa, niesiona gniewem, by wypluć jej słowa prosto w twarz.

- Powiedz mi, dlaczego zostałam wygnana, Maeve, powiedz mi albo zostawimy cię taką, jaką cię zastaliśmy. Samą.

Skinęła głową, nadal płacząc.

- Dobrze. Powiem ci, co chcesz wiedzieć, jeśli mi przysięgniesz, że pomożesz mi mieć dziecko.

- Ty przysięgnij pierwsza - powiedziałam.

- Przysięgam, że powiem ci, dlaczego zostałam wygnana z Dworu Seelie.

- A ja przysięgam, że po tym, jak mi powiesz, dlaczego zostałam wygnana z dworu Seelie, ja i moi ludzie zrobimy, co w naszej mocy, żebyś miała dziecko.

Wytarła oczy grzbietem dłoni. Dziecinny gest. Wyglądała na dogłębnie wstrząśniętą. Przez chwilę zastanawiałam się, czy któreś z tych biednych, nieszczęśliwych dziecipotworków nie było jej dzieckiem. I czy nie prześladuje jej myśl o tym, że je oddała. Miałam nadzieję, że tak.

Rozdział 14

- Sto lat temu król Taranis był gotów oddać swą żonę Conan. Byli parą od ponad stu lat i nie mieli dzieci.

Jej głos przeszedł automatycznie w gawędziarski ton.

- Postanowił więc ją oddać...

Lubię historie opowiadane na starą modłę, ale nie chciałam tu siedzieć do białego rana. Miałam już dość tego słońca.

- No dobrze, przejdźmy już do tego, co zrobił po tym, jak ją oddał - powiedziałam.

Maeve uśmiechnęła się, ale nie wyglądała na rozbawioną.

- Poprosił mnie, żebym zajęła jej miejsce jako jego żona. Odmówiłam. - Teraz po prostu do mnie mówiła, gawędziarski ton zniknął. Być może jej głos nie był już tak piękny, ale prosta rozmowa była szybsza.

- Za coś takiego nie grozi wygnanie, Maeve. Co najmniej jedna osoba poza tobą odrzuciła już wcześniej propozycję Taranisa i nadal przebywa na dworze. - Pociągnęłam łyk lemoniady i popatrzyłam na nią.

- Ale Edain kochała innego. Ja zostałam wygnana z innego powodu.

Wydaje mi się, że w tej chwili nie widziała ani mnie, ani kogokolwiek innego. Zdawała się wpatrywać w przestrzeń, być może wspominając.

- A co było tym powodem? - spytałam.

- Conan była drugą żoną Taranisa. Byli ze sobą od stu lat, a jednak nie mieli dziecka.

- No i? - Znów napiłam się lemoniady. Pociągnęła łyk rumu, po czym kontynuowała:

- Powiedziałam Taranisowi „nie”, ponieważ byłam przekonana, że jest bezpłodny, że to nie kobiety, a on jest winien tego, że nie ma następcy.

Wyplułam lemoniadę na siebie i na Kitta. Stał jak skamieniały, kiedy napój spływał mu po ręce i okularach.

Pojawiła się służąca z serwetkami. Wzięłam je od niej, po czym odprawiłam ją gestem. Rozmawialiśmy o czymś, czego nikt nie powinien słyszeć. Kiedy już mogłam mówić, nie charcząc, a Kitto i ja byliśmy względnie osuszeni, spytałam:

- Powiedziałaś to Taranisowi prosto w oczy?

- Tak - odpowiedziała.

- Jesteś odważniejsza, niż myślałam. - Albo głupsza, dodałam w duchu.

- Zażądał, żebym mu wyjaśniła, dlaczego nie chcę go za męża. Powiedziałam, że chciałabym mieć dziecko, a nie wierzę, że on może mi je dać.

- Jeśli to, co mówisz, jest prawdą, dworzanie mogliby zażądać, żeby król złożył najwyższą ofiarę. Mogliby zażądać, żeby pozwolił się zabić.

- To prawda - powiedziała Maeve. - Zmusił mnie do odejścia tej samej nocy.

- Z obawy, że mogłabyś komuś powiedzieć.

- Oczywiście nie jestem jedyną, która to podejrzewa - westchnęła. - Adaria, pierwsza żona Taranisa, przez stulecia uchodziła za bezpłodną. Po tym, jak ją oddalił, nie miała problemu z zajściem w ciążę. Teraz zrozumiałam, dlaczego zostałam pobita za zapytanie o Maeve. Życie króla wisiało na włosku.

- Mógłby po prostu abdykować - powiedziałam.

Opuściła okulary i posłała mi miazdzące spojrzenie.

- Nie bądź naiwna, Meredith. To do ciebie nie pasuje.

Skinęłam głową.

- Przepraszam, masz rację. Taranis nigdy nie uwierzyłby w to, że jest bezpłodny. Jedyńm sposobem byłoby doprowadzenie go przed szlachetnie urodzonych. A to oznaczałoby, że musiałabyś ich przekonać, że nie kłamiesz.

Pokręciła głową.

- Nie sądzę, żebym była jedyną, która podejrzewa, że król jest bezpłodny. Jestem przekonana, że jego śmierć przywróciłaby płodność naszemu ludowi. Cała nasza moc pochodzi od króla lub królowej. Myślę, że to właśnie jego niemożność zostania ojcem skazała nas wszystkich na bezdzietność.

- Ale przecież na dworze są dzieci - zauważyłam.

- Ale jak wiele z nich jest czystej krwi Seelie?

Pomyślałam przez chwilę.

- Nie jestem pewna. Większość z nich urodziła się przed moim przybyciem na wasz dwór.

- Ja jestem pewna - stwierdziła. - Ani jedno. Wszystkie dzieci urodzone u nas przez ostatnie sześćset lat były mieszanej krwi. Albo zawdzięczają swe przyjście na świat gwałtom wojowników Unseelie na naszych kobietach podczas wojen, albo są tacy jak ty, Meredith. Mieszana krew jest silniejsza od czystej. Nasz król skazał nas na wymarcie jako naród, ponieważ jest zbyt dumny, żeby ustąpić z tronu.

- Gdyby ustąpił z powodu bezpłodności, szlachetnie urodzeni i tak mogliby zażądać jego zabicia dla zapewnienia reszcie płodności.

- Z pewnością by to zrobili - powiedziała Maeve - gdyby odkryli, że powiedziałam mu o jego małym problemie już sto lat temu...

Miała rację. Gdyby Taranis zwyczajnie nie wiedział, mogliby mu wybaczyć i pozwolić ustąpić. Gdyby jednak się okazało, że wiedział o tym od stu lat i nic nie zrobił... Tego by mu z pewnością nie darowali.

Głosy za moimi plecami sprawiły, że się odwróciłam. Nowy mężczyzna prawił uprzejmości mężczyznom siedzącym przy ocienionym parasolem stole. Odwrócił się w naszym kierunku,

błyskając w uśmiechu śnieżnobiałymi zębami. Owa biel zębów podkreślała tylko żółć jego skóry. Był tak zniszczony przez chorobę, że dopiero po chwili rozpoznałam w nim Gordona Reeda. To on był reżyserem, który uczynił z Maeve prawdziwą gwiazdę. Nagle ujrzałam jego ciało gnijące w grobie i nie miałam już najmniejszych wątpliwości: Gordon Reed umiera.

Pytanie brzmi: Czy oni wiedzą?

Maeve wyciągnęła do niego rękę. Ujął jej gładką, złocistą dłoń w swoją, uschniętą, i złożył na niej pocałunek. Co czuł, widząc, że jego młodość blaknie, a ciało obumiera, podczas gdy jego żona pozostaje nietknięta?

Odwrócił się do mnie, nadal trzymając jej dłoń.

- Księżniczko Meredith, jak to miło, że nas dziś odwiedziłaś. - Te słowa były bardzo uprzejme, bardzo zwyczajne, jakby to było po prostu kolejne popołudnie nad basenem.

Maeve poklepała go po dłoni.

- Usiądź, Gordonie. - Wstała, oddając mu do dyspozycji swój leżak, po czym uklękła przy nim, prawie tak jak Kitto przy moim. Usiadł ciężko. Zmarszczka, która na chwilę pojawiła się między jego oczami, była jedyną widoczną oznaką cierpienia.

Maeve zdjęła okulary i popatrzyła na niego, tak jakby sprawdzała, co jeszcze pozostało z tego wysokiego, przystojnego mężczyzny, którego poślubiła. Wpatrywała się w niego tak, jakby każda kość widoczna pod tą pożółkłą skórą była dla niej cenna.

To jedno spojrzenie wystarczyło, bym miała pewność, że go kocha i że oboje wiedząc jego zbliżającej się śmierci.

Przytuliła twarz do jego uschniętej dłoni i spojrzała na mnie swoimi dużymi niebieskimi oczami, które odrobinę za bardzo migotały w świetle. To nie była magia; to były łzy.

Jej głos był cichy, ale wyraźny.

- Gordon i ja chcemy mieć dziecko, Meredith.

- Ile... - przerwałam. Nie umiałam o to zapytać, nie przy obojgu.

- Ile czasu zostało Gordonowi? - spytała Maeve.

Skinęłam głową.

- Sześć... - Głos Maeve nagle się załamał. Próbowwała się pozbierać, ale w końcu Gordon odpowiedział.

- Sześć tygodni, maksymalnie trzy miesiące. - Miał spokojny głos, jakby pogodził się już z losem. Poglaskał jedwabiste włosy Maeve.

Jego żona odwróciła głowę, by na mnie spojrzeć. Jej spojrzenie nie było ani spokojne, ani pełne pogodzenia się z losem. Było pełne bólu.

Wiedziałam już dlaczego, po stu latach, Maeve była gotowa ryzykować gniew Taranisa, szukając pomocy u innej sidhe. Conchenn, bogini piękna i wiosny, ścigała się z czasem.

Rozdział 15

Było ciemno, kiedy wróciliśmy do mojego mieszkania. Mogłabym powiedzieć „do domu”, gdyby nie to, że to nie był dom. To był apartament z jedną sypialnią, przeznaczony dla jednej osoby. Nie powinnam mieć w nim nawet jednego sublokatora. A usiłowałam mieszkać w nim z pięcioma osobami. Delikatnie mówiąc, byliśmy trochę stłoczeni.

Nie byliśmy zbyt rozmowni - ani wracając vanem do agencji, ani później, jadąc moim samochodem do mieszkania. Nie wiem, jaki był powód milczenia innych. Ja wciąż nie mogłam się pozbierać po spotkaniu z Gordonem Reedem. Wciąż miałam w pamięci to, jak Maeve na niego patrzyła. Nieśmiertelny zakochany w śmiertelniku. Takie historie nigdy nie kończyły się dobrze.

Prowadziłam samochód niemal automatycznie, jazdę ożywiały jedynie ciche jęki Doyle'a. Nie

był dobrym pasażerem, ale ponieważ nie posiadał prawa jazdy, nie miał wyboru. Zazwyczaj lubiłam te małe ataki paniki Doyle'a. Były to jedne z niewielu momentów, kiedy widziałam go całkowicie rozklejonego. Było to dziwnie pocieszające.

Dzisiaj, kiedy weszliśmy pomiędzy bladoróżowe ściany mojego salonu, nie sądziłam, by cokolwiek mogło mnie pocieszyć. Cóż, myliłam się. Jak zwykle, zresztą.

Po pierwsze, w całym mieszkaniu pachniało duszonym mięsem i świeżo upieczonym chlebem. Po drugie, w aneksie kuchennym krzątał się Galen. Zazwyczaj najpierw dostrzegam jego wspaniałe uśmiech. Albo jego bladozielone kręcone włosy. Dziś jednak najpierw zwróciłam uwagę na jego strój. Zamiast koszuli miał na sobie biały koronkowy fartuszek, na tyle prześwitujący, że widziałam jego sutki i ciemnozielone włosy na piersi.

Odwrócił się, by dokończyć nakrywanie stołu. Jego skóra była nieskazitelna, perłowobiała, o zielonkawym odcieniu. Przezroczyste ramiączka fartucha odsłaniały silne plecy i szerokie barki. Cienki warkocz, który sięgał mu do pasa, pieścił jego plecy.

Nie zdawałam sobie sprawy, że zamarłam w bezruchu tuż za progiem, póki Rhys nie powiedział:

- Jeśli przesuniesz się odrobinę na bok, będziemy mogli wejść.

Poczułam, że czerwienieję. Ale przesunęłam się posłusznie.

Galen dalej krzątał się przy kuchence i stole, jakby nie zauważył mojej reakcji. Może zresztą faktycznie jej nie zauważył. Z Galenem nigdy nic nie wiadomo. Zdaje się nie dostrzegać swojej urody. Być może zresztą, na tym właśnie, między innymi, polega jego urok. Skromność była towarem deficytowym wśród szlachetnie urodzonych sidhe.

- Mięso gotowe, ale chleb musi trochę wystygnąć, zanim go pokroimy. - Wrócił do kuchenki, nawet specjalnie nie patrząc na żadne z nas.

Kiedyś zwykle całowaliśmy się na powitanie. Obecnie był z tym pewien problem. Galen został okaleczony podczas egzekucji na dworze tuż przed Samhain - Halloween. Nadal miałam w pamięci ten obraz: Galen przykuty do skały, ciało niemal w całości pokryte skrzydłami krwawych motyli. Wyglądały jak prawdziwe motyle pijące wodę z kałuży. Ich skrzydła poruszały się w rytm jedzenia. Ale one nie piły wody; one piły jego krew. Wybrały najbardziej ukrwione części jego ciała, a z powodów znanych tylko jemu, książę Cel rozkazał im zwrócić szczególną uwagę na krocze Galena. Cel w ten sposób miał pewność, że nie będę mogła wziąć Galena do łóżka, dopóki nie odzyska sił. Ale on był sidhe, a sidhe wracają do sił w mgnieniu oka. Wszystkie rany momentalnie zniknęły. Prawie wszystkie. Pozostały te w kroczu.

Wydeptaliśmy ścieżki do wszystkich lekarzy i uzdrowicieli, jakich tylko mogliśmy znaleźć. Lekarze byli zaszokowani i rozkładali bezradnie ręce; uzdrowiciele zdołali jedynie orzec, że to jakieś zaklęcie. W dwudziestym pierwszym wieku nawet czarownice boją się użyć słowa „klątwa”.

Nikt już prawie nie rzuca klątw, ponieważ mogą się one zwrócić przeciwko temu, kto je rzuca. Klątwa zawsze powraca.

Za czarną magię zawsze się płaci. Nikt nie jest od tego zwolniony, nawet nieśmiertelni. To jeden z powodów, dla których tak rzadko rzuca się klątwy.

Patrzyłam, jak Galen krząta się przy kuchence w swoim prześwitującym fartuszkach, uważając, by na mnie nie spojrzeć, i moje serce przepelnione było bólem.

Podeszłam do niego, obejmując go w pasie. W pierwszej chwili znieruchomiał. Potem przycisnął moje ręce do swego ciała. Przytuliłam policzek do jego gładkich, ciepłych pleców. Od tygodni był to nasz najbliższy kontakt. Nawet najlżejszy dotyk był dla niego bolesny.

Zaczął się uwalniać, ale ja wzmocniłam uścisk. Mógł się uwolnić siłą, ale tego nie zrobił. Opuścił ręce.

- Merry, proszę. - Jego głos był tak łagodny...

- Nie - powiedziałam, przyciskając go mocno do siebie. - Pozwól mi skontaktować się z królową Niceven.

Pokręcił głową, muskając warkoczem moją twarz. Zapach jego włosów był słodki i wyrazisty. Pamiętam czasy, kiedy włosy sięgały mu do kolan jak większości szlachetnie urodzonych sidhe. Bolałam nad tym, że je ściał.

- Nie pozwolę, żebyś była jej dłużniczką - powiedział, a jego głos miał w sobie dużo powagi, tak do niego niepodobnej.

- Proszę cię.

- Nie. - Znowu spróbował mnie odepchnąć, ale go nie puściłam.

- A jeśli pomoc Niceven jest jedynym ratunkiem?

Położył dłonie na moich rękach, tym razem nie dla pieszczoty, ale żeby się wyswobodzić. Galen był wojownikiem sidhe; mógł gołymi rękami robić dziury w murach budynków. Nie byłam w stanie go obejmować, jeśli tego nie chciał.

Odsunął się, tak że znajdował się poza zasięgiem moich rąk. Nie patrzył na mnie. Wpatrywał się w obraz na ścianie salonu, który przedstawiał motyle na zielonej łące. Czy przypominały mu one krwawe motyle? A może w ogóle nie widział tego obrazu? Może prościej było patrzeć na cokolwiek, byle nie na mnie?

Błagałam Galena, by pozwolił mi udać się do królowej Niceven i zapytać, czy mogłaby coś dla niego zrobić. Zakazał mi tego. Nie chciał, bym stała się jej dłużniczką tylko po to, żeby mu pomóc. Błagałam, płakałam, on jednak pozostał nieugięty. Nie chciał, bym miała zobowiązania wobec Niceven i jej krwawych motyli.

Stałam tam, wpatrując się w niego. Zakochałam się w nim, gdy byłam podlotkiem. Był moją pierwszą miłością. Gdyby został uleczony, moglibyśmy złagodzić napięcie, które było między nami, odkąd zaczęłam dojrzewać.

Nagle zdałam sobie sprawę, że podchodzę do tego w niewłaściwy sposób. Według Kitta, Doyle uważa, że mam zamiar pieprzyć się ze wszystkim, co się rusza, zamiast korzystać z władzy, jaką mi dano. Czas udowodnić, że jest w błędzie. W końcu jestem przyszłą królową Unseelie czy nie? A skoro mam być królową, to czemu wciąż pytam wszystkich o zgodę nawet w najdrobniejszych sprawach? To, czyją dłużniczką miałam zostać, nie jest sprawą Galena.

Odwróciłam się od niego i spojrzałam na pozostałych strażników. Obserwowali nas bez skrepowania. Gdyby byli ludźmi, udawaliby, że nie patrzą, czytaliby czasopisma albo udawaliby, że to robią. Oni jednak byli sidhe. Jeśli robiłeś coś w ich obecności, oni patrzyli. Jeśli chciałeś prywatności, nie mogłeś na nią liczyć; taka właśnie jest nasza kultura.

Brakowało tylko Kitta, ale wiedziałam, gdzie jest - w swoim pokrytym materiałem legowisku dla psa. Wyglądało ono jak mały namiot. Stało w kącie salonu tak, by mógł oglądać telewizję, która jest jednym z niewielu cudów techniki, które zdaje się doceniać.

- Doyle - powiedziałam.

- Tak, księżniczko - odparł beznamiętnym głosem.

- Skontaktuj się w moim imieniu z królową Niceven.

Uklonił się i skierował w stronę sypialni. Tam znajdowało się największe lustro w moim mieszkaniu. Zamierzał spróbować skontaktować się z władczynią krwawych motyli najpierw poprzez lustro, tak jak się zwykle kontaktujemy z innymi sidhe. Mogło się udać albo i nie. Krwawe motyle nie przebywają zbyt często w kopcach faerie. Wolą otwarte przestrzenie. Były inne zaklęcia, ale chciał zacząć od zaklęcia lustra. Mogliśmy mieć szczęście i złapać małą królową, gdy będzie właśnie latać

nad taflą stojącej wody.

- Nie - powiedział Galen. Zrobił dwa szybkie kroki w kierunku Doyle'a. Złapał go za rękę. - Nie, nie pozwolę, żeby to zrobiła.

Doyle spojrział na Galena, ale ten ani drgnął. Albo był bardziej odważny, niż sądziłam, albo głupszy. Stawiałam na to drugie. Galen po prostu nie grzeszył nadmiarem zdrowego rozsądku. Chciał powstrzymać Doyle'a przed opuszczeniem pokoju, nawet jeśli oznaczałoby to pojedynek. Widziałam w walce zarówno Doyle'a, jak i Galena. Wiedziałam, który okazałby się zwycięzcą. Galen po prostu nie myślał. Zawsze działał pod wpływem impulsu, co było, rzecz jasna, jego wielką słabością i powodem, dla którego mój ojciec oddał mnie komu innemu. Galen nie miał w sobie tego czegoś, co pozwala przetrwać dworskie intrygi; po prostu nie miał.

O dziwo, Doyle nie poczuł się urażony. Przeniósł wzrok z Galena na mnie. Uniósł brwi, jakby chciał zapytać, co robić.

- Zachowujesz się tak, jakbyś już był królem, Galenie - powiedziałam. Było to niesprawiedliwe posądzenie, wiedziałam, że wcale o tym nie myśli. Ale musiałam przejąć nad nim kontrolę, zanim zrobi to Doyle. Ja tu rządziłam, nie on.

Wyraz zdumienia na twarzy Galena, kiedy się do mnie odwrócił, był tak szczery, tak Galenowy, że omal się nie roześmiałam. Chyba nie ma strażnika królowej, który gorzej panowałby nad swoją mimiką. Jego emocje zawsze są wymalowane na twarzy.

- Nie wiem, o czym mówisz. - Prawdopodobnie faktycznie nie wiedział.

Westchnęłam.

- Wydałam rozkaz jednemu ze swoich strażników. Ty udaremniłeś jego wykonanie. Tylko król ma prawo unieważnić rozkaz księżniczki.

Na jego twarzy pojawił się wyraz zawstydzenia. Puścił Doyle'a.

- To nie tak. - W jego głosie była młodość i niepewność. Był ode mnie starszy o siedemdziesiąt lat, jednak nadal był dzieckiem, i zawsze nim będzie. Na tym, między innymi, polegał jego urok. Było to również jedną z jego najniebezpieczniejszych wad.

- Zrób to, o co cię prosiłam, Doyle.

Doyle wykonał najgłębszy i najbardziej oficjalny ukłon, jaki kiedykolwiek mi złożył, po czym poszedł w stronę sypialni i lustra, które się w niej znajdowało.

Galen odprowadził go wzrokiem. Potem odwrócił się do mnie.

- Merry, proszę, nie oddawaj się w jej władanie z mojego powodu.

Pokręciłam głową.

- Galenie, kocham cię, ale nie wszyscy są tak politycznie nieporadni jak ty.

Zmarszczył brwi.

- To znaczy?

- To znaczy, że będę negocjować z Niceven. Jeśli poprosi o zbyt wiele, wycofam się. Ale zaufaj mi, wszystkim się zajmę. Nie popełnię żadnego głupstwa.

Pokręcił głową.

- Nie podoba mi się to. Nie wiesz, kim się stała Niceven, odkąd królowa Andais zaczęła tracić władzę nad dworem.

- Wiem, że gdy Andais osłabła, wszyscy rzucili się, żeby wyrwać jak najwięcej dla siebie.

- Skąd? Skąd o tym wiesz, skoro nie było cię, kiedy to wszystko się działo?

Znowu westchnęłam.

- Jeśli władza wyslizgnęła się Andais z rąk na tyle, że jej własny syn spiskuje przeciwko niej, a sluagh bronią dworu, zamiast być jego największymi wrogami, z pewnością wszyscy walczą o

ochłapy. I zrobią wszystko, żeby ich nie wypuścić z rąk.

Galen patrzył na mnie, najwyraźniej nic nie rozumiejąc.

- Właśnie to się dzieje od trzech lat, ale ciebie tam nie było. W jaki sposób się o tym dowiedziałaś...? - Nagle zrobił triumfującą minę. - Miałaś szpiega!

- Nie, nie miałam szpiega. Nie muszę tam być, żeby wiedzieć, co robią dworzanie, kiedy królowa jest słaba. Natura nie znosi próżni.

Spojrzał na mnie, marszcząc brwi. Nie zależało mu na władzy, nie miał też ambicji politycznych. A co za tym idzie, nie rozumiał tych, którzy je przejawiają. Zawsze to wiedziałam, ale nigdy nie zdawałam sobie sprawy, jak głęboki jest ten brak zrozumienia. Nie potrafił sobie wyobrazić, że widzę całą układankę, nie zobaczywszy wcześniej wszystkich jej kawałków.

Uśmiechnęłam się smutno. Podeszłam do niego i dotknęłam jego twarzy koniuszkami palców. Musiałam go dotknąć, by się przekonać, że jest prawdziwy. Wreszcie zdałam sobie sprawę, jak poważny jest jego problem. Zdawało mi się, że tak naprawdę nigdy przedtem go nie znałam.

- Będę negocjować z Niceven. Zrobię to, ponieważ tak poważne okaleczenie jednego z moich strażników jest zniewagą dla mnie i dla nas wszystkich. Krwawe motyle nie mogą pozbawić męskości wojownika sidhe.

Wzdrygnął się na te słowa, odwracając wzrok. Dotknęłam jego brody, odwracając jego twarz z powrotem w swoją stronę.

- Pragnę cię, Galenie. Pragnę cię tak, jak kobieta pragnie mężczyzny. Nie oddam swojego królestwa w zastaw, żeby cię uzdrowić, ale zrobię, co w mojej mocy, by ujrzeć cię w pełni sił.

Nikły rumieniec pojawił się na jego twarzy, przyciemniając zielonkawy odcień jego skóry, tak że stała się niemal pomarańczowa.

- Merry, ja nie...

Dotknęłam jego ust koniuszkami palców.

- Nie, Galenie, zrobię to, a ty mnie nie powstrzymasz, ponieważ jestem księżniczką. To ja jestem następczynią tronu, nie ty. Ty jesteś tylko moim strażnikiem. Chyba na chwilę o tym zapomniałam, ale ponownie nie popełnię tego błędu.

Jego oczy zdradzały, że jest zmartwiony. Zabrał moją rękę z ust i obrócił ją dłonią do góry. Złożył na niej pocałunek. Dotyk jego ust sprawił, że przeszedł mnie dreszcz.

Był tak beznadziejnym politykiem, że uczynienie go królem byłoby równoznaczne z wyrokiem śmierci. Byłoby to katastrofalne nie tylko dla niego, ale również dla dworu i dla mnie. Nie mogłam mieć Galena-króla, ale mogłam mieć Galena-kochanka. Przez krótki czas, zanim znalazłabym prawdziwego króla, mogłabym mieć Galena w łóżku. Mogłabym ugasić ogień, który płonął między nami, ugasić go naszymi ciałami. Spojrzenie jego bladezielonych oczu, kiedy odjął moją dłoń od ust, sprawiło, że przez chwilę byłam jednak gotowa oddać królestwo w zastaw, byle tylko go uzdrowić. Nie zrobiłabym tego; ale zrobiłabym wiele, by te oczy patrzyły na mnie, kiedy będę pod nim leżeć.

Pocałowałam go w rękę. Zrobiłam to bardzo szybko, bo nie byłam pewna, czy uda mi się nad sobą zapanować.

- Idź, dokończ obiad. Sądzę, że chleb już wystygł. Uśmiechnął się. To był przebłysk jego dawnego uśmiechu.

- No, nie wiem... aż tutaj czuję gorąco.

Pokręciłam głową i popchnęłam go ze śmiechem w kierunku kuchenki. Może mogłabym go po prostu trzymać jako królewską nałożnicę, czy jak tam się nazywa jej męski odpowiednik? W kilkutyśnej historii sidhe na pewno zdarzył się już kiedyś taki wypadek.

Rozdział 16

Podczas obiadu zastanawialiśmy się nad tym, co zrobić, kiedy odezwie się Niceven. Doyle zostawił jej wiadomość. Był pewien, że będzie na tyle zaintrygowana, że się odezwie, a także, że będzie wiedziała, czego chcemy.

- Niceven z pewnością czekała, aż się zgłosimy. Ona ma plan. Nie wiem jaki, ale go ma. - Doyle siedział po mojej prawej stronie, odgradzając mnie ciałem od okna. Kazał mi zaciągnąć zasłony, ale pozwolił zostawić okno otwarte, by był przewiew.

W Kalifornii był właśnie grudzień i wiatr wpadający przez okno był zachwycająco chłodny, jak w Illinois późną wiosną lub wczesnym latem.

- Ona jest zwierzęciem - powiedział Galen, odsuwając swoje krzesło. Wstawił pusty talerz do zlewu i stojąc do nas tyłem, zaczął nalewać do niego wody.

- Nie lekceważ krwawych motyli z powodu tego, co ci zrobiły - zwrócił mu uwagę Doyle. - Użyły zębów, ponieważ tak im się podobało, nie dlatego, że nie mają mieczy.

- Miecz wielkości szpilki - prychnął Rhys - też mi groźba.

- Daj mi ostrze nie większe od szpilki, a zabiję nim człowieka - powiedział Doyle niskim, cichym głosem.

- Zgoda, ale ty jesteś Ciemnością Królowej - rzekł Rhys.

- Nauczyłeś się władać każdą bronią znaną człowiekowi i nieśmiertelnemu. Wątpię, żeby załoga Niceven była tak wprawna w sztukach walki.

- A gdyby to była twoja jedyna broń, nie nauczyłbyś się, jak można użyć jej przeciwko wrogowi?

- Krwawe motyle nie są naszymi wrogami - odparł Rhys. - Ale, podobnie jak gobliny, są przez nas ledwie tolerowane.

Wspomnienie o goblinach sprawiło, że spojrzałam w kierunku Kitta. Nie siedział przy stole. Po zjedzeniu swojej porcji zaszył się w swoim psim legowisku. Zdawał się wstrząśnięty popołudniem spędzonym nad basenem Maeve Reed. Za dużo słońca i świeżego powietrza.

- Nikt nie krzywdzi krwawych motyli - powiedział Mróz.

- Są szpiegami królowej. Motyl, ćma, mały ptak - każde z tych stworzeń może być tak naprawdę krwawym motylem. Ich osłony bywają niemożliwe do wykrycia nawet dla najlepszych z nas.

Doyle skinął głową. Upił trochę czerwonego wina i rzekł:

- Wszystko to, o czym mówisz, jest prawdą. Nie zawsze jednak tak było. Kiedyś krwawe motyle były bardziej szanowane. Nie były tylko szpiegami, ale prawdziwymi sojusznikami.

- Dlaczego? - spytał Rhys.

- Dlatego, że gdy krwawe motyle odlecą z Dworu Unseelie, wszyscy go opuszczają odparłam.

- Bajuj, bajuj. - Rhys roześmiał się z niedowierzaniem. - Jest w tym tyle prawdy, ile w opowieściach o tym, że Imperium Brytyjskie upadnie, gdy kruki opuszczą Tower of London. I co? Imperium już dawno upadło, a jednak nadal przycina się biednym krukom skrzydła i tuczy je górą żarcia. Te cholerne ptaszyska wyglądają jak małe indyki.

- Powiada się: Tam, gdzie krwawe motyle, tam i faerie - powiedział Doyle.

- Co to znaczy? - spytał Rhys.

- Mój ojciec twierdził, że krwawym motylom najbliższej do esencji faerie, tej, która sprawia, że różniemy się od ludzi. Krwawe motyle są związane z magią silniej niż ktokolwiek z nas. Nie mogą zostać wygnane z Krainy Faerie, ponieważ wszystkie istoty magiczne będą musiały za nimi podążyć.

Galen oparł się o blat kuchenny, skrzyżował ręce na nagiej teraz piersi. Zdjął fartuszek, żeby wybawić mnie z zakłopotania. Z jakiegoś niezrozumiałego dla mnie powodu nie mogłam się skupić, gdy go miał na sobie. Kiedy po raz drugi nie trafiłam widelcem do ust, Doyle poprosił, by go zdjął.

- Zasada jest taka, że im mniejszy jesteś, tym bardziej zależy ci od Krainy Faerie, i tym bardziej

prawdopodobne jest, że zginiesz poza nią. Mój ojciec był pixie. Wiem, o czym mówię - powiedział Galen.

- Jak dużym pixie? - spytał Rhys.

Galen uśmiechnął się.

- Wystarczająco.

- Jest wiele rodzajów pixie - stwierdził Mróz, albo nie rozumiejąc dowcipu, albo nie zwracając na niego uwagi. Kochałam go, ale poczucie humoru nie było jego najmocniejszą stroną. Rzecz jasna, dziewczyna nie zawsze musi się śmiać.

- Nigdy nie znałem żadnego pixie, który nie byłby członkiem Dworu Seelie powiedział Rhys. - Można wiedzieć, czym twój ojciec naraził się Taranisowi i jego gangowi?

- Tylko ty mogłeś tak nazwać Dwór Seelie - zauważył Doyle.

Rhys wzruszył ramionami, uśmiechnął się i spytał:

- Co więc twój tatuś przeskrobał, że go stamtąd wyrzucono?

Galen uśmiechnął się.

- Wujowie powiedzieli mi, że ojciec uwiódł jedną z nałożnic królewskich. - Uśmiech na jego twarzy przygasł. Galen nie znał swojego ojca, ponieważ Andais skazała go na śmierć za to, że miał czelność uwieść jedną z jej dam dworu - matkę Galena. Nie zrobiłaby tego, gdyby wiedziała, że na świat przyjdzie dziecko. Co więcej, gdyby o tym wiedziała, nadałaby ojcu Galena tytuł szlachecki i oddała mu tę damę dworu za żonę, tak jak to było w zwyczaju. Niestety, napad złego humoru sprawił, że Andais trochę się pospieszyła z wyrokiem.

Gdyby w tym pokoju byli jacyś ludzie, przeprosiliby Galena za poruszenie tak bolesnego tematu. My nie dbamy o takie sprawy. Gdyby Galen cierpiał, coś by powiedział, i dopiero wtedy byśmy się przejęli. Ale skoro się nie skarżył, nie myśleliśmy o tym.

- Potraktuj Niceven jak królową, jak równą sobie. To ją mile połączce - poradził mi Doyle.

- Ona jest krwawym motylem. Nigdy nie będzie równa księżniczce sidhe zaprotestował Mróz. Jego przystojna twarz była poważna i wyniosła jak zawsze.

- Moja prababka była skrzatem - powiedziałam łagodnym tonem, by nie pomyślał, że go strofuję. Nie znosił najmniejszych słów krytyki. Zdawał się nieczuły, ale wiedziałam już, że tak naprawdę jest jednym z najbardziej wrażliwych strażników.

- Skrzaty to przydatni członkowie społeczności faerie. Mają długą i szanowaną historię. Co innego krwawe motyle: te są pasożytami. Zgadzam się z Galenem: to zwierzęta.

Zastanawiałam się, co mógłby jeszcze na ten temat powiedzieć. Jakich innych członków społeczności faerie pozbyłby się z miejsca?

- Nic w Krainie Faerie nie jest zbędne - stwierdził Doyle. - Wszystko ma swój cel i swoje miejsce.

- A jakiemu celowi służą krwawe motyle? - spytał Mróz.

- Już o tym mówiliśmy. Są esencją faerie. Gdyby odeszły, Dwór Unseelie zaczęłby zmniejszać się jeszcze szybciej, niż się to dzieje teraz.

Skinęłam głową, wstając, by wstawić swój talerz do zlewu.

- Mój ojciec w to wierzył, a to, w co wierzył, zawsze okazywało się prawdą.

- Essus był bardzo mądrym człowiekiem - przyznał Doyle.

- Tak - powiedziałam. - Był.

Galen wziął ode mnie talerz.

- Ja posprzątam.

- Ty przygotowałaś obiad. Nie powinieneś jeszcze do tego sprzątać.

- Obecnie do innych rzeczy raczej się nie nadaję. - Uśmiechnął się, kiedy to mówił, ale tego uśmiechu

nie było widać w jego oczach.

Miałam wolne ręce, więc dotknęłam jego twarzy.

- Zrobię, co będę mogła.

- Tego się właśnie obawiam - powiedział cicho. - Nie chcę, żebyś się zadłużyła u Niceven, nie dla mnie. To nie jest wystarczający powód, żeby mieć wobec niej jakiegokolwiek zobowiązania.

Zmarszczyłam brwi i odwróciłam się w stronę pokoju.

- Dlaczego nazywasz krwawe motyle zwierzętami? Nie pamiętam, żeby przed opuszczeniem przeze mnie dworu miały aż tak złą reputację.

- Niceven i jej poddani stali się czymś więcej niż szpiegami królowej czy Cela. Trudno szanować coś, czym jest się bez przerwy straszonym.

- Nie rozumiem. Wszyscy przecież mówiliście, że krwawe motyle nie są zagrożeniem.

- Ja tak nie powiedziałem - zaprotestował Doyle. - To, co zrobiły Galenowi, to nie był pierwszy tego rodzaju wypadek, chociaż nigdy jeszcze nie były tak... bezwzględne.

Galen odwrócił się i zaczął krzątać się przy zlewie, opłukując talerze i wkładając je do zmywarki. Zdawał się robić więcej hałasu, niż to było konieczne, jakby nie chciał już słyszeć tej rozmowy.

- Wiesz, że za wejście w drogę królowej można zostać zesłanym do Korytarza Śmierci na tortury u Ezekiela.

- Tak.

- Obecnie woli nam czasami grozić oddaniem w szpony krwawych motyli. W wyniku tego dwór Niceven został zredukowany do roli kolejnego zbiorowiska potworów, które można wyciągnąć z ciemności i wysłać w celu dręczenia innych.

- A slugh? - spytałam. - Mają dwór i własną tradycję. A są jedną z największych gróźb w arsenale Unseelie od tysiąca lat.

- O wiele dłużej - sprostował Doyle.

- Ale nie zostali zredukowani do roli oprawców.

- Slugh są tym, co pozostało z oryginalnego Dworu Unseelie. Byli Unseelie, zanim ukuto jeszcze takie określenie. To nie oni dołączyli do nas, tylko my do nich. Jednak bardzo niewielu z nas teraz o tym pamięta.

- Zgodziłbym się raczej się z tymi, którzy twierdzą, że to slugh są esencją Dworu Unseelie i jeśli odejdą, wymrzemy - powiedział Mróz. - To w nich, a nie w krwawych motylach, tkwi prawdziwa moc Krainy Faerie.

- Tego nikt nie wie na pewno - zaproponował Doyle.

- Nie sądzę, żeby królowa podjęła ryzyko przekonania się o tym na własnej skórze powiedział Rhys.

- Co to, to nie - przyznał Doyle.

- To oznacza, że krwawe motyle zajmują podobną pozycję jak slugh - powiedziałam.

Doyle spojrzał na mnie.

- Wyjaśnij to. - Ciężar jego mrocznego spojrzenia sprawił, że o mało nie zaczęłam się wiercić. Opanowałam się jednak. Nie byłam już dzieckiem, żeby się bać tego wysokiego czarnego mężczyzny.

- Królowa zrobiłaby niemal wszystko, żeby zatrzymać slugh przy sobie, ale czy nie można tego samego powiedzieć o krwawych motylach? Gdyby się naprawdę bała, że ich odejście przyspieszy upadek Unseelie, czy nie zrobiłaby wszystkiego, żeby je zatrzymać na swoim dworze?

Doyle wpatrywał się we mnie przez dłuższy czas.

- Być może - powiedział w końcu. Przechylił się w moim kierunku, opierając się rękami o prawie pusty stół. - Galen i Mróz mają rację co do jednego. Niceven nie reaguje jak sidhe. Przywykła do wykonywania poleceń królowej. Musimy sprawić, żeby myślała o tobie tak jak o niej.

- To znaczy? - spytałam.

- Musimy jej na każdym kroku przypominać, że jesteś dziedziczką Andais.

- Nadal nie rozumiem.

- Kiedy Cel kontaktuje się z krwawymi motylami, jest synem swojej matki. Jego żądania są zwykle tak samo krwawe jak żądania Andais. Ale ty prosisz o uzdrowienie, o pomoc. To stawia cię automatycznie w gorszej sytuacji.

- Dobrze, rozumiem, ale co w związku z tym możemy zrobić?

- Połóż się z nami na łóżku. Przystrój się nami dla efektu tak, jak zrobiłaby to królowa. Dzięki temu będziesz wyglądała na potężną, bo Niceven niczego tak nie zazdrości królowej, jak jej stadka mężczyzn.

- Czy Niceven nie ma w czym wybierać pośród krwawych motyli?

- Nie, ma troje dzieci z jednym samcem i on jest jej królem. Nie może się od niego uwolnić.

- Nie wiedziałem, że krwawe motyle mają króla - powiedział Rhys.

- Niewielu wie. Jest królem tylko z nazwy.

Nagle poraziła mnie pewna myśl. Cudownie było spać ze wszystkimi strażnikami. Gorzej - być zmuszoną do poślubienia jednego z nich tylko z powodu dziecka...

A jeśli ojcem zostałby ktoś, kogo nie szanuję? Myśl o Nicce przywiązany do mnie na zawsze była przerażająca. Był uroczy, ale nie był na tyle silny, by mi pomóc jako król. W rzeczywistości zamiast nieść pomoc, stałby się ofiarą. To mi przypomniało, że miałam o coś zapytać.

- Czy Nicca nadal pracuje jako ochroniarz?

- Tak - odparł Doyle - przejął zadanie Mroza.

- A co powiedziała klientka na zmianę ochroniarza?

Doyle spojrział na Mroza, a ten wzruszył ramionami.

- Ona nie jest w prawdziwym niebezpieczeństwie. Chce mieć tylko za plecami wojownika sidhe, żeby pokazać, że jest wielką gwiazdą. Jeden wojownik sidhe nie różni się dla niej od drugiego.

- A jak daleko będziemy musieli się posunąć w przypadku Niceven? - spytałam.

- Tak daleko, żebyś nie czuła się skrępowana - odpowiedział.

Uniosłam brwi i spróbowałam pomyśleć.

- Nie dołączaj mnie do tego widowiska - powiedział Galen. - Nie chcę widzieć żadnego z tych zwierząt, nawet z daleka. - Załadował zmywarę i uruchomił ją, po czym wrócił na swoje miejsce przy stole.

- To komplikuje sprawę - zauważyłam - Ty i Rhys jesteście jedynymi strażnikami, którym nie przeszkadza flirtowanie przy obcych. Zarówno Mróz, jak i Doyle przy innych są dosyć spięci.

- Dzisiaj wieczorem jestem gotów pomóc - zaofiarował się Doyle.

Mróz spojrział na niego.

- Dogadzałbyś Meredith na oczach tych stworzeń?

Doyle wzruszył ramionami.

- Jeśli to konieczne...

- Mogę być w łóżku, tak jak podczas niektórych widzeń z królową - powiedział Mróz

- ale nic poza tym.

- Twój wybór. Ale jeśli nie chcesz grać roli kochanka Meredith, nie psuj nam przedstawienia. Może powinieneś poczekać w salonie, kiedy my będziemy rozmawiać z tymi maleństwami?

Mróz zmrużył oczy.

- Powstrzymałeś mnie dzisiaj, kiedy chciałem pomóc Meredith. Zrobiłeś to dwa razy. Teraz sugerujesz mi, że bym nie był w jej łóżku, kiedy ty będziesz odgrywał rolę jej kochanka. Co będzie

dalej? Przerwiesz wreszcie swój celibat i wylądujesz z nią w łóżku?

- Mam prawo to zrobić.

Popatrzyłam na niego uważnie. Jego twarz była pusta, pozbawiona wyrazu. Czy właśnie zapowiedział mi, że będzie dziś dzielił ze mną łóżko, czy też tylko sprzeczał się z Mrozem?

Mróz wstał. Doyle dalej siedział przy stole.

- Sądzę, że powinniśmy pozwolić Meredith zdecydować, z kim dziś spędzi noc.

- Nie po to tu jesteśmy - powiedział Doyle - a po to, żeby uczynić Meredith brzemienną. Wy trzej mieliście na to trzy miesiące. I co? Żadnego rezultatu. Czy naprawdę chciałbyś pozbawić jej szansy na urodzenie dziecka i bycie królową, skoro doskonale wiesz, że jeśli Celowi się powie, a jej nie, będzie chciał jej śmierci?

Mróz zwiesił głowę.

- Nigdy nie życzyłem jej źle.

Zrobiłam krok do przodu i dotknęłam jego ramienia. Dotyk sprawił, że spojrzał na mnie. Jego spojrzenie było pełne bólu. Nagle zdałam sobie sprawę, że jest o mnie zazdrosny. Nie miał do tego prawa. Jeszcze nie. Jednak myśl o tym, że mogłabym już nigdy nie trzymać go w ramionach, była bolesna. Nie mogłam sobie pozwolić na takie myśli, podobnie jak on nie mógł sobie pozwolić na zazdrość.

- Mrozie... - zaczęłam. Nie wiem, co bym powiedziała, gdyby nagle w sypialni nie rozległo się dzwonięcie. Ten dźwięk niebezpiecznie przyspieszył mi tętno. Puściłam rękę Mroza. Staliśmy nieruchomo, patrząc na siebie, podczas gdy Rhys i Doyle podążyli w kierunku drzwi.

- Muszę już iść, Mrozie. - Chciałam przeprosić, ale tego nie zrobiłam. Ani on na to nie zasłużył, ani ja nie byłam mu tego winna.

- Pójdę z tobą - powiedział.

Rozszerzyłam ze zdumienia oczy.

- Dla mojej królowej gotów jestem zrobić to, czego nie zrobiłbym dla nikogo innego.

Wiedziałam, że w tej chwili nie ma na myśli Andais.

Rozdział 17

Kiedy Mróz i ja weszliśmy do pokoju, Doyle klęczał na bordowej narzucie, mówiąc do lustra.

- Oczyszczę obraz, gdy tylko księżniczka będzie z nami, królowo Niceven.

Kiedy weszłam na łóżko, zobaczyłam, że lustro zasnutę jest kłębam mgły. Doyle klęczał z boku. Rhys siedział za nami, przy wezgielcu, na stercie bordowych, fioletowych, fiołkowych, różowych i czarnych poduszek. Był nagi. Nie miałam pojęcia, jak zdążył się tak szybko rozebrać.

Mróz usiadł na łóżku przy moim drugim boku, tak że po jednej stronie miałam Doyle'a, a po drugiej jego.

Kapitan mojej straży machnął ręką i mgła rozproszyła się. Niceven siedziała na rzeźbionym drewnianym krześle, które miało w oparciu otwory na jej skrzydła. Królowa krwawych motyli ma trójkątną twarz i białą skórę. Jednak nie tak białą jak ja, Mróz czy Rhys. Jej biała skóra ma szarawy odcień. Tego wieczora białoszare loki miała wymyślnie upięte. Na górze głowy skrzył się zimnym blaskiem małeńki diamentowy diadem. Jej suknia była biała i powłóczysta. Mogłaby ukrywać całe ciało, gdyby nie to, że była całkowicie przezroczysta. Widziałam małe, spiczaste piersi, wystające żebra i drobne skrzyżowane nogi. Na nogach Niceven miała pantofle zrobione z płatków kwiatów. Obok niej siedziała biała mysz, tak duża przy niej, jak przy mnie owczarek niemiecki. Królowa głaskała ją po głowie.

Za nią stały trzy damy dwora, każda w sukni innego koloru, który pasował do blasku skrzydeł: różanoczerwonych, żonkilowożółtych i irysowofioletowych. Pierwsza miała włosy czarne, druga -

żółte, a trzecia - brązowe.

Niceven włożyła o wiele więcej wysiłku niż my w przygotowanie widowiska.

W swojej zielonej spódnicy wyglądałam w porównaniu z nią całkiem zwyczajnie. Ale nie przejmowałam się tym zbytnio. W końcu spotykałyśmy się w interesach.

- Królowo Niceven, to miło z twojej strony, że odpowiedziałas na nasze wezwanie.

- Szczerze mówiąc, księżniczko Meredith, czekałam na nie trzy miesiące. Twoja słabość do tego zielonego rycerza jest na dworze powszechnie znana. Jestem zaskoczona, że skontaktowanie się ze mną zajęło ci tyle czasu.

Była bardzo oficjalna. Zdałam sobie sprawę, że nie tylko w mowie. Miała na głowie diadem. Ja, przynajmniej na razie, nie mogłam poszczycić się posiadaniem korony. Siedziała na tronie, podczas gdy ja na łóżku, w zmiętej pościeli. Miała za sobą damy dwora niczym milczący grecki chór. I mysz, nie można o niej zapominać. Ja miałam tylko Doyle'a i Mroza po bokach, a za sobą Rhysa. Niceven od razu próbowała postawić mnie w niekorzystnej sytuacji.

- Prawdę mówiąc, szukaliśmy pomocy u uzdrowicieli, tutaj, w świecie śmiertelników. Dopiero ostatnio uznaliśmy, że jednak niezbędne jest skontaktowanie się z tobą.

- A więc przemawiał przez ciebie czysty upór, księżniczko.

- Być może. Więc wiesz dlaczego się odezwałam i czego sobie życzę”?

- Nie jestem wróżką z bajki, żeby spełniać życzenia, Meredith. - Opuściła mój tytuł, co było jawną zniewagą.

Świetnie, więc obie mogłyśmy być niegrzeczne.

- Nie da się ukryć, Niceven. Ale w każdym razie wiesz, czego chcę.

- Chcesz lekarstwa dla swojego zielonego rycerza - powiedziała, wiodąc jedną ręką po różowej krawędzi ucha myszy.

- Tak.

- Książę Cel usilnie prosił, żeby Galen pozostał okaleczony.

- Kiedyś mi powiedziałaś, że książę Cel jeszcze nie rządzi Dworem Unseelie.

- To prawda, ale nie ma całkowitej pewności, że dożyjesz zostania królową, Meredith.

- Znowu opuściła mój tytuł.

Doyle przysunął się plecami do Rhysa. Upewnili się obaj, że królowa ich dobrze widzi. I wtedy Rhys podniósł się z poduszek na kolana i ukazał się w pełnej krasie. Przekładał w rękach długi warkocz Doyle'a, aż dotarł do jego końca i zaczął rozwiązywać kokardę, która go trzymała w całości.

Niceven przeniosła na nich wzrok, po czym znów spojrzała na mnie.

- Co oni robią?

- Szykują się do łóżka - odparłam. Chociaż nie miałam pewności.

Zmarszczyła swe delikatne, szare brwi.

- Tam, gdzie jesteście, jest dopiero dziewiąta. Wieczór jest zbyt wczesny, żeby go marnować na spanie.

- Nie powiedziałam, że będą spać - wyjaśniłam spokojnym głosem.

Wciągnęła powietrze. Widziałam, jak jej filigranowa klatka piersiowa unosi się i opada. Starła się utrzymać wzrok na mnie, ale jej spojrzenie ciągle przeskakiwało na mężczyzn. Rhys rozplatał właśnie warkocz Doyle'a. Widziałam kapitana mojej straży z rozpuszczonymi włosami tylko raz. Wyglądały one wtedy jak jakaś ciemna, żywa peleryna spowijająca jego ciało.

Niceven obserwowała ich ukradkiem, zachowując ze mną znikomy kontakt wzrokowy. Nie byłam pewna, czy powodem jej zainteresowania były włosy Doyle'a czy nagość Rhysa. W to drugie wątpiłam, ponieważ nagość nie była taka niezwykła w Krainie Faerie. Chociaż nie mogłam

wykluczyć, że wpatruje się w twarde mięśnie brzucha Rhysa i to, co poniżej.

Mróz usiadł prosto, zdjął marynarkę i zaczął uwalniać się z szelek i kabury. Oczy Niceven zwróciły się na niego.

- Niceven - powiedziałam cicho. Musiałam powtórzyć jej imię jeszcze przynajmniej ze dwa razy, zanim na mnie spojrzała. - Jak mogę uleczyć Galena?

- Nie jest pewne, czy zostaniesz królową, a jeśli to księżę Cel zostanie królem, będzie miał mi za złe, że ci pomogłam.

- Ale jeśli jednak ja zostanę królową, będę miała ci za złe, że nie pomogłaś.

Uśmiechnęła się.

- Muszę więc znaleźć drogę między dwoma warczącymi na siebie psami. Pomogę ci, ponieważ wcześniej pomogłam Celowi. To wyrówna rachunki.

Pamiętałam krzyki Galena i ból w jego oczach przez ostatnie miesiące i nie wydawało mi się, by to wyrównywało cokolwiek. Nie sądziłam, by naprawienie tego, co zniszczyła, choćby zbliżało się do wyrównania rachunków. Ale uprawialiśmy tu politykę faerie, a nie terapię, więc nic nie powiedziałam. Milczenie nie jest kłamstwem. Grzechem zaniedbania owszem, ale nie kłamstwem.

- Jak mogę uleczyć Galena? - spytałam ponownie.

Pokręciła głową, błyskając diamentami w diademie.

- Najpierw pomówmy o cenie. Co jesteś gotowa mi dać w zamian za wyleczenie swojego zielonego rycerza?

Mróz i Doyle zbliżyli się do mnie niemal jednocześnie.

- Wdzięczność królowej Unseelie. To powinno ci wystarczyć - powiedział Mróz głosem tak lodowatym jak jego przydomek.

- Ona jeszcze nie jest królową, Zabójczy Mrozie. - Głos Niceven pełen był gniewu. Słysząc w nim było zadawnioną urazę. Czyżby mieli jakieś stare porachunki?

Zobaczyłam, że Doyle wyciąga rękę w kierunku Mroza. Powstrzymałam go spojrzeniem. Tego wieczoru było między nimi napięcie. Nie wyglądalibyśmy na silnych, kłócąc się między sobą. Doyle pozostał przy mnie, patrząc tylko na niego. To spojrzenie wcale nie było przyjazne.

Dotknęłam ramienia Mroza. Drgnął, napinając mięśnie i patrząc na kapitana mojej straży. Dopiero po chwili zdał sobie sprawę, że to ja. Cicho, powoli wypuścił powietrze i przesunął się odrobinę za mnie.

Odwróciłam się do lustra i dostrzegłam spojrzenie Niceven, przenikliwe, uważne. Spodziewałam się, że coś powie, ale tego nie zrobiła. Siedziała tylko i czekała.

- Czego Niceven, Królowa Krwawych Motyli chciałaby od Księżniczki Meredith z Dworu Unseelie w zamian za uzdrowienie jej rycerza? - Celowo umieściłam oba nasze tytuły w jednym zdaniu, akcentując to, że ona jest królową, a ja nie. Miałam nadzieję, że złagodzę nieco wrażenie wywołane wybuchem Mrozą.

Przez kilka uderzeń serca wpatrywała się we mnie. Potem nieznacznie skinęła głową.

- A co Księżniczka Meredith z Dworu Unseelie mogłaby mi zaoferować?

- Kiedyś powiedziałaś, że dałabyś wiele za dłuższy łyk mojej krwi.

Wyglądała na kompletnie zaskoczoną. Kiedy już zdołała nad sobą zapanować, powiedziała:

- Krew jak krew, księżniczko. Dlaczego miałaby mnie obchodzić?

- Mówiłaś, że smakuję magią i seksem. Czyżbyś już zapomniała ten smak, królowo Niceven? - Spuściłam wzrok. - Czy to tak mało dla ciebie znaczyło? - Wzruszyłam ramionami, a moje włosy, które sięgały już do ramion, opadły mi na twarz. Zza zasłony włosów, które błyszcząły jak rubiny, powiedziałam: - Jeśli krew następczyni tronu nic dla ciebie nie znaczy, to nie mam nic do

zaoferowania. - Zwróciłam twarz w jej kierunku, wiedząc, jaki efekt wywołują moje trójkolorowe, zielonozłote oczy w połączeniu z krwistokasztanowymi włosami i skórą jak alabaster. Dorastałam wśród istot, które posługiwały się urodą jak bronią. Nigdy nie śniło mi się, by to wykorzystywać przeciwko innym sidhe, ponieważ wszystkie były piękniejsze ode mnie, ale co innego przeciwko Niceven.

Uderzyła małą dłonią w oparcie krzesła, tak mocno, że przestraszyła białą mysz.

- Jesteś godna swojej ciotki. Książę Cel nigdy nie panował nad urodą tak, jak robi to Andais, ani tak jak ty.

Złożyłam nieznaczny ukłon, ponieważ zawsze jest trudno uklonić się w pozycji siedzącej.

- Piękny komplement od uroczej królowej.

Uśmiechnęła się, pieszcząc mysz, i poprawiła się na krześle, co sprawiło, że jej prześwitująca suknia ukazała jeszcze więcej ciała, które ze szczupłego stało się chude jak szkielet. Wyglądała teraz jak małe, zagłodzone zwierzątko. Ale ona uważała się za piękną, więc nie mogłam dać po sobie poznać, że myślę inaczej.

Mróz pozostawał nieruchomy. Zdjął pas, szelki i kaburę, marynarkę, ale nic poza tym. Nawet buty miał wciąż na nogach. Nie zamierzał się rozebrać w obecności Niceven.

Doyle za to był już nagi do pasa. W jego lewym sutku błyszczał srebrny kolczyk. Rhys dalej rozplatał jego gęste, czarne włosy, jakby wygładzał tren sukni.

Mężczyźni poruszali się wokół mnie jak damy dworu szykujące się do łóżka. Celowo nie wtrącali się do mojej rozmowy z Niceven. Miało to oznaczać, że sama podejmuję decyzje. Gdybyż to jeszcze była prawda!

Wydełam czerwone jak róża usta.

- Łyk mojej krwi za wyleczenie mojego rycerza, zgoda?

- Bardzo łatwo oddajesz swój płyn życia, księżniczko.

- Oddaję to, co do mnie należy.

- Książę sądzi, że należy do niego cały dwór.

- Ja z kolei wiem, że należy do mnie tylko ciało, które zamieszkuję. Twierdzenie, że należy do mnie coś jeszcze, byłoby wyrazem pychy.

Królowa roześmiała się.

- Czy wrócisz do domu, żebym mogła się pożywić?

- A czy zgadzasz się w zamian za to wyleczyć mojego rycerza?

Skinęła głową.

- Zgadzam się.

- A ile byłoby warte karmienie cię moją krwią raz w tygodniu?

Poczułam napięcie mężczyzn za mną. Nagle atmosfera w pokoju stężała. Uważałam, by na nich nie patrzeć. Byłam księżniczką i nie potrzebowałam pozwolenia swoich strażników na zrobienie czegokolwiek. Albo rządziłam, albo nie.

Oczy Niceven zwęziły się w blade płomyczki.

- Co to znaczy karmienie raz w tygodniu?

- Dokładnie to, co powiedziałam.

- Dlaczego miałabyś mi składać cotygodniową daninę z krwi?

- Dla sojuszu między nami.

Mróz przysunął się do mnie.

- Meredith, nie...

Miał zamiar powiedzieć coś niefortunnego i wszystko popsuć. Miałam załączki pomysłu i to dobrego.

- Nie, Mrozie - powiedziałam - to nie ty mówisz mi „nie”. To ja mówię tobie „nie” albo „tak”. Nie zapominaj o tym. - Posłałam mu spojrzenie, które mówiło: „Zamknij się, zanim wszystko spieprzysz”. Zagryzł wargi, ewidentnie niezadowolony i usiadł nadąsany. Ale przynajmniej nic już nie mówił. Usłyszałam, jak Doyle głośno wciąga powietrze, i spojrzałam na niego. Jedno spojrzenie wystarczyło. Nieznacznie skinął głową. Rhys zaczął rozczesywać jego długie włosy. Przez chwilę wpatrywałam się z zachwytem w swoich dwóch strażników. Chrząknięcie Doyle’a przywróciło mnie do rzeczywistości. Spojrzałam z powrotem w lustro.

Niceven roześmiała się. Ten dźwięk przypominał dzwonienie malutkich dzwoneczków, które były pęknięte i teraz brzmiały nieczysto.

- Przepraszam za chwilę nieuwagi, królowo Niceven.

- Gdyby na mnie czekała taka nagroda, skróciłabym tę rozmowę.

- A gdyby czekała na ciebie nagroda w postaci mojej krwi? Co wówczas? Spoważniała.

- Jesteś uparta. To niepodobne do sidhe.

- W moich żyłach płynie krew skrzatów, a one są o wiele bardziej uparte od sidhe.

- Jesteś również człowiekiem.

Uśmiechnęłam się.

- Ludzie są jak sidhe: jedni są bardziej uparci, inni mniej.

Nie odpowiedziała mi uśmiechem.

- Za łyk twojej krwi wyleczę twojego rycerza, ale to wszystko. Jeden łyk, jedno uzdrowienie, i jesteśmy kwita.

- Za jeden łyk mojej krwi król goblinów Kurag stał się moim sojusznikiem na sześć miesięcy. Uniosła delikatne brwi.

- To sprawa pomiędzy goblinami a sidhe. My jesteśmy krwawymi motylami. Nie wypowiadamy wojen. Nie wyzywamy na pojedynki. Pilnujemy naszych spraw. Inni niech pilnują swoich.

- Zatem odrzucasz sojusz?

- Uważam, że ostrożność jest lepsza od bohaterstwa, nieważne, jak smaczna byś była. W negocjacjach zawsze na początku powinno się być miłym. Jeśli to nic nie daje, trzeba zmienić taktykę.

- Wszyscy dają ci spokój, królowo Niceven, ponieważ uważają cię za zbyt małą, żeby się tobą przejmować.

- Księżę Cel uznał, że jestem wystarczająco duża, żeby pokrzyżować ci plany dotyczące zielonego rycerza. - W jej głosie słychać było pierwsze oznaki gniewu.

- Tak, a co ci zaproponował za tę robótkę?

- Zasmakowanie ciała sidhe, ciała rycerza i jego krwi. Tamtej nocy ucztowaliśmy, księżniczko.

- Zapłacił ci cudzą krwią, podczas gdy jego ciało jest pełne krwi, która tylko trochę ustępuje krwi królowej. Czy kiedykolwiek próbowałaś królewskiej krwi?

Niceven wyglądała na zdenerwowaną, niemal przerażoną.

- Królowa dzieli się nią tylko ze swoimi kochankami albo więźniami.

- Świadomość, że tak cenny dar się marnuje, musi nie dawać ci spokoju.

Niceven wydeła swoje małe srebrne wargi.

- Gdyby tylko zechciała wziąć któregoś z nas do łóżka, ale jesteśmy...

- Zbyt mali - skończyłam za nią.

- Zgadza się - wysyczała - tak, zawsze za mali. Za mali, żeby zawrzeć z nami sojusz. Za mali, żeby wykorzystać do czegoś więcej niż tylko do szpiegowania. - Maleńkie, blade dłonie zacisnęły się w

pięści. Biała mysz czmychnęła od niej, jakby wiedziała, co się święci. Nawet damy dworu stojące za jej tronem wzdrygnęły się jak od poddmuchu lodowatego wiatru.

- A teraz wykonujesz brudną robotę dla jej syna - powiedziałam. Mój głos był prawie miły.

- Przynajmniej on nas docenił. - Gniew tej małej, delikatnej osóбки był przerażający. Wściekłość sprawiła, że wydawała się większa, niż była w rzeczywistości. Iście królewski gniew.

- Ofiarowuję ci to, czego nie otrzymasz ani od królowej, ani od księcia.

- To znaczy co?

- Królewską krew, krew władczyni Dworu Unseelie. Zawrzyj ze mną sojusz, królowo Niceven, a posmakujesz tej krwi. Nie tylko raz, ale po wielekroć.

Jej oczy znowu stały się wąskimi szparkami, gorejącymi ogniem zimniejszym od diamentów na jej diademie.

- Co każda z nas zyskałaby na takim sojuszu?

- Ty zyskałabyś pomoc moich sojuszników.

- Gobliny mają z nami mało wspólnego.

- A sidhe?

- Co „sidhe”?

- Jako sojusznik następczyni tronu zyskałabyś na znaczeniu. Już by cię nie odrzucali, ponieważ obawialiby się, że możesz mi o tym powiedzieć.

Nie odrywała ode mnie wzroku.

- A co ty zyskałabyś na takim sojuszu?

- Szpiegowałabyś zarówno dla mnie, jak i dla królowej.

- A Cel?

- Dla niego przestałabyś szpiegować.

- Nie spodoba mu się to.

- Nie musi. Jeśli byłabyś moim sojusznikiem, zranienie ciebie równałoby się znieważeniu mnie.

Jestem pod ochroną królowej. Skrzywdzenie mnie teraz jest równoznaczne z wyrokiem śmierci.

- No, dobrze. On mnie rani, a wtedy wkraczasz ty. I co dalej?

- Grożę, że zabiorę twój cały dwór do siebie, do Los Angeles.

Wzdrygnęła się.

- Nie mam ochoty przenosić się do miasta ludzi. - Zabrzmiało to tak, jakby ludzie mieli tylko jedno miasto.

- Mogłabyś mieszkać w ogrodach botanicznych, na otwartej przestrzeni. Jest tu dla ciebie miejsce, Niceven, przysięgam.

- Ale ja nie chcę opuszczać dworu.

- Tam, gdzie krwawe motyle, tam i faerie.

- Większość sidhe o tym nie pamięta.

- Mój ojciec zatroszczył się o to, żebym poznała historię wszystkich istot magicznych. Krwawym motylom najbliżej do najbardziej elementarnej mocy faerie, tej mocy, która czyni nas różną od ludzi. Nie jesteś leprikonem ani pixie, żeby uschnąć i umrzeć ze smutku za faerie. Ty jesteś esencją faerie. Czyż nie jest powiedziane, że dopóki żyją krwawe motyle, żyją i inne istoty magiczne?

- Przesąd - powiedziała.

- Być może, ale bez was Dwór Unseelie stanie się osłabiony. Cel może o tym nie pamiętać, ale królowa będzie. Jeśli Cel znieważy cię tak, że spakujesz manatki, królowa zainterweniuje.

- Rozkaże nam zostać.

- Nie może rozkazywać innemu monarsze. Tak stanowi nasze prawo.

Niceven wyglądała na zdenerwowaną. Bała się Andais. Wszyscy się jej bali.

- Nie chciałam rozgniewać królowej.

- Ani ja.

- Naprawdę sądzisz, że królowa ukarałaby własnego syna, a nie skierowała całego gniewu na nas? - Znowu skrzyżowała nogi, ręce złożyła na piersi, zapominając o flirtowaniu i o królewskiej godności.

- Gdzie jest teraz Cel? - spytałam.

Niceven zachichotała, najbardziej nieprzyjemnym z chichotów.

- Został skazany na sześć miesięcy. Niektórzy stawiają na to, że nie wytrzyma psychicznie sześciu miesięcy izolacji i cierpienia.

Wzruszyłam ramionami.

- Powinien był pomyśleć o tym, zanim się tak niegrzecznie zachował.

- Żartujesz sobie, ale jeśli Cel naprawdę zwariuje, to twoje imię będzie wykrzykiwał, ciebie będzie chciał zabić.

- Nie zamierzam się martwić na zapas.

- Co takiego?

- Tak się mówi w świecie ludzi. To znaczy, że zmierzę się z tym problemem we właściwym czasie.

Zdawała się przez chwilę myśleć intensywnie. Potem powiedziała:

- Jak zamierzasz rozwiązać sprawę krwi? Nie chciałam odbywać tygodniowej podróży między Krainą Faerie a Morzem Zachodnim.

- Mogłabym przesłać ci esencję swojej krwi za pomocą magii.

Pokręciła głową.

- To nie to samo.

- Co w takim razie proponujesz?

- Mogę wysłać do ciebie w zastępstwie jednego ze swoich ludzi.

Przez chwilę myślałam o tym, wyczuwając bezruch Mroza i słysząc szorstki, prawie rozdzierający odgłos szczotki, którą Rhys rozczesywał włosy Doyle'a.

- Zgoda. Wyjaw mi lekarstwo dla mojego rycerza i przyślij swojego zastępcę.

Roześmiała się, znów dzwoniąc niczym pęknięte dzwonki.

- Nie, księżniczko, lekarstwo dostaniesz od mojego zastępcy. Gdybym podała ci je przed zapłatą, mogłabyś się rozmyślić.

- Dałam ci słowo. Nie mogę go cofnąć.

- Za długo miałam do czynienia z sidhe, by wierzyć w to, że zawsze dotrzymujecie słowa.

- To jedno z naszych najsurowszych praw - powiedziałam. - Bycie wiarolomnym oznacza wygnanie.

- Chyba że masz przyjaciół na bardzo wysokich stanowiskach, którzy dopilnują, żeby wieści o twoim wiarolomstwie się nie rozniosły.

- O czym ty mówisz, królowo Niceven?

- O tym, że królowa bardzo kocha swojego syna i żeby go ocalić, złamała niejedyn zakaz.

Popatrzyłyśmy na siebie i wiedziałam już, że Cel musiał składać obietnice i je łamać. Już samo to powinno go uczynić wyrzutkiem i w sposób oczywisty pozbawić go prawa do tronu. Andais zawsze go psuła, ale nie zdawałam sobie sprawy z tego, jak bardzo.

- Kiedy możemy oczekiwać twojego zastępcy? - spytałam.

Zdawała się to rozważać, kiedy sięgała ręką w kierunku przyczajonej myszy. Podpełzła do niej, poruszając długimi wąsami, z nastawionymi uszami, jakby nadal nie była pewna przywitania.

Królowa delikatnie ją pogłaskała.

- Za kilka dni - powiedziała.

- Nie zawsze jesteśmy w domu. Nie chciałabym, żeby twój wysłannik pocałował klamkę.

- Zostaw wazon kwiatów pod drzwiami, to mu wystarczy.

- To będzie on?

- Sądzę, że on zadowoliliby cię bardziej niż ona, nieprawdaż?

Skinęłam głową, choć wcale nie byłam pewna, czy ma to dla mnie znaczenie. Nie miałam uprawiać seksu, tylko dzielić się krwią, a w tym ostatnim wypadku nie miałam określonych preferencji; przynajmniej tak mi się zdawało.

- Wierzę w mądrość wyboru królowej.

- Piękne słowa, księżniczko. Pozostaje czekać, czy za tymi pięknymi słowami pójdą czyny. - Jej wzrok skierował się z powrotem na mężczyznę i zatrzymał się na Rhysie i Doyle'u. - Miłych snów, księżniczko.

- Nawzajem, królowo Niceven.

Cień przebiegł jej po twarzy, co sprawiło, że wyglądała na jeszcze szczuplejszą.

- Moje sny to moja sprawa, księżniczko - powiedziała oschłym tonem.

- Nie chciałam cię urazić.

- Nie wzięłam sobie tego do serca, księżniczko, to tylko zazdrość unosi swoją wstrętną głowę. - Ledwo wypowiedziała te słowa, lustro stało się czyste i gładkie.

Siedziałam, wpatrując się we własne odbicie. Potem przeniosłam wzrok na swoich strażników. Rhys w dalszym ciągu rozczesywał włosy Doyle'a. Mróz siedział nieruchomo, patrząc na moje odbicie w lustrze. Kiedy nasze oczy się spotkały, odwrócił wzrok. Pozostali dwaj zdawali się nie zwracać na mnie uwagi.

- Nie ma już Niceven. Możecie przestać udawać - powiedziałam.

- Jeszcze nie skończyłem - odparł Rhys, po czym dodał: - Dlatego właśnie przestałem nosić włosy długie do kostek. Prawie niemożliwe jest dbać o nie samemu. - Oddzielił kolejny kosmyk włosów, unosząc go w jednej ręce, i zaczął czesać następny.

Doyle milczał, kiedy Rhys pracował nad jego fryzurą z miną zaaferowanego dziecka. Nic więcej dziecięcego w nim nie było, kiedy tak klęczał nago, otoczony morzem czarnych włosów i kolorowych poduszek. Jego ciało było umięśnione, blade, błyszczące. Z wyglądu był uroczy, ale nie podniecający. W wypadku sidhe nagość nie musi być ściśle związana z seksem.

Mróz wykonał nieznaczny ruch, który zwrócił na niego moją uwagę. Jego oczy były szare jak niebo tuż przed burzą. Był wściekły; ukazywała to jego twarz, napięcie ramion, to, jak siedział: ostrożnie, nieruchomo, a równocześnie z trudem nad sobą panując.

- Przepraszam, jeśli cię zdenerwowałam, ale wiedziałam, co robię.

- Dałaś niezwykle jasno do zrozumienia, że ty rządysz, a ja tylko słucham powiedział ostrym głosem. Westchnęłam. Było wcześniej, ale miałam za sobą długi dzień. Byłam zbyt zmęczona, by się z nim spierać. Zwłaszcza że nie miał racji.

- Nie mogę sobie teraz pozwolić na to, żeby okazywać słabość. Nawet Doyle powstrzymuje się od wyrażania publicznie swoich opinii.

- Popieram wszystko, co dzisiaj zrobiłaś - powiedział Doyle.

- Miło mi to słyszeć - odparłam.

Popatrzył na mnie spokojnie. Większość ludzi odwróciłaby wzrok albo się wzdrygnęła. Ja jednak wytrzymałam jego spojrzenie. Miałam już dosyć tych gier. To, że jestem w nich dobra, nie znaczy, że mnie bawią.

- Nie chcę już żadnej próby sił. Wystarczy jak na jeden dzień. Dalej wpatrywał się we mnie tymi swoimi czarnymi oczami.

- Wystarczy - powiedział do Rhysa. - Muszę porozmawiać z Meredith.

Rhys zamarł w bezruchu ze szczotką w ręku.

- Sam na sam - dodał Doyle.

Mróz drgnął nerwowo. To bardziej jego reakcja niż słowa Doyle'a kazały mi się domyślić, że chodzi o coś więcej niż rozmowę.

- Dziś wypada moja noc z Meredith - powiedział.

- Gdyby to był Rhys, faktycznie musiałby poczekać na swoją kolej, ale mnie ominęło już tyle kolejek, że mam prawo prosić o ten wieczór - odparł Doyle.

Mróz zerwał się na równe nogi.

- Najpierw nie dajesz mi jej pomóc, teraz pozbawiasz mnie mojej nocy w jej łóżku. Oskarżyłbym cię o zazdrość, gdybym cię lepiej nie znał.

- Możesz mnie oskarżyć, o co chcesz, ale wiesz, że nie jestem zazdrosny.

- Ale o coś ci chodzi i to coś ma związek z naszą Merry.

Doyle westchnął ciężko.

- Być może myślałem, że trzymając się z dala od łóżka księżniczki, zaintryguję ją. Dziś przekonałem się jednak, jak łatwo można stracić uczucie kobiety.

- Mów jaśniej.

Doyle nadal klęczał, półnagi, z rękami spoczywającymi na udach, otoczony morzem czarnych włosów. Srebrny kolczyk w jego sutku błyszczał, kiedy oddychał. Włosy przykryły wszystkie inne kolczyki, więc tylko ta srebrna iskierka przykuwała wzrok.

- Nie jestem ślepy, Mrozie - powiedział Doyle. - Widziałem, jak ona na ciebie patrzy w vanie, ty też to zresztą zauważyłeś.

- Ty naprawdę jesteś zazdrosny.

Pokręcił głową.

- Nie, ale ty miałeś już swoje trzy miesiące. I co? Dziecka jak nie było, tak nie ma. Ona jest księżniczką, przyszłą królową. Nie może sobie pozwolić na oddanie serca osobie, za którą nie wyjdzie.

- Więc postanowiłeś wkroczyć i skraść jej serce. - W głosie Mroza było więcej emocji niż zazwyczaj.

- Nie, ale uzmysłowię jej, że ma wybór. Powinienem był zrobić to już wcześniej.

- Liczysz na to, że Meredith w twoich ramionach zapomni o mnie. Czy nie o to ci chodzi?

- Nie jestem aż tak arogancki. Powiedziałem, że zdałem sobie sprawę, jak łatwo można stracić uczucie kobiety. Ja straciłem je, kładąc jej tak długo czekać. Jeśli nie chcę, żeby Meredith całkiem straciła głowę dla ciebie albo Galena, muszę zacząć działać już teraz. Potem będzie za późno.

- A co Galen ma z tym wspólnego? - spytał Mróz.

- Jeśli musisz o to pytać, to jesteś ślepy - odparł Doyle.

Mróz wyraźnie się zmieszał. Wreszcie zmarszczył brwi i pokręcił głową.

- Nie podoba mi się to.

- Nie musi - powiedział Doyle.

Miałam już tego wszystkiego dosyć.

- Rozmawiacie, jakby mnie tu nie było albo jakbym nie miała nic do powiedzenia zauważyłam.

Doyle odwrócił do mnie poważną twarz.

- Czy miałabyś coś przeciwko temu, bym dzielił dziś z tobą łóżko? - Zadał to pytanie takim beztróskim tonem, jakby składał zamówienie w restauracji albo rozmawiał z klientem, zupełnie jakby moja odpowiedź nie miała dla niego znaczenia.

Ale wiedziałam, że używał tego tonu, kiedy czuł wszystko, tylko nie obojętność. To był sposób chowania się przed emocjami: jeśli będziemy zachowywać się tak, jakby to nie miało znaczenia, to może nie będzie miało.

Spojrzałam na niego, na jego ramiona, pierś i koleczyk w jego sutku, płaski brzuch. Nigdy nie widziałam Doyle'a nagiego. Zawsze trzymał się z daleka od codziennych rozrywek dworu; podobnie zresztą jak i Mróz.

Spojrzałam na Mroza. Srebrne włosy miał spięte z tyłu, jego twarz była surowa, jeśli w ogóle coś tak pięknego można nazwać surowym. Marynarkę i kaburę z pistoletem przewiesił przez ramię. Znowu przywdział arogancką maskę, za którą tak często ukrywał się na dworze. To, że przywdział ją tu i teraz, przede mną, raniło moje serce.

Chciałam do niego podejść, objąć go, przytulić się do niego i powiedzieć: „Nie odchodź”. Chciałam czuć jego ciało przy moim. Chciałam się przebudzić w chmurze jego srebrnych włosów.

Podeszłam do niego, ale nie tak blisko, jak bym chciała. Nie mogłam go dotykać. Bałam się, że jeśli to zrobię, to już go nie puszczę.

- Mam dziś okazję zaspokoić ciekawość moją i dam dworu.

Odwrócił się ode mnie, więc nie widział mojej twarzy.

- Życzę dobrej zabawy - powiedział, ale nie zabrzmiało to szczerze.

- Pragnę cię.

Zaskoczony odwrócił się do mnie.

- Chcę, żebyś wiedział, że cały czas cię pragnę. Moje ciało cierpi, kiedy nie ma cię przy mnie. Do dzisiaj nie zdawałam sobie sprawy, co to znaczy. Tę noc muszę jednak spędzić z Doyle'em.

Uniósł dłoń, by dotknąć mojej twarzy, ale zatrzymał się tuż przy samej skórze.

- Doyle ma rację... Będiesz królową. Pamiętaj jednak, że nie możesz być taka jak inni władcy.

Musisz być królową dla wszystkich.

Przyłożyłam twarz do jego dłoni i przeszedł mnie dreszcz. Zabrał rękę i wytarł ją o spodnie, jakby ją czymś ubrudził.

- Do jutra, księżniczko.

Skinęłam głowę.

- Do jutra, mój... - Nie dokończyłam ze strachu, jakiego słowa mogłabym użyć.

Odwrócił się bez słowa i wyszedł, trzaskając głośno drzwiami.

Szmer w pokoju kazał mi się odwrócić. Rhys przesunął się na drugą stronę łóżka pod oknem i podnosił ubrania leżące na podłodze.

- Nic tu po mnie - powiedział. - Pierwszej nocy powinniście zostać sami.

- We trójkę jeszcze tego nie próbowałem - zauważył Doyle.

Rhys roześmiał się.

- Tak właśnie myślałem. - Pozbierał wszystkie swoje rzeczy i skierował się do wyjścia.

- Mógłby mi ktoś pomóc z drzwiami? - Zdałam sobie nagle sprawę, że czuje się opuszczony. Obnosił się ze swoimi wdziękami, a ja go ignorowałam. U istot magicznych to śmiertelna zniewaga.

Podeszłam do niego. Stałam na palcach, by go pocałować. Jedną rękę trzymałam za jego głowę, dotykając włosów na jego szyi, drugą sunęłam w dół jego ciała. Pokazałam mu oczami, jaki jest piękny.

Uśmiechnął się i spojrzał na mnie nieśmiało. Ta nieśmiałość była udawana, wiedziałam jednak, że sprawiłam mu przyjemność.

Oparłam się o niego czołem. Bawiłam się włosami na karku, a on drżał pod moim dotykiem. W końcu stanęłam na stopach, otworzyłam drzwi i odsunęłam się, by mógł przejść.

Rhys pokręcił głową.

- Tak w jej rozumieniu wygląda całus na dobranoc - powiedział do Doyle'a klęczącego na łóżku. - Bawcie się dobrze, dzieci. - Jednak jego poważna mina nie pasowała do kpiącego tonu. Podał mi szczotkę i wyszedł. Zamknęłam za nim drzwi i nagle dotarło do mnie, że jestem sama z Doyle'em. Doyle'em, którego nigdy jeszcze nie widziałam nagiego. Doyle'em, który mnie przerażał, kiedy byłam dzieckiem. Doyle'em, który był prawą ręką królowej od tysiąca lat. Pilnował mojego bezpieczeństwa, chronił mnie, ale jakoś nigdy nie był naprawdę mój. Po prostu nie mógł być naprawdę mój, dopóki nie dotknęłam jego czarnego ciała, nie zobaczyłam go nagiego. Nie byłam pewna, dlaczego to dla mnie takie ważne, ale tak było. Nie sypiał ze mną, jakby chciał zachować sobie jakieś dodatkowe możliwości. Jakby był przekonany, że będąc ze mną, zostanie ich pozbawiony. Co nie było prawdą. Byłam z moim pierwszym narzeczonym Griffinem przez siedem lat i miał naprawdę wiele możliwości. Niestety, nie byłam żadną z nich. Seks ze mną nie był dla niego doświadczeniem odmieniającym życie. Dlaczego z Doyle'em miałoby być inaczej?

- Meredith. - Wymówił moje imię i nagle jego głos stracił obojętność. Słysząc w nim było teraz niepewność i nadzieję. Wymówił moje imię raz jeszcze, a ja odwróciłam się do łóżka i zobaczyłam, że czeka na mnie, leżąc w bordowej pościeli.

Rozdział 18

Usiadł na boku łóżka najbliżej lustra, najbliżej mnie. Był prawie niewidoczny za zasłoną czarnych włosów. U niemal wszystkich wojowników sidhe, jakich znam, jest jakiś kontrast między włosami, skórą a oczami; Doyle jest jednobarwny, jakby został wyrzeźbiony z jednego kawałka drewna. Rozpuszczone włosy spływały po nim czarną chmurą, a hebanowa skóra prawie pod nimi ginęła. Bardzo długi lok opadał mu na twarz, a czarnych oczu nie było widać w ciemności. Uniósł rękę, by założyć kosmyk za ucho. Kolczyki zamigotały jak gwiazdy na nocnym niebie.

Podeszłam do przodu i oparłam się nogami o łóżko. Poczułam jego włosy uwięzione między moimi nogami a materacem. Odwrócił głowę i poczułam, jak jego włosy się przesuwają. Nacisnęłam mocniej, przytrzymując je.

Skierował na mnie wzrok, a w jego oczach były kolory, których próżno było szukać w tym pokoju: niebieski, biały, żółty, zielony, czerwony i fioletowy, a także barwy, których nazw nie znam. Wirowały i tańczyły w powietrzu, i przez chwilę miałam wrażenie, jakby latały dookoła mnie, owiewając mnie delikatnymi podmuchami, jakbym dostała się w środek chmary motyli; potem omdlałam, ale Doyle mnie złapał.

Doszłam do siebie w jego ramionach, siedząc mu na kolanach.

- Dlaczego? - spytałam, kiedy już mogłam mówić.

- Jestem siłą, z którą należy się liczyć, Meredith, i chciałbym, żebyś o tym pamiętała.

Król powinien mieć do zaferowania coś więcej niż tylko nasienie.

Przejechałam rękami po jego skórze i objęłam go za szyję.

- To brzmi jak autoreklama.

Uśmiechnął się.

- Wszyscy staramy się jak najlepiej przed tobą zaprezentować, Meredith. W porywie namiętności nie powinnaś zapominać, że wybierasz ojca dla swojego dziecka, króla dla dworu i kogoś, do kogo zostaniesz przywiązana na zawsze.

Ukryłam twarz w jego szyi. Jego skóra była ciepła w dotyku. Jego tętno pulsowało na mojej twarzy. Był tak ciepły, tak bardzo ciepły...

- Myślałam już o tym - powiedziałam.

Potarł szyją o moją twarz.

- I do jakich doszłaś wniosków?

Odsunęłam się, by popatrzeć mu w oczy.

- Że Nicca byłby na tronie katastrofą. Że Rhys jest cudowny w łóżku, ale nie widzę go jako króla. Że mój ojciec miał rację: Galen byłby w tej roli fatalny. Że na dworze jest wielu wojowników, których prędzej bym zabiła, niż związała się z nimi na całe życie.

Przyłożył usta do mojej szyi, ale nie do pocałunku. Przemówił do mojej skóry, delikatnie całując mnie słowami.

- Jest Mróz i... ja.

Dotyk jego ust sprawił, że zadrżałam, wijąc się na jego kolanach. Wciągnął gwałtownie powietrze, obejmując mnie w talii i trzymając za uda.

- Merry - wyszeptał, owiewając mnie ciepłym i gwałtownym oddechem i wpijając palce w skórę. W jego rękach była taka siła, jakby przy niewielkim wysiłku mógł zatopić palce w moim ciele i obracać mnie jak dojrzały, słodki owoc. Coś we mnie czekało na jego ręce, na to, by mnie otworzyły, na rozkosz, która wyleje się ze mnie na jego dłonie, jego ciało.

Unióś mnie, po czym rzucił na łóżko. Oczekiwałam, że przycisnie mnie sobą, ale tego nie zrobił. Stał nade mną na czworakach, niczym kobyła nad żrebakiem, choć w tym, jak na mnie spoglądał, nie było nic matczyne. Przerzucił włosy przez ramię. Jego skóra lśniła jak wypolerowany heban. Jego oddech był głęboki i szybki, kolczyk w sutku kołysał się i migotał.

Dotknęłam tego kolczyka, a Doyle mruknął niskim głosem, który przypominał warczenie dzikiej bestii. Obnażył białe zęby. To mruknięcie brzmiało jak ostrzeżenie.

Serce zaczęło mi szybciej bić, ale nie bałam się. Jeszcze nie. Pochylił głowę i warknął:

- Uciekaj!

Zamrugałam, serce podeszło mi do gardła.

Odrzucił głowę do tyłu i zawył. Włosy stanęły mi dęba i na sekundę wstrzymałam oddech, ponieważ znałam ten dźwięk.

To było czyste zło, wycie czarnych psów myśliwskich Dzikiego Gonu. Przybliżył do mnie twarz i powtórzył:

- Uciekaj!

Wyrwałam się spod niego, a on obserwował mnie tymi swoimi ciemnymi oczami, nieruchomy, ale napięty tak, że zdawało się, iż za chwilę podejmie jakieś gwałtowne działania, przestanie się hamować.

Przetoczyłam się pod okno. Błąd. Byłam teraz uwięziona między oknem a łóżkiem. Drzwi znajdowały się po drugiej stronie łóżka, za Doyle'em. Bawiłam się już kiedyś w polowanie. Wiele istot na Dworze Unseelie to lubi, ale traktują to jak zabawę, grę wstępną. Doyle patrzył na mnie tak wygłodniałym wzrokiem, że nie byłam pewna, czy nie podchodzi do tego zbyt poważnie.

- Nie... uciekasz - powiedział przez zaciśnięte zęby. Ruszył w moją stronę. Przeskoczyłam przez krawędź łóżka, przetoczyłam się i upadłam na podłogę przy drzwiach. Stałam już z ręką na klamce, kiedy uderzył we mnie z całym impetem. Drzwi się zatrzęsły, a moje ciało odbiło się od nich. Nie mogłam się oprzeć jego sile.

Krzyknęłam.

Oderwał mnie od drzwi i cisnął na łóżko. Próbowałam się przekręcić na bok, ale już był na mnie, przyciskając mnie do materaca. Przez jego spodnie czułam twardość jego członka.

Drzwi za nami otworzyły się. Do środka zajrzał Rhys. Doyle zawarczał na niego.

- Krzyczałaś? - spytał Rhys z poważną miną. W ręku trzymał pistolet. Nie mierzył z niego, zawsze jednak był to pistolet.

- Wyjdź! - warknął Doyle.

- Wyjdę na rozkaz księżniczki, nie twój. - Wzruszył ramionami. - Przepraszam. Dobrze się bawisz, Merry, czy... - Wykonał nieznaczny ruch pistoletem.

- Ja... nie jestem pewna - powiedziałam ochryplym głosem. Wszystko to mogło być podniecające, ale tylko pod warunkiem, że było zabawą.

Jego ręce na moich udach trzęsły się, całe ciało dygotało z wysiłku. Najwyraźniej nie chciał za wcześnie skończyć tego, co zaczął. Delikatnie dotknęłam jego twarzy. Przestraszył się, jakbym go zraniła, po czym odwrócił się i spojrzał na mnie. Spojrzenie jego oczu było ledwie ludzkie. Było jak spojrzenie tygrysa: piękne, obojętne, wygłodniałe.

- To tylko zabawa, Doyle, czy może zamierzasz mnie zagryźć? - Mój głos był teraz spokojniejszy, pewniejszy.

- Za pierwszym razem nie chciałbym być zbyt brutalny.

Zdaje się, że mnie nie rozumiał.

- Nie powiedziałam: „ugryźć”, tylko „zagryźć” - wyjaśniłam. Mój głos brzmiał teraz całkowicie spokojnie, zwyczajnie. Zupełnie jakbym była w biurze i omawiała interesy.

Zamrugął i zobaczyłam na jego twarzy wyraz zmieszania. Zdałam sobie sprawę, że wymagam od niego zbyt wielkiego wysiłku intelektualnego. Udał się do miejsca, do którego rzadko się zapuszczał. Nie myślał w tej chwili jak człowiek.

Przesunął nogi i mocniej mnie przycisnął. Krzyknęłam, choć nie z bólu.

- Chcesz tego? - Jego głos był prawie normalny, zdyszany, ale prawie normalny.

Przyjrzałam się uważnie jego twarzy, próbowałam wyczytać z niej coś, co dodałoby mi otuchy. W jego oczach był jakiś odprysk dawnego Doyle'a. Nabrałam powietrza i powiedziałam:

- Tak.

- Słyszałeś ją. Wyjdź. - Jego głos zaczął znowu przechodzić w pomruk, z każdym słowem był niższy.

- Jesteś pewna, Merry? - spytał Rhys.

Prawie o nim zapomniałam. Skinęłam głową.

- Jestem.

- Więc zamykamy drzwi i ignorujemy hałasy, mając nadzieję, że nic ci się nie stanie?

Popatrzyłam w oczy Doyle'a i nie znalazłam w nich niczego poza potrzebą, potrzebą niepodobną do niczego, co widziałam kiedykolwiek w spojrzeniu mężczyzny. To już nie było pożądanie, to była prawdziwa potrzeba, taka jak jedzenie czy picie. Gdybym teraz odwróciła się od niego, moglibyśmy zostać kochankami, ale nigdy więcej nie zapędziłby się tak daleko. Wyłączyłby na zawsze tę część siebie, pozwolił jej obumrzeć.

Trwałam w takim stanie przez lata, umierając po kawałku na brzegu oceanu. Doyle mnie odnalazł i przywrócił Krainie Faerie. Przywrócił te wszystkie części mnie, o których musiałam zapomnieć, by uchronić za człowieka z niewielką domieszką krwi istot magicznych. Gdybym teraz odsunęła się od niego, czy w ogóle odnalazłby znowu tę część siebie?

- Nic mi nie będzie, Rhysie - powiedziałam, ale nie patrzyłam na niego, patrzyłam na Doyle'a.

- Jesteś pewna?

Doyle odwrócił się i przemówił głosem, który był niemal zbyt zwierzęcy i niski, by go zrozumieć:

- Słyszałeś ją. Wynoś się.

Rhys uklonił się i zamknął za sobą drzwi. Doyle przeniósł na mnie wzrok.

- Chcesz tego? - bardziej warknął, niż powiedział. Dawał mi ostatnią szansę, bym mogła się wycofać. Ale kiedy to mówił, jego ciało wciskało się w moje, palce zaś wpijały się w moje uda.

Zamknęłam oczy i zadrzałam pod nim. Zamruczał mi prosto w twarz.

- Chcesz tego? - powtórzył.

- Chcę.

Przeniósł rękę z mojego uda na jedwabne majteczki. Rozdarł je. Zadrżałam, gdy przycisnął do mojego nagiego ciała szorstki materiał dżinsów. Krzyknęłam po części z przyjemności, a po części z bólu.

Przesunął mnie na tyle, by móc zsunąć spodnie. Po raz pierwszy w życiu ujrzałam go w pełnej krasie. Jego członek był długi i gruby. Wsunął we mnie palec. Krzyknęłam. Kiedy przekonał się, że jestem mokra i gotowa, wszedł we mnie. Chociaż byłam wilgotna, kosztowało go to trochę wysiłku. Krzyczałam pod nim, zanim zdołał cały się we mnie zmieścić. Miałam wrażenie, że wypełnił mnie całą.

Potem zaczął wysuwać się ze mnie i wsuwać z powrotem, a mnie ogarniała rozkosz. Patrzyłam, jak jego ogromny czarny członek wsuwa się i wysuwa z mojego białego ciała, i sam ten widok sprawiał, że krzyczałam.

Moja skóra zaczęła błyszczeć blaskiem księżyca, a jego ciemna skóra lśniła w odpowiedzi, wypełniona kolorami, które miał w oczach. Tak jakby był czarną wodą odbijającą poświatę księżyca, którym byłam ja. Kolory przepływały mu pod skórą, a pokój rozjaśniał, migocząc, jakbyśmy płonęli kolorowym płomieniem. Rzucaliśmy cienie na ścianę i sufit, jakbyśmy leżeli pośrodku jakiegoś wielkiego płomienia, i nagle staliśmy się tym płomieniem, tym ogniem, tym żarem.

Miałam wrażenie, jakby nasze ciała stopiły się razem i czułam, jak te tańczące kolory przepływają mi po skórze. Utonęłam w jego ciemnym lśnieniu, a Doyle został pochłonięty przez mój biały blask. Krzyczałam, oddając się rozkoszy tak wielkiej, że graniczyła z bólem. Słyszałam też jego krzyk, jego wycie, ale w tym momencie nic mnie to nie obchodziło. Mógłby rozszarpać mi gardło i odeszłabym z uśmiechem na ustach.

Po wszystkim dochodziłam do siebie z Doyle'em leżącym na mnie. Jego oddech był ciężki, plecy połyskiwały potem i krwią. Uniosłam ręce i ujrzałam na dłoniach krew. Nieświadomie poraniłam mu plecy. Poczulałam strużkę krwi i ujrzałam ślady jego zębów na swoim ramieniu. Te krwawiące ranki trochę bolały, ale nie za bardzo, jeszcze nie. Nic nie mogło boleć, gdy miałam Doyle'a nadal w sobie, kiedy oboje na nowo uczyliśmy się oddychać.

- Czy cię zraniłem? - wydyszał.

Dotknęłam zakrwawionymi palcami ranki na ramieniu, po czym pokazałam mu je.

- Sądzę, że powinnam zadać ci to samo pytanie.

Sięgnął ręką do tyłu, by dotknąć ran na plecach, jakby do tej pory ich nie czuł. Podparł się na łokciu i przyjrzał krwi na rękach. Potem odrzucił głowę do tyłu i roześmiał się. A kiedy skończył się śmiać, zapłakał.

Rozdział 19

Leżeliśmy w swych objęciach na posłaniu z włosów Doyle'a. Okrywały moje nagie ciało niczym futro. Głowę położyłam na jego ramieniu. Sunęłam palcami po jego ciele; niespieszny ruch, który wyzbyty był seksualności. Milczeliśmy przez dłuższą chwilę, przytulając się nawzajem. Jedną rękę miał wsuniętą pode mnie, przytulając mnie do siebie, ale niezbyt mocno. Chciał mieć trochę miejsca, by móc mnie dotykać drugą ręką. I żebym ja mogła dotykać jego. Pragnął mojego dotyku. Odczuwał jego głód. Wiedziałam, że ludzie odczuwają taki głód. Niemowlęta mogą nawet umrzeć, jeśli są pozbawione dotyku, nawet gdy wszelkie inne ich potrzeby są zaspokojone. Nie wiedziałam jednak, że taki głód odczuwać mogą również sidhe, a zwłaszcza ktoś uchodzący za tak nieczułego jak Ciemność Królowej.

Leżał teraz obok mnie, sunąc palcami po moim ciele i uśmiechając się. Popatrzyłam na lustro.

Narzucona na nie była moja bluzka.

Uniósł rękę i dotknął mojego policzka.

- Co takiego tam zobaczyłaś? - spytał.

Uśmiechnęłam się do niego.

- Zastanawiam się, co robi moja bluzka na lustrze.

Odwrócił głowę i uśmiechnął się.

- A czy wiesz, gdzie jest twój biustonosz?

Otworzyłam szeroko oczy, po czym uniosłam głowę i rozejrzałam się po pokoju.

- Za tobą - podpowiedział.

Popatrzyłam za siebie. Mój zielony koronkowy biustonosz zwisał żałośnie z

filodendronu, który stał w kącie. Wyglądał na tej roślinie jak źle dobrana świąteczna dekoracja.

Ze śmiechem potrząsnęłam głową.

- Nie pamiętam, żebym się tak spieszyła.

Przyciągnął mnie do siebie.

- To ja się tak spieszyłem. Chciałem jak najszybciej ujrzeć cię nagą. Chciałem poczuć dotyk twojego nagiego ciała.

Przycisnął teraz swoje nagie ciało do mojego. Sama siła jego rąk przyprawiała mnie o dreszcze. Świadomość, że jego penis znów sztywnieje, była prawie obojętna.

Przesunęłam rękami po jego napiętych pośladkach i przyciągnęłam go do siebie, a on zrobił to samo ze mną. Czulałam, jak jego członek robi się coraz większy, przyciśnięty do mojego brzucha. A potem wszedł we mnie i krzyknęłam.

Nagle poczułam magię wypełniającą pokój, a chwilę później usłyszałam czyjś głos:

- Cóż za piękny widok.

Oderwaliśmy się od siebie i popatrzyliśmy w lustro. Ujrzeliśmy w nim Królową Powietrza i Ciemności Andais, moją ciotkę i panią Doyle'a. Siedziała na swoim łóżku i przypatrywała nam się z ciekawością.

Rozdział 20

Królowa miała na sobie czarną satynową suknię balową, która połyskiwała w świetle świec, a na rękach czarne satynowe rękawiczki. Czarne włosy były zebrane do góry, wzdłuż twarzy i smukłej szyi opadały jedynie pojedyncze kosmyki. Jej usta miały barwę krwi, a trójkolorowe oczy obrysowane były czarną konturówką, tak że wydawały się ogromne.

To, że była wystrojona, wcale mnie nie zdziwiło. Lubiła się bawić. Każda okazja ku temu była dobra. Zdziwiło mnie co innego: jej łóżko było puste. Królowa nigdy nie spała sama.

Pozostawaliśmy nieruchomi, wpatrując się w jej oczy. Doyle ścisnął moje ramię.

- Wasza Wysokość - zaczęłam - niezmiernie się cieszymy, że zaszczycałaś nas swoją obecnością, mimo że tak niespodziewanie. - Mój głos był tak obojętny, jak tylko się dało. Uprzejmość nakazywała dać jakiś znak, zanim się tak do kogoś wpadło. Nigdy nie wiadomo, w czym się komuś przeszkodzi.

- Czyżbyś ośmielała się mnie krytykować, bratanico? - Jej głos był bardzo zimny, prawie wściekły. Nie zrobiłam niczego, by ją rozgniewać, przynajmniej świadomie.

Usadowiłam się odrobinę wygodniej przy Doyle'u. Marzyłam o szlafroku, ale wiedziałam, że ubieranie się teraz sugerowałoby, że jej nie lubię, bądź jej nie ufam. To, że to była prawda, było moim zmartwieniem, nie jej.

- Nie chciałam cię skrytykować, ciociu Andais. Ja tylko stwierdziłam fakt. Tego wieczoru nie oczekiwaliśmy rozmowy z tobą.

- Moja droga bratanico, tak się składa, że jest już prawie rano, choć jeszcze nie było wschodu słońca.

Widzę, że spałaś nie więcej ode mnie.

- Miałam lepsze rzeczy do roboty, ciociu. Zresztą ty chyba też.

Dotknęła dołu sukni balowej.

- Tak, kolejne przyjęcie. - Nie wyglądała na zadowoloną.

Chciałam zapytać, czy przyjęcie się nie udało, ale się nie odważyłam. Było to zbyt osobiste pytanie, żeby zadać je królowej.

Nabrała powietrza w płuca. Prząd jej sukni przesunął się, jakby nie była ona dostatecznie ciasna. Jeśli nie byłaś zbyt hojnie obdarzona przez naturę, mogłaś nosić takie suknie, które zdawały się unosić wokół ciebie. Dla mnie byłoby krępujące czekać na to, co się stanie. Zamierzona nagość to coś zupełnie innego od niespodziewanego wypadnięcia z sukienki.

Skierowała na nas spojrzenie swoich mocno obrysowanych oczu.

- Krwawisz, moja Ciemności - zauważyła z przekąsem.

Zerknęłam na Doyle'a i zdałam sobie sprawę, że nadal leży na boku, dzięki czemu widziała jego plecy i ślady paznokci na czarnej skórze.

- Tak, pani - potwierdził doskonale obojętnym, ostrożnym głosem.

- Kto skrzywdził moją Ciemność? - Jej wzrok spoczął na mnie. Było to bardzo nieprzyjemne spojrzenie.

- Nie uważam, żeby stała mi się krzywda, pani - powiedział Doyle.

Przeniosła na niego wzrok, po czym znowu popatrzyła na mnie.

- Jesteś bardzo pracowitą dziewczynką, Meredith.

Odsunęłam się od Doyle'a i usiadłam.

- Myślałam, że życysz sobie, żebyś taka była, ciociu Andais.

- Nie pamiętam, żebyś kiedykolwiek przedtem widziała twoje nagie piersi, Meredith. Jak na sidhe, trochę duże, ale bardzo ładne. - Jej oczy nie były pełne pożądania, był w nich groźny błysk. Wszystko, co do tej pory powiedziała, mogłoby zostać pomyłone z grzecznością. Nigdy nie widziała moich nagich piersi, więc powinna je teraz komplementować; ale tylko gdybym usiłowała być atrakcyjna, a tego nie robiłam. Po prostu nie miałam na sobie ubrania. Nie czułam się ani trochę ponętna w obecności swojej ciotki, i to nie tylko dlatego, że jestem heteroseksualna.

- A ciebie, moja Ciemności, tak wiele stuleci temu widziałam ostatni raz nagiego, że już nie pamiętam. Czy jest jakiś powód, dla którego odwracasz się do mnie tyłem? Czy jest jakiś powód, dla którego ukrywasz się przed moim wzrokiem? Czyżbyś miał jakiś... defekt, którego nie pamiętam, a który psuje widok?

Pytanie, czy nie ma jakiegoś defektu, żądanie, by pokazał się cały, było nieuprzejme. Gdyby to był ktokolwiek inny, kazałabym mu iść do diabła.

- Nie ma żadnego defektu, ciociu Andais - powiedziałam i zdałam sobie sprawę z tego, że ton mojego głosu nie jest wystarczająco obojętny. Lata spędzone poza dworem sprawiły, że straciłam zdolność kontrolowania głosu. Musiałam się tego nauczyć na nowo - i to szybko.

Spojrzała na mnie zimno.

- Nie mówiłam do ciebie, księżniczko Meredith. Mówiłam do mojej Ciemności.

Użyła mojego tytułu; nie nazwała mnie bratanicą, nie użyła imienia, a tytułu. Nie był to dobry znak.

Doyle znowu ścisnął mnie za ramię, tym razem mocniej, jakby przywoływał mnie do porządku. Odpowiedział Andais, ale nie za pomocą słów. Odwrócił się na plecy ze ściśniętymi kolanami, tak że udo zasłaniało go przed jej spojrzeniem, po czym powoli obniżył nogę.

Dopiero teraz w jej oczach pojawił się żar, prawdziwy żar, prawdziwe pragnienie.

- No, no, skrywałeś prawdziwe skarby.

- Nic, czego nie mogłaś odkryć przez ostatnie tysiąc lat. - Teraz to jego głos nie był obojętny. Nigdy dotąd nie słyszałam, by stracił panowanie nad sobą w obecności królowej.

Tym razem była moja kolej, żeby położyć mu rękę na ramieniu, by mu przypomnieć, z kim rozmawiamy. Myślę, że na mojej twarzy nie widać było strachu, chociaż strasznie się bałam.

Król Taranis mógłby mnie nie skrzywdzić ze strachu przed Andais. Andais mogła mnie skrzywdzić w napadzie szału. Pewnie by potem żałowała, ale dla kogoś, kto jest martwy, to wątpliwe pocieszenie.

Spojrzenie, które mu posłała, sprawiło, że przyłożyłam dłoń mocniej do ramienia Doyle'a, wpijając w nie paznokcie. Jego ciało zareagowało i miałam nadzieję, że przypominał mi, by postępował ostrożnie.

- Uważaj, Ciemności, albo stanę się rozkojarzona i zapomnę, dlaczego się z wami skontaktowałam.

- Czekamy na twoje wieści, królowo Andais - powiedziałam.

Spojrzała na mnie i w jej spojrzeniu pojawiło się zmęczenie. Andais zazwyczaj nie była tak łatwa do odczytania; najwyraźniej uważała, że nie musi się tutaj nikogo obawiać.

- Bezimienny jest na wolności.

Doyle opuścił nogi na podłogę i usiadł. Nagle przestało mieć znaczenie, że jest nagi, nikt nie zwracał na to uwagi. Bezimienny składał się z najgorszych rzeczy, które istniały w Krainie Faerie. To było ostatnie wielkie zaklęcie, nad którym pracowały wspólnie oba dwory. Zrzuciliśmy z siebie wszystko, co najgorsze, wszystko, co mogło uniemożliwić nam życie w nowym państwie, i umieściliśmy to w nim. Nikt tego od nas nie żądał. Po prostu nie chcieliśmy być wygnani z ostatniego kraju, który jeszcze nas chciał, więc poświęciliśmy trochę tego, czym byliśmy, żeby stać się bardziej... ludzcy. Niektórzy są zdania, że to Bezimienny spowodował, że zaczęliśmy gasnąć, ale to nieprawda. Sidhe gasną od stuleci. Bezimienny był tylko złem koniecznym. Dzięki niemu nie obróciliśmy Ameryki w kolejne pole bitwy.

- Czy to ty go uwolniłaś, pani? - spytał Doyle.

- Oczywiście, że nie - odparła.

- A więc kto?

- Mogłabym zmyślić jakąś ładną historyjkę, ale odpowiedź jest prostsza: nie wiem. Było oczywiste, że nie podoba jej się, że musi to powiedzieć, i równie oczywiste, że mówi prawdę. Zdjęła jedną z czarnych rękawiczek i zaczęła ją przekładać z ręki do ręki.

- Niewiele jest w Krainie Faerie istot, które mogłyby to zrobić - powiedział Doyle.

- Myślisz, że o tym nie wiem? - zachnęła się.

- Co mamy zrobić, królowo?

- Nie wiem, ale ostatni ślad prowadził na zachód.

- Czy sądzisz, że tu przybędzie? - spytał.

- To mało prawdopodobne - powiedziała, uderzając rękawiczką o rękę. - Ale Bezimienny jest niemal nie do powstrzymania. To, czego się pozbyliśmy i umieściliśmy w nim, to była wielka część naszej mocy. Jeśli został wysłany przeciwko Meredith, już teraz musicie zacząć się przygotowywać do spotkania z nim.

- Naprawdę sądzisz, że został uwolniony, żeby uderzyć w księżniczkę?

- Gdyby został tylko uwolniony, wówczas spustoszyłby najbliższą okolicę. Ale on tego nie zrobił. - Wstała, ukazując prawie nagie plecy. Odwróciła się do nas nagłym ruchem. Bardzo szybko zniknął nam z oczu. Nie możemy go wytropić, a to znaczy, że wspomaga go ktoś bardzo ważny.

- Ale Bezimienny jest częścią dworów, tego, czym byliście. Powinniście być w stanie go wytropić. - W chwili, kiedy skończyłam, wiedziałam, że powinnam siedzieć cicho.

Na jej twarzy pojawił się wyraz gniewu. Zatrzęsa się z wściekłości. Sądzę, że przez chwilę była

zbyt wściekła, by mówić.

Doyle wstał, zasłaniając mnie swym ciałem.

- Czy powiedziałaś o tym Dworowi Seelie?

- Nie musisz jej przede mną chować, Ciemności. Zbyt wiele wysiłku kosztowało mnie utrzymanie jej przy życiu, żebym miała ją teraz zabijać. Tak, Seelie wiedzą, co się stało.

- Czy dwory połączą się, żeby schwytać Bezimiennego? - spytał. Nie ruszył się z miejsca, pozostało mi zerkać zza jego pleców. To nie był dobry sposób, żeby zaznaczyć silnie swoją obecność. Przesunęłam się, by widzieć lustro, ale nikt nie zwrócił na mnie uwagi.

- Nie.

- Ale to z pewnością byłoby korzystne dla wszystkich.

- Taranis sprawia problemy. Zachowuje się tak, jakby Bezimienny został stworzony tylko z energii Unseelie. Udaje, że jego dwór jest bez skazy. - Wyglądała tak, jakby spróbowała czegoś kwaśnego. - Nie pomoże nam, bo udzielenie pomocy oznaczałoby przyznanie się do udziału w stworzeniu tego czegoś.

- To głupota.

Skinęła głową.

- Zawsze był bardziej zainteresowany iluzją czystości niż samą czystością.

- Kto może powstrzymać Bezimiennego? - spytał Doyle głosem tak cichym, jakby po prostu głośno myślał.

- Nie wiemy. Ale jest on pełen starej magii, rzeczy, których już nie tolerujemy nawet między Unseelie. - Usiadła na brzegu łoża. - Ktokolwiek go uwolnił i ukrył przed naszym wzrokiem... jeśli naprawdę potrafi go kontrolować, dysponuje naprawdę potężną bronią.

- Czego ode mnie oczekujesz, królowo?

Spojrzała na niego niezbyt przyjaźnie.

- A jeśli powiem: Wracaj do domu, wracaj do domu i chroń mnie? A jeśli powiem, że nie czuję się bezpieczna, nie mając ciebie i Mroza przy boku?

Klęknął na jedno kolano. Jego twarz zginęła pod falą włosów.

- Nadal jestem kapitanem Kruków Królowej.

- Przybyłbyś? - spytała cichym głosem.

- Gdybyś rozkazała...

Próbowałam nie okazywać żadnych uczuć. Przyciągnęłam kolana do piersi i usiłowałam nie pokazywać nic po sobie. Gdyby udało mi się nie myśleć, nie byłoby nic widać na mojej twarzy.

- Twierdzisz, że nadal jesteś kapitanem moich Kruków, ale czy nadal też jesteś moją Ciemnością, czy może należysz już do kogoś innego?

Głowę trzymał opuszczoną i milczał. Ja usiłowałam nie myśleć o niczym. Posłała mi bardzo nieprzyjemne spojrzenie.

- Ukradłaś mi moją Ciemność, Meredith.

- Co mam powiedzieć, ciociu Andais?

- Dobrze, że mi przypomniałaś, że jesteś moją krewną. Widok jego poranionych pleców pozwala mieć nadzieję, że masz ze mną więcej wspólnego, niż się spodziewałam.

Chciałam myśleć o niczym. Wyobraziłam sobie pustkę, wyobraziłam sobie szybę, za którą jest następna szyba, a za nią jeszcze jedna...

- Bezimienny nie został wypuszczony bez powodu. Dopóki nie dowiem się, co to za powód, ostrzegam tych, z którymi wiąże największe nadzieje. Jedną z tych osób jest piękna Meredith. Nadal mam nadzieję, że doczekam jej dziecka.

Spojrzała na mnie wrogo.

- Czy jest tak wspaniały, jak wygląda?

Wysiliłam głos, żeby zabrzmiał obojętnie.

- Tak.

Królowa westchnęła.

- Szkoda. Już dawno wzięłabym go do łóżka, gdybym się nie bała, że urodzę szczenięta.

- Szczenięta?

- Nie powiedział ci? Doyle ma dwie ciotki, których prawdziwymi formami są psy. Jego babka była ogarem z Dzikiego Gonu. Ogary piekielne - tak je ludzie teraz nazywają, chociaż, jak wiesz, z piekłem nie mamy nic wspólnego. To zupełnie inny system religijny.

Przypomniałam sobie wycie i głodny wzrok Doyle'a.

- Wiedziałam, że Doyle nie jest czystym sidhe.

- Jego dziad był phouka - tak złym, że jako pies sparzył się z ogarem z Dzikiego Gonu i przeżył, żeby o tym opowiedzieć. - Uśmiechnęła się złośliwie.

- A więc Doyle jest równie mieszanej krwi jak ja. - Głos miałam nadal obojętny; punkt dla mnie.

- Ale czy wiedziałaś, że jest po części psem, zanim go wzięłaś do łóżka?

Doyle klęczał przez ten cały czas, włosy skrywały mu twarz.

- Wiedziałam, że w jego żyłach płynie krew Dzikiego Gonu, zanim we mnie wszedł.

- Doprawdy? - Zabrzmiało to tak, jakby mi nie wierzyła.

- Słyszałam, jak z jego ust wydobywa się ujadanie ogarów. - Odgarnęłam włosy, żeby mogła zobaczyć znak ugryzienia na ramieniu, bardzo blisko szyi. - Wiedziałam, że jest głodny mojego ciała nie tylko w sensie seksualnym.

Jej wzrok znowu stał się surowy.

- Zaskakujesz mnie, Meredith. Nawet nie przypuszczałam, że lubisz przemoc.

- Nie sprawia mi przyjemności krzywdzenie ludzi. Przemoc w sypialni, kiedy wszyscy się na nią godzą, to co innego.

- Dla mnie nie - powiedziała.

- Wiem - odparłam.

- Jak ty to robisz? - spytała.

- Co robię?

- Jak udaje ci się mówić tak obojętnym tonem? Jesteś w stanie powiedzieć „idź do diabła” z uśmiechem na ustach.

- To nie jest świadome, ciociu Andais, wierz mi.

- Przynajmniej nie zaprzeczyłaś.

- Nie okłamujemy się nawzajem - powiedziałam zmęczonym głosem.

- Wstań, Ciemności, i pokaż swojej królowej zranione plecy.

Podniósł się bez słowa, odwrócił się plecami do lustra i odgarnął włosy na bok.

Andais podeszła bliżej do lustra, wyciągając rękę w rękawiczce. Przez chwilę wydawało mi się, że ta ręka wysunie się przez lustro.

- Brałam cię za osobę dominującą, Doyle, a ja nie lubię się nikomu podporządkowywać.

- Nigdy nie pytałaś, co lubię. - Nadal stał odwrócony tyłem do lustra.

- Nie sądziłam również, że jesteś tak hojnie obdarzony przez naturę. - Teraz w jej głosie pojawiła się nutka nostalgii. Przypominała dziecko, które nie dostało na urodziny upragnionej zabawki. - To znaczy, psy i phouka nie są aż tak hojnie obdarzone.

- Większość phouka może przybierać również inne formy, pani.

- Tak, wiem, niektóre mogą stawać się również końmi, czasami orłami... Ale co to ma... - Przerwała w połowie zdania i uśmiech wygiął jej uszmiukowane usta. - Chcesz powiedzieć, że twój dziad mógł zamieniać się zarówno w konia, jak i psa?

- Tak, pani - odrzekł cicho.

- Dlatego masz tak wielkiego jak koń. - Roześmiała się.

Nic nie powiedział, tylko wzruszył ramionami. Byłam zbyt zaskoczona jej śmiechem, by się do niego przyłączyć.

- Ale przecież nie jesteś koniem.

- Phouka są zmiennokształtni, moja królowo.

Przestała się śmiać.

- Sugerujesz, że możesz zmieniać jego wielkość?

- Czy sugerowałbym coś takiego? - spytał obojętnym głosem.

Patrzyłam, jak na jej twarzy pojawia się wyraz niedowierzania, ciekawości, wreszcie z trudem skrywanego pragnienia. Wpatrywała się w niego tak, jak skąpcy w złoto: pożądliwie, natarczywie, samolubnie.

- Kiedy to wszystko się skończy, Ciemności, a ty nie okażesz się ojcem dziecka księżniczki, sprawimy, żebyś spełnił te przechwałki.

Myślę, że nie zachowałam obojętnej miny, ale próbowałam.

- Ja się nie przechwalam, pani - powiedział Doyle, niemal szeptem.

- Nie wiem, czego teraz pragnąć. Jeśli zapłodnisz Meredith, nigdy nie zaznam z tobą przyjemności. I nadal wierzę w to, w co zawsze wierzyłam, a co naprawdę trzymało cię z dala od mojego łóżka.

- Czy mogę spytać, co to jest?

- Możesz. A ja mogę nawet odpowiedzieć.

Jednak nie odpowiedziała. Zapadła cisza. W końcu Doyle spytał:

- W co takiego wierzyłaś, że trzymałaś mnie z dala od swojego łóżka? - Kiedy pytał, odwrócił głowę na tyle, by widzieć Andais.

- W to, że mógłbyś być królem, prawdziwym królem, a nie tylko z nazwy. A ja nie podzielę się swoją władzą. - Spojrzała na mnie. Starłam się ze wszystkich sił zachować bezmyślny wyraz twarzy, ale wiedziałam, że mi się to nie udaje. - A ty, Meredith? Co sądzisz o posiadaniu prawdziwego króla, który zażąda podziału władzy?

Postanowiłam powiedzieć prawdę.

- Umiem się lepiej dzielić niż ty, ciociu Andais.

Spojrzała na mnie. Nie potrafiłam odczytać tego spojrzenia. Napotkałam jej wzrok.

- Umiesz się dzielić lepiej niż ja - powtórzyła. - Co to znaczy? Przecież ja w ogóle się niczym nie dzielę?

- No właśnie, ciociu Andais.

Wpatrywała się we mnie przez dłuższą chwilę.

- Taranis również nie dzieli się władzą.

- Wiem - powiedziałam.

- Nie można być dyktatorem, jeśli się nie dyktuje innym, co mają robić.

- Z moich obserwacji wynika, że królowa musi rządzić wszystkimi wokół, naprawdę nimi rządzić. Nie oznacza to jednak, że musi też od razu dyktować wszystkim, co mają robić. Czasami warto wysłuchać rad strażników, których w swej mądrości wysłałaś ze mną.

- Mam doradców - powiedziała i zabrzmiało to niemal tak, jakby się usprawiedliwiała.

- Taranis również - zauważyłam.

Andais oparła się o jedną z kolumniek podtrzymujących baldachim. Wydawało się, że za chwilę spadnie. Bawiła się czarnymi kokardkami przy sukni.

- Ale żadne z nas nikogo nie słucha. Król jest nagi.

Ostatnie zdanie zaskoczyło mnie. Chyba było to widoczne, bo powiedziała:

- Wyglądasz na zaskoczoną, moja bratanico.

- Nie spodziewałam się, że znasz tę baśń.

- Miałam kiedyś kochanka-człowieka, który lubił historyjki dla dzieci. Czytał mi je, kiedy nie mogłam spać. - W jej głosie pojawiła się marzycielska nuta, nuta prawdziwego żalu. Kontynuowała bardziej normalnym tonem: - Bezimienny został uwolniony. Widziano go, jak kieruje się na zachód. Wątpię, żeby dostał się aż do Morza Zachodniego, ale pomyślałam, że mimo wszystko powinnaś o tym wiedzieć. - Po tych słowach machnęła ręką i zniknęła.

Moje oczy w lustrze były bardzo duże.

- Czy możesz tak ustawić lustro, żeby nikt nie połączył się bez wcześniejszej zapowiedzi? - spytałam Doyle'a.

- Tak - odparł.

- Więc zrób to.

- Królowa może to źle przyjąć.

Skinęłam głową, patrząc na odbicie swojej przestraszonej twarzy. Teraz nie musiałam już udawać, mogłam wyglądać na tak przestraszoną, jaką byłam w rzeczywistości.

- Zrób to, po prostu to zrób. Nie chcę dziś żadnych niespodzianek więcej.

Podszedł do lustra i wykonał nieznaczne ruchy przy jego krawędziach. Czułam, jak zakłęcie kłuje mnie w skórę.

Doyle odwrócił się od lustra i zawahał się, stając przy łóżku.

- Czy nadal pragniesz mojego towarzystwa?

Wyciągnęłam do niego rękę.

- Chodź tu i ukołysz mnie do snu.

Uśmiechnął się i wślizgnął pod kołdrę. Wtuliłam się w jego ramiona, pierś, brzuch, uda. Otoczyło mnie jego ciepło. Zapadałam już w sen, kiedy spytał cicho:

- Nie przeszkadza ci, że moja babka była ogarem Dzikiego Gonu, a dziadek phouka?

- Nie. - Mój głos był przytłumiony snem. - Czy naprawdę mogłabym urodzić szczenięta?

- Nie.

- To dobrze. - Zасыpiając, poczułam, że przytula się do mnie mocno, zupełnie jakbym to ja chroniła jego, a nie on mnie.

Rozdział 21

Agencja Detektywistyczna Greya zazwyczaj nie jest wzywana do zabójstw. W przeszłości pomagaliśmy policji, ale zwykle jako doradcy. Na palcach jednej ręki mogę policzyć śledztwa w sprawie zabójstw, w które byliśmy zaangażowani.

Tego dnia musiałam dodać kolejny palec. Ciało kobiety leżało na noszach. Złote włosy ciągnęły się wzdłuż twarzy, ciemniejsze tam, gdzie zmoczył je ocean. Bardzo krótka suknia wieczorowa była jasnoniebieska na brzegach, a ciemnoniebieska tam, gdzie wsiąkła w nią woda. Szeroka kokarda, prawdopodobnie kiedyś biała, umocowana tuż pod piersiami, ściągała suknię na tyle, że było widać rowek między piersiami. Długie nogi były opalone. Paznokcie na nogach były pomalowane identycznie jak na rękach, na ostry błękit. Jej usta były też w tym dziwnym kolorze; ale to była szminka, nie oznaka śmierci.

- Ta szminka nosi nazwę „Uduszenie”.

Odwróciłam się do wysokiej kobiety stojącej tuż za mną. Detektyw Lucinda Tate podeszła do mnie z rękami w kieszeniach luźnych spodni. Usiłowała się uśmiechnąć, ale jej się nie udało. Jej wzrok pozostał zafrasowany i uśmiech zniknął, zanim jeszcze na dobre się pojawił. Kiedy była w dobrym humorze, jej wzrok był zazwyczaj ironiczny. Dzisiaj nie była.

- Przepraszam, Lucy, ale co powiedziałaś o szmince?

- Nazywa się „Uduszenie”. Ma imitować kolor ust osób, które zmarły na skutek uduszenia. Nieco ironiczne, zważywszy na okoliczności - powiedziała.

Spojrzałam ponownie na kobietę. Wokół oczu, nosa, krawędzi warg zauważyłam niebieskawe i białe plamy. Miałam dziwne pragnienie, by zetrzeć szminkę i sprawdzić, czy usta naprawdę są tego samego koloru. Ledwo się opanowałam.

- No i się udusiła - stwierdziłam.

Lucy skinęła głową.

- Ano tak.

Zmarszczyłam brwi.

- Nie utonęła?

- Wątpię. Żaden z pozostałych nie utonął.

Podniosłam na nią wzrok.

- Pozostałych?

- Są w klubie na górze. Jeremy już tam był, ale musiał zawieźć Teresę do szpitala.

- Co się stało? - spytałam.

- Dotknęła szminki, którą miała jedna z kobiet. Zaczęła, dyszeć, nie mogła oddychać.

Gdyby na miejscu zabójstwa nie było pogotowia, pewnie by umarła. Powinnam była pomyśleć wcześniej i nie ściągać tutaj jednego z najpotężniejszych jasnowidzów w kraju.

Spojrzała na Mroza, który stał obok z założonymi rękami, jak rasowy ochroniarz. Wrażenie psuły srebrne włosy targane przez wiatr i jego strój. Miał na sobie blad różową koszulę, białą marynarkę i także spodnie. Wąski srebrny pasek pasował do włosów. Lśniące mokasyny były jasnobrązowe. Wyglądał bardziej jak model niż ochroniarz, chociaż wiatr odsłaniał od czasu do czasu czarną kaburę, którą miał pod marynarką.

- Jeremy uprzedził mnie, że dzisiaj się spóźnicie - powiedziała Lucy. - Dużo ostatnio sypiasz, Merry?

- Raczej nie. - Nie miałam zamiaru wyjaśniać, że to nie Mróz jest powodem mojego spóźnienia. Prowadziłyśmy tę niezobowiązującą pogawędkę tylko po to, żeby wypełnić czymś ciszę, która zapadła, kiedy stanęłyśmy nad martwą kobietą.

Spojrzałam na jej twarz, ładną nawet po śmierci. Ciało miała szczupłe, nie za silne, jakby się odchudzała. Czy gdyby wiedziała, że tej nocy umrze, rzuciłaby dietę dzień wcześniej?

- Ile miała lat?

- Z dokumentów wynika, że dwadzieścia trzy.

- Wygląda na starszą - powiedziałam.

- Odchudzanie i zbyt dużo słońca. - W słowach Lucy nie było ani krzty humoru. Była ponura. - Jesteś gotowa, żeby zobaczyć resztę?

- Jasne, tylko trochę nie rozumiem, dlaczego nas tutaj wezwałaś. To smutne, że ta dziewczyna nie żyje, ale dlaczego nas wezwałaś?

- Twoich ochroniarzy nie wzywałam. - Po raz pierwszy na jej twarzy pojawił się wyraz wrogości. Wskazała Rhysa. O ile Mróz wyraźnie nie czuł się tutaj za dobrze, Rhys bawił się w najlepsze.

Spacerował uśmiechnięty, nucąc pod nosem piosenkę tytułową do *Hawaii Five-O*. A w każdym razie

nucił ją, kiedy chwilę temu szedł popatrzeć, jak kilku mundurowych brodzi w falach. Wcześniej nucił *Magnum, P.I.*, ale Mróz kazał mu się zamknąć. Rhys tak naprawdę wolał od seriali kino noir i pozostawał fanem Bogarta, ale Bogie już nie kręcił filmów, musiał się więc czymś pocieszyć. Pomachał nam, uśmiechając się radośnie. Biały płaszcz powiewał za nim jak skrzydła. Musiał zdjąć beżowy kapelusz, by mu go nie zwiało do morza.

- Rhys jest koszmarny w takich sytuacjach - orzekła Lucy. - Zawsze odnoszę wrażenie, jakby się cieszył, że ktoś umarł.

Zastanawiałam się przez chwilę, czy nie wyjaśnić jej, że Rhys był kiedyś uważany za boga śmierci, więc widok trupów nie robi na nim wrażenia. Doszłam jednak do wniosku, że lepiej, by policja o tym nie wiedziała.

- Wiesz, jak bardzo lubi kino noir.

- To nie jest film - powiedziała.

- Co cię tak rozstroiło, Lucy? Widywałam cię przy gorszych sprawach niż ta. Dlaczego jesteś taka... rozbita?

- Poczekaj tylko. Nie będziesz musiała o nic pytać, kiedy to zobaczysz.

- Nie możesz mi po prostu powiedzieć?

Rhys podszedł do nas, promieniejąc jak dziecko w poranek bożonarodzeniowy.

- Witam, pani detektyw. Ta dziewczyna nie ma żadnych siniaków, nie zauważyłem też pękniętych naczynek w oczach. Czy wiadomo, jak się udusiła?

- Oglądałeś ciało? - Jej głos był zimny.

Skinął głową, nadal uśmiechnięty.

- Myślałem, że po to tu jesteśmy.

Wycelowała palcem w jego pierś.

- Nie zostałeś tutaj zaproszony. Merry, Jeremy i Teresa - owszem, ale ty... - dźgnęła go palcem - ...nie.

Przestał się uśmiechać.

- Merry musi mieć przy sobie przez cały czas dwóch ochroniarzy. Doskonale pani o tym wie.

- Tak, wiem. - Znowu dźgnęła go palcem, ale mocniej, tak że odrobinę się odchylił. Nie lubię jednak, jak kręcisz się po miejscu zbrodni.

- Znam zasady, pani detektyw. Nie grzebałem w pani materiale dowodowym. Nikomu nie przeszkadzałem.

Nagły powiew wiatru zarzucił jej ciemne włosy na twarz, tak że była zmuszona wyjąć rękę z kieszeni, by je odgarnąć.

- Więc mnie też nie przeszkadzaj.

- Dlaczego, co ja takiego zrobiłem?

- Ciebie to bawi. - Ostatnie słowo prawie wypłynęło mu prosto w twarz. - A nie powinno. - Ruszyła w kierunku schodów, które prowadziły do drogi, parkingu i klubu na małym cyplu.

- Co ją ugryzło? - spytał Rhys.

- Wyprowadziło ją z równowagi to, co znajduje się na górze, i musiała się na kimś wyładować. Padło na ciebie.

- Dlaczego właśnie na mnie?

- Ponieważ jest człowiekiem, a śmierć jest dla ludzi wstrząsem - wyjaśnił Mróz, podchodząc do nas.

- Nie lubią w niej dłubać tak jak ty.

- Nieprawda - zaprotestował Rhys. - Wielu detektywów cieszy ich praca. Lekarzy sądowych również.

- Ale nie kręcą się przy zwłokach, podśpiewując pod nosem - powiedziałam.

- Czasem tak robią.

Popatrzyłam na niego z dezaprobatą, zastanawiając się, jak mu to jaśniej wytłumaczyć.

- Ludzie nucą, śpiewają albo opowiadają kiepskie dowcipy nad zwłokami, żeby się nie bać. A ty nucisz, bo jest ci wesoło. To cię nie obchodzi.

Zerknął na martwą kobietę.

- Jej też już nic nie obchodzi. Jest martwa. Moglibyśmy tu odegrać operę Wagnera i dalej by jej to nie obchodziło.

Dotknęłam jego ramienia.

- To nie do zmarłych powinieneś odnosić się z większym szacunkiem, tylko do żywych.

Spojrzał na mnie, najwyraźniej nie rozumiejąc.

- Bądź mniej wesoły przy ludziach, kiedy patrzysz na zmarłych - wyjaśnił Mróz.

- Nie rozumiem, dlaczego miałbym udawać.

- Wyobraź sobie, że detektyw Tate to królowa Andais - powiedziałam - i że denerwuje ją, że chichoczesz nad zmarłymi.

Przez chwilę zastanawiał się nad czymś. W końcu wzruszył ramionami.

- Mogę udawać przy niej mniej wesołego, ale nadal nie rozumiem dlaczego.

Westchnęłam i spojrzałam na Mroza.

- Czy ty rozumiesz dlaczego?

- Gdyby tu leżała bliska mi kobieta, czułbym smutek z powodu jej śmierci.

Odwrociłam się do Rhysa.

- Widzisz?

Wzruszył ramionami.

- Dobrze, przy detektyw Tate będę udawał smutnego.

Oczami wyobraźni ujrzałam go, jak przy następnych zwłokach pada na kolana, płacząc i zawodząc.

- Tylko nie przesadz.

Uśmiechnął się do mnie i wiedziałam, że myśli właśnie o tym, czego się obawiałam.

- Mówię poważnie. Tate może zakazać ci wstępu na miejsca zbrodni.

Nagle stał się ponury; akurat to miało dla niego znaczenie.

- Dobra, dobra, będę grzeczny.

Detektyw Tate krzyknęła do nas. Była w połowie schodów i to, że jej głos brzmiał z odległości tak wyraźnie, robiło wrażenie.

- Pośpieszcie się. Nie mamy na to całego dnia.

- Właściwie to mamy - mruknął Rhys.

Ruszyłam po miękkim piasku w kierunku schodów. Bardzo żałowałam, że włożyłam dziś buty na wysokich obcasach i nie protestowałam, kiedy Mróz zaoferował mi swoje ramię.

- Co mamy? - spytałam Rhysa.

- Mamy cały dzień. Mamy całą wieczność. Martwi nigdzie się nie wybierają.

Spojrzałam na niego. Patrzył na Lucy Tate z niemal rozmarzoną miną.

- Wiesz co, Rhys?

Uniósł pytająco brwi.

- Lucy ma rację. Jesteś koszmarny.

Znowu się uśmiechnął.

- Nie tak, jak ty potrafisz być.

- A to niby co ma znaczyć?

Nie odpowiedział. Zaczął iść przed nami. Spojrzałam na Mroza.

- Co chciał przez to powiedzieć?

- Rhysa nazywano kiedyś Panem Doczesnych Szczątków.

- Panem czego? - spytałam, prawie potykając się o jego nogi.

- Doczesnych szczątków, czyli zwłok.

Zatrzymałam go, kładąc mu rękę na ramieniu i spojrzałam na niego. Próbowałam dostrzec jego oczy przez płataninę jego srebrnych i moich rudych włosów trzepoczących mi przed twarzą.

- Kiedy sidhe jest nazywany panem czegoś, oznacza to, że ma nad tym władzę. Co chcesz przez to powiedzieć? Że Rhys potrafi spowodować śmierć? O tym akurat wiem.

- Nie, Meredith, on potrafił ożywiać nieboszczyków. Dzięki niemu powstawali z martwych i walczyli w bitwie po naszej stronie.

- Nie wiedziałam, że Rhys ma taką moc.

- Już jej nie ma. Kiedy Bezimienny został stworzony, Rhys stracił moc ożywiania. Nie musieliśmy już używać armii, żeby walczyć między sobą, a walka z ludźmi w taki sposób, oznaczałaby wydalenie z tego kraju. - Zawahał się, po czym dodał: - Wielu z nas straciło moc, kiedy Bezimienny został stworzony. Ale nie znam nikogo, kto straciłby więcej od Rhysa.

Obserwowałam Rhysa, jak idzie przed nami z rozwianymi włosami. Z boga, który mógł tworzyć armie jednym gestem, stał się... Rhysem.

- Czy dlatego właśnie nie chce wyjawić mi swojego prawdziwego imienia, tego, pod którym był czczony?

- Kiedy stracił swoją moc, przyjął imię Rhys i powiedział, że poprzednie imię umarło wraz z jego magią. Wszyscy, łącznie z królową, zawsze to szanowali. Każdego z nas mogło spotkać to, co spotkało jego.

Zdjęłam buty. Było mi łatwiej iść po piasku w samych pończochach.

- Jak to się stało, że wszyscy zgodzili się na stworzenie Bezimiennego?

- Władcy uzgodnili, że ukarzą śmiercią tych, którzy się sprzeciwią.

Tego mogłam się domyślić. Buty przełożyłam do jednej ręki, a drugą wzięłam Mroza pod ramię.

- Chodzi mi o to, jak Andais przekonała do tego Taranisa?

- To jest tajemnica, którą znają tylko królowa i Taranis. - Dotknął moich włosów, odgarniając je z mojej twarzy. - W odróżnieniu od Rhysa, naprawdę nie lubię mieć tyle śmierci i smutku wokół siebie. Czekam na dzisiejszą noc.

Przyłożyłam jego rękę do ust.

- Ja też.

- Merry! - krzyknęła Lucy Tate ze szczytu schodów. Rhys był prawie przy niej.

Pociągnęłam Mroza za ramię.

- Lepiej się pośpieszmy.

- Tak - odpowiedział. - Nie dowierzam Rhysowi i jego poczuciu humoru. Nie wiadomo, co mu przyjdzie do głowy, gdy znajdzie się sam na sam z panią detektyw.

Wymieniliśmy spojrzenia, po czym zaczęliśmy biec w kierunku schodów. Myślę, że oboje mieliśmy nadzieję dotrzeć tam, zanim Rhys zrobi coś niefortunnego. I, przynamniej ja, nie wierzyłam, że zdążymy na czas.

Rozdział 22

Niektóre ciała były w workach na zwłoki, plastikowych kokonach, w których nic już ich nie zbudzi. Ale worki już się kończyły i kolejne ciała zaczynało układać niczym nie okryte. Nie mogłam zliczyć, ile ich było. Na pewno więcej niż pięćdziesiąt. Może sto, może więcej. Nie mogłam się

zmusić do liczenia, do traktowania ich po prostu jak rzeczy leżących w rzędku, więc polegałam na obliczeniach szacunkowych. W ogóle starałam się przestać myśleć.

Próbowałam udawać, że jestem z powrotem na dworze i to jest jedno z przedstawień królowej. Nie możesz nigdy okazywać niesmaku, obrzydzenia, przerażenia, a nawet strachu na jej małych przedstawieniach. Jeśli okażesz, może rozkazać ci się przyłączyć. Ot tak, dla zabawy. Jej przedstawienia zawsze były bardziej związane z seksem i torturami niż prawdziwą śmiercią, a duszenie nie było jednym z dziwactw, więc ten widok nie sprawiłby jej przyjemności. Prawdopodobnie uznałaby to za marnotrawstwo. Zabić tak wielu ludzi, którzy mogliby ją podziwiać, tak wielu, których mogłaby zastraszyć!

Udawałam, że moje życie zależy od zachowania spokoju. Tylko tak mogłam przejść pomiędzy tymi ciałami i nie wpaść w histerię. Moje życie zależało od tego, czy wpadnę w histerię. Powtarzałam to w myślach jak mantrę: „Moje życie zależy od tego, czy wpadnę w histerię, moje życie zależy od tego, czy wpadnę w histerię...” - i dzięki temu mogłam iść dalej, być w stanie spojrzeć w dół i nie krzyknąć.

Ciała, które nie były zakryte, miały usta w prawie takim samym sinym kolorze jak dziewczyna na plaży, tyle że to raczej nie była szminka. Wszyscy ci ludzie udusili się, ale nie od razu. Nie umarli jak za dotknięciem czarodziejskiej różdżki. Niektórzy mieli ślady paznokci na gardłach lub piersiach, jakby próbowali napełnić powietrzem płuca, które nie mogły już działać.

Dziewięć ciał wyglądało inaczej niż pozostałe. Nie wiedziałam, czym się różnią, ale przesłam wolno obok nich. Mróz szedł początkowo razem ze mną, ale potem zawrócił, starając się zejść z drogi policjantom, sanitariuszom i wszystkim tym innym ludziom, którzy zbierają się zawsze na miejscu zbrodni.

Zauważyłam za nim coś przykrytego obrusem, ale nie było to ciało. Kilka chwil zajęło mi zrozumienie, że to choinka. Ktoś przykrył sztuczną choinkę, tak, jakby nie chciał, by widziała ciała. To mogło wyglądać śmiesznie, ale nie wyglądało. Jakoś wydawało się to właściwe. Zakrycie tej świątecznej dekoracji sprawiało, że nie mogła być zbrukana.

Mróz wydawał się nieświadomy przykrytego drzewka i większości innych rzeczy. Rhys, dla odmiany, wydawał się świadomy wszystkiego.

Stał przy mnie. Nie nucił już teraz ani nawet się nie uśmiechał. Opanował się, gdy weszliśmy na teren jatki. Chociaż jatka to złe słowo. Jatka sugeruje krew i rozszarpane ciała. Tu było dziwnie czysto, prawie beznamiętnie. Nie, nie beznamiętnie - chłodno. Są tacy, którym przyjemność sprawia zabijanie, dosłownie rozkoszują się nim. Nie było widać tego tutaj. To była po prostu śmierć, zimna śmierć, zupełnie jakby Ponury Żniwiarz przeszedł przez to miejsce.

- Czym te dziewięć ciał różni się od innych? - Nie uświadamiałam sobie, że pytam na głos, dopóki Rhys nie pospieszył z odpowiedzią.

- Nie ma na nich śladów paznokci ani innych śladów... walki. Tak jakby po prostu upadli bez życia w czasie tańca.

- Co tu się, na miłość bogini, stało?

- Co ty, do kurwy nędzy, tu robisz, księżniczko Meredith? - Oboje odwróciliśmy się, patrząc na przeciwległą stronę sali. Mężczyzna idący w naszą stronę był średniej budowy ciała, łysawy, umięśniony i najwyraźniej wkurzony.

- Porucznik Peterson, prawda? - powiedziałam. Za pierwszym i jednocześnie ostatnim razem, kiedy spotkałam Petersona, usiłowałam przekonać policjantów do przeprowadzenia śledztwa w sprawie magicznego afrodyzjaku, który przedostał się do świata ludzi. Kiedy poinformowali mnie, że afrodyzjaki nie działają, tak samo jak miłosne zaklęcia, udowodniłam im, że są w błędzie, o mało nie

doprowadzając do zamieszek w wydziale policji Los Angeles. Porucznik był jednym z mężczyzn, których wykorzystałam, by udowodnić swoje racje. Musieli mu nałożyć kajdanki, zanim zdołali go ode mnie odciągnąć.

- Nie próbuj być uprzejma, księżniczko. Co ty tutaj, do kurwy nędzy, robisz?

Uśmiechnęłam się.

- Też się cieszę, że pana widzę, poruczniku.

Nie odwzajemnił uśmiechu.

- Wynoś się stąd, zanim cię sam wyrzucę.

Rhys przybliżył się do mnie. Peterson spojrział na niego, potem przeniósł wzrok na mnie.

- Powiedz swoim gorylom, że jeśli spróbują mi przeszkodzić, wylądują w areszcie. Nic mnie nie obchodzi immunitet dyplomatyczny.

Kątem oka zauważyłam, że Mróz ruszył w moją stronę. Potrząsnęłam głową i stanął. Zasepił się, najwyraźniej nieszczęśliwy. Ale nie miał być szczęśliwy, miał zapewnić mi bezpieczeństwo i swobodę działania.

- Czy kiedykolwiek przedtem widziałeś tyle trupów? - spytałam. Mój głos był cichy.

- Co takiego? - wydusił Peterson.

Powtórzyłam.

Potrząsnął głową.

- Co cię to obchodzi?

- To straszne - powiedziałam.

- Co cię to, kurwa, obchodzi?

- Byłbyś bardziej uprzejmy, gdyby to nie był tak straszny mord.

Myślałam, że się roześmieje.

- Do diabła, księżniczko, ja jestem uprzejmy. Dokładnie na tyle, na ile można być uprzejmym wobec morderczyni, która ukrywa się za immunitetem dyplomatycznym. Wyszczерzył zęby.

Kiedyś byłam podejrzewana o zabicie mężczyzny, który usiłował mnie zgwałcić. Nie zabiłam go, ale gdybym nie powołała się na immunitet dyplomatyczny, wylądowałabym w areszcie. Tkwiłabym w nim przynajmniej do zakończenia procesu. Nie zamierzałam znów zaprzeczać. Peterson i tak by mi nie uwierzył.

- Czy tylko te dziewięć osób zginęło spokojnie? - spytałam.

Spojrzał na mnie krzywo.

- Co takiego?

- Dlaczego na tych dziewięciu ciałach nie ma śladów walki?

- Jestem tutaj najstarszy rangą. To moje śledztwo i nie obchodzi mnie, że jesteś jednym z naszych cywilnych doradców do spraw metafizycznego gówna. Nie obchodzi mnie nawet, czy już w przeszłości nam pomagałaś. Nie potrzebuję pomocy jakiegoś cholernego elfa. Ostatni raz ci mówię: wypierdalaj stąd!

Usiłowałam okazywać współczucie. Usiłowałam być rzeczowa. Kiedy to nie pomaga, zawsze można przejść do ataku. Wyciągnęłam do niego rękę, jakbym chciała dotknąć jego twarzy. Zrobił to, czego się spodziewałam. Odsunął się.

- Co się stało, panie poruczniku? - Zrobiłam niewinną minkę.

- Nie dotykaj mnie. - Jego głos stał się cichszy. I, uświadomiłam sobie, o wiele bardziej niebezpieczny, niż gdyby krzyczał.

- To nie dotyk mojej ręki ostatnim razem doprowadził pana do szaleństwa. To Łzy Branwyn.

- Nawet... nie... próbuj... znowu... mnie... dotknąć - wyszeptał.

W jego oczach pojawiło się przerażenie. Bał się mnie, on się naprawdę mnie bał i to kazało mu mnie nienawidzić.

Rhys wysunął się przede mnie, stając między mną a porucznikiem. Nie powstrzymywałam go. Nie mogłam już znieść nienawistnego spojrzenia Petersona.

- Spotkaliśmy się tylko raz, poruczniku. Dlaczego tak mnie nienawidzisz? - To było tak bezpośrednio pytanie, że nawet człowiek by go nie zadał. Ale nie rozumiałam, nie mogłam zrozumieć; więc musiałam zapytać.

Opuścił wzrok, jakby się bał, że mogę go przejrzeć na wylot. Jego głos był bardzo cichy, kiedy powiedział:

- Zapomniałaś, że widziałem, co zostawiłaś po sobie w tym łóżku - po prostu kupę surowego mięsa. Gdyby nie karta dentystyczna, nie zdołalibyśmy zidentyfikować ciała. I ty się jeszcze dziwisz, że nie chcę, żebyś mnie dotykała? - Potrząsnął głową i spojrzał na mnie. Jego wzrok był beznamiętny i nie do odczytania. Typowo gliniarskie spojrzenie. - Wynoś się stąd, księżniczko. Zabieraj ze sobą swoich zbirów i wynoś się stąd. To ja prowadzę to śledztwo i nie chcę cię tu widzieć. - Jego głos był teraz spokojny, bardzo spokojny, aż za spokojny, zważywszy na okoliczności.

- Panie poruczniku, to ja zadzwoniłam do Agencji Detektywistycznej Greya powiedziała Lucy Tate, schodząc po schodkach z półpiętra.

- Na czyje polecenie? - spytał Peterson.

- Nigdy dotąd nie potrzebowałam niczyjego polecenia, żeby poprosić ich o pomoc. Przedarła się przez rzędy ciał, a kiedy znalazła się przy nas, okazało się, że jest o głowę wyższa od porucznika.

- Rozumiem, że można poprosić o pomoc jasnowidza. Nawet Greya, jako znanego czarodzieja, ale ją? - Pokazał palcem w moją stronę.

- Sidhe słyną z używania magii, panie poruczniku. Pomyślałam sobie, że im więcej nas tutaj będzie, tym lepiej...

- „Pomyślałam, pomyślałam” - przedrzeźniał ją Peterson. - Na przyszłość radzę mniej myśleć. Trzymać się za to procedury. A procedura jest taka, że najpierw uzgadnia się tego rodzaju rzeczy z oficerem prowadzącym śledztwo, w tym przypadku ze mną. A ja nie życzę sobie tutaj jej obecności.

- Panie poruczniku...

- Pani detektyw, jeśli nie chce pani, żebym odsunął ją od śledztwa, proszę wykonywać moje rozkazy, zamiast się ze mną kłócić. Jasne?

- Tak jest - odpowiedziała Lucy.

- Cieszę się - powiedział. - Ci na górze mogą sobie myśleć, co chcą, ale to ja jestem tutaj na pierwszej linii i twierdzą, że to jakiś toksyczny gaz albo trucizna. Kiedy toksykolodzy skończą robotę, będziemy wiedzieć, co to, a wtedy do nas będzie należeć odnalezienie tego, kto to zrobił. Nie pójdziemy do krainy z bajki, żeby rozwiązać zagadkę tego morderstwa. To po prostu kolejny szalony sukinsyn, który jest tak samo śmiertelny, jak każdy w tej sali.

Jego wzrok padł na mnie, Rhysa i Doyle'a.

- No dobrze, niech będzie, że się pomyliłem. Są tutaj nie tylko śmiertelnicy. A teraz zabierajcie stąd swoje pieprzone nieśmiertelne tyłki. I jeśli usłyszę, że któryś z moich ludzi z wami rozmawia, wyciągnę wobec niego konsekwencje służbowe. Jasne?

- Tak jest - odpowiedziała Lucy.

Uśmiechnęłam się do niego czarująco.

- Bardzo panu dziękuję, panie poruczniku. Miałam już dosyć przebywania tutaj. Nigdy nie widziałam czegoś równie okropnego, więc wypada mi tylko podziękować panu, że kazał mi pan stąd iść.

Nie przestając się uśmiechać, zdjęłam rękawicę chirurgiczną, którą wcześniej nałożyłam. Wolałam

niczego tu nie dotykać gołą ręką.

Rhys również zdjął rękawiczki. Podeszliśmy do worka na śmieci i wyrzuciliśmy je. W drzwiach odwróciłam się i powiedziałam:

- Jeszcze raz dziękuję, panie poruczniku. Zgadzam się z panem, nie wiem, co ja tu, do kurwy nędzy, robię.

Z tymi słowami wyszłam, a Rhys i Mróz podążyli za mną niczym cienie.

Rozdział 23

Siedziałam już za kierownicą, gdy uświadomiłam sobie, że nie jestem w stanie przypomnieć sobie, dokąd mamy jechać. Wpatrzyłam się w kluczyki w dłoni, nie mogąc się skoncentrować.

- Dokąd jedziemy? - spytałam w końcu.

Mężczyźni wymienili spojrzenia.

- Może ja poprowadzę - zaproponował Rhys siedzący z tyłu. Wyjął delikatnie kluczyki z mojej ręki. Nie protestowałam. Głowę wypełniało mi bzyczenie, zupełnie jakby załęgł się w niej jakiś owad.

Przesiadłam się na siedzenie dla pasażera. Miałam szczęście, że Rhys był ze mną. Mróz nie umiał prowadzić.

- Zapnij pas - przypomniał mi Rhys.

To było do mnie niepodobne zapomnieć o zapięciu pasa bezpieczeństwa. Dopiero za drugim razem udało mi się to zrobić.

- Co się ze mną dzieje? - zdziwiłam się.

- Szok - odrzekł Rhys.

- Szok? Z jakiego powodu?

Mróz pochylił się nad moim siedzeniem. Strażnicy na ogół nie zapinali pasów bezpieczeństwa; mogliby zostać nawet skróceni o głowę, a i tak by przeżyli, więc nie przejmowali się za bardzo możliwością wypadnięcia przez przednią szybę.

- Powiedziałaś już to temu policjantowi. Nigdy nie widziałaś jeszcze czegoś równie okropnego.

- A ty widziałeś już coś gorszego?

Przez chwilę milczał. W końcu powiedział:

- Tak.

Popatrzyłam na Rhysa, który wyjechał właśnie na Pacific Highway, z której roztaczał się piękny widok na ocean.

- A ty? - spytałam.

- Co ja? - odparł, uśmiechając się pod nosem.

- Czy ty widziałeś już coś gorszego?

- Tak. Ale nie chcę o tym mówić.

- Nawet jeśli poproszę?

- Zwłaszcza jeśli poprosisz. Gdybym był na ciebie wściekły, może zechciałbym zaszokować cię opowieściami o tym, co widziałem. Ale nie jestem na ciebie wściekły i nie chcę cię ranić.

- A ty, Mrozie?

- Jestem pewien, że Rhys widział o wiele gorsze rzeczy niż ja. Nie było mnie jeszcze na świecie podczas pierwszych wojen między nami a Firbolgami.

Wiedziałam, że Firbolgowie byli pierwszymi półboskimi mieszkańcami Wysp Brytyjskich i Irlandii. Wiedziałam również, że moi przodkowie pokonali ich i stali się nowymi władcami wysp. To było tysiące lat temu. Nie wiedziałam jednak, że Rhys jest starszy od Mroza, starszy od większości sidhe. Najwyraźniej Rhys był jednym z pierwszych spośród nas, którzy przybyli na wyspy, które uważamy

za nasz dom rodzinny.

- Rhys jest starszy od ciebie? - spytałam Mroza.

- Tak - przyznał.

Spojrzałam na Rhysa.

Nagle wydał się strasznie zajęty prowadzeniem.

- Rhysie?

- Tak - odpowiedział, patrząc prosto przed siebie. Odrobinę za szybko wjechał w zakręt, więc musiał obrócić kierownicą.

- Ile jesteś starszy od Mroza?

- Nie pamiętam. - W jego głosie dało się słyszeć błagalną nutę.

- Nie kłam.

Zerknął na mnie.

- Naprawdę nie pamiętam. To było tak dawno temu... Nie pamiętam, kiedy urodził się Mróz. - Tym razem brzmiał gderliwie.

- Pamiętasz, kiedy się urodziłeś? - spytałam Mroza.

Zamyślił się na chwilę, po czym pokręcił głową.

- Nie za bardzo. Rhys ma rację co do jednego: minęło tak dużo czasu, że trudno to ogarnąć myślą.

Chcesz przez to powiedzieć, że straciliście pamięć?

- Nie - odparł Mróz - ale to, kiedy kto się urodził, nie jest dla nas najważniejsze. Wiesz, że nie obchodzimy urodzin.

- Tak, choć nigdy nie mogłam zrozumieć dlaczego.

Odwróciłam się do Rhysa. Miał ponurą minę.

- Więc widziałeś już gorsze rzeczy od tego, co widzieliśmy w tym klubie?

- Tak.

- Czy gdybym poprosiła, żebyś mi o tym opowiedział, zrobiłbyś to?

- Nie.

Wiedziałam, że to „nie” z pewnością nie zmieni się w „tak”. Rhys nie jest z tych, co zmieniają zdanie.

Zrezygnowałam. Pomijając już wszystko inne, nie byłam pewna, czy chcę wysłuchiwać dzisiaj opowieści o straszliwych mordach, zwłaszcza jeśli były one gorsze od tego, co właśnie widzieliśmy. W całym swoim życiu nie widziałam czegoś równie strasznego.

- Uszanuję twoje życzenie.

Spojrzał na mnie tak, jakby nie do końca w to wierzył.

- To bardzo wielkoduszne z twojej strony.

- Nie musisz być złośliwy.

Wzruszył ramionami.

- Przepraszam. Po prostu nie czuję się zbyt dobrze.

- Myślałam, że tylko na mnie zrobiło to takie wrażenie.

- To nie widok ciał tak na mnie podziałał - odparł Rhys - a fakt, że ten porucznik się myli. To nie był gaz ani trucizna, ani coś w tym rodzaju.

- O czym ty mówisz? Zauważyłeś coś, czego ja nie dostrzegłam?

Mróz oparł się z powrotem na swoim siedzeniu.

- No dobrze. Co obaj widzieliście, czego ja nie spostrzegłam?

Rhys dalej wpatrywał się w drogę. Z tylnego siedzenia też nie dobiegł żaden dźwięk.

- Niech ktoś mi powie.

- Zdaje się, że już się lepiej czujesz - zauważył Mróz.
- To prawda. Nic tak nie dodaje siły jak złość. Czy w końcu dowiem się od was, co takiego przegapiłam?
- Miałaś za silną osłonę, żeby wyczuć magię - powiedział Rhys.
- Jasne, że tak. Czy wiesz, jak dużo magicznego gówna unosi się w miejscu, w którym było niedawno morderstwo, a co dopiero masowa egzekucja? Mnóstwo istot duchowych zlatuje się w takie miejsce. Zbierają się jak sępy nad padliną, karmiąc się pozostałościami życia, przerażeniem, smutkiem. Przychodzisz czysty, a wychodzisz pokryty bogini wie czym.
- Wiemy, co mogą uczynić istoty duchowe unoszące się w takim miejscu - zauważył Mróz.
- Prawdopodobnie lepiej niż ja - powiedziałam. - Ale wy jesteście sidhe pełnej krwi, więc nic się do was nie przyczepia.
- To prawda - przyznał Mróz - ale widziałem innych naszego rodzaju prawie opętanych przez byty niematerialne. To czasami się zdarza, zwłaszcza jeśli ktoś ma do czynienia z czarną magią.
- Cóż, jestem człowiekiem na tyle, żeby się do mnie przyczepiały. Nie robię nic, co mogłoby je przyciągać, oprócz tego, że mogę nie mieć wystarczającej osłony.
- Staralaś się wyczuć jak najmniej, gdy tam byłaś - zauważył Rhys.
- Jestem prywatnym detektywem, a nie medium. Nie jestem nawet czarodziejem czy czarownicą. Właściwie to niepotrzebnie tam poszłam. Nie mogłam pomóc.
- Mogłabyś pomóc, gdybyś choć trochę opuściła osłonę.
- Dobrze, następnym razem będę odważniejsza. A teraz powiedzcie mi wreszcie, co tam zauważyliście.

Mróz westchnął cicho, na tyle jednak głośno, bym mogła usłyszeć.

- Wyczułem tam pozostałości potężnego zaklęcia, naprawdę potężnego.
- Czy wyczułeś je dopiero w środku?
- Nie. Nie miałem ochoty dotykać zmarłych, więc szukałem innymi zmysłami poza dotykem i wzrokiem. Opuściłem osłonę i wyczułem zaklęcie.
- Czy wiesz, co to było za zaklęcie? - spytałam. Odwróciłam się i zobaczyłam, że kręci głową.
- Ja wiem - włączył się Rhys.
- Co takiego?
- Każdy, kto się skoncentrował, mógł wyczuć pozostałości zaklęcia. Ty również byś je wyczuła, gdybyś tylko chciała.
- To mogłoby jej nic nie powiedzieć, podobnie jak nic nie powiedziało mnie zauważył Mróz - ale byłoby dla niej trudniejsze do zniesienia.
- Wcale tego nie podważam - powiedział Rhys. - Chodziło mi tylko o to, że przyjrzałem się ciałom. Dziewięć ofiar upadło tak, jak stało. Inne jednak miały czas, żeby walczyć, przestraszyć się, próbować uciec. Ale nie uciekały tak, jakby na przykład zostały zaatakowane przez dzikie zwierzęta. Nie uciekały w stronę drzwi albo okien. To było tak, jakby nie mogły nic zobaczyć.
- Mówisz samymi zagadkami - zauważył Mróz.
- Zgadza się, powiedz to prościej.
- A jeśli nie uciekały, bo nie uświadomiły sobie, że coś jest w sali?
- Co chcesz przez to powiedzieć? - spytałam.
- Większość ludzi nie widzi istot duchowych.
- Tak, ale jeśli sugerujesz, że to jakieś byty niematerialne zabiły tych ludzi w klubie, nie mogę się z tym zgodzić. One nie mają takich możliwości. Są w stanie zrobić coś takiego jednej osobie, która jest podatna na ich wpływy, ale nawet to nie jest pewne.

- Nie miałem na myśli bytów niematerialnych, Merry, a inne rodzaje istot duchowych.

- Chcesz powiedzieć, że to były duchy?

Skinął głową.

- Duchy nie robią takich rzeczy. Mogą wystraszyć kogoś na śmierć, ale to wszystko. Duchy nie mają dość mocy, by naprawdę zranić ludzi. Mogą tylko dokonać psychicznego spustoszenia.

- To zależy od tego, o jakim rodzaju duchów mówisz, Merry.

- Nie rozumiem... jest tylko jeden rodzaj duchów.

Odwrócił głowę, żeby na mnie spojrzeć swoim jedynym okiem.

- Dużo wiesz.

Zawsze myślałam, że Rhys jest jednym z młodszych wojowników sidhe, ponieważ nigdy nie dawał mi odczuć tego, że uważa mnie za małą dziewczynkę. Był jednym z niewielu, którzy mieszkali poza kopcami i mieli w domu elektryczność. Teraz jednak patrzył na mnie tak, jakbym była dzieckiem i niczego nie rozumiała.

- Przestań - powiedziałam.

Odwrócił głowę, koncentrując się na drodze przed sobą.

- Co mam przestać?

- Nie cierpię, kiedy patrzysz na mnie tak, jakbym była dzieckiem i nie była w stanie zrozumieć, o czym mówisz. Niech będzie, że nigdy nie dożyję tysiąca lat, ale mam już trzydzieści kilka lat, a to w świecie ludzi oznacza, że jestem dorosła i bardzo byłabym ci wdzięczna, gdybyś mnie jak taką traktował.

- Więc przestań się zachowywać jak dziecko - powiedział z wyrzutem, jak rozczarowany nauczyciel. Nie chciałam, by się tak do mnie zwracał. Wystarczy już, że robił to ciągle Doyle.

- Dlaczego uważasz, że zachowuję się jak dziecko? Dlatego, że nie opuściłam osłony i nie zobaczyłam tego całego horroru?

- Nie, dlatego, że stwierdziłaś kategorycznie, że jest tylko jeden rodzaj duchów. Wierz mi, nie tylko cienie ludzi kręcą się wśród nas.

- A czyje jeszcze? - spytałam.

Westchnął głęboko.

- Co, twoim zdaniem, dzieje się z nieśmiertelną istotą, która zostaje zabita?

- Odradza się w innym wcieleniu.

Uśmiechnął się.

- Nie, Merry, jeśli może być zabita, to, jeśli będziemy trzymać się definicji nieśmiertelności, nie jest tak naprawdę nieśmiertelna. Mówimy o sobie, że jesteśmy nieśmiertelni, ale to nieprawda. Można nas zabić.

- Tylko za pomocą magii - zauważyłam.

- To nie ma znaczenia za pomocą czego. Ważne, że można to zrobić. I znów powraca pytanie: Co się dzieje z nieśmiertelnymi, którzy giną?

- Nie mogą zginąć, są nieśmiertelni.

- No właśnie - potwierdził.

Wpatrzyłam się w niego.

- Dobrze, poddaję się. Co to znaczy?

- Jeśli ktoś nie może umrzeć, ale umiera, co się z nim dzieje?

- Masz na myśli starych bogów - domyślił się Mróz.

- Tak - odparł Rhys.

- Ale oni nie są duchami - powiedział Mróz. - Oni są pozostałościami pierwszych bogów.

- Dajcie spokój - westchnął Rhys. - Sami pomyślcie. Duch człowieka jest tym, co z niego zostaje po śmierci, zanim przejdzie do innego wymiaru. Jest to duchowa pozostałość istoty ludzkiej, prawda? Oboje się z nim zgodziliśmy.

- A zatem pozostałości pierwszych bogów są po prostu duchami bogów?

- Nie - odrzekł Mróz - ponieważ jeśli ktoś odkryje ich imię na nowo i sprawi, że będą znów mieli wyznawców, mogą, przynajmniej teoretycznie, powrócić do życia. Duchy ludzi nie mają takiej możliwości.

- Czy to oznacza, że starzy bogowie nie są duchami? - spytał Rhys.

Zaczynała mnie już od tego wszystkiego boleć głowa.

- No dobrze, kręciły się tam duchy starych bogów. Ale jaki to ma związek z tym, co widzieliśmy?

- Powiedziałem, że znam to zaklęcie. Nie do końca odpowiada to prawdzie. Ale widziałem cienie starych bogów, które zostały uwolnione, żeby zaatakować istoty magiczne. To było tak, jakby powietrze nagle stało się trujące. Życie po prostu zostało z nich wysysane.

- Istoty magiczne są nieśmiertelne - powiedziałam.

- Nikt, kogo można zabić, nawet jeśli może się odrodzić w innym bycie, nie jest nieśmiertelny. Długość życia tego nie zmienia.

- Twoim zdaniem w tym klubie ludzie zaatakowały duchy starych bogów?

- Istoty magiczne trudniej zabić niż ludzi. Jeśli to miejsce byłoby pełne istot magicznych, niektóre mogłyby się uratować albo być w stanie się obronić. Ludzie nie zdołali tego zrobić.

- Więc duchy umarłych bogów zabiły około stu osób w klubie nocnym w Kalifornii?

- Tak - odpowiedział Rhys.

- Czy to mógł być Bezimienny?

Przez chwilę zastanawiał się nad odpowiedzią. W końcu potrząsnął głową.

- Nie, Bezimienny zburzyłby budynek.

- Jest tak potężny?

- Jest tak niszczyielski.

- Kiedy widziałeś po raz pierwszy taki atak?

- Jeszcze przed urodzeniem się Mroza.

- Więc tysiące lat temu.

- Tak.

- Kto mógł wtedy wezwać te duchy? Kto mógł rzucić to zaklęcie?

- Sidhe, który zginął na długo przed najazdem Normanów na Anglię.

Poszperałam szybko w pamięci.

- Więc przed 1066 rokiem.

- Tak.

- Czy ktokolwiek z żyjących obecnie mógłby rzucić takie zaklęcie?

- Pewnie tak, ale to jest zakazane. Jeśli przyłapano by go na tym, zostałby stracony bez procesu i wyroku, po prostu od razu.

- Kto ryzykowałby coś takiego dla zabicia tłumu ludzi? - spytał Mróz.

- Nikt - odparł Rhys.

- Skąd pewność, że zrobiły to duchy starych bogów? - spytałam.

- Zawsze istnieje możliwość, że jacyś ludzie-czarodzieje wymyślili nowe zaklęcie, które łądząco przypomina tamto, ale ja osobiście jestem przekonany, że to sprawka duchów starych bogów.

- Czy duchy wysysają z ludzi życie dla swojego pana? - spytał Mróz.

- Nie, one żywią się życiem. Teoretycznie, jeśli będą się nim żywić każdej nocy, mogą w końcu same

stać się żywe. Potrzebują pomocy śmiertelników, żeby tego dokonać, ale niektóre z nich mogą wrócić do pełni sił. Czasami któryś z nich może nawiązać kontakt z satanistami, przekonać ich, że jest diabłem i sprawić, żeby się dla niego poświęcili, ale to kosztuje wiele wysiłku. Wyssanie życia z ofiar jest szybsze, a przy tym nie traci się wtedy tyle energii, ile przy spożywaniu krwi, którą zapewniają czciciele.

- Czy któryś z tych duchów kiedykolwiek wrócił do pełni sił? - spytałam.

- Nie, zawsze udawało się je powstrzymać, zanim zaszły za daleko. Ale z tego, co wiem, nigdy nie żywiły się bezpośrednio - z wyjątkiem jednego wypadku, który został opanowany, gdy tylko zakłęcie przestało działać.

- Co może ich powstrzymać? - spytałam.

- Trzeba odwrócić zakłęcie.

- Jak to zrobić?

- Nie wiem. Po powrocie do domu muszę porozmawiać z innymi strażnikami.

Nagle przyszło mi coś do głowy.

- Rhysie - powiedziałam cicho, ponieważ ta myśl przeraziła mnie.

- Tak?

- Jeśli jedyna znana ci istota, która mogła rzucić takie zakłęcie, była sidhe, czy to nie znaczy, że to znowu ktoś z nas?

Milczał przez chwilę, po czym powiedział:

- Tego się właśnie obawiam. Jeśli to faktycznie sprawka sidhe i ludzie to odkryją, będzie to mogła być podstawa do wypędzenia nas z amerykańskiej ziemi. W aneksie do traktatu między nami a Jeffersonem zapisane jest, że jeśli użyjemy magii ze szkodą dla interesu narodowego, możemy zostać wygnani.

- To dlatego nie powiedziałaś o swoich podejrzeniach policji - domyśliłam się.

- To jeden z powodów - przyznał.

- Jakie są inne?

- Merry, oni nie mogą z tym nic zrobić. Nie powstrzymają tego. Nie jestem nawet pewien, czy w tej chwili ktokolwiek z nas, sidhe, może to powstrzymać.

- Przynajmniej jeden z nas może to zrobić - powiedziałam.

- Kogo masz na myśli? - spytał.

- Tego, kto rzucił to zakłęcie. Powinien umieć je cofnąć.

- To prawda - przyznał Rhys - ale zabicie tylu ludzi w ciągu kilku minut może być spowodowane też tym, że stracił kontrolę nad istotami, które przywołał. Mogły go zabić.

- No dobrze, ale jeśli to jeden z nas to spowodował, dlaczego zrobił to w Kalifornii, a nie w Illinois, gdzie jest największe skupisko sidhe?

Rhys znów odwrócił głowę, by na mnie spojrzeć.

- Naprawdę nie rozumiesz? Może to o ciebie chodziło?

Może chciał cię zabić tak, żeby żaden ślad nie prowadził do Krainy Faerie?

- Ale my to powiązaliśmy z Krainą Faerie.

- Tylko dlatego, że ja tutaj jestem. Większość osób na dworze zapomniała już, kim byłem, a ja im nie przypominam o tym, ponieważ przez Bezmiennego nie mam wystarczającej mocy, żeby znowu stać się tym, kim byłem. - W jego głosie słychać było rozgoryczenie. Roześmiał się. - Zapewne jestem jednym z nielicznych pozostałych przy życiu sidhe, którzy widzieli, co zrobił Esras. Byłem tam, a ten, kto obudził starych bogów, po prostu o mnie zapomniał. - Roześmiał się ponownie, ale tym razem z drwiną. - Zapomnieli o mnie. Mam nadzieję, że uda mi się sprawić, żeby pożałowali tego

niewielkiego przeoczenia.

Nigdy nie słyszałam Rhysa tak pełnego... czegoś, co nie miało nic wspólnego z pożądaniem czy żartami. Przyglądałam się mu, gdy jechał do apartamentu po Kitta. Było coś dziwnego w wyrazie jego twarzy, ułożeniu ramion. Nawet uścisk jego dłoni był inny. Uświadomiłam sobie, że tak naprawdę go nie znam. Skrywał się za maską humoru, niefrasobliwości, ale pod nią było coś więcej. Był moim ochroniarzem i kochankiem, a w ogóle go nie znałam. Nie byłam pewna, czy to ja powinnam go za to przepraszać, czy też on powinien przepraszać mnie.

Rozdział 24

Do El Segundo było nam, delikatnie mówiąc, nie po drodze, ale kiedy Kitto obudził się tego ranka, miał podkrążone oczy, a jego blada skóra wydawała się cienka jak bibułka, zupełnie jakby się wytarła w nocy. Nie mogłam sobie wyobrazić go chodzącego po plaży w promieniach słońca. Kiedy dowiedziałam się, dokąd mamy jechać, dałam mu możliwość wyboru i wybrał zaszycie się w swoim psim legowisku.

Weszłam po schodach wiodących z parkingu. Mróz szedł przede mną, a Rhys z tyłu.

- Jeśli małemu się nie polepszy, powinnas go odesłać do Kuraga - powiedział Rhys, gdy przechodziliśmy obok basenu.

- Wiem - odparłam. Pokonaliśmy kolejne schody i znaleźliśmy się prawie przy moich drzwiach. - Boję się jednak, kogo Kurag mógłby przysłać na jego miejsce. Spodziewał się, że mnie obrazi, proponując mi Kitta. Fakt, że go przyjął, naprawdę go zaniepokoił.

- W oczach goblinów Kitto jest wyjątkowo brzydki - powiedział Rhys.

Spojrzałam na niego. Wciąż jeszcze nie odzyskał swego zwykłego dobrego humoru. Wyglądał wręcz na załamane. Nie pytałam, skąd wie, co gobliny uważają za ładne. Byłam pewna, że gdy był u nich w niewoli, dopuszczały do niego tylko te spośród siebie, które uważały za najpiękniejsze. Gobliny cenią dodatkowe oczy i dodatkowe kończyny, a Kitto nie mógł się nimi pochwalić.

- Wiem, a na dodatek w żaden sposób nie jest związany z dworem królewskim. Kurag spodziewał się, że go odrzucę. Mógłby wtedy zerwać nasz sojusz.

Byliśmy już przy drzwiach. Stała przy nich doniczka z pelargoniami o różowych kwiatach. Galen wziął na siebie większość obowiązków domowych, takich jak szukanie mieszkania na tyle dużego, byśmy się wszyscy w nim mogli pomieścić, i kupienie kwiatów dla mającego niebawem przybyć wysłannika-królowej. Mielibyśmy większe mieszkanie już wieki temu, gdyby tyle nie kosztowało. Znalezienie dużego mieszkania, na które byłoby nas stać, okazało się poważnym problemem.

Wciąż odmawiałam przyjmowania pieniędzy z dworu królewskiego, ponieważ nikt tam nic nie dawał, nie spodziewając się czegoś w zamian. Mróz uważał, że jestem zbyt nieugięta w tej kwestii, ale Doyle zgadzał się, że zawsze trzeba płacić za przysługi. Byłam pewna, że Andais zażądałaby ode mnie przysięgi, że nie zabiję jej syna, jeśli to ja obejmę tron. Była to cena, której nie mogłam zapłacić. Wiedziałam, że Cel nie zaakceptuje mnie jako królowej, dopóki będzie żył. To, że Andais tego nie rozumiała, było przejawem matczynej ślepoty. Cel jest draniem, wynaturzonym typem, ale jego matka go kocha, czego z kolei ja nie mogę powiedzieć o swojej matce.

Mróz otworzył drzwi, wchodząc jako pierwszy; sprawdzał, czy osłona nie została naruszona. Powitał nas zapach lawendy i kadzidełka. Ołtarz znajdował się w kącie salonu, tak że każdy mógł go używać. Właściwie go nie potrzebowaliśmy. Nawet gdy staliśmy pośrodku łąki albo lasu, albo w zatłoczonym metrze, bóstwo było zawsze z nami - jeśli tylko się odpowiednio skupiliśmy, jeśli chcieliśmy je przyjąć do serca. Ołtarz był jednak miłym przypomnieniem. Miejscem, w którym można było zacząć każdy dzień od małej stawy duchowej.

Ludzie często myślą, że nie wyznajemy żadnej religii - przecież w końcu sami kiedyś byliśmy

bogami, prawda? Cóż, tak jakby. Oddawano nam boską cześć, ale większość z nas uznaje, że są moce potężniejsze od nich. Większość z nas oddaje cześć Bogini i Jej Małżonkowi. Bogini jest dawczynią życia, a Jej Małżonek - tym wszystkim, co męskie. Są podstawą wszystkiego. Ona, zwłaszcza Ona, jest największą ze wszystkich sił na tej planecie.

Gdyby nie nieznaczny zapach kadzidełka i niewielka czara z wodą stojąca na ołtarzu, można by pomyśleć, że nikogo nie ma. Wyczuwałam jednak drobne zawirowania magii - nie wielkiej magii, a takiej codziennego użytku. To prawdopodobnie Doyle siedział przed lustrem i z kimś rozmawiał. Postanowił zostać w domu i zebrać informacje o Bezimiennym od przyjaciół na dworze. Zaklęcia Doyle'a były tak delikatne, że prawie zupełnie nie do wykrycia. Moje zaklęcia takie nigdy nie były.

Rhys zamknął drzwi i ściągnął karteczkę, która była do nich przyklejona.

- Galen poszedł szukać mieszkania. Ma nadzieję, że spodobały nam się kwiaty. Ściągnął drugą karteczkę. - Nicca kończy dzisiaj swoją fuchę ochroniarza.

- Tej aktorce nic nie grozi - powiedział Mróz, zdejmując marynarkę. - Wcale bym się nie zdziwił, gdyby to jej agent namówił ją do wzięcia ochroniarza dla większego rozgłosu.

Skinęłam głowę.

- Jej dwa ostatnie filmy były klęską, zarówno pod względem artystycznym, jak i finansowym.

- Tego nie wiedziałem. Choć zauważyłem, że fotoreporterzy częściej robili zdjęcia mnie niż jej.

- Zabierała cię do wszystkich najmodniejszych klubów nocnych, żeby cię zobaczyli.

Chciałam zrzucić buty, ale mieliśmy zaraz wracać do pracy. Zamiast tego podeszłam więc do legowiska Kitta i uklękłam przy nim, odruchowo obciągając spódnice, by sprzączki na moich butach nie zaczepiały pończoch.

Leżał zwinięty w kłębek.

- Kitto, śpisz?

Nie poruszył się.

Dotknęłam jego pleców. Był zimny.

- Matko jedyna. Mróz, Rhys, coś nie tak!

Mróz natychmiast pojawił się przy mnie; Rhys trzymał się z tyłu. Mróz dotknął pleców goblina.

- Jest lodowaty.

Zbadał puls. Czekał długo, w końcu powiedział:

- Krew w nim jeszcze krąży, ale wolno.

Wyciągnął Kitta z jego nory. Goblin sprawiał wrażenie nieżywego.

- Kitto! - krzyknęłam.

Miał zamknięte oczy, ale wydawało mi się, że widzę jego źrenice, zupełnie jakby miał przezroczyste powieki. Nagle otworzył oczy i wymamrotał coś. Pochyliłam się, by usłyszeć, co mówi. To było moje imię.

- Merry, Merry... - powtarzał bez przerwy.

Był w samych szortach. Widziałam jego żyły i mięśnie. Ciemny kształt poruszył się na jego piersi i zrozumiałam, że to serce. Mogłam je prawie zobaczyć. Robił się prześwitujący. To było tak, jakby roztopiał się albo...

Spojrzałam na Mroza.

- On gaśnie.

Skinął głowę.

Rhys przyprowadził z sypialni Doyle'a. Pochylili się nad nami. Ich miny mówiły więcej niż słowa.

- Nie - powiedziałam - musi być jakaś nadzieja. Z pewnością coś można zrobić.

Wymienili spojrzenia, jakby myśli, które przyszły im do głowy, były zbyt trudne do zniesienia i trzeba

się było nimi podzielić z innymi.

Ścisnęłam Doyle'a za ramię.

- Musi być jakiś sposób.

- Nie wiemy, co powstrzymuje gobliny przed gaśnięciem.

- Jego matka była sidhe. Ratuj go tak, jak ratowałbyś sidhe.

Doyle popatrzył na mnie z wyższością, jakbym ich wszystkich znieważyla.

- Nie bądź taki napuszony. Nie pozwolę mu umrzeć tylko dlatego, że w jego żyłach płynie mniej mieszanej krwi niż w każdym z nas.

Złagodniał.

- Meredith... Merry, sidhe gasną tylko wtedy, gdy tego chcą. Gdy ten proces się zacznie, nie można go zatrzymać.

- Nie! Musi być coś, co można zrobić!

- Obejmij go, a ja spróbuję skontaktować się z Kuragiem. Jeśli nie możemy uratować go jak sidhe, może uda się go uratować jak goblina.

Kitto leżał wciąż w ramionach Mroza.

- Merry musi go objąć - powiedział Doyle, kierując się w stronę sypialni.

Usiadłam na podłodze. Mróz położył mi Kitta na kolanach. Pasował idealnie; oto mężczyzna, którego mogę brać na kolana. Spędziłam większość życia między istotami, które były mniejsze niż Kitto, ale żadna z nich nie była tak podobna do sidhe. Może dlatego właśnie tak bardzo mi czasami przypominał lalkę.

Przyłożyłam policzek do jego lodowatego czoła.

- Kitto, proszę cię, wróć, wróć do nas, gdziekolwiek jesteś. Proszę cię, Kitto, to ja, Merry.

Przestał wypowiadać moje imię. Przestał wydawać jakiegokolwiek dźwięki, a jego ciężar, sposób, w jaki jego ciało bezwładnie spoczywało w moich ramionach... Sprawiał wrażenie umarłego. Nie umierającego, a właśnie umarłego. To był ciężar umarłego ciała; takiego ciężaru nie mają żywi, nieważne jak bardzo chorzy. Na zdrowy rozum, nie powinno być różnicy, a jednak jest.

Wrócił Doyle, mruczając pod nosem:

- Kuraga nie ma w pobliżu lustra ani stojącej wody. Nie mogę go namierzyć, przykro mi.

- Jeśli Kitto byłby sidhe, w jaki sposób byś go ratował?

- Sidhe nie gasną z braku faerie - odparł Doyle. - Sidhe gasną tylko wtedy, gdy tego chcą.

Trzymałam jego zimne ciało w ramionach i czułam, że zaraz się rozplączę. Ale płacz nic tu nie pomoże, szlag by to! Musiałam porozmawiać z Kuragiem, i to już. Jaką rzecz wszyscy gobliniscy wojownicy mają zawsze przy sobie?

- Podaj mi nóż - powiedziałam do Mroza.

- Co takiego?

- Nie mogę wyjąć noża zza podwiązki, bo trzymam Kitta. Potrzebuję noża, szybko.

- Rób, co ci każe - powiedział Doyle.

Mróz nie lubił robić rzeczy, których nie rozumiał, ale wyjął zza pleców swój nóż, który był prawie długości mojego przedramienia, i wyciągnął go w moim kierunku rękojeścią do przodu.

Wyjęłam rękę spod ciała Kitta i powiedziałam:

- Trzymaj nóż stabilnie.

Mróz uklęknął na jedno kolano, trzymając nóż w obu rękach. Nabrałam powietrza w płuca, przyłożyłam palec do czubka noża i nacisnęłam. Po chwili pojawiła się krew.

- Merry, przestań...

- Trzymaj nóż nieruchomo. To wszystko, co masz robić, więc rób to. Nie mogę trzymać i noża, i

Kitta. Po prostu to rób.

Zmarszczył brwi, ale dalej klęczał, trzymając nóż, podczas gdy ja przesuwałam krwawiącym palcem w dół jego błyszczącej powierzchni. Krew nie rozmazywała się na niej, tylko plamiła nieskazitelnie czyste ostrze.

Zrzuciłam osłonę, która trzymała mnie z dala od duchów i magii. Magia uwolniła się momentalnie, jakby była szczęśliwa, że wreszcie się wyswobodziła. Skierowałam ją na ostrze. Wyobraziłam sobie Kuraga, jego twarz, głos, nieprzyjemny sposób bycia.

- Kuragu, przyzywam cię. Kuragu, Tysiąckrotny Zabójco, przyzywam cię. Kuragu, Królu Goblinów, przyzywam cię. Trzykrotnie wezwany, trzykrotnie nazwany, przybądź, Kuragu, odpowiedz na wezwanie ostrza.

Powierzchnia noża zabłysła.

- Sidhe nie wzywali goblinów poprzez ostrze od wieków - powiedział Rhys. - Nie odpowie.

- Trzykrotne wezwanie ma olbrzymią moc - odparł Doyle. - Nawet jeśli Kurag je zignoruje, z pewnością nie zignorują go jego ludzie.

- Spokojna głowa, mam coś, czego z pewnością nie zignoruje. - Pochyliłam się do ostrza i dmuchnęłam na nie, tak że zaszło parą.

Ostrze zabłysło. Para opadła, a krew wsiąkła, jakby została wypita. Wpatrzyłam się w srebrną, niewyraźną powierzchnię noża. Ostrze, nawet najwyższej jakości, nie jest jak lustro. Daje niewyraźny, zamglony obraz, jakby potrzebowało jakiegoś pokrętła do wyregulowania ostrości, ale oczywiście go nie ma. Widać tylko mętny zarys małego fragmentu twarzy; najwyraźniejsze są oczy.

Zamazany kawałek guzowatej twarzy i para pomarańczowych oczu pojawiły się na dole ostrza; wyżej obraz był wyraźniejszy, widać tam było trzecie oko Kuraga niczym słońce za chmurami.

Jego głos był tak wyraźny, jakby stał obok mnie. Zabuczał tak nagle, że z wrażenia drgnęłam.

- Meredith, Księżniczko Sidhe, czy to twój słodki oddech poczułam na swojej skórze?

- Witaj, Kuragu, Królu Goblinów, i ty, Bliźniaku Kuraga, Więźniu Jego Ciała.

Z boku Kuraga wyrastała istota, która miała jedno fioletowe oko, usta, cieniutkie rączki i nóżki oraz małe, ale w pełni sprawne genitalia. Usta oddychały, ale nie mówiły i, z tego, co wiem, byłam jedyną osobą, która uznawała istnienie tej drugiej istoty jako niezależnej od króla. Wciąż pamiętam swoje przerażenie, kiedy uświadomiłam sobie jej istnienie.

- Dużo czasu minęło, odkąd ostatni raz goblin był wzywany poprzez krew i ostrze. Większość wojowników, którzy walczyli u naszego boku, zapomniała już o tej starej sztuczce.

- Ojciec nauczył mnie wielu takich sztuczek - powiedziałam. Kurag i ja wiedzieliśmy doskonale, że ojciec często kontaktował się z nim właśnie w taki sposób. Mój ojciec był nieoficjalnym ambasadorem Andais na dworze goblinów, ponieważ nikt inny nie chciał sprawować tej funkcji.

Jako dziecko byłam tam częstym gościem.

Jego śmiech przetoczył się po pokoju.

- Czego ode mnie chcesz, Meredith, córko Essusa?

Oferował pomoc, a właśnie jej potrzebowałam. Opisałam stan Kitta.

- On gaśnie - powiedziałam.

Kurag zaklął w gardłowym wysokogoblińskim. Niewiele z tego zrozumiałam.

- Ciebie i Kitta wiąże znak. Twoja siła powinna utrzymać go przy życiu. - Przesunął dłonią po twarzy. - To nie powinno się wydarzyć.

- A jeśli znak zniknął?

- Znak nie mógł zniknąć, powinna pozostać blizna - odparł.

- Zniknął i nie ma blizny.

Przybliżył swoje pomarańczowe oczy do ostrza.

- To nie powinno się zdarzyć.

- Nie wiedziałam, że to problem. Kitto mi nic nie powiedział.

- Znak kochanków zawsze pozostawia bliznę, Merry. Zawsze. Przynajmniej u nas. Nie byłam w stanie odczytać jego wyrazu twarzy, ale prychnął, po czym spytał: - Czy uczynił znak na twoim białym ciele tylko raz?

- Tak - odparłam.

- A seks? - spytał podejrzliwie.

- Sojusz obejmował tylko dzielenie się ciałem. Dzielenie się ciałem jest o wiele cenniejsze dla goblinów niż seks.

- To prawda, cenimy ciało, ale czym jest małe ugryzienie bez stosunku? Powinien zanurzyć w tobie zarówno swoje zęby, jak i członek.

- Kitto dzieli ze mną łóżko i pozostaje ze mną przez większość czasu, dotykając mnie. Najwyraźniej odczuwa taką potrzebę.

- Jeśli dotyk twojej skóry był wszystkim, co otrzymał... - Znow powiedział coś po wysokogoblińsku, co gobliny rzadko robią; używanie języka, którego druga istota nie zna, jest szczytem niegrzeczności. Ojciec nauczył mnie trochę goblińskiego, ale Kurag mówił za szybko, bym mogła zrozumieć.

Kiedy Kurag już się nagadał, przerwał i zaczął mówić w powszechnie znanym języku.

- Dla was, napuszeni sidhe, gobliny są wystarczająco dobre, żeby walczyć w waszych wojnach, umierać za was, ale nie wystarczająco dobre, żeby się z nimi pieprzyć. Czasami was wszystkich nienawidzę. Nawet ciebie, Merry, chociaż mam do ciebie słabość.

- Ty również nie jesteś mi obojętny.

- Nie słódź mi, Merry. Gdybyś się regularnie pieprzyła z Kittem, znak stałby się blizną. On potrzebuje stałego karmienia ciałem, żeby wytrzymać. Bez prawdziwego ciała albo pieprzenia twój związek z nim jest zbyt słaby i przez to umiera.

Spojrzałam na nieruchomą, zimną postać, która spoczywała w moich ramionach, po czym uświadomiłam sobie, że nie jest już tak zimna. Wciąż była wychłodzona, ale już nie tak lodowato zimna.

- Jest cieplejszy - powiedziałam cicho, ponieważ nie byłam pewna.

Doyle dotknął twarzy Kitta.

- Faktycznie - przyznał.

- Czy dobrze słyszę? Ciemność Królowej? - spytał Kurag.

- Tak, to ja, królu goblinów - odpowiedział Doyle.

- Czy on naprawdę gaśnie? Nie wydaje mi się, żeby Merry widziała w swoim życiu zbyt wiele gasnących istot.

- Tak, on gaśnie - potwierdził Doyle.

- Dlaczego w takim razie stał się cieplejszy? Jeśli gaśnie, powinien stawać się coraz zimniejszy.

- Merry cały czas trzyma go w ramionach. Najwidoczniej go ogrzała.

- W takim razie może nie jest jeszcze za późno. Czy jest wystarczająco silny, żeby się pieprzyć?

- Jest ledwie przytomny - odparł Doyle.

Kurag wypowiedział słowo, które, jak wiedziałam, w języku goblinów oznacza coś, czego żaden goblin nie życzy drugiemu: impotencja. To była najgorsza obelga, jaką w ich świecie można było kogoś obrzucić.

- A czy może naruszyć zębami jej skórę? Popatrzyliśmy wszyscy na nieruchome ciało. Kitto był cieplejszy, ale wciąż w ogóle się nie ruszał.

- Nie wydaje mi się - powiedziałam.

- W takim razie pozostaje tylko krew. Czy może wyssać krew? - spytał Kurag.

- Może - odparłam.

- Jeśli przyłożymy ranę do jego ust, może da radę - powiedział Doyle. - O ile się nie udławi.

- Jest goblinem - podkreślił z godnością Kurag. - Nie może się udławić krwią.

- Czy to musi być krew Merry? - spytał Rhys.

- Pamiętam cię jeszcze z czasów, kiedy nosiłeś inne imię, Rhysie - odrzekł Kurag. Powinieneś znowu nas odwiedzić. Nasze kobiety wciąż cię wspominają. To wielka pochwała w ustach goblinów kobiet.

Rhys zbladł i nic już nie powiedział. Kurag roześmiał się nieprzyjemnie.

- Tak, to musi być krew Merry. Potem, jeśli ktoś z was będzie miał ochotę podzielić się krwią z Kittem, proszę bardzo. Sidhe są dla nas przysmakiem. - Wpatrzył się we mnie swoimi pomarańczowymi oczami. - Jeśli krew przywróci go do życia, wtedy daj mu ciało, Merry, tym razem prawdziwe ciało. - Jego oczy nagle zrobiły się ogromne na ostrzu. Musiał prawie przycisnąć je do nosa. - Myślałaś, że uda ci się mieć gobliny za sojuszników przez sześć miesięcy, nie biorąc żadnego z nas do łóżka. Dzieliłaś ciało, więc nie mogę powiedzieć, że nie dotrzymałaś warunków sojuszu. Oboje jednak wiemy, że pogwałciłaś jego ducha.

Przyłożyłam swój wciąż krwawiący palec do ust Kitta.

- Gdybym wzięła go do łóżka, miałby szansę zostania królem Unseelie. To warte więcej niż sześciomiesięczny sojusz.

Kitto zamrugał. Jego usta nieznacznie się poruszyły. Przejechałam palcem po jego wargach, pomiędzy zębami i jego ciało drgnęło.

- O, nie, nie dostaniesz mnie tak łatwo, Merry. Dasz mu swoje ciało tak, jak powinnaś to zrobić, i jesteśmy do twojej dyspozycji jeszcze trzy miesiące. Po tym czasie możesz już liczyć tylko na siebie. Kitto zaczął ssać mój palec jak dziecko, na początku delikatnie, potem mocniej, jego zęby zaczęły wgryzać się w moją skórę.

- Ssie mój palec, Kuragu.

- Na twoim miejscu zabrałbym palec, zanim go stracisz. Kitto nie zdaje sobie sprawy z tego, co robi, a gobliny są w stanie przegryźć żelazo.

Kitto walczył ze mną, próbował ustami przytrzymać mój palec. Do czasu, gdy go wyswobodziłam, otworzył oczy.

- Kitto - powiedziałam.

Nie reagował na swoje imię ani na nic innego, ale był cieplejszy i poruszył się.

Poinformowałam o tym Kuraga.

- To dobrze, to bardzo dobrze. Zrobiłem dobry uczynek, Merry. Reszta należy do ciebie.

Spojrzałam ponownie na ostrze.

- Zamierzasz siedzieć z założonymi rękami i patrzeć, kto wygra, tak?

- Co to ma dla nas za znaczenie, kto zasiądzie na tronie Unseelie? Ważne jest tylko to, kto zasiada na tronie goblinów.

- A jeśli zwolennicy Cela planują wojnę z Seelie? - włączył się Doyle. Ukląkł i dotknął mojego ramienia. Zdaje się, że dawał mi znak, bym mu nie przerywała.

- O czym ty mówisz?

- Jestem na tyle wtajemniczony w sprawy sidhe, by wiedzieć, że gobliny o tym nie wiedzą.

- Nie przebywasz teraz na dworze.

- Co nie znaczy, że nie sięgają tam moje uszy.

- Masz na myśli szpiegów.

- Tak bym tego nie nazwał.

- Dobrze, dobrze, graj dalej w te swoje gierki słowne, które tak lubicie, zamiast powiedzieć wprost, o co ci chodzi.

- Są tacy na Dworze Unseelie, którzy uważają, że Andais posunęła się za daleko, wyznaczając Meredith na swoją następczynię. Są przekonani, że oddanie tronu śmiertelnikowi oznacza ich koniec. Mówią o wyruszeniu na wojnę z Seelie, zanim wszyscy staną się bezsilnymi śmiertelnikami. Nasza siła pochodzi od naszych władców, jak dobrze wiesz.

- To, co powiedziałaś, wystarczy, żebym nie wiązał się z ludźmi Cela.

- Gdyby gobliny były sojusznikami Merry, nikt na Dworze Unseelie nie zaryzykowałby walki z nią. Oni ośmielią się rzucić wyzwanie Seelie tylko wtedy, gdy będą mogli liczyć na wsparcie goblinów.

- Co dla nas oznacza walka pomiędzy sidhe?

- Jesteście związani słowem, krwią, ziemią, ogniem, wodą i powietrzem, że wesprzecie prawowitego następcę tronu Unseelie. Jeśli to Merry zasiądzie na tronie i Unseelie zbuntują się przeciwko niej, a ty będziesz siedział z założonymi rękami, czekając na rozwój wypadków, wtedy staniesz się przeklęty.

- Nie przestraszysz mnie, wojowniku sidhe.

- Bezimienny znów chodzi po ziemi. Naprawdę myślisz, że to ja jestem tym, który może cię przestraszyć? Są istoty o wiele bardziej przerażające ode mnie, które podniosą się z głębin, zejną z nieba i dadzą należną zapłatę tym, którzy łamią złożone przysięgi.

Kurag wyglądał na zatroskanego.

- Słyszę twoje słowa, wojowniku, Merry tymczasem zapadła w milczenie. Czyżby była tylko marionetką w twoich rękach?

- Właśnie zajmuję się twoim goblinem, Kuragu. Wolę robić lepszy użytek z języka, niż mówić ci to, co sam doskonale wiesz.

- Pamiętam o swoich przysięgach.

- Nie, Kuragu, nie o to mi chodzi. Sidhe mogą nie przynosić żadnych wieści do kopca goblinów, ale ty i ja wiemy, że masz inne źródła informacji. - Nie powiedziałam, że pomniejszych istoty magiczne na dworze szpiegują dla goblinów. Mój ojciec dał słowo, że nigdy nie powie o sieci szpiegów Kuraga. Ja nie musiałam składać takiego przyrzeczenia. Mogłam wyjawiać sekrety goblinów, nigdy jednak tego nie zrobiłam.

- Mów swobodnie, księżniczko, nie baw się ze starym goblinem w półśłówka.

- Mówię na tyle swobodnie, na ile chcę, Kuragu, Królu Goblinów.

Westchnął ciężko.

- Merry, jesteś naprawdę córką swego ojca. Essus był moim ulubieńcem pośród sidhe. Jego strata była dotkliwym ciosem dla nas wszystkich, ponieważ był prawdziwym przyjacielem.

- Bardzo wiele dla mnie znaczy taka opinia, Kuragu. - Nie podziękowałam mu, ponieważ nigdy nie dziękuje się starszej istocie magicznej. Niektórzy z młodych nie przejmują się tym, ale taki jest stary zwyczaj, prawie nakaz.

- Czy zamierzasz dotrzymać wszystkich przyrzeczeń swojego ojca?

- Nie, z niektórymi się nie zgadzam, a niektórych nie znam.

- Myślałem, że mówił ci o wszystkim - powiedział Kurag.

- Nie jestem już dzieckiem, Kuragu. Wiem, że nawet mój ojciec miał swoje sekrety. Byłam młoda, kiedy zginął. Nie byłam gotowa, żeby dowiedzieć się o niektórych sprawach.

- Jesteś równie mądra, jak pociągająca. Jaka szkoda. Bardziej bym cię lubił, gdybyś była trochę

głupsza. Wolę, kiedy moje kobiety są odrobinę mniej rozgarnięte ode mnie.

- Kuragu, ty stary bałamucie.

Roześmiał się zaraźliwym śmiechem. Śmiałam się razem z nim, a kiedy jego oczy zaczęły błędnąć na ostrzu, powiedział:

- Przemyślę to, co powiedział Ciemność, co powiedziałaś ty i co kiedyś powiedział mi twój ojciec. Ale albo dasz prawdziwe ciało mojemu goblinowi, albo uwolnię się od ciebie.

- Nigdy się ode mnie nie uwolnisz, Kuragu, chyba że mnie przelecisz. Powiedziałeś mi tak, kiedy miałam szesnaście lat.

Roześmiał się, ale na zakończenie powiedział:

- Dotąd myślałem, że wszystko byłoby bezpieczniejsze, gdybyś zgodziła się zostać moją królową. Teraz zaczynam myśleć, że jesteś zbyt niebezpieczna, by być blisko jakiegokolwiek tronu.

Rozdział 25

Na tle ciemnobordowej pościeli Kitto wyglądał niczym duch. Wrażenie to pogłębiały jeszcze jego czarne włosy. Gdy miał otwarte oczy, źrenice były niebieskie, gdy je zamknął, dalej je było widać przez powieki.

Dotknęłam jego ramienia.

- Wciąż jest... prawie prześwitujący.

- Pomniejsze istoty magiczne dosłownie gasną - powiedział Doyle. Stał obok mnie przed szafą z lustrem.

Rhys stał w nogach łóżka i patrzył na goblina.

- Nie da rady uprawiać seksu.

Spojrzałam na niego. Wyglądał na zaniepokojonego, może nawet smutnego, ale to wszystko.

- Nie zamierzasz protestować przeciwko dzieleniu się mną z goblinem?

- A czy to coś da?

- Nie.

- W takim razie nie pozostaje mi nic innego, jak robić dobrą minę do złej gry. Poza tym nie wydaje mi się, żebyśmy musieli się martwić o to, że będziesz się z nim dzisiaj pieprzyć. Nie wygląda na to, żeby miał na to siłę.

- Merry musi dzielić z Kittem ciało, żeby go wyprowadzić z letargu - powiedział Doyle.

Usiadłam na brzeжку łóżka, a Kitto przeturlał się w moją stronę jak morze przyciągane przez księżyc. Przytulił się do mnie z westchnieniem, które było prawie jękiem.

- Nie ugryzie mnie, jeśli jest nieprzytomny.

- Musisz przelać na niego moc, tak jak przelałaś ją na ostrze noża - powiedział Doyle.

- Uczyń go świadomym ciebie, tak jak uczyniłaś świadomym ciebie Kuraga.

Spojrzałam na malutkiego człowieczka. Sprawiał wrażenie pogrążonego we śnie, ale jego skóra wciąż była tak strasznie cienka, jakby się wytarła. Przesunęłam dłońmi po jego rękach. Przysunął się do mnie, ale się nie obudził.

Pochyliłam się nad nim, prawie dotykając ustami jego ramienia. Po wygaśnięciu zaklęcia potrzebnego do rozmowy z Kuragiem odruchowo ustawiłam z powrotem osłonę. Osłanianie się było dla mnie niczym oddychanie. Nauczyłam się osłaniać mniej więcej w tym samym czasie, co czytać.

Tym razem nie rzucałam zaklęcia; tym razem odwoływałam się do czegoś mniejszego i większego zarazem. Czarownice nazywają to naturalną magią, co oznacza naturalną umiejętność sporządzania zaklęć bez żadnego wysiłku.

Włożyłam całą swoją magię i energię w oddech i dmuchnęłam na niego. Zmusiłam go do obudzenia

się i spojrzenia na mnie.

Zamrugnął powiekami i otworzył oczy. Tym razem mnie zobaczył.

- Merry - powiedział ochryłym głosem. Uśmiechnęłam się do niego, dotykając jego włosów.

- Tak, Kitto, to ja.

Skrzywił się, jakby go coś zabolalo.

- Co się stało?

- Potrzebujesz mojego ciała.

Zmarszczył brwi, jakby nie rozumiał.

Zdjęłam żakiet i zaczęłam rozpinać bluzkę. Nie chciałam zaplamić krwią białego materiału. Biustonosz też był biały, ale miałam nadzieję, że zachowując odrobinę ostrożności, uda mi się go nie zabrudzić.

Kitto otworzył szerzej oczy.

- Ciała?

- Zostaw swój znak na moim ciele, Kitto.

- Skontaktowaliśmy się z Kuragiem - powiedział Doyle. - Jego zdaniem osłabłeś dlatego, że znak po twoim ugryzieniu zniknął. Tylko moc Meredith może cię utrzymać przy życiu z dala od Krainy Faerie i dlatego musisz znów podzielić się ciałem.

Kitto spojrzał na niego.

- Nie rozumiem.

Dotknęłam jego twarzy, kierując jego wzrok z powrotem na siebie.

- Czy to ważne? Czy cokolwiek jest ważne z wyjątkiem zapachu mojej skóry?

Zbliżyłam nadgarstek do jego twarzy, potem opuściłam wolno rękę do jego ust. Uklękałam przy łóżku, wsuwając drugą rękę za jego głowę, przyciągając ją do mojej pierwszej ręki, tuż pod ramieniem. Podczas seksu gryzienie jest wspaniałe, nawet takie do krwi; ale to odbywało się na zimno i nie byłam na to gotowa. To będzie boleć, więc wolałam, by ugryzł mnie gdzieś, gdzie mam trochę więcej mięsa.

Jego źrenice zmieniły się w cienkie czarne szpary. Był spokojny, ale nie nieruchomy. W tym spokoju było wiele rzeczy: podniecenie, pragnienie i żądza, ślepa żądza. Coś w tej chwili, gdy patrzył na moje ramię, przypomniało mi, że jego ojciec nie był goblinem, a węzowym goblinem. Kitto stawał się ciepły i ssakowaty, ale był w nim i jakiś przerażająco gładki spokój.

Wciąż był małą wersją wojownika sidhe; ale patrząc, jak jego ciało się napina, miałam wrażenie, że mam przed sobą węża gotującego się do ukąszenia. Przez chwilę się go bałam, potem poruszył się szybko i zmusiłam się, by nie odskoczyć.

To było tak, jakbym została uderzona w rękę kijem baseballowym, jakby ugryzł mnie wielki pies. To było przerażające uderzenie, ale właściwie nie bolało. Krew spłynęła z jego ust po moim ramieniu. W ogóle się tym nie przejął. Krzyknęłam.

Upadłam na bok łóżka, byle dalej od niego, ale on pozostał przy moim ramieniu, z zębami zatopionymi w ciało. Krew spłynęła na moją pierś, brudząc biały biustonosz.

Powstrzymałam się od krzyku. Był goblinem - krzyk tylko by go napełnił jeszcze większą żądzą krwi. Dmuchałam mu delikatnie w twarz. Wciąż był uwięziony przez moją rękę, oczy miał zamknięte, na twarzy malował się wyraz błogości. Dmuchałam mocniej, tak jak się reaguje na ugryzienie przez małe zwierzątko. Większość stworzeń nie lubi, gdy dmucha się im w twarz.

Otworzył oczy. Znów pojawił się w nich dawny Kitto, podczas gdy zwierzę zniknęło. Puścił moją rękę.

Zatoczyłam się pod szafę. Ból był nagły i ostry. Miałam wielką ochotę przekląć go cicho, ale gdy

popatrzyłam na jego twarz, nie mogłam.

Krew pokrywała jego usta jak rozmazana szminka. Plamiła jego podbródek i szyję. Jego oczy skupiły się i nagle był to znowu on, ale wciąż przebiegał tym wąskim, rozwidlającym się na końcu językiem po malutkich zakrwawionych zębach. Przewrócił się na łóżko, wciąż upajając się smakiem mojej krwi.

Ja zaś po prostu siedziałam na podłodze i krwawiłam.

Doyle przyklęknął przy mnie z małym ręcznikiem w dłoniach. Uniósł moją rękę, przewiązał ją ręcznikiem, nie tak bardzo, by zatamować krwawienie, ale na tyle, by krew nie plamiła wszystkiego wokół.

Powietrze wypełnił zapach kwiatów, przyjemny, lecz ostry. Doyle zerknął w lustro.

- Ktoś prosi o rozmowę - powiedział.

- Kto to?

- Nie jestem pewien, chyba Niceven. Popatrzyłam na zakrwawioną rękę. - Czy mogę to pokazać?

- Jeśli nie okażesz tylko, że cię boli, możesz.

Westchnęłam.

- Dobrze. Pomóż mi usiąść. - Objął mnie i posadził na łóżku. - Nie potrzebowałam aż tak wielkiej pomocy.

- Wybacz. Nie wiedziałem, w jak poważnym stanie jesteś.

- Przeżyję. - Wzięłam ręczniczek i przyłożyłam do rany. Kitto przycupnął przy mnie, jego twarz ciągle była cała we krwi. Zakopał się w pościeli, tak że z lustra nie można było dostrzec jego szortów, więc wyglądał na nagiego. Zwinął się obok mnie, zlizując krew z ust. Pogładził moją talię i biodra.

Kurag może sobie mówić, co chce, ale podzielenie się ciałem w ten sposób było dla goblinów równoznaczne z seksem.

- Odpowiedz, Doyle, a potem daj mi coś na zatamowanie krwawienia.

Uśmiechnął się i ukłonił. Machnął ręką i w lustrze ukazał się mężczyzna z haczykowatym nosem i skórą koloru fiołkowego.

To był Hedwick, osobisty sekretarz króla Taranisa. Nie tylko nie był Niceven, ale z pewnością też nie doceniał przedstawienia, które miał przed oczami.

Rozdział 26

Hedwick nawet na nas nie patrzył. Spoglądał w kartkę i czytał.

- Pozdrowienia dla księżniczki Meredith NicEssus od Jego Wysokości króla Taranisa Gromowładnego. Informujemy cię, że za trzy dni odbędzie się bal przedświąteczny. Jego Wysokość pragnąłby cię na nim widzieć.

Podczas tej przemowy ani razu nie oderwał wzroku od kartki. Dopiero kiedy odpowiedziałam, poruszył ręką, by oczyścić obraz w lustrze i spojrzął na mnie. A odpowiedziałam jednym słowem. Słowem, którego zapewne nie spodziewał się usłyszeć:

- Nie.

Na jego twarzy pojawił się najpierw wyraz niedowierzania, potem - obrzydzenia. Może sprawił to widok Kitta zwinętego na łóżku. A może to, że byłam zakrwawiona. Cokolwiek to było, wyraźnie mu się nie podobało.

- Jesteś księżniczką Meredith NicEssus, prawda? - powiedział, jakby trudno mu było w to uwierzyć.

- Tak.

- Więc pragniemy cię zobaczyć na balu. - Znów machnął ręką, by oczyścić obraz w lustrze.

- Nie - powiedziałam raz jeszcze.

Zachmurzył się, patrząc na mnie.

- Zostało mi jeszcze dzisiaj kilka zaproszeń do przekazania, księżniczko, nie mam czasu na fochy.

Uśmiechnęłam się, ale czułam, że mój wzrok pozostał twardy. Narastał we mnie gniew. Wiedziałam, że Hedwick dostarcza zaproszenia tylko pomniejszym istotom magicznym i ludziom. Ważniejszym sidhe wręcza zaproszenia kto inny. To, że to Hedwicka wysłano z zaproszeniem do mnie, było obrazą. To, w jaki sposób mnie zapraszał, było obrażą podwójną.

- Nie stroję fochów, Hedwicku. Po prostu nie przyjmuję zaproszenia.

Najeżył się i poprawił swój biały fular. Był ubrany tak, jakby to ciągle był XVIII wiek. Dobrze przynajmniej, że nie miał na głowie peruki. Chybabym tego nie zniosła.

- Jego Wysokość Król osobiście nakazał ci się zjawić, księżniczko.

- Należę do Dworu Unseelie i nie mam nad sobą króla - odparłam.

Doyle ukląkł przy mnie, trzymając w rękach środki opatrunkowe. Odkąd zamieszkałam ze strażnikami, miałam je pod ręką, chociaż rany, jakie mi zadawali nie były nigdy tak poważne, jak tym razem.

Hedwick przeniósł na chwilę wzrok na Doyle'a, potem spojrział na mnie.

- Jesteś księżniczką Seelie.

Doyle przybliżył się do rany. Wziął ręcznik, naciskając.

Sapnęłam cicho, kiedy przycisnął tkaninę do rany, ale oprócz tego mój głos był normalny. Załatwiałam dalej swoje sprawy jakby nigdy nic, podczas gdy Doyle opatrywał moje rany, a Kitto leżał zwinięty w kłębek obok mnie.

- Mój tytuł na Dworze Unseelie przewyższa tytuł na Dworze Seelie. Teraz, kiedy jestem następczynią tronu na Dworze Unseelie, nie mogę już dłużej uznawać zwierzchnictwa mojego wuja, króla Seelie. Gdybym dalej je uznawała, mogłoby się wydawać, że jest on również królem Unseelie, a to nieprawda.

Hedwick był wyraźnie zakłopotany. Był dobry w wykonywaniu rozkazów. Ja zmuszałam go do myślenia. Mógł tego nie wytrzymać.

Znów poprawił fular i w końcu, wyglądając już nie tak pewnie, jak przedtem, powiedział:

- Jak sobie życzysz. W każdym razie król Taranis nakazał ci obecność na balu za trzy dni.

Doyle zerknął na mnie spod oka. Uśmiechnęłam się i potrząsnęłam nieznacznie głową. Poradzę sobie.

- Hedwicku, jedyną osobą, która może mi coś nakazywać, jest Królowa Powietrza i Ciemności.

Uporczywie kręcił głową.

- Król może nakazać obecność każdemu, kto ma gorszy tytuł niż on, a ty nie jesteś jeszcze królową... - wypowiedział to „jeszcze” z naciskiem - ...księżniczko Meredith.

Doyle odwinął ręcznik, by zobaczyć, czy rana przestała krwawić. Prawdopodobnie tak, bo wyjął jakieś środki, by ją oczyścić.

- Gdybym była następczynią króla Taranisa, mógłby mi rozkazywać. Ale nie jestem jego następczynią, jestem następczynią królowej Andais. Tylko ona może wydawać mi rozkazy, ponieważ tylko ona mnie przewyższa tytułem.

Hedwick wzdrygnął się, gdy wymówiłam imię królowej. Wszyscy na Dworze Seelie tak reagowali na jej imię, nigdy go nie wymawiali, jakby bali się, że mogą ściągnąć na siebie jej gniew.

- Ośmielasz się twierdzić, że przewyższasz króla? - zapalał świętym oburzeniem.

Doyle zaczął przemywać ranę, leciutko dotykając jej wacikiem. Nawet tak delikatne dotknięcia przeszywały moją rękę bólem. Zacisnęłam zęby i zmusiłam się, by nic po sobie nie pokazać.

- Twierdzę po prostu, że hierarchia obowiązująca na Dworze Seelie już mnie nie dotyczy. Kiedy byłam zaledwieksiężniczką Unseelie, miałam tę samą rangę na dworze Seelie. Ale teraz jestem

przyszłą królową. Nie mogę mieć gorszej rangi na innym dworze.

- Na dworze jest mnóstwo królowych, które uznają wyższość Taranisa.

- Mam świadomość tego faktu, Hedwicku, ale wszystkie one należą do Dworu Seelie i nie są sidhe. Ja należę do Dworu Unseelie i jestem sidhe.

- Król jest twoim wujem - powiedział, wciąż starając się iść swoją drogą przez labirynt, w który go wpuściłam.

- To miłe, że ktoś o tym pamięta, ale to by było tak, jakby Andais wezwała Eluned i poprosiła ją, żeby uznała ją za królową.

- Księżniczka Eluned nie jest w żaden sposób związana z Dworem Unseelie powiedział Hedwick urażonym tonem.

Westchnęłam i to było ostre westchnięcie, bo Doyle właśnie skończył obmywać mi ranę.

- Hedwicku, postaraj się zrozumieć. Będę królową na Dworze Unseelie. Jestem następczynią tronu. Król Taranis nie może mi rozkazywać, ponieważ nie jestem następczynią jego tronu.

- Czy odmawiasz wykonania królewskiego rozkazu? - Wciąż wyglądał tak, jakby nie wierzył własnym uszom.

- Król nie ma prawa mi rozkazywać, Hedwicku. To tak, jakby wysłał cię, żebyś przekazał jego rozkaz prezydentowi Stanów Zjednoczonych.

- Wyrastasz ponad swoją pozycję, Meredith.

Pozwoliłam, by gniew ukazał się na mojej twarzy.

- A ty, zdajesz się nie wiedzieć, jaka jest twoja.

- Naprawdę odmawiasz wykonania królewskiego rozkazu? - Na jego twarzy malowało się szczere zdumienie.

- Tak, ponieważ on nie jest moim królem, a nie można rozkazywać komuś spoza swego królestwa.

- Czy mam przez to rozumieć, że zrzekasz się wszystkich tytułów, jakie otrzymałaś na Dworze Seelie? Doyle dotknął mojej ręki. Jego spojrzenie zdawało się mówić: „uważaj”.

- Nie, Hedwicku, a to, że ośmielasz się insynuować takie rzeczy, uznaję za celową zniewagę. Jesteś tylko pomniejszą urzędniczyną, doręczycielem wiadomości, nikim więcej.

- Jestem osobistym sekretarzem króla - sprostował z godnością.

- Doręczasz wiadomości mniej ważnym istotom magicznym i ludziom bez znaczenia. Wszystkie ważniejsze zaproszenia przekazuje Rosmerta - doskonale o tym wiesz. Przesłanie zaproszenia przez ciebie, a nie przez nią, uważam za obrazę.

- Nie jesteś warta zainteresowania księżnej Rosmerty.

Potrząsnęłam głową.

- Twoja wiadomość jest niekompletna, Hedwicku. Lepiej wróć do swego pana i naucz się nowej, takiej, która będzie miała szansę na przyjęcie.

Skinęłam do Doyle'a. Wstał i zamazał obraz w lustrze, przerywając bełkot Hedwicka. Na jego twarzy pojawił się uśmiech.

- Dobra robota - powiedział.

- Obraziłaś Króla Światła i Iluzji - wyszeptał Rhys. Był blady.

- Nie, to on obraził mnie. Mało tego: gdybym zgodziła się, żeby mi rozkazywał, mogłoby to być zinterpretowane tak, że kiedy zasiądę na tronie Unseelie, uznam go zarówno za króla Seelie, jak i Unseelie.

- Czy to nie mogła być po prostu pomyłka sekretarza? - spytał Mróz. - Czy po prostu nie zwrócił się do ciebie tymi samymi słowami, jak do innych ze swojej listy?

- Być może, ale nawet jeśli, to wciąż było obraźliwe.

- Może i tak. Ale widzisz, czasami musimy przełknąć zniewagę, żeby nie narazić się na królewski gniew - powiedział Rhys. Usiadł na skraju łóżka, sprawiając wrażenie, jakby nogi odmówiły mu posłuszeństwa.

- Wcale nie musimy - odparł Doyle.

Spojrzeliśmy wszyscy na niego.

- Nie rozumiesz, Rhysie? Merry będzie rządzić królestwem rywalizującym z królestwem Taranisa. Albo teraz ustanowi reguły, albo zawsze będzie ją traktował jak gorszą od siebie. Dla dobra nas wszystkich nie może okazać słabości.

- Co teraz robi król? - spytał Mróz.

Doyle spojrzał na niego.

- Mówiąc szczerze, nie wiem.

- Czy ktoś już kiedyś tak go sprowokował? - znów spytał Mróz.

- Nie wiem - znów odpowiedział Doyle.

- Nie - włączyłam się.

Spojrzeli na mnie.

- Do Taranisa podchodzi się tak samo ostrożnie jak do Andais.

- Król nie budzi takiej grozy jak królowa - zauważył Mróz.

Wzruszyłam ramionami i w następnej chwili skrzywiłam się z bólu.

- On jest jak wielkie zepsute dziecko, które zawsze musi postawić na swoim. Jeśli nie otrzyma tego, czego chce, wpada we wściekłość. Słudzy i lokaje schodzą mu wtedy z oczu. Doskonale wiedzą, że zdarzało mu się zabijać ze złości. Czasami jest mu potem przykro, ale to wątpliwe pocieszenie.

- A ty rzuciłaś mu rękawicę w twarz - powiedział Rhys.

- Wiem, że Taranis nigdy nie uderza silniejszego. Jeśli wpada we wściekłość, kieruje ją na kogoś, kto jest słabszy od niego. Jego ofiary zawsze były istotami o słabszych zdolnościach magicznych albo gorszej pozycji politycznej lub ludźmi pozbawionymi sprzymierzeńców wśród sidhe. - Potrząsnęłam głową. - Nie, Rhysie, on zawsze wie, kogo może zaatakować. Nie jest bezmyślny. Nie robi mi krzywdy, ponieważ stoję na pewnym gruncie. Będzie podchodził do mnie z respektem, a może nawet zacznę go niepokoić.

- Niepokoić? - powtórzył Rhys.

- Boi się Andais - a nawet Cela, ponieważ Cel jest szalony i Taranis nie jest pewien, co się stanie, jeśli zasiądzie na tronie. Taranis prawdopodobnie wyobrażał sobie, że będzie mógł sobie mnie podporządkować. Teraz ogarną go wątpliwości.

- To zastanawiające, że to zaproszenie przyszło po naszej rozmowie z Maeve Reed powiedział Doyle.

Skinęłam głową.

- Prawda?

Moi strażnicy wymienili spojrzenia. Kitto dalej leżał obok mnie, cichszy teraz.

- Wydaje mi się, że to nie byłoby rozsądne ze strony Meredith przyjąć zaproszenie na ten bal - zauważył Mróz.

- To prawda - przyznał Doyle.

- Ja też tak uważam - dodał Rhys.

Popatrzyłam na nich.

- Nie zamierzam tam iść. Ale dlaczego macie takie poważne miny?

Doyle usiadł na łóżku, zmuszając Kitta do posunięcia się odrobinę.

- Czy Taranis jest tak samo dobrym strategiem jak ty?

Zamyśliłam się.

- Nie wiem - powiedziałam w końcu. - Dlaczego pytasz?

- Czy będzie myślał, że nie chcesz iść na bal z tego powodu, który podałaś, czy dlatego, że dowiedziałas się czegoś od Maeve?

Wciąż nie zdradziłam im sekretu Maeve, a oni nie pytali. Doszli zapewne do wniosku, że dałam jej słowo, że nikomu nie powiem, o czym rozmawiałyśmy, co było nieprawdą. Nie powiedziałam im dlatego, że o niektórych sprawach bezpieczniej jest nie wiedzieć. A teraz nagle pojawiło się to zaproszenie na bal. Cholera.

Spojrzałam na Doyle'a i pozostałych. Mróz oparł się o szafę z rękami skrzyżowanymi na piersi. Rhys wciąż siedział na łóżku. Kitto leżał obok mnie.

- Nie zamierzałam wam zdradzić sekretu Maeve, ponieważ to niebezpieczna wiedza. Myślałam, że uda nam się uniknąć kontaktu z Dworem Seelie i to nie ma znaczenia. Taranis nie zapraszał mnie do siebie od wielu lat. Ale w obecnej sytuacji powinniście wiedzieć.

Kiedy powiedziałam im, dlaczego Maeve została wygnana, Rhys złapał się za głowę, a Mróz wpatrzył się we mnie pustym wzrokiem. Nawet Doyle zaniemówił. Dopiero Kitto przerwał milczenie.

- Taranis zgubi swoich poddanych.

- Jeśli jest naprawdę bezpłodny, sprawi, że umrą jako ludzie - przyznał Doyle.

- Ich magiczne zdolności obumrą, ponieważ ich król jest bezpłodny - dodał Mróz.

- Andais obawia się, że to samo może spotkać Unseelie. Chociaż ona przynajmniej, w odróżnieniu od Taranisa, ma potomka.

- Więc dlatego tak jej zależy na tym, żeby mnie albo Celowi urodziło się dziecko powiedziałam.

Doyle skinął głową.

- Też mi się tak wydaje, chociaż może mieć swoje własne powody, dla których napuściła ciebie i Cela na siebie nawzajem.

- Taranis nas wszystkich zabije - wyszeptał Rhys.

Spojrzeliliśmy na niego. To zaczynało już przypominać mecz tenisowy, w którym przenosi się wzrok z jednego zawodnika na drugiego.

- Zabije wszystkich, którzy wiedząc jego bezpłodności. Jeśli inni Seelie odkryją, że ich zgubi, mogą zażądać ofiary z jego krwi, która przywróci im płodność.

Trudno było się z tym nie zgodzić.

- Dlaczego w takim razie Maeve Reed żyje? - spytał Mróz. - Julian mówił nam, że nie było dotąd żadnych zamachów na jej życie.

- Nie potrafię tego wyjaśnić - przyznał Rhys. - Może dlatego, że nie miała możliwości powiedzieć o tym żadnej istotce z Krainy Faerie. Spotkaliśmy się z nią, ale oprócz nas mogła powiedzieć o tym tylko innym istotom, które są na wygnaniu. Meredith nie przebywa na wygnaniu i może to powtórzyć komuś, kto ma znaczenie. Komuś, kto jej uwierzy i zacznie działać.

Zamyśliliśmy się. W końcu Doyle przerwał milczenie.

- Mrozie - powiedział - zadzwoń do Juliana i zawiadom go, że mogą mieć kłopoty.

- Jak rozumiem, mam mu nie mówić, z jakiego powodu? - spytał Mróz.

- Nie - odparł Doyle.

Mróz skinął głową i wyszedł z sypialni. Spojrzałam na Doyle'a.

- Czy mówiłeś komuś o naszej wizycie?

- Tylko Barinthusowi - odparł.

- To do tego potrzebna była ci czara z wodą na ołtarzu - domyśliłam się.

Skinął głową.

- Był kiedyś panem mórz otaczających nasze wyspy, więc najbezpieczniej kontaktować się z nim poprzez wodę.

Skinęłam głowę.

- Mój ojciec również w ten sposób rozmawiał z Barinthusem. Co u niego?

- Jako twój najsilniejszy sprzymierzeniec na Dworze Unseelie dokonał pewnego postępu w pozyskiwaniu dla ciebie nowych sojuszników.

Popatrzyłam mu prosto w oczy.

- Co przede mną ukrywasz?

Odwrócił wzrok.

- Kiedyś nie umiałaś tak dobrze czytać z mojej twarzy.

- Kwestia wprawy. Więc co przede mną ukrywasz?

- Były na niego dwa zamachy.

- Jak poważne?

- Na tyle, by o nich wspomniał, jednak nie na tyle, żeby naprawdę się przestraszył. Barinthus jest jednym z najstarszych z nas. Jego moc pochodzi z wody. Nie tak łatwo go zabić.

- Jak powiedziałaś, Barinthus jest moim najsilniejszym sprzymierzeńcem. Jeśli go zabiją, reszta się wystraszy i odwróci ode mnie.

- Też się tego obawiam, księżniczko, ale wielu boi się tego, co robi Cel, gdy wyjdzie na wolność. Wszyscy boją się, że stał się tam kompletnie szalony. Nikt nie chciałby mieć kogoś takiego na tronie. Barinthus uważa, że to dlatego zwolennicy Cela rozpuszczają pogłoski, że po objęciu tronu zatrujesz ich wszystkich śmiertelnością.

- To brzmi cokolwiek rozpaczliwie - powiedziałam.

- Nie, prawdziwie rozpaczliwe jest mówienie o wypowiedzeniu wojny Dworowi Seelie. To, czego nie powiedziałem Kuragowi - że mówi się o wojnie z Seelie niezależnie od tego, które z was zasiądzie na tronie. Wszyscy widzą szaleństwo Cela, twoją śmiertelność, słabość królowej jako oznaki upadku Unseelie. Niektórzy mówią, że pójście na wojnę jest ostatnią szansą na pokonanie Seelie.

- Jeśli na amerykańskiej ziemi wybuchnie wojna, ludzie podejmą interwencję. To złamanie traktatu, na mocy którego tu jesteśmy - powiedział Rhys.

- Wiem - odrzekł Doyle.

- Więc myślą, że Cel jest szalony... - zamyślił się Rhys. - Czy Barinthus powiedział, kto najgłośniej domaga się wojny z Seelie?

- Siobhan.

- Przywódczyni straży Cela.

- Jest tylko jedna Siobhan - zauważył Doyle.

- I dziękujemy za to Panu i Pani - powiedział Rhys.

Siobhan była odpowiednikiem Doyle'a. Błada, niska kobieta z włosami jak sieć pająka. Fizycznie była więc przeciwieństwem Doyle'a. Ale tak jak czasami królowa mówiła: „Gdzie moja Ciemność? Dajcie mi moją Ciemność” i ktoś krwawił albo umierał, tak Cel przyzywał Siobhan. Nie miała jednak żadnego przydomku; była po prostu Siobhan.

- Nie chcę się czepiać - powiedziałam - ale czy została ukarana za to, że na rozkaz Cela usiłowała mnie zabić?

- Tak - odparł Doyle - ale kara już się skończyła.

- Ile trwała? - spytałam.

- Miesiąc.

Potrząsnęłam głową.

- Miesiąc za to, że omal nie zabiła następczyni tronu. Co to mówi wszystkim innym, którzy chcieliby mnie zabić?

- To Cel wydał rozkaz, Meredith, i został za to skazany na pół roku najgorszych męczarni. Nikt się nie spodziewa, że wyjdzie stamtąd zdrowy na umyśle.

- Poza tym czy kiedykolwiek znajdowałaś się pod troskliwą opieką Ezekiela przez cały miesiąc? Wiesz, co to znaczy? - spytał Rhys.

Ezekiel był nadwornym oprawcą od wielu wieków. Był śmiertelnikiem. Królowa znalazła go, gdy wykonywał usługi dla jednego z miast i tak jej się spodobała jego praca, że zaproponowała mu posadę u siebie.

- Nigdy nie byłam w Korytarzu Śmierci przez miesiąc, ale jednak spędziłam tam nieco czasu. Ezekiel zawsze zapewniał mnie, że będzie delikatny. Spędził tak wiele wieków z nieśmiertelnymi, że bał się, że mnie niechcący zabije. „Muszę na ciebie uważać, księżniczko, jesteś taka delikatna, tak krucha, tak ludzka”, zwykł mawiać.

Rhys zadrżał.

- Bardzo udatnie naśladujesz jego głos.

- Lubi sobie pogadać przy robocie.

- Wybacz, Meredith, przeszłaś swoje, ale w takim razie powinnaś rozumieć, co to znaczyło dla Siobhan znajdować się tam przez miesiąc.

- Rozumiem, Rhysie, ale poczułabym się lepiej, gdyby została stracona.

- Królowa bardzo niechętnie zgładza szlachetnie urodzone sidhe - powiedział Doyle.

- Wiem, nie jest ich już za dużo. - Ale nie byłam z tego zadowolona. Karą za usiłowanie zamordowania następczyni tronu powinna być śmierć. W przeciwnym razie ktoś może znowu spróbować. W tym akurat wypadku, Siobhan.

- Dlaczego ona chce wojny? - spytałam.

- Lubi śmierć - odparł Rhys.

Spojrzałam na niego.

- Nie byłem jedynym, który był kiedyś uważany za boga śmierci, podobnie jak nie byłem jedynym, który stracił moc, kiedy pojawił się Bezimienny. Siobhan również była kiedyś inaczej nazywana.

To mi o czymś przypomniało.

- Powiedz Doyle'owi, co odkryłeś dzisiaj na miejscu zbrodni.

W miarę jak Rhys zdawał relację, kapitan mojej straży wyglądał na coraz bardziej zmartwionego.

- Nie widziałem, jak Esras to robi, ale wiem, że królowa wydała taki rozkaz. Jedno z uzgodnień między nami a Seelie mówiło, że niektórych zaklęć nie będziemy używać. To było jedno z nich.

- Teoretycznie, jeśli udowodnimy, że wojownik sidhe z któregoś z dworów użył tego zaklęcia, może się to stać powodem do zerwania traktatów pokojowych pomiędzy dworami?

Doyle zamyślił się na chwilę.

- Nie wiem - powiedział w końcu. - Żadna ze stron nie chce wojny.

- Siobhan chce - powiedziałam - a oprócz tego chce mojej śmierci. Czy mogła to zrobić?

Przez kilka dłuższych chwil Rhys i Doyle milczeli, rozważając to, co powiedziałam. Kitto dalej leżał cicho obok mnie.

- Chce wojny, więc może wszelkimi sposobami dążyć do jej wywołania - powiedział w końcu Doyle. - Pytanie tylko, czy ma wystarczającą moc, żeby zrobić coś takiego.

Spojrzał na Rhysa. Mój drugi strażnik westchnął.

- Kiedyś miała. Tak samo jak i ja. Byłaby w stanie to zrobić, ale to oznacza, że musiałaby być tutaj, w Kalifornii. Nie można wysłać takiego zaklęcia z tak dużej odległości i sprawnie go kontrolować. Zamiast ścigać Merry, mogłaby po prostu wędrować i zabijać niewinnych ludzi.

- Jesteś tego pewien? - spytał Doyle.

- Tak, jestem.

- Czy Barinthus nie wspominał o tym, że Siobhan zniknęła z dworu? - spytałam.

- Podkreślał, że cały czas jest dotkliwa jak wrzód na dupie.

- Więc znajduje się na dworze - stwierdziłam.

- Co nie znaczy, że nie mogła na jakiś czas stamtąd wyjechać.

- Ale to wciąż nie wystarczyłoby, żeby zabić Merry - powiedział Rhys.

- Dobrze wiedzieć - odparłam, po czym dodałam: - A jeśli moja śmierć jest tylko dodatkiem? Jeśli prawdziwym celem jest wywołanie wojny między dworami?

- Więc dlaczego nie wywołano starych bogów w Illinois, blisko obu dworów? - spytał Doyle.

- Dlatego, że ten, kto chciał wywołać wojnę, bał się śmierci - odparłam.

Doyle skinął głową.

- To prawda. Jeśli królowa odkryje, że ktoś użył jednego z zakazanych zaklęć, zgładzi go, mając nadzieję, że uśmierzy tym gniew Taranisa.

- I udałoby się jej - powiedział Rhys - ponieważ żadna ze stron nie chce wojny.

- Więc dlatego zrobiono to tak daleko - stwierdziłam.

- Pomyślcie tylko: jeśli zostanie udowodnione, że to zaklęcie sidhe uwolniło starych bogów, ale nie będzie można ustalić, który dwór jest za to odpowiedzialny, podejrzania padną na obie strony.

- I Bezmiennego - dodał Doyle - jedyne sidhe, który byłby w stanie to zrobić. A zarazem jedyne sidhe, który mógłby to ukryć zarówno przed jednym, jak i drugim dworem.

- Siobhan nie zdołałaby uwolnić Bezmiennego - stwierdził Rhys. - Jestem pewien.

- Zaraz, zaraz - powiedziałam - czy królowa nie mówiła, że Taranis odmówił jej pomocy w szukaniu go? Odmówił przyznania, że ktoś tak przerażający mógł być częścią jego dworu?

Doyle skinął głową.

- Faktycznie, tak mówiła.

- A jeśli to ktoś z Dworu Seelie? - spytałam. - Nie mielibyśmy więcej problemów z wysledzeniem go?

- Prawdopodobnie.

- Chcesz powiedzieć, że zdrajca pochodzi z Dworu Seelie? - spytał Rhys.

- Może jest dwóch zdrajców. Siobhan mogła obudzić starych bogów, a ktoś z drugiego dworu uwolnił Bezmiennego.

- Ale dlaczego miałby to robić? - spytał Rhys.

- To mogłoby temu komuś dać dostęp do najstarszych i najstraszliwszych mocy w Krainie Faerie - powiedział Doyle tak cicho, jakby mówił do siebie. - Jeśli miałby nad nimi władzę, nic nie byłoby go w stanie powstrzymać.

- Ktoś przygotowuje się do wojny - powiedziałam.

Doyle zaczerpnął powietrza i wypuścił je wolno.

- Muszę powiadomić królową o starych bogach. Powinienem podzielić się z nią również naszymi podejrzeniami dotyczącymi Bezmiennego. - Spojrzał na mnie. - Dopóki nie będziemy mieli pewności, że gniew starych bogów nie jest wymierzony przeciwko tobie, pozostaniesz pod osłoną.

- Czy osłona poradzi sobie z nimi?

Zasepił się i spojrzał na Rhysa, który wzruszył ramionami.

- Widziałem ich w otwartej walce. Wiem, że osłona może powstrzymać wszystko, ale nie wiem, jak potężne stały się te siły. Zwłaszcza jeśli się pożywiły. Mogą być w stanie pokonać prawie każdą osłonę.

- Piękne dzięki, to bardzo pocieszające - powiedziałam.

Popatrzył na mnie z poważną miną.

- To nie miało być pocieszające, tylko szczere. - Uśmiechnął się smutno. - Poza tym wszyscy jesteśmy gotowi poświęcić życie, by cię obronić, a niełatwo nas zabić.

- Nie myśl sobie, że wygrasz - powiedziałam. - Jak będziesz walczył z czymś, czego nie widzisz i nie możesz dotknąć, ale co widzi i może dotknąć ciebie? Z czymś, co może wypić z ciebie życie jak wodę z butelki? Jak wyobrażasz sobie walkę z czymś takim?

- Dlatego właśnie muszę porozmawiać z królową. - Doyle wstał i skierował się do łazienki, w której było mniejsze lustro. Najwidoczniej chciał porozmawiać z nią na osobności.

Zatrzymał się w drzwiach.

- Zadzwońcie do Jeremy'ego i powiedzcie mu, że jutro nie przychodzimy do pracy. Dopóki nie jesteśmy pewni, że ten atak nie był skierowany na Merry, musimy jej strzec dzień i noc:

- Aż czego będziemy żyli? - spytałam.

Westchnął i potarł powieki, jakby był zmęczony.

- Podziwiam upór, z jakim dążysz do całkowitej niezależności. Nawet się z tym zgadzam. Ale byłoby prościej, gdybyśmy poprosili królową o pieniądze. Na razie nie możemy pracować.

- Nie chcę od niej pieniędzy.

- Wiem, wiem. Zadzwoń do Jeremy'ego i wyjaśnij mu, że Kitto zachorował i musisz się nim zająć. Jeremy to zrozumie.

- Nie chcesz mu powiedzieć o starych bogach?

- To jest sprawa sidhe, a on nie jest sidhe.

- Jeśli jednak sidhe pójdą na wojnę, będzie to sprawa wszystkich istot magicznych. Moja prababcia była skrzatem. Jej jedynym pragnieniem było pozostać w pobliżu ludzkiego domostwa i opiekować się nim, ale została zabita podczas jednej z ostatnich wielkich wojen. Jeśli znów się coś takiego może wydarzyć, czy nie powinniśmy z wyprzedzeniem wszystkich o tym powiadomić?

- Jeremy jest wygnańcem z Krainy Faerie, więc nie będzie musiał iść na wojnę.

- Zbywasz mnie.

- Nie, Meredith, nie zbywam cię, na razie po prostu nie wiem, co ci powiedzieć. Wolę więc nie mówić nic. - Wyszedł. Usłyszałam, jak drzwi od łazienki otwierają się, a potem zamykają.

Rhys poklepał mnie po ramieniu.

- To było odważne z twojej strony zasugerować, że istoty magiczne nie będące sidhe mają coś do powiedzenia. Bardzo demokratyczne.

- Nie traktuj mnie protekcyjnie.

Opuścił dłoń.

- Mogę się nawet z tobą zgodzić, Meredith, ale nasz głos nie ma zbyt wielkiego znaczenia. Kiedy zasiądziesz na tronie, może się to zmienić; teraz jednak nie ma możliwości, żeby w którymkolwiek królestwie faerie sidhe zgodzili się włączyć pomniejszych istot magicznych do rozmów o wojnie. Zostaną powiadomione, kiedy zapadnie decyzja o pójściu na wojnę, nie wcześniej.

- To nie w porządku - powiedziałam.

- Nie, ale tak to już jest.

- Zapewnijcie mi tron, a to się zmieni.

- Och, Merry, nie wymagaj od nas, żebyśmy ryzykowali życie, by uczynić cię królową tylko po to,

żebyś wzbudziła niezadowolenie wszystkich sidhe. Moglibyśmy wygrać z niektórymi z nich, ale nie ze wszystkimi.

- Innych istot magicznych jest więcej niż sidhe.

- Przewaga liczebna się nie liczy.

- A co się liczy?

- Siła: siła wojska, siła magii, siła przywództwa. My mamy to wszystko i właśnie dlatego, moja mała księżniczko, panujemy nad wszystkimi innymi od tysiącleci.

- On ma rację - powiedział cicho Kitto.

Popatrzyłam na niego. Był wciąż blady, ale już nie tak przerażająco prześwitujący.

- Gobliny są wspinałymi wojownikami - zauważyłam.

- To prawda, ale nie znamy się za bardzo na magii. Kurag boi się sidhe. Wszystkie istoty, które nie są sidhe, boją się sidhe.

- Nie jestem pewna, czy to prawda - powiedziałam.

- Ja jestem - odrzekł i przysunął się do mnie, zawijając całe swoje ciało wokół mnie i przytulając się do mnie tak mocno, jak tylko mógł. - Ja jestem.

Rozdział 27

Niewątpliwą korzyścią wynikającą z utrzymania Kitta przy życiu było to, że mogłam po wszystkim iść spać. Zaproponowałam, by przyłączył się do nas Doyle, ale Mróz gwałtownie zaprotestował. Z kolei Doyle zgodził się pod warunkiem, że sypialnię opuści Mróz. Zauważyłam, że Doyle i ja poprzedniej nocy nie spaliśmy zbyt długo, ale Mroza to nic nie obchodziło. Zwróciłam uwagę również na to, że będziemy teraz tylko spać, więc nie ma znaczenia, kto będzie ze mną. Żaden z nich nie uznał moich argumentów. Koniec końców poszłam spać z Kitem. Położył się po swojej zwykłej stronie łóżka, mogłam więc przytulić się do niego, nie leżąc na bolącym ramieniu. Wzięłam advil, ale ramię wciąż pulsowało. Nie bolało jednak tak bardzo, jak za pierwszym razem, gdy zostawił swój ślad. Może to był dobry znak. Miałam nadzieję. Nie chciałabym cierpieć bez powodu.

Jeremy wpadł we wściekłość na wieść o tym, że żadne z nas nie przyjdzie rano do pracy, ale przeszło mu, kiedy dowiedział się, że Kitto o mało nie umarł.

Milczał przez dłuższą chwilę; na tyle długo, że wypowiedziałam w końcu cicho jego imię.

- Cały czas tutaj jestem, Merry, po prostu dopadły mnie złe wspomnienia. Widziałem już gasnące istoty. Zrób wszystko, co możesz, żeby powrócił do zdrowia. Jakoś sobie poradzimy. Teresa jest w szpitalu na obserwacji.

- Czy nic jej nie jest?

Zawahał się.

- Chyba nie. Ale nigdy nie widziałem jej jeszcze w takim stanie. Jej mąż napadł na mnie za to, że ją narażam. Zapowiedział, że już nigdy nie dopuści do tego, żebym zabrał ją na miejsce zbrodni. Wcale mu się nie dziwię.

- Myślisz, że Teresa się na to zgodzi?

- Nie wiem, czy będzie miała okazję. Podjąłem decyzję, że Agencja Detektywistyczna Greya nie będzie już pomagać policji. Jestem dobry w magii, a nie mam pojęcia, co się dzisiaj stało. Czułem pozostałości zaklęcia, nic więcej. Powiedziałem Lucy Tate, co czuję, ale porucznik Peterson nie chciał tego słuchać. Jest przekonany, że powód jest o wiele bardziej przyziemny. - Jeremy miał zmęczony głos.

- Sprawiasz wrażenie, jakbyś musiał iść do łóżka i przytulić się do kogoś.

- Zgłaszasz się na ochotnika? - roześmiał się. - Zachłanna Merry chce zaliczyć wszystkie istoty magiczne w LA.

- Jeśli potrzebujesz przytulenia, zapraszam.

Milczał przez chwilę.

- Prawie już o tym zapomniałem.

- O czym?

- O tym, że nie ma nic złego w byciu przytulonym przez przyjaciół w sposób, który ludzie uważają za seksualny. To mogłoby mi pomóc.

- Jeśli ci to pomoże, zapraszam.

- Zbyt długo przebywam między ludźmi, Merry. Nie myślę już całkiem jak drow. Nie jestem pewien, czy mógłbym iść do łóżka z tobą bez podtekstu seksualnego.

Nie wiedziałam, co mam powiedzieć.

Kiedy się obudziłam, za oknem zmierzchało. Wciąż byłam przytulona do Kitta, a on wciąż obejmował mnie tak mocno, jak tylko mógł. Wyglądało na to, że przespaliśmy cały dzień. Leżałam przez chwilę, czując, jak sztywne jest moje ciało od tak długiego bezruchu. Ramię bolało nieznacznie. Oddech Kitta był głęboki i miarowy. Co mnie obudziło?

Wtedy znów rozległo się ciche pukanie do drzwi. Otworzyły się, zanim zdołałam coś powiedzieć. Do sypialni zajrzał Galen. Uśmiechnął się, kiedy zobaczył, że się obudziłam.

- Jak Kitto?

Oparłam się na łokciu i spojrzałam na goblina. Westchnął przez sen i przytulił się do mnie jeszcze mocniej.

- Wygląda lepiej i jest ciepły. - Zanurzyłam palce w jego włosy. Poruszył głową, ale się nie obudził.

- Stało się coś złego? - spytałam.

Galen wyglądał na zmieszanego.

- Cóż, niezupełnie.

- Co takiego?

Wszedł do pokoju, delikatnie zamykając za sobą drzwi. Rozmawialiśmy przyciszonymi głosami, by nie obudzić Kitta.

Galen stanął przy końcu łóżka. Miał na sobie koszulę z długimi rękawami, której jasnozielony kolor podkreślał zielony odcień jego skóry i ciemniejszy - włosów, oraz niebieskie dzinsy tak sprane, że były prawie białe. Na udzie miały dziurę, tak że widoczna była jasnozielona skóra.

Uświadomiłam sobie, że coś powiedział.

- Przepraszam, mógłbyś powtórzyć?

Błysnął w uśmiechu białymi zębami.

- Przybył wysłannik królowej Niceven. Twierdzi, że otrzymał rozkaz, żeby najpierw wziął zapłatę, a dopiero potem zdradził nam, jak mnie wyleczyć.

Mój wzrok powrócił do dziury w jego spodniach, potem powędrował w górę jego ciała, aż w końcu napotkałam spojrzenie jego zielonych oczu. Żar w tym spojrzeniu sprawił, że moje ciało się napięło.

Kitto poruszył się przy mnie, otworzył swoje niebieskie oczy. Rozmowa, otwarcie drzwi i mój ruch nie obudziły go. Tym, co go obudziło, była reakcja mojego ciała na spojrzenie Galena.

Wyjaśniłam mu, że przybył wysłannik Niceven. Kitto nie miał nic przeciwko temu, by krwawy motyl wleciał do sypialni. Wiedziałam, że nie będzie miał nic przeciwko temu. Spytałam z czystej uprzejmości. Królowa nigdy by czegoś takiego nie zrobiła, ale to było związane z tym, że nie obchodziły jej uczucia innych.

Galen wrócił do drzwi i otworzył je. Do środka wleciała malutka postać wielkości lalki Barbie. Skrzydła były większe od reszty ciała, żółte, z liniami czerni oraz niebieskimi i pomarańczowoczerwonymi kropkami. Wysłannik Niceven zatrzymał się w powietrzu nad łóżkiem.

Jego ciało również było żółte, choć nie była to tak intensywna barwa jak ta skrzydeł. Cały jego strój stanowiła żółta spódnica czy też raczej kilt.

- Pozdrowienia dla księżniczki Meredith z Dworu Unseelie od Królowej Krwawych Motyli Niceven. Zwią mnie Mędrzec i mam zaszczyt być ambasadorem Jej Królewskiej Wysokości w Krainach Zachodnich. - Jego głos był jak brzęk dzwoneczków. Uśmiechnęłam się odruchowo i w następnej chwili zrozumiałam, że skrywa się za zaklęciem.

- Nie ukrywaj się za zaklęciem, to rodzaj kłamstwa.

Złożył ręce, jego skrzydła zaczęły uderzać szybciej, wysyłając podmuchy powietrza na moją twarz.

- Zaklęcie? Czy taka marna istota jak ja byłaby w stanie ukrywać się przed sidhe z Dworu Unseelie? Nie zaprzeczyl.

- Albo opuścisz magiczną osłonę, albo sami cię jej pozbawimy. To nasze pierwsze spotkanie, więc chciałabym wiedzieć, jak wygląda ten, z którym wchodzę w układ.

Podleciał bliżej, na tyle blisko, że wiatr z jego skrzydełek potargał mi włosy na głowie.

- Krzywdzisz mnie. Wyglądam właśnie tak, jak mnie widzisz.

- Jeśli to prawda, podleć do mnie i pozwól mi to sprawdzić. Jeśli mówisz prawdę, moje dotknięcie cię nie zmieni, a jeśli mnie okłamujesz, mój dotyk pokaże twoją prawdziwą postać.

To była prawda. Kiedy dotknie mojej skóry, będzie zmuszony ukazać się pod swoją prawdziwą postacią.

Usiadłam tak, że mogłam wyciągnąć rękę. Pościel opadła, odsłaniając mnie do pasa. Kitto przytulił się mocniej do mnie, wpatrywał się swoimi dużymi oczami w unoszącego się nad nami wysłannika jak kot w ptaka. Wiedziałam, że goblinom nie jest obce zjadanie innych istot magicznych. Wyraz twarzy Kitta świadczył o tym, że krwawe motyle uchodzą wśród nich za przysmak.

- Wszystko w porządku, Kitto?

Zamrugął. Jego spojrzenie przeniosło się z unoszącej się nad nami istoty na moje odkryte piersi. To wygłodniałe spojrzenie przestraszyło mnie. Musiało to być widać na mojej twarzy, ponieważ Kitto dał nura w pościel i wtulił twarz w moje nagie biodro.

- Smak krwi sprawił, że nasz mały goblin stał się zuchwały - powiedział Doyle, stając w drzwiach.

Wysłannik Niceven odwrócił się i wykonał nieznaczny ukłon.

- Ciemność Królowej, to dla mnie zaszczyt.

Doyle odkłonił się jeszcze nieznacznie, było to ledwie skinienie głową.

- Mędrzec! Muszę powiedzieć, że jestem zaskoczony, widząc cię tutaj.

Malutki latający człowieczek podleciał do góry, tak że znalazł się na wysokości oczu Doyle'a; pozostał jednak poza jego zasięgiem, jak płochliwy owad, którego przypominał.

- Dlaczego jesteś zaskoczony? - Jego głos nie przypominał już brzęczących dzwoneczków.

- Nie wiedziałem, że Niceven przyśle tu swojego ulubionego kochanka.

- Już nim nie jestem, dobrze o tym wiesz.

- Wiem, że Niceven ma dziecko i męża, ale nie sądziłem, że krwawe motyle tak bardzo przestrzegają zasad.

Mędrzec podleciał trochę wyżej i bliżej niego.

- Myślisz, że jak nie jesteśmy sidhe, to nie znamy prawa.

- Powinien brzmieć bezsilnie, mówiąc tym swoim dzwoneczkowym głosikiem, ale nie brzmiał. To był dźwięk dzwoneczków, w które uderza wiatr podczas burzy, przerażająca muzyka.

- Więc nie jesteś już kochankiem królowej - powiedział Doyle. - Co więc takiego porabiasz? - Nigdy jeszcze nie słyszałam Doyle'a tak ironicznego. Rozmyślnie drażnił wysłannika królowej Niceven. Nigdy też nie widziałam Doyle'a tak zaangażowanego w coś, co do niczego nie prowadziło. Co

takiego ten malutki człowieczek musiał zrobić Ciemności Królowej, że zasługiwał na tyle jego uwagi?

- Mam do dyspozycji całe królestwo kobiet, które mogą mnie zadowalać. - Podleciał do twarzy Doyle'a. - A co porabiasz ty, jeden z eunuchów królowej?

- Popatrz, kto jest w tym łóżku i powiedz, że nie jest to dar, dla którego każdy zaprzedałby swoją duszę.

Skrzydlaty człowieczek nie zadał sobie nawet trudu, by się odwrócić.

- Nie wiedziałem, że gustujesz w goblinach. Myślałem, że tylko Rhys ma do nich słabość.

- Nie udawaj głupszego, niż jesteś, doskonale wiesz, o kogo mi chodzi.

- Plotki się szybko rozchodzą, Ciemności. Powiada się, że strzeżesz księżniczki, ale nie dzielisz z nią łoża. Snuje się wiele domysłów, dlaczego przepuszczasz taką okazję, podczas gdy pozostali korzystają z niej do woli. - Podleciał tak blisko, że prawie muskał skrzydełkami twarz Doyle'a. - Plotki głoszą, że nie bez powodu królowa Andais nie dzieliła z tobą łoża. Że naprawdę jesteś eunuchem i nie ma z ciebie żadnego pożytku.

Nie widziałam twarzy Doyle'a zza trzepoczących skrzydełek krwawego motyla. Uświadomiłam sobie, że wyglądają one jak skrzydełka motyla, ale poruszają się o wiele szybciej.

- Przysięgam ci uroczyście - powiedział Doyle - że dogodziłem księżniczce Meredith tak, jak tylko męczyzna może dogodzić kobiecie.

Mędrzec na chwilę przestał machać skrzydełkami, a potem obniżył się, jakby prawie zapomniał latać. Otrząsnął się, podlatując wyżej, znów na poziom oczu Doyle'a.

- Więc nie jesteś już eunuchem królowej, a kochankiem księżniczki. - Jego głos był cichy i zły, przemienił się w syczenie. Cokolwiek się między nimi wydarzyło, była to z pewnością sprawa osobista.

- Masz rację, plotki rozchodzą się szybko, także te dotyczące ciebie i Niceven. Byłeś jej ulubionym kochankiem do czasu, gdy pewnej nocy zaszła z innym w ciążę. Kiedy zakazała ci wstępu do swojego łoża, zakazano ci wstępu również do innych. Jeśli nie jesteś już jej ulubieńcem, nie jesteś też ulubieńcem nikogo innego.

Mędrzec zabzyczał na niego jak wściekła pszczoła.

- Widzę, że sprawia ci wiele przyjemności to, że zamieniliśmy się miejscami.

- Co masz na myśli? - spytał Doyle, choć wyglądało na to, że doskonale wie, dokąd zmierza jego rozmówca.

- Szydziłem z ciebie i tobie podobnych przez stulecia. Wielcy wojownicy sidhe zredukowani do roli dworskich eunuchów. Kłuję cię w oczy swoją jurnością i rozkoszą, jaką mogę dać swojej królowej.

Doyle tylko na niego patrzył.

Mędrzec odleciał od niego, kreśląc w powietrzu koło.

- A teraz co mi po mojej jurności? Co mi po niej, skoro nie mogę nawet dotknąć mojej pięknej królowej? - Odwrócił się do Doyle'a. - Och, przez te lata wiele myślałem o tym, jak z ciebie szydziłem. Nie myśl, że ironia nie dociera do mnie tylko dlatego, że nie jestem sidhe. Podleciał teraz bardzo blisko do Doyle'a i chociaż następne słowa wypowiedział szeptem, rozległy się one w całym pokoju: - Ta ironia jest wystarczająca, żeby się nią zadławić na śmierć.

- Więc zgaśnij, a skończysz z tym.

Wysłannik królowej odleciał dalej.

- Sam sobie zgaśnij. Przybyłem tu na rozkaz królowej Niceven, żeby być jej zastępcą. Jeśli chcecie otrzymać lekarstwo dla zielonego rycerza, musicie dać mi coś w zamian. - W jego głosie pojawiła

się groźba.

Galen podszedł do wciąż otwartych drzwi do salonu.

- Chcę być wyleczony, ale nie za wszelką cenę. - Uśmiech zniknął z jego twarzy.

- Dostyc już tego - powiedziałam łagodnie, bez gniewu.

Wszyscy odwrócili się do mnie. Ujrzałam pozostałych strażników, wliczając w to Niccę, stojących zaraz za drzwiami.

- To ja zawarłam układ z Niceven, nie Doyle. Zrobiłam to, żeby wyleczyć Galena, a ceną ma być moja krew.

Mędrzec wzleciał nad łóżko.

- Jeden łyk twojej błękitnej krwi, jedna porcja lekarstwa dla twojego zielonego rycerza, taka jest cena mojej królowej. - Jego głos nie był już brzęczeniem dzwoneczków. Był prawie normalnym, cienkim i cichym, ale jednak męskim głosem.

Jego ciemne oczy stały się matowe i czarne jak oczy lalki. Nie było nic życzliwego w tej ładnej lalkowej twarzy.

Uniosłam rękę i przysiadł na niej. Był cięższy, niż się spodziewałam, Z tego, co pamiętałam, Niceven była lżejsza. Mędrzec był bardziej umięśniony, a może miał po prostu więcej ciała.

Rozpostarł skrzydła, ukazując je w pełnej krasie. Wachlował nimi niespiesznie, patrząc na mnie. Zastanawiałam się, czy uderza skrzydłami w rytm uderzeń serca.

Jego żółte włosy były grube, proste, otaczały w niedbałych kosmykach jego trójkątną twarz. Sięgały mu do ramion. Były czasy, kiedy Andais ukarałaby go za noszenie tak długich włosów. Tylko wojownicy sidhe mogli mieć włosy tak długie jak kobiety. To była oznaka statusu, przywilej.

Jego dłonie były wielkości paznokcia na moim małym palcu. Oparł jedną z tych dłoni na biodrze i wysunął jedną nogę, przybierając wyzywającą pozę.

- Jeśli zapewniona nam zostanie odrobina prywatności, wezmę zapłatę i dam ci lek dla twojego rycerza - powiedział rozdrażnionym głosem.

Uśmiechnęłam się i ten uśmiech wywołał na jego twarzy grymas gniewu.

- Nie jestem dzieckiem, żeby traktować mnie z pobłażliwością, księżniczko. Jestem mężczyzną. Być może małym w twojej ocenie, ale jednak mężczyzną. Wolałbym, żebyś nie uśmiechała się do mnie jak do niegrzecznego dziecka.

To było prawie dokładnie to, co sobie pomyślałam, gdy przybrał tę pozę. Traktowałam go jak lalkę, zabawkę albo dziecko.

- Wybacz mi, masz rację. Jesteś istotą magiczną i mężczyzną, mimo niewielkich rozmiarów.

Spojrzał na mnie, marszcząc brwi.

- Jesteś szlachetnie urodzoną sidhe i przepraszasz mnie?

- Zostałam nauczona, że prawdziwe szlachectwo objawia się tym, że umiesz się przyznać do błędu.

Przekrzywił głowę, prawie jak ptak.

- Słyszałem już od innych, że postępujesz sprawiedliwie, tak jak twój ojciec,

- Miło mi słyszeć, że mój ojciec jest wciąż wspominany.

- Wszyscy pamiętamy księcia Essusa.

- Zawsze się cieszę, że dzielę z innymi dobre wspomnienie o ojcu.

Mędrzec przyjrzał mi się z bliska, choć nie tak, jak przyglądałby się ktoś większy. To była jego wersja kontaktu wzrokowego. Wydawał się wpatrywać tylko w moje prawe oko, chociaż najwidoczniej zobaczył mój uśmiech i właściwie go zinterpretował, co znaczyło, że mógł widzieć całą moją twarz. Nie byłam przyzwyczajona do obcowania z krwawymi motylami. Mój ojciec zawsze je szanował, ale nie zabierał mnie na dwór Niceven tak jak na dwór Kuraga czy innych.

- Książę Essus cieszył się naszym szacunkiem, księżniczko, ale czas nie stoi w miejscu, podobnie jak i my. - Jego głos był prawie smutny. Popatrzył na mnie, twarz znów stała się wyzywająca i z ledwością opanowałam uśmiech ponownie cisnący mi się na usta. To nie było zabawne, był tak samo godzien szacunku, jak każdy w tym pokoju. Ale naprawdę trudno było w to uwierzyć.

- Zapewnij nam prywatność niezbędną do zaspokojenia pragnień mojej królowej, a przekażę ci lek dla twojego zielonego rycerza.

Spojrzałam na Doyle'a i Galena stojących w sypialni i pozostałych tłoczących się w wejściu do niej. Mróz pokręcił głową.

- Moi strażnicy nigdy nie zostawiają mnie samej.

- Sądziś, że pochlebia mi, że patrzę na mnie jak na potencjalne zagrożenie? Odwrócił się na mojej dłoni i pokazał palcem Doyle'a.

- Ciemność zna mnie od dawna i wie, do czego jestem zdolny. - Zwrócił się znowu do mnie, a jego gołe stopy ślizgały się po mojej skórze. - Wciąż liczę na odrobinę prywatności.

- Nie ma mowy - powiedział Doyle.

Mędrzec odwrócił się do niego, odrywając się z trzepotem od mojej ręki.

- Kto jak kto, ale ty powinieneś to rozumieć. Zrobienie tego, co zaoferowała mi królowa, jest wszystkim, co mi pozostało. To wszystko, na co mogę liczyć. To, co zrobię tego wieczoru w tym pokoju, będzie najbliższym kontaktem z kobietą, jaki będę miał od bardzo dawna. Nie wydaje mi się, żeby odrobina prywatności, o którą proszę, była zbyt wygórowanym żądaniem.

Niechętnie, bo niechętnie, ale w końcu moi strażnicy zgodzili się na to, by zostawić nas samych. Został tylko Kitto, dalej zakopany w pościeli i przytulony do mojego ciała.

- On też - powiedział Mędrzec.

- On dzisiaj o mało nie zgasł - odparłam.

- Wygląda dosyć dobrze.

- Jego król, Kurag, powiedział mi, że moje ciało, krew, magia są tym, co utrzymuje Kitta przy życiu tutaj, w świecie ludzi. Musi zostać przy mnie, dotykając mnie przez długi czas.

- Mogłabyś wykopać go z łóżka do jednego ze swoich wojowników.

- Nie - powiedział cicho Kitto. - Mam przywilej pozostawać tu nawet wtedy, gdy się parzą.

Widziałem cienie, które rzucali na ściany, tak mocno świecili.

Mędrzec podfrunął do Kitta.

- Goblinie, twoi pobratymcy zjadają moich podczas wojny.

- Silniejszy zjada słabszego. Tak to już jest w tym świecie - stwierdził sentencjonalnie Kitto.

- W świecie goblinów - odparł Mędrzec.

- Tylko taki świat znam.

- Jesteś teraz daleko od tego świata.

Kitto dał nura pod kołdrę, tak że widać spod niej było tylko jego oczy.

- Teraz całym moim światem jest Merry.

- Podoba ci się ten twój nowy świat?

- Jest mi ciepło, czuję się bezpiecznie, a ona nosi mój znak na ciele. To dobry świat.

Mędrzec unosił się w powietrzu jeszcze przez kilka chwil, a potem przysiadł z powrotem na mojej ręce.

- Jeśli goblin złoży uroczystą przysięgę, że nie opowie nikomu o tym, co zobaczy, usłyszy albo poczuje, może zostać.

Kitto przysiadł.

- Dobrze - powiedział Mędrzec. Spojrzał w dół mojego ciała i chociaż był nie większy niż moje

przedramię, zadrżałam i poczułam wielką ochotę, by zakryć się aż po szyję. Oblizał usta malutkim czerwonym języczkiem, który przypominał mi kroplę krwi.

- Najpierw krew, potem lek. - Słowo „lek” wypowiedział tak, że zaczęłam żałować, iż pozwoliłam strażnikom wyjść. Mimo że był mniejszy od lalki Barbie, w tej chwili śmiertelnie się go bałam.

Rozdział 28

Podfrunął do moich piersi. Zasłoniłam się ręką. Usiadł na nadgarstku drugiej. Naciągnęłam kołdrę pod szyję.

Wyglądał na oburzonego.

- Odmawiasz mi krwi ze swojego serca?

- Widziałam, co twoi pobratymcy zrobili mojemu rycerzowi. Musiałabym być szalona, żeby pozwolić ci pić z takiego miejsca bez sprawdzenia, czy jesteś delikatny.

Przysiadł na moim nadgarstku. Zdawał się ważyć więcej, gdy siedział; niewiele więcej, ale jednak zauważalnie.

- Zawsze jestem delikatny. - Jego głos brzmiał teraz jak dzwonki poruszane przez leciutki wietrzyk. Jego usta wydały mi się teraz podobne do czerwonego kwiatka. Dotknął tymi delikatnymi ustami mojej dłoni, opierając się na mojej ręce, gdy opadłam na łóżko. Przebiegł ustami i dłońmi po włoskach na mojej ręce. Miałam wrażenie, jakby muzyka przebiegała po mojej skórze - bezdźwięczna muzyka, którą mogłam słyszeć tylko ja. Grał na mojej skórze, mojej ręce.

Podrzuciłam go gwałtownie w powietrze, gdzie zaczął bzyzczeć na mnie jak rozwścieczona pszczoła.

- Dlaczego to zrobiłaś? Mogliśmy mieć dużo zabawy.

- Bez magii, pamiętaj - powiedziałam, patrząc na niego gniewnie i chwytając kołdrę.

- Bez magii to nie będzie dla ciebie zbyt przyjemne. - Wzruszył ramionkami. - Dla mnie to bez znaczenia, dla Niceven również, ale dla ciebie to jednak będzie coś znaczyć. Pozwól, że oszczędzę ci bólu.

Gdyby dotarł do mnie kiedy indziej, gdy rana po ugryzieniu Kitta już by mnie nie bolała, powiedziałabym; „Nie, po prostu weź krew dla swojej królowej i miejmy to już z głowy”, Gobliny nie potrafią czarować, więc Kitto nie dał mi wyboru; co innego Mędrzec.

Zaczerpnęłam powietrza, wypuściłam je wolno, po czym skinęłam głową,

- Użyj tylko tyle magii, żeby uczynić to przyjemnym. Jeśli spróbujesz więcej, wezwę swoich strażników i pożałujesz tego, co zrobiłeś.

Z jego ust wydobył się dźwięk, który miał być pewnie niegrzeczny, tyle że zabrzmiał jak malutka trąbka.

- Ciemność czekał przez wieki na taką okazję, księżniczko. Wiem dobrze, że chce mi się odwdziżyć.

- Zauważyłam, że macie jakieś porachunki.

- Porachunki? To ty to powiedziałaś. - Uśmiechnął się i ten uśmiech był przyjemny i złowrogi zarazem, jakby wyobrażał sobie straszne rzeczy, które mogą być świetnym powodem do zabawy.

Mogłam go zapytać, co to za porachunki, ale nie zrobiłam tego. Albo Doyle mi o tym powie, albo nigdy się nie dowiem. Nie sądzę, żeby Doyle'owi spodobało się, że wyciągam jego sekrety od istoty, której nie cierpi. Wypytywać jednego przyjaciela o drugiego to co innego, niż rozmawiać o swoim przyjacielu z jego wrogiem albo pozwolić temu wrogowi na obgadywanie przyjaciela. Tak się po prostu nie robi.

- Możesz użyć trochę magii, żeby to nie było takie bolesne. Ale pamiętaj o tym, o czym mówiłam.

- Czy naprawdę potrzebujesz tak daleko posuniętych środków ostrożności? Masz przecież obok siebie swojego goblina. Czy nie rzuci się na mnie i nie rozszarpie mnie na strzępy, jeśli przesadzę z

magią?

- Gobliny są bez szans, gdy używa się silnego zaklęcia, dobrze o tym wiesz.

Przyłożył rękę do piersi i otworzył szeroko oczy.

- Ale ja jestem przecież tylko krwawym motylem. Nie mam umiejętności sidhe. Dlaczego goblin miałby się mnie bać?

- Krwawe motyle mają potężną moc, o tym też dobrze wiesz. Od wieków sprawiają, że wędrowcy gubią drogę.

- Mała kąpiel w błotnistej wodzie jeszcze nikomu nie zaszkodziła - powiedział Mędrzec, zbliżając się do mnie.

- Chyba że pod tą wodą są ruchome piaski albo bagno. Jesteście istotami z Dworu Unseelie, a to oznacza, że jeśli wędrowiec ginie, macie niezły ubaw.

Skrzyżował na piersi ręce, które były cieńsze od ołówków.

- A co się zdarza, kiedy błędne ogniki z Dworu Seelie prowadzą podróżnych na bagnisty grunt i wpadają oni w ruchome piaski? Nie w mówisz mi, że lecą po pomoc albo rzucają im sznur. Mogłyby opłakiwać biednych śmiertelników, gdyby nie to, że w chwili, gdy wydają oni ostatnie tchnienie, one są już daleko, chichocząc do siebie i rozglądając się za nową ofiarą. Mogłyby omijać akurat tę ścieżkę wiodącą na bagna, ale nie zrezygnują ze swojej zabawy, ponieważ prowadzi ona do czyjejs śmierci.

Wylądował na moim przykrytym kołdrą kolanie.

- A czy nie jest sprawiedliwe doprowadzenie do śmierci biegającego z siatką kolekcjonera motyli, skoro on może mnie złapać, wrzucić do słoika, a potem przebić szpilką?

- Masz osłonę wystarczającą do uniknięcia takiego losu - zauważyłam.

- Tak, ale moi delikatniejsi bracia, motyle i owady, które nie mają magicznej mocy, co z nimi? Jeden głupiec z siatką może spustoszyć letnią łąkę.

- Czy używasz teraz magii?

- Księżniczka sidhe powinna wiedzieć, kiedy jest okłamywana - powiedział.

Westchnęłam.

- Dobrze, nie używasz magii, ale nie mogę się zgodzić, że masz prawo do doprowadzenia entomologa do śmierci tylko dlatego, że zbierał motyle.

- Ależ zgadzasz się przynajmniej trochę, inaczej nie pytałabyś mnie o magię.

Westchnęłam raz jeszcze. Wybór entomologii jako jednego z przedmiotów w college'u był straszliwą pomyłką. Nie mogłam zrozumieć, jak można ot tak sobie zabijać niewinne owady. Pamiętałam motyle tkwiące w słoju. To była jedna z najpiękniejszych rzeczy, jakie widziałam w życiu. Żywe były magiczne; martwe - jak bibułki wbite na patyk. W końcu zapytałam, ile owadów muszę zebrać, żeby nie dostać pały, i zebrałam dokładnie tyle, ani jednego więcej. Nie było najmniejszego sensu zbierać ich tylko po to, by college mógł się pochwalić kolekcją owadów. To był ostatni kurs z biologii, w jakim uczestniczyłam, podczas którego trzeba było coś zbierać.

Popatrzyłam na człowieczka o skrzydłach motyla na moim kolanie i nie mogłam znaleźć argumentu, który nie sprawi, że poczuję się jak hipokrytka. Nie zabiłabym nikogo za kolekcjonowanie motyli, ale gdybym miała skrzydła i spędziła większość życia, fruując z kwiatka na kwiatek, być może inaczej bym na to patrzyła. Niewykluczone, że gdy jesteś wielkości lalki Barbie, zabijanie małych istot jest dla ciebie równie przerażające jak zabijanie ludzi. Może tak, a może nie. Nie czułam się na siłach dyskutować na ten temat.

Rozdział 29

Postawiłam za sobą poduszki, tak że mogłam usiąść, opierając się o nie. Przedtem musiałam

zmusić Kitta do poruszenia się. Trzymał się mnie kurczowo, ale jego wzrok skierowany był na Mędrca. Patrzył na niego, jakby mu nie ufał, spodziewał się po nim czegoś złego albo po prostu zastanawiał się, jak smakuje. Cokolwiek Kitto myślał, nie były to przyjazne myśli.

Mędrzec wydawał się nie dostrzegać spojrzenia goblina. Po prostu unosił się w powietrzu, w czasie gdy poprawiałam poduszki.

Z kołdrą zasłaniającą piersi wyciągnęłam przed siebie rękę, tak że Mędrzec mógł dosięgnąć palców, by wyssać z któregoś z nich krew. Kiedy Niceven piła moją krew, piła ją właśnie z palca, a skoro królowa zadowolona się krwią z palca, on również mógł. Poza tym coś w nim działało mi na nerwy. To było śmieszne denerwować się z powodu kogoś, kogo można jedną ręką rozgnieść na ścianie, ale jednak tak się czułam. Dlatego przykryłam te części ciała, które były bardziej bezbronne i podałam mu rękę.

Mędrzec wylądował na moim nadgarstku. Ukląkł na mojej dłoni i otoczył rękami mój środkowy palec. Pociągnął go i ten ruch był zarazem miły, jak i niepokojący.

Musiał wyczuć moje napięcie, bo spytał:

- Dajesz mi zgodę na użycie magii?

Skinęłam głową, nie do końca ufając swojemu głosowi.

Uśmiechnął się. Jego usta były jak mały czerwony płatek, a spojrzenie ciepłe, szczere. Poczułam, że się odprężam. Nie walczyłam z zaklęciem, ponieważ zgodziłam się na nie i ból w mojej ręce minął. W ogóle nic mnie nie bolało.

Kitto owinał mnie swoim ciałem w talii. Opuściłam rękę i pogładziłam go po głowie. Jego włosy były niewiarygodnie miękkie. Wtulił się we mnie i dotyk jego skóry przeszył mnie dreszczem. Myślę, że zareagowałabym tak w tej chwili na każdy dotyk.

Spojrzałam na Mędrca,

- Jesteś w tym dobry. - Mój głos był zachrypnięty.

- Wszyscy jesteśmy - odparł, sunąc rękami w górę i w dół po moim palcu. To było bardzo zmysłowe. Wiedziałam, że to osłona, naturalna magia faerie, ale i tak było to dobre, bardzo dobre.

Poddanie się czyjemuś zaklęciu, jeśli było to zmysłowe zaklęcie, mogło być cudownym przeżyciem, Sidhe nie robią tego, ponieważ rzucanie zaklęcia w intymnych okolicznościach jest uważane za poważną zniewagę. Ale pomniejsze istoty magiczne często robią to między sobą i niemal zawsze, kiedy mają styczność z sidhe. Może z niepewności. Może to jest po prostu sposób na powiedzenie, co ma się do zaoferowania.

Mędrzec miał dużo.

Otoczył rękami mój palec i czułam się tak, jakby dotykał czegoś o wiele bardziej intymnego. Złożył pocałunek na koniuszku mojego palca. To było jak muśnięcie jedwabiu. Poczułam jego usta i wydawały mi się większe, niż były w rzeczywistości. Musiałam otworzyć oczy i spojrzeć na niego, by nabrać pewności, że się nie powiększył. Poruszyłam ręką, ale Mędrzec wciąż klęczał na mojej dłoni.

Kitto oplótł mnie nogami i poczułam jego wzrastające podniecenie. Przez chwilę zastanawiałam się, czy czar nie zaczął działać również na niego. Moje rozważania przerwał Mędrzec, który wbił się zębami w mój palec. Wgryzł się we mnie, tak jakby wgryzał się w jabłko, ale ból zaraz minął, a kiedy zaczął ssać ranę, nagle poczułam podniecenie. Każde poruszenie jego ust wywoływało reakcję mojego ciała.

Ssał coraz szybciej i mocniej. Czułam ciepło rozlewające się po moim ciele, które mówiło, że byłam na krawędzi, na krawędzi rozkoszy. To było tak, jakby Mędrzec zaprowadził mnie na krawędź skały i musiałam się zdecydować, czy z niej skoczyć.

Nie mogłam zebrać myśli. Nie mogłam podjąć żadnej decyzji. Mogłam tylko dać się nieść potężniejszej rozkoszy. A potem ciepło rozlało się po całym moim ciele. Krzyknęłam, ale to nie był okrzyk bólu, Krzyknęłam z rozkoszy i skręciłam się na prześcieradle, pomiędzy ustami Mędrca i Kittem przyciśniętym do moich nóg. Kitto zaczął się o mnie ocierać, gdy wiałam się na łóżku, sięgnął w górę, docierając do koniuszków moich piersi. To był niepewny dotyk, ale byłam tak bardzo podniecona, że mi wystarczał.

Znów krzyknęłam, a kiedy Kitto przesunął się na moje uda, przyciskając się do mnie, kładąc się na mnie, nie protestowałam.

Kurag mówił, że powinnam naprawdę podzielić się z Kittem ciałem, a dla goblina znaczy to tylko jedno: stosunek. Ale wiedziałam już też, że gobliny nie uprawiają seksu bez zadawania bólu. Teraz nic mnie nie bolało.

Spojrzałam na Mędrca unoszącego się nad nami. Błyszczał delikatnym światłem. Jego oczy świeciły jak czarne klejnociki, a żyłki i kropki na skrzydłach błyszczały jak witraże w promieniach słońca.

Trzymałam wciąż rękę we włosach Kitta. Podciągnęłam teraz jego głowę i wyszeptałam:

- Tylko krew. Żadnej utraty ciała.

- Tak, pani - odszepnął.

Wypuściłam jego włosy z dłoni, a on spojrzał na mnie, a jego oczy stały się ciemnoniebieskie. Miałam wrażenie, jakbym mogła utonąć w tych oczach. Wiedziałam, że ciągle odczuwam działanie zaklęcia, ale nie przejmowałam się tym. Poddałam się temu, pozwoliłam się ogarnąć iluzji.

Kitto wszedł we mnie. Byłam mokra i gotowa. Wydawał mi się większy, niż mógł być w rzeczywistości, wypełnił mnie całą, tak jakby powiększył się we mnie. Uniósł się na rękach, naciskając na mnie dolną częścią ciała, drżał przez chwilę, gdy zatopił się we mnie. Spojrzał w dół na moje ciało i pojedyncza łza spłynęła mu z oka.

Wiedziałam, jak gobliny podchodzą do seksu, i że nie płaczą w trakcie jego uprawiania. Uniosłam rękę, która już stała się biała i błyszcząca. Dotknęłam tej jednej kryształowej łzy i zrobiłam to, co gobliny robią z cennymi wydzielinami ciała: przyłożyłam ją do ust. Poczułam słony smak, a on jęknął i zaczął poruszać się we mnie.

Z każdym ruchem wydawał się coraz większy, dotykał części mojego ciała, które nigdy nie były dotykane. Patrzyłam, jak wchodzi we mnie, a jego skóra zaczyna błyszczeć. To nie było zaklęcie Mędrca. Leżałam pod nim, a moja skóra błyszczała jak światło księżyca. Tylko inny sidhe może spowodować, że moja skóra tak błyszczy. Pod jego skórą zaczęły przebiegać kolory, jakby tęcza tańczyła w jego ciele, podchodząc do powierzchni skóry jak fajerwerki migoczące na powierzchni wody.

Jego oczy jarzyły się niebieskim płomieniem. Krótkie loki poruszały się, jakby potargał je niewidoczny wiatr, a wiatr ten był Kittem. I nagle zrozumiałam: Kitto był sidhe. Na boginię, on był sidhe.

Skapał mnie w świetle i magii, które oślepiły mnie na chwilę. Widziałam jedynie białe światło i tęczowe błyski. Czułam się tak, jakby miejsce, w którym nasze ciała się łączyły, było jedyną częścią naszych ciał, która pozostała ciałem stałym. Jakbyśmy stali się światłem, powietrzem i magią. A potem nawet tego nie czułam, a jedynie światło, magię, kolor i fale rozkoszy. To było tak, jakbyś się mógł stać śmiechem, radością, czymkolwiek, co jest dla ciebie oznaką największej przyjemności.

Wolno dochodziłam do siebie. Kitto opadł na mnie. Wciąż byliśmy złączeni, nasze ciała wciąż łagodnie jarzyły się jak dwa ogniska rozpalone w długą zimową noc.

Błyski kolorów wciąż oświetlały pokój jak zabłąkane tęcze rzucane przez kryształ w blasku słońca. Ale nie było kryształu, nie było słońca, byliśmy tylko my.

A jednak nie tylko my. Nagle dookoła łóżka ujrzałam strażników trzymających się za ręce. Skoncentrowałam się na tyle, by ujrzyć prawie niewidzialną barierę, którą nas otoczyli. Tworzyli święty krąg, krąg mocy.

- Następnym razem, gdy postanowisz wywołać energię wystarczającą do podniesienia wyspy z morza, Meredith, uprzedź nas o tym - usłyszałam niski głos Doyle'a.

Popatrzyłam na niego, ponieważ stał najbliżej mnie.

- Czy spowodowaliśmy jakieś szkody?

- Udało nam się w ostatniej chwili nad tym zapanować, ale i tak w dzisiejszych wiadomościach pełno będzie relacji o niezwykłych zjawiskach przyrodniczych. Zobaczymy, czy ziemia poradzi sobie z tym, co uwolniliście.

- Przepraszam - wyszeptał Kitto i ukrył twarz pomiędzy moimi piersiami.

- Nie masz za co przepraszać. To raczej my winniśmy ci przeprosiny. Uważaliśmy cię za goblina, bo jesteś nim w połowie. Nie pomyśleliśmy, że jesteś w połowie też jednym z nas.

Kitto uniósł głowę, by spojrzeć na Doyle'a, po czym ukrył ją z powrotem.

- Nie rozumiem - wyszeptał. Nawet teraz jego oddech przeszył mnie dreszczem.

Mój głos był trochę zdyszany, ale odpowiedziałam:

- Jesteś sidhe, Kitto, prawdziwym sidhe. Objawiłeś swą moc.

Potrząsnął głową.

- Ja nie mam mocy.

Położyłam rękę na jego twarzy i uniosłam delikatnie jego głowę, tak że patrzył na mnie.

- Jesteś sidhe. A sidhe mają moc.

Jego oczy się rozszerzyły. Wyglądał na nieco wystraszonego.

- Pomożemy ci - powiedział Galen. - Nauczymy cię, jak kontrolować magię. To nie jest wcale takie trudne. Jeśli ja się tego nauczyłem, każdy się może nauczyć. - Uśmiechnął się.

Kitto nie wyglądał na przekonanego.

Nieznaczny hałas za mną sprawił, że odwróciłam głowę i ujrzałam Mędrca podlatującego do sterty poduszek. Wciąż świecił łagodnie jak złota, obwieszona biżuterią lalka. Jego twarz była poznaczona smugami łez niczym srebrnym brokatem. Zachwycający widok.

- A niech cię, księżniczko. Przez chwilę byłem w niebie, a teraz z powrotem znalazłem się na ziemi. Aż do teraz nie rozumiałem, co to znaczy, że wy jesteście sidhe, a ja nie. - Ukrył twarz w dłoniach i zaszlochał, lądując na atlasowej poduszce, jego skrzydełka zwinęły się za nim, prawie zapomniane.

Kitto dotknął mojej piersi i to trochę zabolalo. Uświadomiłam sobie, że ugryzł mnie tuż nad lewą pierś. Miałam tam teraz krwawy ślad. Nie bolało, dopóki się nie dotknęło. Ranka nie była tak głęboka, jak ta na mojej ręce, ponieważ nie musiała być aż taka. Seks mógł się obyć bez przemocy. Ranka powinna się szybko zagoić, ale coś mi mówiło, że jednak tak się nie stanie. Coś mi mówiło, że będę miała ten ślad już na zawsze.

- Przepraszam - wyszeptał, jakby umiał czytać w moich myślach.

Potrząsnęłam głową, dotykając jego policzka.

- Noszenie twojego znaku to dla mnie zaszczyt, Kitto. Nigdy w to nie wątp.

Uśmiechnął się nieśmiało, po czym uniósł się na rękach, tak samo, jak na początku naszego kochania się. Ujrzałam krople krwi na swoim białym ciele. Musiał jednak zranić mnie bardziej, niż myślałam; potem popatrzyłam na Kitta i zobaczyłam, że od obojczyka do pasa był poznaczony moimi paznokciami. Krwawe szramy znaczyły jego skórę, pręgi przejeżdżały przez pierś, Rozorałam mu sutek, krwawił.

Teraz była moja kolej, by powiedzieć:

- Przepraszam.

Potrząsnął głową. Jego uśmiech nie był tym razem nieśmiały. - Oznaczyłaś mnie, a nie ma większego komplementu dla nas, goblinów. Mam nadzieję, że te ślady nigdy nie znikną.

Przejechałam palcem po jednym ze śladów i zadrżał.

- Nie jesteś już goblinem, jesteś teraz jednym z nas, Kitto.

Doyle odgadł, o co chciałam go poprosić, i uniósł swój czarny T-shirt, by pokazać Kitlowi ślady paznokci, które znaczyły jego czarną skórę.

- Jesteś sidhe z Dworu Unseelie - powiedziałam.

Poruszył się, jego ciało było teraz mniej napięte. Leżał obok mnie, jedną ręką obejmując mnie w pasie. Patrzył na strażników otaczających łóżko.

- Moja matka pochodziła z Dworu Seelie. Porzuciła mnie przy kopcu goblinów. - Jego głos był obojętny, jakby wiedział o tym od tak dawna, że nie podchodził już do tego emocjonalnie.

Doyle opuścił koszulkę i odwrócił się do łóżka.

- Nie jesteśmy Seelie. - Doyle nie opuścił kręgu, ale wszedł do środka. Podniósł Kitta, Mały człowieczek wyglądał na przestraszonego, ale ani drgnął.

Doyle złożył pocałunek na jego czole.

- Posmakowałaś już naszej krwi, a my posmakowaliśmy twojej. Teraz otrzymasz nasze pocałunki na znak powitania pośród nas.

Jeden po drugim strażnicy podchodzili i przyciskali usta do czoła Kitta. Płakał i trzął się cały. Kiedy ostatni z moich strażników pocałował Kitta w czoło, Mędrzec wzleciał w powietrze, trzepocząc skrzydełkami. Był to wściekły furkot.

- Nienawidzę was wszystkich. - Te słowa przesycone były jadem. - A teraz wypuście mnie z tego przeklętego kręgu.

Doyle uczynił w kręgu wyrwę wystarczającą na wypuszczenie krwawego motyla. Przeleciał szybko przez nią i Doyle zamknął krąg.

Mędrzec unosił się przed zamkniętymi drzwiami sypialni. Pomyślałam, że jedno z nas powinno mu je otworzyć, ale drzwi same się otworzyły i wyfrunął w ciemność salonu, wciąż świecąc od magii.

- Królowa otrzymała swoją zapłatę, ale ty nie dostałaś leku. Znajduje się on wewnątrz mojego ciała. Zamierzałem podzielić się tobą z goblinem, żeby zapewnić sobie jego milczenie, nie być przez niego wyeliminowanym. - Zasyczał jak wściekły kot. - Kto mógł przypuszczać, że goblin okaże się sidhe? To ja powinienem być w twoich ramionach, nie on. To, co mogło być zrobione w miłych okolicznościach, będzie trzeba zrobić z poczucia obowiązku. - Zasyczał raz jeszcze, po czym zniknął w ciemności. Drzwi same się za nim zamknęły. Wszyscy się w nie wpatrywaliśmy.

- Czy on miał na myśli to, co myślę, że miał na myśli? - spytał Galen.

- Niceven musiała mieć niezłą zabawę, gdy wymyśliła, że zmusi sidhe do zaspokojenia jednego z jej ludzi - powiedział Doyle.

Uniosłam brwi.

- Jak?

- Lepiej nie pytaj - odparł i spojrzał na Kitta. - Tej nocy nic nas już nie powinno niepokoić. Odnaleźliśmy krewnego. Nie powinniśmy się już niczym martwić.

Jak na dwór faerie, świętowaliśmy nad wyraz skromnie. Zamówiliśmy jedzenie, kupiliśmy kilka butelek dobrego wina i bawiliśmy się do świtu.

Rano nastąpiło trzęsienie ziemi, 4 stopnie w skali Richtera, z epicentrum w El Segundo. Na szczęście podstawy El Segundo były solidne. Tylko to prawdopodobnie uchroniło nas przed zniszczeniem całego miasta. Wstrząsy trwały zaledwie minutę, nie było poważnych zniszczeń, nikt nie zginął,

choć byli ranni. Dzięki temu jednak wyrażenie „bezpieczny seks” nabrało zupełnie nowego znaczenia.

Rozdział 30

Pierwszego dnia mojego przymusowego zamknięcia w mieszkaniu odezwała się główna osobista sekretarz króla Taranisa - Rosmerta. Była ubrana na różowo i złoto, które to kolory idealnie podkreślały złoty odcień jej skóry i ciemnozłote włosy. Była tak bardzo grzeczna i pełna godności, że w zupełności rekompensowała gburowatość Hedwicka. Przy okazji wyjaśniła, że bal, na który mnie zaprasza, to bal bożonarodzeniowy. Musiałam odmówić. Jeśli miałam być obecna na jakimś balu bożonarodzeniowym, musiał to być bal Unseelie. Rosmerta odrzekła, że, oczywiście, rozumie.

Odpuściliśmy sobie pomoc w sprawie morderstw, ponieważ Peterson zabronił komukolwiek z Agencji Detektywistycznej Greya mieszać się w tę sprawę. Jeremy był tak wkurzony, że zakazał Teresie mówić komukolwiek o tym, co widziała, ale Teresa lubi pomagać bliźnim. Poszła na posterunek policji i w końcu znalazła detektywa, który chciał jej wysłuchać. Zeznała, że widziała na miejscu zbrodni duchy - białe kształty wysysające życie z ludzi. W odpowiedzi usłyszała, że duchy nie robią takich rzeczy. Peterson podał przy niej jej zeznanie i wyrzucił do kosza. Zwykle policjanci czekają, aż składający zeznanie wyjdzie, zanim zrobią coś takiego. Teresie ledwo udało się powstrzymać męża przed czynną napaścią na funkcjonariusza policji. Jej mąż Ray jest byłym futbolistą. Jest wielki jak góra, ma ujmujący uśmiech i pewny uścisk dłoni.

Tak więc nagle okazało się, że mamy mnóstwo wolnego czasu. Nie, wcale przez cały dzień nie uprawialiśmy seksu. Zadręczaliśmy Mędrca. Zapłaciłam cenę, której zażądała królowa Niceven, nie otrzymaliśmy jednak w zamian leku. Dlaczego Mędrzec go nam nie dał ostatniej nocy? Dlaczego to, że Kitto okazał się sidhe, zmieniło wszystko? Czy naprawdę musiałam uprawiać seks z Mędrcem, by otrzymać lek? Wysłannik Niceven nie odpowiadał na żadne pytania.

Latał po mieszkaniu, usiłując uciec przed pytaniami, ale to było małe mieszkanie, nawet jeśli się było wielkości lalki Barbie. W pewnej chwili wystartował z parapetu i podleciał trochę za blisko Galena, który uderzył go tak, jak się bije muchy. Myślę, że nie chciał zrobić mu krzywdy.

Mędrzec spadł na podłogę. Leżał nieruchomo - mała istotka w kolorze masła z jasnymi skrzydełkami. Uniósł się powoli na jednej ręce, zanim zdążyłam przy nim uklęknąć.

- Nic ci nie jest? - spytałam.

Spojrzał na mnie z taką nienawiścią, że aż się wzdrygnęłam. Odrobinę się potknął, wstając, ale pomachał skrzydłami i złapał równowagę. Kiedy wyciągnęłam rękę, nie przyjął jej. Stał tam z rękami na biodrach i wpatrywał się w nas.

- Jeśli umrę, zielony rycerzu, lekarstwo umrze wraz ze mną. Lepiej o tym pamiętaj.

- Nie miałem zamiaru cię skrzywdzić - powiedział Galen, ale w jego oczach było coś, co nie było uprzejme, delikatne, Galenowe. Być może krwawe motyle zniszczyły nie tylko jego męskość, ale i coś jeszcze.

- To prawie kłamstwo - zauważył Mędrzec, wzbijając się do lotu. Jego skrzydła poruszały się tak szybko, że stały się niewyraźną plamą. Skrzydła motyla nie poruszają się w ten sposób. Bardziej przypominało to ruch skrzydeł ważki. Kiedy wzniósł się na wysokość oczu Galena, zawisł w powietrzu, machając skrzydełkami dużo wolniej, ale z wystarczającą siłą, by zmierzić włosy mojego zielonego rycerza.

- Nie miałem zamiaru uderzyć cię tak mocno. - Głos Galena był cichy i gniewny. Była w nim twardość, jakiej u niego nigdy przedtem nie słyszałam. Poczulałam przypływ nadziei. Może nawet Galen nauczyłby się czegoś, gdyby został królem. A może właśnie uczył się nienawiści. Tej lekcji chciałam mu oszczędzić.

Obserwowałam ich, jak wpatrują się w siebie nawzajem z nienawiścią. Mędrzec nadal był wielkości lalki Barbie, ale jego gniew nie był wcale zabawny. To, że mógł w moim zawsze uśmiechniętym Galenie wzbudzić tak negatywne emocje, było trochę zatrważające.

- Bawcie się grzecznie, chłopcy - powiedziałam. Odwrócili się i spojrzeli na mnie. Chyba jednak nie udało mi się rozładować napięcia. - Dobrze, zachowujcie się tak dalej. Chciałam tylko zapytać Mędrca, co miał na myśli, mówiąc, że jeśli umrze, lekarstwo umrze wraz z nim.

Mędrzec podleciał do mnie i skrzyżował ręce na piersi.

- To znaczy, księżniczko, że królowa Niceven pozostawiła coś w moim ciele. Lek dla twojego mężczyzny jest ukryty we mnie. - Kiedy to powiedział, rozłożył szeroko ręce, niemal kłaniając się w locie i trzepocząc skrzydełkami.

- Co to znaczy? - spytał Doyle. - Wyjaśnij nam to. Dokładnie i bez uników. Powiedz nam całą prawdę.

Mędrzec wykonał w powietrzu kolejny skręt, po czym wpatrzył się w Doyle'a. Mógł zwyczajnie popatrzeć na niego przez ramię, ale sądzę, że chciał, by Doyle wiedział, że na niego patrzy.

- Naprawdę chcesz poznać całą prawdę?

- Tak - odparł Doyle, głosem ochryplym, cichym i niskim, ale tonem, który sprawiał, że wielu sidhe bladło.

Mędrzec roześmiał się radosnym brzęczącym głosem, który sprawił, że z trudem powstrzymałam uśmiech. Był bardzo dobry w czarowaniu, lepszy niż się spodziewałam.

- O, będziesz jeszcze bardziej zły, kiedy usłyszysz, co zrobiła moja droga królowa.

- Po prostu nam to powiedz - włączyłam się. - Przestań nas zwodzić.

Odwrócił się do mnie, unosząc się tak blisko mnie, że czułam na twarzy powiew jego skrzydełek.

- Poproś - zażądał.

Galen napiął się cały. Rhys położył rękę na jego ramieniu. Sądzę, że nie byłam jedyną osobą, która miała oko na Galena w obecności krwawego motyla.

- Proszę - powiedziałam. Mam wiele wad, ale fałszywa duma do nich nie należy. Nic mnie nie kosztowało powiedzenie „proszę” do tego maleńkiego człowieczka.

Uśmiechnął się, najwyraźniej zadowolony.

- Skoro tak ładnie poprosiłaś, powiem ci. - Złapał się za krocze. - Lekarstwo jest schowane tutaj.

Otworzyłam szeroko oczy.

- W jaki sposób Meredith ma je odzyskać? - spytał Doyle beznamiętnym tonem.

Mędrzec uśmiechnął się chytrze.

- W taki sam sposób, w jaki królowa je tam umieściła.

- Niceven nie wolno odbywać stosunków z nikim poza jej mężem - zauważył Doyle.

- Od każdej zasady są wyjątki. Kto jak kto, ale ty, Ciemności, powinieneś o tym wiedzieć.

Wydawało się, że Doyle poczerwieniał, chociaż z powodu koloru jego skóry nie było to takie pewne.

- Jeśli królowa Andais dowie się, że twoja królowa złamała śluby małżeńskie, źle się to dla niej skończy.

- Krwawe motyle nigdy nie musiały się stosować do tych zasad, dopóki Andais nie stała się zazdrosna o dzieci Niceven. Moja królowa ma troje dzieci, wszystkie czystej krwi. Tylko jedno z nich jest dzieckiem Pola, ale to jego właśnie Andais wybrała na małżonka Niceven. Andais zazdrości Niceven jej dzieci, cały dwór o tym wie.

- Na twoim miejscu uważałbym na to, do kogo to mówisz - powiedział Rhys.

Mędrzec machnął maleńką rączką.

- Zażądałaś leku dla swojego zielonego rycerza, a jest tylko jeden sposób, żeby go przekazać.

Niceven musiała się ze mną przespać, żeby włożyć we mnie zaklęcie. Andais uznała, że zielony rycerz musi być uleczony za wszelką cenę.

Pokręciłam głową.

- Nie ma mowy, nie prześpię się z tobą.

Mędrzec wzbił się w powietrze.

- A zatem twój zielony rycerz dalej będzie pozbawiony męskości.

Ponownie pokręciłam głową.

- To się okaże. - Poczułam, jak wzbiera we mnie gniew. Nie pozwalałam sobie na częste wpadanie w gniew. Na dworze była to słabość, na którą tylko najpotężniejsi mogli sobie pozwolić. Nigdy nie byłam tak potężna.

- Doyle, skontaktuj się z królową Niceven. Musimy porozmawiać. - Gniew wsączył się w mój głos.

Mędrzec podleciał do mnie tak blisko, że wiatr z jego skrzydełek owiewał moją twarz.

- Nie ma innego sposobu, księżniczko. Moja królowa dała lek. Drugi raz już go nie da.

Spojrzałam na niego.

- Nie jestem pierwszą lepszą, mały człowieczku. Jestem księżniczką sidhe i następczynią tronu Unseelie. Nie puszczam się dla Niceven.

- Tylko dla Andais - powiedział Mędrzec.

Byłam bardzo bliska trzepnięcia go, ale nie miałam pewności, jak mocno go uderzę, a nie chciałam zrobić mu krzywdy przez przypadek. Nie, jeśli już miałam go skrzywdzić, wolałam to zrobić z pełną premedytacją.

- Doyle, skontaktuj się z Niceven.

Nie protestował, po prostu poszedł w kierunku drzwi do sypialni. Podążyłam za nim, a za mną reszta.

- Co chcesz zrobić, księżniczko? - zawołał Mędrzec w ślad za mną. - Co możesz zrobić? Czy jedna noc ze mną to taka wysoka cena za męskości twojego zielonego rycerza?

Zignorowałam go.

Kiedy weszłam do sypialni, Niceven była już w lustrze. Dziś miała na sobie czarną suknię, całkowicie przezroczystą, przez którą jej blade ciało zdawało się świecić. Czarne cekiny błyszcząły na jej rękawach. Białe włosy opadały swobodnie wzdłuż ciała. Sięgały prawie do kostek, ale były cienkie i nie przypominały z wyglądu włosów. Przyszło mi na myśl porównanie do pajęczyny na wietrze. Blade skrzydła otaczały ją jak biała zasłona. Jej trzy damy dworu stały za jej tronem, ubrane tylko w kuse jedwabne peniuary, jakby dopiero co wstały z łóżka. Każdy z nich jednak pasował do skrzydeł: różanoczerwonych, żonkilowożółtych i irysowofioletowych. Miały zmierzwiłone włosy. Najwyraźniej faktycznie dopiero przed chwilą się obudziły.

Biała mysz w wysadzanej drogimi kamieniami obroży była na swoim miejscu. To, że Niceven nie miała na głowie diademu, nie nosiła biżuterii, oznaczało, że odpowiedziała na nasze wezwanie w dużym pośpiechu.

- Czemu zawdzięczam ten nieoczekiwany zaszczyt, księżniczko Meredith? - W jej głosie był ślad rozdrażnienia. Najwidoczniej zerwaliśmy z łóżek cały dwór.

- Królowo Niceven, obiecałaś mi lek dla Galena, jeśli napoję twojego sługę swoją krwią. Wypełniłam swoją część umowy ty jednak nie wypełniłaś swojej.

- Mędrzec nie dał ci leku? - Wydawała się szczerze zdziwiona.

- Nie - odparłam.

Odszukała spojrzeniem małego człowieczka, który przysiadł na krawędzi komody, by być łatwo widocznym z lustra.

- Mędrze, o co tu chodzi?

- Odmówiła przyjęcia leku - odrzekł, rozkładając ręce, jakby chciał powiedzieć: „To nie moja wina”.

Niceven przeniosła wzrok z powrotem na mnie.

- Czy to prawda?

- Naprawdę sądziłaś, że wezmę go do łóżka?

- On jest cudownym kochankiem, księżniczko.

- Być może dla kogoś twoich rozmiarów. Dla kogoś takiego jak ja, to jednak absurdalny pomysł.

- Ma za małego - powiedział Rhys.

Przeszyłam go wściekłym spojrzeniem. Wzruszył ramionami, niemal przepaszając, i cofnął się.

- Jeśli rozmiar jest jedynym problemem, to można temu zaradzić - stwierdziła Niceven.

- Wasza Wysokość - włączył się Mędrzec - nie sądzę, żeby to było rozsądne. Tylko Meredith dała uroczyste słowo, że nie wyjawia naszej tajemnicy.

- A więc niech wszyscy przysięgną - powiedziała.

Pokręciłam głową.

- Niczego nie przysięgniemy - powiedziałam. - Jeśli teraz nie dasz leku dla mojego rycerza, ogłoszę cię krzywoprzysięzcą. Tacy nie mają czego szukać w Krainie Faerie.

- Lek jest na wyciągnięcie ręki, księżniczko. To nie moja wina, że go nie chcesz.

Podeszłam do lustra.

- Seks jest większą łaską niż dzielenie się krwią, dobrze o tym wiesz, Niceven.

Wydawało się, że jej twarz stała się jeszcze szczuplejsza, jasne oczy zabłysły gniewem.

- Przekraczasz dopuszczalne granice, Meredith, ignorując mój tytuł.

- Nie, to ty je przekraczasz, Niceven. Zachowujesz swój tytuł tylko dzięki łasce Andais, dobrze o tym wiesz. Jeśli natychmiast nie otrzymam leku dla Galena, ogłoszę cię przed królową krzywoprzysięzcą.

- Nie zostanę zawrócona z obranego kursu z powodu gniewu, nieważne jak bardzo będziesz mnie prowokowała, Meredith - powiedziała Niceven. - Ujawnij się, Mędrce.

- Moja królowo, sądzę, że to niezbyt rozsądne.

- Nie pytałam cię o zdanie, rozkazałam ci to zrobić. - Pochyliła się na tronie. - Teraz, Mędrce. - W jej głosie pojawiła się groźba.

Mędrzec złożył skrzydła i zeskoczył z krawędzi komody. Nagle zaczął rosnać. Stawał się coraz wyższy. W końcu był prawie mojego wzrostu. Skrzydła, które były piękne, nawet będąc małe, teraz przypominały witraż. Pod żółtą skórą ukazały się mięśnie, a kiedy odwrócił się i spojrzał na mnie przez ramię, zobaczyłam, że jego czarne oczy mają kształt migdałów, a usta są wilgotne i pełne. Było w nim coś nieodparcie zmysłowego, kiedy tak stał tam, wypełniając skrzydłami prawie pół pokoju.

- Czyż nie jest piękny, Meredith? - spytała Niceven głosem pełnym pożądania.

Westchnęłam.

- Jest piękny, ale tym bardziej nie wezmę go do łóżka, bo może mnie teraz zapłodnić i stać się królem. - Musiałam odsunąć się na bok, by widzieć ją wyraźnie przez skrzydła Mędrca. - Czy to jest propozycja na tron Unseelie, Niceven? Czy taki jest twój cel? Nie sądziłam, że masz tak wielkie ambicje.

- Nie dążę do tronu - zaprzeczyła.

- Kłamstwo i krzywoprzysięstwo - powiedział Doyle. Nie ruszał się z miejsca, jakby chciał, by królowa cały czas go widziała i pamiętała, że jest przy mnie.

Popatrzyła na niego wrogo.

- Nie zapominaj się, Ciemności.

- Daj Meredith lek, tak jak przyrzekałaś.

- Królowa Andais powiedziała, że zielony rycerz ma być uleczony za wszelką cenę.

Doyle pokręcił głową.

- Taka cena nie przyszlaby jej do głowy. Zawsze krążyły pogłoski, że krwawe motyle mogą rosnać, ale aż do teraz nie były one potwierdzone. Królowej nie spodobałby się pomysł, żeby na tronie Unseelie zasiadł krwawy motyl, zwłaszcza taki, który jest marionetką w twoich rękach.

Syknęła na niego i nagle wydała mi się bardzo obca, jakbym odkryła wreszcie, czym naprawdę jest, rozumiała, jak mało ma w sobie z człowieka. Biała mysz przyczała się z dala od niej, jakby obawiała się jej gniewu.

- Masz wybór, królowo Niceven - powiedziałam. - Albo dasz mi lek dla Galena, tak jak przyrzekłaś, albo powiadomię królową Andais o twoim spiskowaniu.

Niceven spojrzała na mnie, mrużąc oczy.

- Jeśli dam ci lek, nie powiesz jej o tym wszystkim?

- Jesteśmy sojusznikami, królowo Niceven. Sojusznicy ochraniają się nawzajem.

- Nie zgodziłam się na pełny sojusz, tylko na ofiarę z krwi raz w tygodniu. Prześpij się z Mędrcom, a stanę się twoim sojusznikiem.

- Dasz mi lek dla Galena, będziesz przyjmować raz w tygodniu swoją ofiarę z krwi i zostaniesz moim sojusznikiem albo powiem cioci Andais o tym, co próbowałaś zrobić.

Niceven już nie wyglądała na wściekłą, wyglądała na przerażoną.

- Gdybym nie rozkazała Mędrcom, żeby zdradził ci nasz sekret, nie miałabyś mnie czym szantażować.

- Być może, ale czasami nawet małe ziarnko w niewłaściwym miejscu może być dużym problemem.

- Co masz na myśli?

- Ojciec Galena był pixie, a one nie są dużo większe od Mędrca w jego prawdziwej formie. Zdarzały się już dziwniejsze połączenia krwi na dworach. Sądzę, że Andais mogłaby uznać twoje żądanie, żebym przespała się z jednym z twoich ludzi, za nadużycie zaufania.

Splunęła i mysz uciekła; nawet damy dworu się cofnęły.

- Zaufanie? Co sidhe mogą wiedzieć o zaufaniu?

- Wiedzą o nim prawie tyle samo, co krwawe motyle - odrzekłam.

Spojrzała na mnie wściekłym wzrokiem, ale byłam na to przygotowana. Uśmiechnęłam się do niej.

- Poprosiłam cię o sojusz, żeby twoi ludzie mogli dla mnie szpiegować. - Popatrzyłam na Mędrca. - Ale wygląda na to, że macie również inne talenty. Wasze miecze to coś poważniejszego niż żądła pszczoł.

Poprawiła się na tronie. Była wyraźnie zdenerwowana.

- Nie wiem, o czym mówisz, księżniczko Meredith.

- Sądzę, że wiesz. Chciałabym, żeby w ramach naszego sojuszu twoi ludzie robili dla mnie coś więcej, niż tylko szpiegowali.

- Niby co? Mędrzec jest tylko jeden. Poza tym masz większe miecze przy sobie.

Dotknęłam ramienia wysłannika królowej. Podskoczył, jakby go zabolalo, ale wiedziałam, że tak nie jest. Przytuliłam się do jego pleców. Napiął się.

- Czy królowa mówi prawdę? Czy twój miecz jest za mały? - Patrzyłam na Niceven, kiedy to mówiłam.

Spojrzała na mnie gniewnie.

- Nie to miałam na myśli, dobrze o tym wiesz.

- Doprawdy? - spytałam, przejeżdżając koniuszkami palców po ramieniu Mędrca. Zadrzał pod moim dotykiem. Zauważyłam wyraz zazdrości, który na chwilę pojawił się na jej twarzy. - Niceven,

Niceven, nie oddawaj innym tego, co masz najcenniejsze.

- Nie wiem, o czym mówisz.

Dotknęłam włosów Mędrca. Były miękkie jak przedza pająka albo ptasi puch, bardziej miękkie niż jakiegokolwiek włosy, których dotąd dotykałam.

- Nigdy nie proponuj, że zrezygnujesz z czegoś, czego nie możesz stracić.

Pokręciła głową.

- Nie rozumiem cię, księżniczko.

- A więc trwaj w swoim uporze, ale wiedz jedno. Proponuję ci sojusz, prawdziwy sojusz w zamian za ofiarę krwi raz w tygodniu. W zamian ty przestajesz szpiegować dla Cela i jego ludzi.

- Książę Cel jest uwięziony, ale Siobhan przebywa na wolności, a ona dla niektórych jest bardziej przerażająca niż Cel.

- To, że jest bardziej przerażająca dla niektórych, nie znaczy jeszcze, że jest taka i dla ciebie.

Niceven skinęła głową.

- To prawda, dla mnie szaleństwo Cela jest bardziej przerażające niż bezwzględność Siobhan. Ona jest przynajmniej przewidywalna.

- Zdaję się na twoje doświadczenie w tym względzie, królowo Niceven.

- Zaryzykowałam wszystko dla szansy, że jeden z moich ludzi zostanie królem Unseelie. Nie wiem, czy twoja krew jest warta takiego ryzyka. Muszę to przemyśleć.

- Nie, albo zawrzemy teraz sojusz, albo królowa dowie się o twoich knowaniach.

Niceven posłała mi spojrzenie pełne jadu.

- Zrobię to, Niceven, nie miej złudzeń. Albo zawrzesz sojusz, albo odpowiesz przed Andais.

- A zatem nie mam wyboru - powiedziała.

- Nie masz - potwierdziłam.

- A więc sojusz, ale sądzę, że obie tego pożałujemy.

- Być może - przyznałam. - Daj jeszcze tylko lek dla Galena i na dzisiaj koniec interesów.

- Daj księżniczce lek - rozkazała Niceven swojemu wysłannikowi.

Zmarszczył brwi.

- W jaki sposób mam to zrobić, skoro nie wolno mi go dać tak, jak ty dałaś go mnie.

- Chociaż przekazałam ci go przez bardziej intymny kontakt, żeby go oddać, musisz tylko sprawić, by wasze ciała się połączyły.

- Miało nie być seksu - zaprotestowałam.

Spojrzała na mnie z politowaniem.

- Pocałunek, Meredith, wystarczy jeden pocałunek.

Musiałam się odsunąć, by Mędrzec mógł się do mnie odwrócić. Jego skrzydła zdawały się wypełniać całą przestrzeń pomiędzy komodą a lustrem. Kiedy się odwrócił, stanęłam na wprost niego. Jego skrzydła wznosiły się nad nim jak wierzchołek jakiegoś złocistego, wysadzanego kamieniami serca. Jego włosy były tylko o odcień bardziej złociste od skóry. Wyglądał niemal nierealnie w swoim pięknie, dopóki nie zobaczyło się jego oczu. W tych błyszczących czarnych oczach nie było już gniewu, tylko złośliwość. To mi przypomniało, że był tylko większą wersją tych istot, które okaleczyły Galena.

- Żadnego gryzienia do krwi - powiedziałam.

Roześmiał się, błyskając spiczastymi zębami.

- Jak na księżniczkę sidhe otwarcie stawiasz sprawę.

- Nie chcę dać ci swobody, żebyś potem mógł powiedzieć, że mnie nie zrozumiałeś. Chcę, żebyśmy to sobie wyjaśnili.

- Nie skrzywdzi cię, księżniczko - powiedziała Niceven.

Mędrzec odwrócił głowę i spojrzał na nią przez ramię.

- Kropla krwi to doskonała przyprawa do pocałunku - zauważył.

- Dla nas może i tak, ale ty masz zrobić dokładnie to, co księżniczka ci każe. Jeśli mówi, że nie życzy sobie gryzienia do krwi, masz jej posłuchać.

- Dlaczego miałbym zważać na to, co mówi księżniczka sidhe? - spytał.

- Nie masz zważać na to, co mówi księżniczka, masz zważać na to, co mówię ja. Spojrzała na niego z takim gniewem, że trochę spokorniał.

Jego ramiona odrobinę opadły, skrzydła się napięły, aż uderzył nimi w komodę.

- Jak moja królowa każe, tak będzie. - Nie był zadowolony.

- Masz moje słowo, że cię nie skrzywdzi - powiedziała Niceven.

Skinęłam głową.

- Mam słowo królowej.

Mędrzec popatrzył na mnie.

- Ale nie moje.

- Moje słowo jest zarazem twoim słowem - powiedziała Niceven, a jej głos zmienił się w cichy syk.

Wyraz twarzy Mędrca był tak wrogi, że gdyby Niceven go widziała, nie byłaby zadowolona. Jego plecy zasłaniały go przed jej spojrzeniem, i na chwilę w jego oczach pojawiło się coś niemal ludzkiego. To minęło prawie natychmiast, ale ten błysk dał mi do myślenia. Być może mały dwór Niceven nie był ani trochę szczęśliwszy od dworu Andais.

Przejechałam rękami po jego twarzy, nie z potrzeby czułości, a z potrzeby zapanowania nad nim. Miał skórę miękką i gładką jak dziecko. Nigdy jeszcze nie dotykałam w taki sposób krwawego motyla. Oparłam się o niego, a on po prostu stał. Czekał, aż dopełnię aktu.

Odwróciłam głowę i zawahałam się, z ustami tuż przy jego wargach. Jego usta były bardziej czerwone niż usta człowieka. Zastanawiałam się przez chwilę, czy okażą się też inne w dotyku, i wtedy moje usta potarły o jego, i uzyskałam odpowiedź. Były miękkie jak jedwab, atlas. Miałam wrażenie, jakbym smakowała dojrzałego owocu.

Nie poczułam żadnego zakłęcia. Odsunęłam się od niego, ręce nadal trzymając na jego twarzy. Spojrzałam na Niceven w lustrze.

- Tam nie było żadnego zakłęcia, żadnego leku.

- Czy jego ciało weszło w twoje? - spytała.

- Masz na myśli język?

- Tak jest, ponieważ ustaliłaś, że nic innego nie wchodzi w grę.

- Nie - odparłam.

- Pocałuj ją jak należy - przykazała Mędrcowi. - Dopiero wtedy lek zostanie przekazany.

Westchnął ciężko, poruszając się pod moimi rękami.

- Jak moja królowa każe.

Jego ręce zjechały po moim ciele, przyciągając mnie do niego. Byliśmy zbyt blisko siebie, żebym mogła trzymać ręce na jego twarzy, ale kiedy chciałam je położyć na jego plecach, poczułam pod palcami skrzydła.

- Połóż ręce pod skrzydłami, tam, gdzie wychodzą one z pleców - powiedział, jakby czytał w moich myślach. Być może ktoś już miał kiedyś z tym problem.

Dotknęłam jego pleców. Były normalne w dotyku, mimo wyjątkowej miękkości jego skóry. Czy nie powinien mieć tam dodatkowych mięśni, by poruszać skrzydłami?

Jego dłonie sunęły po moich plecach, kiedy przybliżał do mnie swoją twarz. Nasze usta zetknęły się,

ale tym razem Mędrzec oddał pocałunek. Najpierw był delikatny, potem jego ręce potrzęsły moim ciałem i wtargnął zachłannie w moje usta. Miałam wrażenie, jakby jego język, jego usta były żarem. Żarem, który wypełnił moje usta, spłynął do mojego gardła, przepływając przez moje ciało niczym strumień, rozlewając się po nim aż po koniuszki palców, aż stałam się pełna tego żaru, a moja skóra stała się gorąca.

Głos Niceven przywołał mnie do rzeczywistości.

- Masz swój lek, księżniczko. Podaj go swojemu zielonemu rycerzowi, zanim wystygnie.

Mędrzec i ja z trudem oderwaliśmy się od siebie.

Podeszłam do Galena i przejechałam gorącymi dłońmi po jego ramionach. Nawet przez rękawy koszuli czułam jego skórę, czułam żar sunący po nim. Jego oddech był szybki i ciężki, kiedy schylił się, by otrzymać pocałunek.

Nasze usta spotkały się, przywarły szczelnie do siebie, by ani kropla tego żaru nie uleciała. Wargi, język, nawet zęby upajały się sobą nawzajem. Żar wypełnił moje usta. Czułam ciepło, słodką gęstość, jakby ciepły miód albo syrop, który przelał się na Galena.

Wyjął żar ze mnie, wyciągnął magię ze mnie ustami, dłońmi, ciałem. Magiczny żar obudził żar innego rodzaju i z krzykiem wspierałam się na jego ciało, obejmując go nogami w pasie. Krzyknął, kiedy dotknęłam jego krocza.

Postawił mnie szybko na ziemię, niemal mnie odpychając.

- Wcale nie jestem wyleczony - wydyszał.

- Będziesz wyleczony za dwa dni o zmroku albo wcześniej - powiedziała Niceven.

Nadal stałam, trochę się chwiejąc, odzyskując oddech. Ledwie słyszałam jej głos przez pulsowanie w uszach. Nie mogłam nic powiedzieć, więc oddałam głos Doyle'owi.

- Królowo Niceven, potrzebuję twojego słowa, że Galen za dwa dni od teraz wyzdrowieje.

- Masz je - odrzekła.

Skinął głową.

- Dziękujemy ci.

- Nie dziękuj mi, Ciemności, nie dziękuj - powiedziała, po czym zniknęła, a lustro znowu stało się tylko lustrem, niczym więcej.

Galen usiadł ciężko na brzegu łóżka. Nadal dyszał, łapiąc oddech, ale uśmiechał się do mnie.

- Za dwa dni.

Próbowałam dotknąć jego twarzy, ale ręce trzęsły mi się tak bardzo, że nie trafiłam. Schwycił moją dłoń i przyłożył ją do swojego policzka.

- Dwa dni - powiedziałam.

Skinął głową, nadal się uśmiechając i przyciskając moje dłonie do swojej twarzy. Ale ja nie mogłam się uśmiechnąć; widziałam minę Mroza. Arogancką, wściekłą, zazdrosną. Gdy się zorientował, że na niego patrzę, odwrócił głowę. Ukrył twarz, ponieważ nie potrafił zapanować nad jej wyrazem. Mróz był zazdrosny o Galena. To nie był dobry znak.

Rozdział 31

Ta noc należała do Mroza, a on najwyraźniej postanowił zrobić wszystko, co w jego mocy, bym długo o niej nie zapomniiała. Właśnie lizałam go po brzuchu, kiedy od strony lustra dał się słyszeć głos Andais.

- Nie zamierzam pozwolić na to, żeby ktoś decydował za mnie o tym, co mogę zobaczyć, a czego nie, a zwłaszcza moja Ciemność. Macie minutę, potem przejdę waszą blokadę.

Znieruchomieliśmy na chwilę, po czym zsunęliśmy się z łóżka, zaplątani w pościel, o mało nie upadając.

- Pani, Doyle'a tu nie ma - powiedział Mróz. - Sprowadzimy go dla ciebie, jeśli tylko zechcesz trochę poczekać.

Zachnęła się.

- Moja cierpliwość jest już na wyczerpaniu, mój Zabójczy Mrozie. Daję ci dwie minuty na odnalezienie go i oczyszczenie lustra. Potem zrobię to za ciebie.

- Pośpieszmy się, pani.

Byłam już w drzwiach.

- Doyle, królowa w lustrze. Chce cię natychmiast widzieć. - Mój głos musiał mieć w sobie tę niecierpliwość, jaką czułam, bo Doyle sturlał się z kanapy i bez koszuli, w samych dżinsach, pobiegł do sypialni, podczas gdy Mróz błagał o jeszcze jedną minutę.

Wdrapałam się na łóżko, najszybciej, jak tylko mogłam, by zrobić miejsce dla obu mężczyzn, którzy stanęli przed lustrem. Doyle dotknął jego krawędzi i szkło zabłysło na chwilę, po czym oczyściło się. Nie mogłam zobaczyć wiele z tego, co pojawiło się w lustrze, zza szerokich pleców swoich ludzi, ale to, co ujrzałam, sprawiło, że ucieszyłam się, iż nie wszystko widzę.

Wystarczy, że widziałam kamienne ściany, po których pełgały światła pochodni, i słyszałam czyjeś ciche, wyzbyte wszelkiej nadziei jęki. Kiedy byłam mała, myślałam, że zawroźnienie duchów musi być podobne do dźwięków dochodzących z Korytarza Śmierci. Co dziwne, duchy nie wydają jednak takich dźwięków. A przynajmniej żaden z tych, które spotkałam.

- Jak śmiesz mnie odłączać, Doyle, jak śmiesz!

- To ja poprosiłam Doyle'a, żeby wyłączył obraz w lustrze - powiedziałam zza pleców swoich ludzi.

- Słyszę naszą małą księżniczkę, ale jej nie widzę. Jeśli mamy się bić, to wolę twarzą w twarz. - Jej głos był pełen gniewu.

Mężczyźni odsunęli się na bok, tak że nagle stałam się widoczna, klęcząc na łóżku, w pościeli. Również Andais stała się nagle widoczna. Znajdowała się pośrodku Korytarza Śmierci. Lustro ustawione było tak, że nie było widać narzędzi tortur, ale widok Andais sam w sobie był wystarczająco straszny.

Była cała pokryta krwią, jakby ktoś chlusnął na nią z wiadra. Na włosach miała skorupę zakrzepłej krwi i kawałki czyjegoś ciała. Dopiero po dłuższej chwili zdałam sobie sprawę z tego, że jest naga.

Wciągałam powietrze nosem i wypuszczałam ustami, usiłując wydobyć z siebie głos. Nadaremnie. Wreszcie Doyle przerwał ciszę.

- Wiele osób kontaktowało się ostatnio z nami, moja królowo. Księżniczka wreszcie miała dosyć bycia zaskakiwaną przez gości.

- Kto oprócz mnie jeszcze się z tobą kontaktował, bratanico?

Przełknęłam ślinę, wypuściłam powietrze i mój głos zabrzmiał tak jak trzeba, bez drżenia.

- Głównie sekretarze Taranisa.

- Czego on od ciebie chciał?

- Zaprosił mnie na bal bożonarodzeniowy, ale odmówiłam. - Ostatnie słowo wypowiedziałam w pośpiechu. Nie chciałam, by pomyślała, że lekceważę jej dwór.

- Jakież to typowe dla Taranisa.

- Jeśli wolno mi zauważyć, pani - powiedział cicho Doyle - jesteś w wyjątkowo podłym nastroju, mimo że najwidoczniej dogadzałaś sobie serdecznie. Co cię tak zdenerwowało?

Doyle miał rację. Niejednokrotnie zdarzało mi się widzieć Andais, jak wracała z sali tortur, nucąc pod nosem. Była cała pokryta zakrzepłą krwią i nuciła. Teraz więc też powinna być w dobrym nastroju. A jednak nie była.

- Sprowadziłam tu tych, którzy według mnie byli zdolni uwolnić Bezimiennego albo wezwać starych

bogów. Przesłuchałam ich tak dogłębnie, jak to tylko ja umiem. Gdyby którykolwiek z nich miał coś na sumieniu, wiedziałabym. - W jej głosie słychać było zmęczenie, gniew zaczynał z niej uchodzić.

- Jestem pewien, pani, że przesłuchałaś ich tak dogłębnie, jak tylko ty umiesz przyznał Doyle.

Spojrzała na niego ostro.

- Stroisz sobie ze mnie żarty?

Doyle uklonił się nisko.

- Gdzieżbym śmiał, pani.

Potarła dłonią czoło, rozsmarowując krew na białej skórze.

- Nikt z mojego dworu tego nie zrobił, moja Ciemności.

- A więc kto, jeśli nie nasi ludzie? - spytał Doyle, wciąż pochylony.

- Nie jesteśmy jedynymi sidhe na tym świecie.

- Mówisz o dworze Taranisa - powiedział Mróz.

Przeniosła na niego wzrok i zmrużyła oczy w bardzo nieprzyjazny sposób.

- Tak, mówię właśnie o nim.

Mróz uklonił się tak samo jak Doyle.

- Nie chciałem być nieuprzejmy, Wasza Wysokość.

- Pani, czy poinformowałaś króla o takiej możliwości? - spytał Doyle, dalej zgięty w pokłonie.

- Nie przyjmuje do wiadomości, że ktoś z jego pięknego, błyszczącego dworu mógłby zrobić coś takiego. Twierdzi, że nikt z jego ludzi nie wiedziałby, jak wskrzesić starych bogów, i że nikt nie tknąłby Bezimiennego, bo nie ma on z nimi nic wspólnego. Bezimienny i starzy bogowie to sprawa Unseelie.

- A co byłoby sprawą Seelie? - spytałam. - Jeśli to nie sprawa Seelie, to co właściwie byłoby ich sprawą?

- Dobrze pytanie, bratanico. Ostatnio Taranis nie lubi sobie brudzić rąk rzeczami, które naprawdę mają znaczenie. Nie wiem, co się z nim dzieje, ale coraz bardziej pogrąża się w świecie iluzji. - Skrzyżowała ręce na piersi i zamyśliła się. - To musi być ktoś z jego dworu. Musi.

- Co trzeba zrobić, żeby to zrozumiał? - spytałam.

- Nie wiem. - Nagle zamachała rękami. - Och, wstawajcie obaj. Usiądźcie na łóżku.

Mróz i Doyle wstali i usiedli po moich bokach. Mróz ciągle był nagi, ale jego piękne ciało już nie było w szczycie podniecenia, w którym znajdowało się, zanim odezwała się królowa. Usiadł ze złożonymi rękami, jakby się wstydził. Doyle usiadł po drugiej stronie, nieruchomo, jak małe zwierzątko, które nie chce ściągnąć na siebie spojrzenia drapieżnika. Nie myślałam o nim zbyt często jak o małym zwierzątku - był z całą pewnością drapieżnikiem - ale teraz jedyny drapieżnik patrzył na nas z lustra.

- Zabierz ręce, Mrozie. Niech cię zobaczę w całej okazałości.

Mróz wahał się przez chwilę, w końcu wykonał polecenie królowej. Siedział nagi, ze spuszczonego wzrokiem, lekko zawstydzony.

- Jesteś naprawdę piękny, Mrozie. Zdążyłam już o tym zapomnieć. - Zmarszczyła brwi. - Zdaje się, że ostatnio zapominałam o wielu rzeczach. - Jej głos był teraz niemal smutny. Po chwili jednak stał się na powrót pełen energii. Sam jego ton sprawił, że wszyscy troje zeszytnieliśmy, nie wiedząc, co będzie dalej. - Dziś nie bawiłam się dobrze. Szanowałam, lubiłam albo ceniłam tych wszystkich, których tu dzisiaj wezwałam. Teraz nie będą już moimi sojusznikami. Będą się mnie bali, ale bali się już wcześniej, a strach nie jest tym samym, co szacunek. Wreszcie zaczęłam to rozumieć. Dostarczcie mi jakiejś rozrywki, żebym mogła miło wspominać tę noc. Niech zobaczę was troje razem. Niech zobaczę światła waszych ciał rozjaśniające tę noc jak fajerwerki.

Cała nasza trójka siedziała chwilę w milczeniu. W końcu Doyle powiedział:

- Dopiero co spędziłem noc z księżniczką. Mróz dał mi jasno do zrozumienia, że nie życzy sobie tej nocy dzielić się nią z nikim innym.
- Podzieli się, jeśli mu rozkażę - odparła Andais. Ciężko było się z nią spierać, gdy się widziało ją całą we krwi i nagą, ale spróbowaliśmy.
- Prosiłbym, żeby Wasza Wysokość tego nie robiła - powiedział Mróz. Wyglądał na przerażonego.
- Prosiłbyś? Prosiłbyś? Niby o co?
- O nic - odparł, zwieszając głowę tak, że lśniące włosy zasłoniły mu twarz. Absolutnie o nic. - W jego głosie była gorycz i smutek.
- Ciociu Andais - powiedziałam łagodnie, jakbym starała się przekonać szaleńca, by rozbroił bombę przyczepioną do jego ciała. - Proszę, nie zrobiliśmy niczego, żeby cię rozgniewać. Zrobiliśmy wszystko, co w naszej mocy, żeby cię zadowolić. Dlaczego miałabyś nas za to karać?
- Karać? Przecież mieliście zamiar uprawiać tej nocy seks?
- Tak, ale...
- Zamierzałaś pieprzyć się dzisiaj z Mrozem, prawda?
- Tak.
- Poprzedniej nocy zrobiłaś to z Doyle'em, zgadza się?
- No tak, ale...
- A więc czemu nie chcesz pieprzyć się z nimi tej nocy? - Znów mówiła uniesionym głosem. Mój głos z kolei przycichł.
- Nie byłam jeszcze z nimi obydwoma naraz, Wasza Wysokość, a każdy trójkąt wymaga przygotowań, jeśli nie chce się popsuć zabawy. Poza tym wydaje mi się, że Doyle i Mróz są zbyt dominujący, żeby się mną dzielić.

Skinęła głową.

- No dobrze.

Myślę, że wszyscy odetchnęliśmy z ulgą.

- W takim razie zastąp jednego z nich innym. Urządź dla mnie przedstawienie, moja bratanico, daj mi coś, co mnie zabawi.

Podaliśmy jej swoje argumenty, a ona nawet się z nimi zgodziła, ale nie na wiele się to zdało. Popatrzyłam na swoich strażników.

- Co proponujecie? - spytałam. Miałam nadzieję, że królowa pomyśli, że to pytanie dotyczy tego, kogo mam tej nocy zaprosić do łóżka. Tak naprawdę jednak dawałam w ten sposób znać swoim ludziom, że desperacko poszukuję wyjścia z sytuacji i oczekuję ich pomocy.
- Nicca jest mniej dominujący - powiedział powoli Mróz.

Czyżby mnie zrozumiał?

- Kitto też - dodał Doyle.
- Kitto dopiero co się ze mną kochał, a Nicca już dwa razy opuścił swoją kolej. Sądzę, że wszyscy prędzej się zgodzą, żeby Nicca został przesunięty na początek, niż na to, żeby Kitto zaliczył mnie dwa razy pod rząd.
- Zgodzą? - zdziwiła się królowa. - Dlaczego twoi mężczyźni muszą się zgadzać na cokolwiek? Nie możesz po prostu zdecydować za nich, Meredith?
- Niezupełnie. Musimy trzymać się harmonogramu.
- Harmonogramu? - Na jej twarzy pojawił się uśmiech. - Według jakiego klucza go ułożyłaś?
- W porządku alfabetycznym - odrzekłam, starając się nie okazywać zmieszania.
- Oj, nie mogę... ona ma harmonogram.. w porządku alfabetycznym.. - Zaczęła się śmiać. Zrazu

cicho, potem coraz głośniej. W końcu zgięła się w pół, chwytając się pod boki, i śmiała się, aż łzy popłynęły jej z oczu.

Taki niekontrolowany śmiech zwykle jest zaraźliwy; ten jednak nie był. A w każdym razie nie dla nas. Słyszałam bowiem, jak inni obecni w Komnacie Śmierci przyłączają się do Andais. Ezekiel i jego asystenci prawdopodobnie myśleli, że jest to szyderczy śmiech. Kaci mają zwykle osobliwe poczucie humoru.

W końcu królowa przestała się śmiać. Wyprostowała się i wytarła oczy. Chyba wszyscy wstrzymaliśmy oddech, zastanawiając się, co powie.

- Jako jedyni sprawiliście mi dzisiaj nieco przyjemności - stwierdziła w końcu, a śmiech wciąż obecny był w jej głosie. - Dlatego też podaruję wam resztę. Chociaż nie rozumiem, co jest złego w robieniu przede mną tego, co będziecie robić, kiedy was opuszczę. Nie widzę różnicy.

Przezornie opinie na ten temat zachowaliśmy dla siebie. Sądzę, że wszyscy wiedzieliśmy, że skoro nie rozumie, na czym polega ta różnica, to nie ma sposobu, żeby jej to wyjaśnić.

Królowa zniknęła, pozostawiając nas wpatrujących się w lustro. Nie mogłam uwierzyć, że się nam udało. Twarz Doyle'a nie wyrażała żadnych emocji. Mróz natomiast wstał i krzyknął z taką wściekłością w głosie, że pozostali strażnicy pojawili się w drzwiach sypialni z bronią gotową do strzału.

Rhys rozejrzał się ze zdumieniem po pokoju.

- Co się stało? - spytał.

Mróz odwrócił się gwałtownie w jego kierunku. Mimo że był nagi i nieuzbrojony, było w nim coś przerażającego.

- Nie jesteśmy zwierzętami w cyrku, żeby robić sztuczki dla jej uciechy!

Doyle wstał, odsyłając innych do salonu. Rhys spojrzał na mnie. Skinęłam głową. Wyszli, zamykając za sobą delikatnie drzwi.

Doyle powiedział coś cicho do Mroza.

- Jesteśmy tu bezpieczni - usłyszałam. - Nie może nam nic zrobić.

Mróz uniósł głowę i chwycił Doyle'a za ramiona, zaciskając na nich palce tak mocno, że czarna skóra kapitana mojej straży prawie zbielała.

- Nie rozumiesz? Jeśli żadnemu z nas nie uda się zostać ojcem dziecka Merry, na powrót staniemy się zabawkami Andais. Nie zniosę tego, Doyle. - Potrząsnął nim lekko. - Po prostu nie zniosę! - Dalej nim potrząsał.

Spodziewałam się, że Doyle wyrwie się z jego uścisku, że go odepchnie, ale tego nie zrobił. Chwycił go tylko za ręce. Poza tym pozostał nieruchomy.

Za srebrnymi włosami Mroza ujrzałam blask jego łez. Powoli opadł na kolana, zjeżdżając dłońmi po rękach Doyle'a, ale nie odrywając od niego dłoni. Przycisnął głowę do jego nóg, trzymając go za ręce.

- Nie mogę tego zrobić, Doyle. Nie mogę. Prędzej umrę. Prędzej zgasnę.

Zaczął płakać. Była to szczery, przejmujący płacz, który zdawał się wydobywać głęboko z jego wnętrza. Mróz płakał tak, jakby miał się rozpaść na kawałeczki.

Doyle pozwolił mu płakać, a kiedy przestał, zaprowadził go ze mną do łóżka. Położyliśmy go między siebie. Doyle przytulał go od tyłu, ja od przodu. Nie było w tym podtekstu seksualnego. Obejmowaliśmy go, kiedy zasypiał, płacząc. Potem patrzyliśmy na siebie ponad jego skulonym ciałem. Spojrzenie Doyle'a było bardziej przerażające niż widok Andais pokrytej krwią.

Zauważyłam, że powziął jakąś straszliwą decyzję. Może zresztą po wziął ją już dawno temu, a ja po prostu nie zwróciłam na to uwagi. Spojrzałam mu w oczy i nagle już wiedziałam: Doyle również nie

ma zamiaru wrócić na dwór Andais. Obejmowaliśmy dalej Mroza i wreszcie sami zasnęliśmy. Późno w nocy Doyle wstał. Obudziłam się, kiedy się poruszył. Pocałował mnie delikatnie w czoło, po czym położył rękę na głowie Mroza.

- Obiecuję - powiedział cicho, głosem niskim niczym pomruk. - Obiecuję.

- Co obiecujesz? - spytałam.

On jednak tylko się uśmiechnął, pokręcił głową i wyszedł, zamykając delikatnie za sobą drzwi.

Przytuliłam się do Mroza, ale sen nie chciał wrócić. Moje myśli były zbyt ponure, bym mogła usnąć.

Za oknem już szarzało, gdy odpłynęłam w niespokojny sen.

Śniło mi się, że stoję obok Andais w Korytarzu Śmierci. Wokół nas widziałam postacie przykute do narzędzi tortur, ale jeszcze nietknięte, nieokaleczone. Andais próbowała mnie namówić do torturowania ich wraz z nią. Odmówiłam i nie pozwoliłam ich tknąć. Groziła mi i im, a ja jej odmawiałam i ta moja odmowa w jakiś niewytłumaczalny sposób sprawiła, że nie mogła ich tknąć. Odmawiałam jej wielokrotnie, dopóki nie obudziły mnie ciche jęki Mroza. Rzucił się we śnie i wymachiwał rękami, jakby z kimś walczył. Obudziłam go najdelikatniej, jak tylko mogłam, głaszcząc go po ramieniu. Obudził się ze zdławionym krzykiem i obłędem w oczach.

Jego krzyk zaalarmował pozostałych strażników. Odesłałam ich z powrotem i przytuliłam go do siebie.

- Już dobrze, Mrozie - wyszeptałam - już dobrze. To był tylko sen.

Zachnął się i powiedział ostro, z twarzą wtuloną we mnie, obejmując mnie tak mocno, że aż bolało:

- To nie był sen, a prawda. Pamiętam to. Zawsze będę to pamiętał.

Doyle zamykał właśnie za sobą drzwi. Napotkałam spojrzenie jego ciemnych oczu i zrozumiałam nagle, co obiecał.

- Ochronię cię, Mrozie - powiedziałam.

- Nie uda ci się - odparł.

- Przysięgam, że ochronię was wszystkich.

Przyłożył mi palec do ust.

- Nie przysięgaj, Merry. Nie warto zostać przeklętym za niedotrzymanie przysięgi, której nie jest się w stanie dotrzymać. Nikt tego nie słyszał. A ja zapomnę. Umówmy się, że nigdy tego nie powiedziałaś.

Twarz Doyle'a była tylko podłużnym ciemnym kształtem w prawie już zamkniętych drzwiach.

- Ale ja to powiedziałam, Mrozie, i mówiłam poważnie. Prędzej obróć Krainę Lata w pustkowie, niż pozwolę, żeby was zabrała. - W chwili, kiedy wypowiedziałam te słowa, usłyszałam nieznaczny dźwięk, chociaż właściwie nie był to dźwięk; to było tak, jakby samo powietrze wstrzymało oddech. Jakby na jedną chwilę wszystko zamarło, po czym ruszyło na nowo, ale trochę inne niż było przedtem.

Mróz wstał z łóżka, nie patrząc na mnie.

- Chyba życie ci nie miłe, Merry. - Poszedł do łazienki, nie odwracając się. Chwilę później usłyszałam, jak odkręca prysznic.

Doyle otworzył drzwi i zsalutował mi pistoletem, jakby to był miecz, dotykając jego końcem czoła i opuszczając na dół. Skinęłam głową. Potem posłał mi buziaka drugą ręką i zamknął drzwi.

Kompletnie nie rozumiałam, co się właśnie stało. Wiedziałam jednak, co to znaczy. Przysięgłam chronić swoich strażników przed Andais. Ale poczułam, jak świat się przesuwa, jakby samo przeznaczenie zdrząło. Coś się zmieniło w dobrze zorganizowanym biegu wszechświata. Zmieniło się, ponieważ ślubowałam chronić swoich strażników. To jedno oświadczenie zmieniło bieg rzeczy. Sprawiałam, że przeznaczenie się zmieniło, ale nie wiedziałam, czy jestem w lepszej, czy gorszej

sytuacji.

Rozdział 32

Rozmawialiśmy o rytuale płodności Maeve Reed, kiedy lustro znowu zabrzmiało; tym razem jednak był to wyraźny dźwięk dzwonka, prawie jak trąbka.

- Ktoś nowy - powiedział Doyle, wstając. Wrócił kilka chwil później z dziwnym wyrazem twarzy.

- Kto to? - spytał Rhys.

- Matka Meredith - oznajmił zaskoczony.

- Moja matka. - Wstałam, pozwalając swoim notatkom spaść na podłogę. Schyliłam się, by je pozbierać, ale Galen chwycił mnie za rękę.

- Czy chcesz towarzystwa?

Pomyślałam, że ze wszystkich moich ludzi on jeden wie, co naprawdę czuję do swojej matki. Chciałam powiedzieć „nie”, ale się rozmyśliłam.

- Tak, bardzo bym chciała.

Stał przede mną, służąc mi swoim ramieniem.

- Czy chcesz, żeby towarzyszyło ci więcej osób? - spytał Doyle.

Rozejrzałam się po pokoju, zastanawiając się, czy chcę wyrzucić na matce wrażenie, czy ją obrazić. Mogłabym zrobić jedno i drugie. Sypialnia była jednak za mała, by zmieścili się w niej wszyscy moi strażnicy, więc zdecydowałam się na Galena i Doyle'a. Naprawdę nie potrzebowałam ochrony przed własną matką. A w każdym razie nie takiej, jaką mogli mi zapewnić moi strażnicy.

Doyle wyszedł pierwszy, by powiedzieć, że za chwilę przyjdę. Galen i ja poczekaliśmy trochę za drzwiami, zanim weszliśmy. Eskortował mnie do lustra, po czym usiadł na ciemnobordowym wezłowskiu łóżka, starając się nie rzucać zanadto w oczy.

Doyle nie usiadł, a przysunął się do boku lustra. On dla odmiany starał się być jak najbardziej widoczny.

Spojrzałam w lustro. Wiedziałam, że włosy mojej matki sięgają jej do pasa, ale nie było tego widać. Jej misterna fryzura była ułożona na głowie warstwami. Ukrywa naturalną barwę swoich włosów. Nie dlatego, że sidhe czystej krwi nie mają brązowych włosów. Myślę, że ukrywa ją dlatego, że taką samą barwę mają włosy jej matki, mojej babci, która jest pół skrzatem, pół człowiekiem. Besaba, moja matka, nie cierpi, kiedy jej się przypomina o jej pochodzeniu.

Jej oczy są czekoladowe. Ma bardzo długie rzęsy i piękny odcień skóry, ale nie jest z niego zadowolona. Spędzała wiele godzin, dbając o nią - kąpiele w mleku, kremy, odżywki ale nie może uzyskać czystej bieli, księżycowej poświaty ani delikatnego odcienia promieni słońca. Nigdy nie będzie miała skóry sidhe, nigdy. Jej siostra bliźniaczka, Eluned, ma taką skórę. Ona nie. To właśnie odcień skóry, nie włosy czy oczy, zdradza, że nie jest sidhe czystej krwi.

Jej kremowa suknia była sztywna od złotych i miedzianych nici. Miała kwadratowy, głęboki dekolt. Ponieważ sidhe mają zwykle małe piersi, lubią suknie, których krój sprawia, że wydają się one większe.

Była jak zawsze piękna. Nigdy nie poszła gdzieś z wizytą bez przypomnienia mi, że jest piękną księżniczką Seelie, a ja nie. Byłam za niska, miałam zbyt ludzkie kształty, a moje włosy, dobra bogini, moje włosy były barwy krwistokasztanowej, który to kolor można znaleźć tylko na Dworze Unseelie.

Popatrzyłam teraz na nią i zdałam sobie sprawę, że z powodzeniem mogłaby uchodzić za człowieka. Niektórzy ludzie są przecież wysocy i szczupli, a to było wszystko, czym mogła udowodnić, że jest bardziej sidhe niż ja.

Była za bardzo wystrojona jak na zwykłe spotkanie z córką. Dbłość, z jaką zaaranżowała swój

wygląd sprawiła, że pomyślałam, czy wie, jak bardzo jej nie lubię. I nagle zdałam sobie sprawę, że niemal zawsze była tak wystrojona, tak starannie przygotowana.

Miałam na sobie szorty i top, który odsłaniał mi brzuch. Szorty były czarne, a top krwistoczerwony. Sięgające mi do ramion włosy zaczynały falować tak jak wtedy, gdy miałam je długie. Nie były to tak obfite fale jak u mojej matki i babki, ale mimo wszystko fale. Włosy były tylko dwa odcienie ciemniejsze od topu.

Nie miałam na sobie biżuterii, ale samo moje ciało nią było. Moja skóra lśniła jak wypolerowana kość słoniowa, włosy błyszczały jak granaty, a oczy były trójkolorowe. Popatrzyłam na swoją zbyt podobną do człowieka matkę i nagle zrozumiałam. Zaczęła narzekać na mój wygląd dopiero wtedy, gdy zaczęłam dorastać. Największe zniewagi zaczęły się, kiedy miałam dziesięć czy jedenaście lat. Poczula się zagrożona. Dopiero teraz, kiedy siedziała przede mną w całej okazałości Dworu Seelie, a ja stałam przed nią w zwyczajnym ubraniu, zdałam sobie sprawę z tego, że jestem od niej ładniejsza.

Przez dłuższą chwilę patrzyłam na nią bez słowa, wspominając dzieciństwo.

Nie mogłam sobie przypomnieć, kiedy ostatni raz widziałam swoją matkę. Być może ona również nie, ponieważ przez chwilę wydawała się zaskoczona, nawet zszokowana. Myślę, że w jakiś sposób winiła się za to, że nie wyglądam jak Seelie. Szybko jednak się opanowała, ponieważ jest, mimo wszystko, nader zręcznym dyplomatą. Bez mrugnięcia okiem zniesie każdą zachciankę króla.

- Jak miło cię widzieć, córko.

- Witaj, Księżniczko Besabo, Oblubienico Pokoju - odparłam. Celowo nie nazwałam jej matką. Jedyłą matką, jaką kiedykolwiek miałam, była Gran, moja babcia. Kobieta siedząca w udrapowanym jedwabiem fotelu była dla mnie obca i zawsze będzie.

Wyglądała na zaskoczoną i nie całkiem udało jej się zapanować nad mimiką, ale jej słowa były tak samo niemiłe.

- Pozdrawiam cię z Dworu Seelie, księżniczko Meredith NicEssus.

Uśmiechnęłam się. NicEssus to znaczy „córka Essusa”. Większość sidhe traci tytuł ojcowski w wieku dojrzewania albo przynajmniej mając lat dwadzieścia kilka, kiedy objawiają się ich moce magiczne. Ponieważ moje moce długo się nie objawiały, nosiłam tytuł NicEssus w wieku trzydziestu kilku lat. Ale dwory wiedziały, że ostatnio moje moce w końcu się objawiły. Moja matka знаła mój nowy tytuł. Celowo go pominęła.

Niech jej będzie. A poza tym to ja pierwsza byłam niegrzeczna.

- Zawsze będę córką swojego ojca, ale nie jestem już NicEssus. Czy król, mój wuj, nie powiedział ci, że mam moc dłoni?

- Oczywiście, że mi powiedział - odrzekła urażonym tonem.

- W takim razie przepraszam. Nie użyłaś mojego nowego tytułu, więc myślałam, że nie wiesz.

Na chwilę na jej pięknej twarzy pojawił się wyraz gniewu. Potem uśmiechnęła się tak szczerze, jak szczerze mnie kochała.

- Wiem, że jesteś teraz Księżniczką Ciała. Gratuluję.

- Ależ nie trzeba, dziękuję, matko.

Poruszyła się w fotelu, jakbym znowu ją zaskoczyła.

- Cóż, córko, wydaje mi się, że powinniśmy po prostu ze sobą częściej rozmawiać.

- Też tak myślę - odparłam z uśmiechem.

- Słyszałam, że zostałeś zaproszona na tegoroczny bal bożonarodzeniowy.

- Tak.

- Mam więc nadzieję, że będziemy miały okazję odnowić naszą znajomość.

- Naprawdę nie słyszałaś o tym, że odrzuciłam zaproszenie?
 - Słyszałam o tym, ale nie dałam temu wiary. - Jej ręce spoczywały spokojnie na oparciu fotela, ale tułów odrobinę wychylił się do przodu, psując tę wystudiowaną pozę. Wielu dużo by dało za zaszczyt ich takim zaproszeniem.
 - Zapewne tak, ale wiesz, że jestem teraz następczynią tronu Dworu Unseelie? Wyprostowała się i pokręciła głową.
 - Jesteś tylko współnastępczynią. Nie zapominaj o swoim kuzynie. To on jest prawdziwym następcą tronu.
- Westchnęłam i przestałam się uśmiechać.
- Jestem zaskoczona, matko. Zwykle jesteś lepiej poinformowana.
 - Nie wiem, o czym mówisz - powiedziała.
 - Królowa Andais uczyniła mnie i księcia równymi. To z nas, które pierwsze doczeka się dziecka, obejmie tron. Jeśli wdałam się w ciebie, matko, z pewnością będę to ja.
 - Król bardzo chce cię widzieć na tym balu.
 - Czy ty mnie w ogóle słuchasz? Jestem następczynią tronu Dworu Unseelie. Jeśli w ogóle wezmę udział w jakimkolwiek balu, będzie to bal Unseelie.
- Zamachała gwałtownie rękami, po czym, jakby przypomniała sobie o tym, że musi trzymać fason, położyła je z powrotem z gracją na oparciach fotela.
- Mogłabyś wrócić do łask króla, gdybyś się pojawiła na naszym balu, Meredith. Dwór przywita cię z radością.
 - Jestem już mile widziana na Dworze Unseelie, matko. A jak mogę wrócić do łask króla, skoro, o ile mnie pamięć nie myli, nigdy się nimi nie cieszyłam?
- Znowu zamachała rękami i nawet zapomniała położyć je z powrotem na fotelu. Musiała być naprawdę poruszona, skoro się zapomniała i rozmawiała, gestykulując. Nigdy tego u siebie nie lubiła, uważała to za przejaw pospolitości.
- Mogłabyś wrócić na Dwór Seelie, Meredith. Pomyśl o tym, wreszcie byłabyś prawdziwą księżniczką Seelie.
 - Jestem następczynią tronu. Dlaczego miałabym powrócić na dwór, na którym jestem piąta w kolejce do tronu?
 - Nie możesz porównywać Dworu Seelie do Dworu Unseelie.
 - Czy mam przez to rozumieć, że twoim zdaniem lepiej być sługą na Dworze Seelie, niż władcą na Dworze Unseelie?
 - Czy sugerujesz, że lepiej rządzić piekłem, niż trafić do nieba?
 - Wiele lat spędziłam na obu dworach, matko. Nie ma się nad czym zastanawiać, wybierając.
 - Jak możesz mówić mi takie rzeczy, Meredith? Żyłam na mrocznym dworze i wiem, jaki jest odrażający.
 - A ja spędziłam trochę czasu na jasnym dworze i wiem, że moja krew jest jednakowo czerwona zarówno na jasnym marmurze, jak i na czarnym.
- Zmarszczyła brwi, wyglądała na zmieszaną.
- Nie wiem, o czym mówisz.
 - Gdyby Gran nie zainterweniowała, czy naprawdę pozwoliłabyś, żeby Taranis pobił mnie na śmierć? Pobił mnie na śmierć na twoich oczach?
 - Przemawia przez ciebie nienawiść.
 - Odpowiedz na pytanie.
 - Zadałaś królowi bardzo niegrzeczne pytanie.

Miałam swoją odpowiedź, odpowiedź, którą zawsze znałam. Przeszłam dalej.

- Dlaczego tak bardzo ci zależy na tym, żebym pojawiła się na tym balu?

- Król sobie tego życzy - odparła. Podobnie jak ja wolała już nie poruszać bolesnych kwestii z przeszłości.

- Nie obrażę królowej Andais i wszystkich swoich ludzi, lekceważąc ich obchody Bożego Narodzenia. Jeśli wrócę do domu, to wezmę udział w ich balu świątecznym. Z pewnością rozumiesz, że tak musi być.

- Rozumiem jedno: nic się nie zmieniłaś. Nadal jesteś krnąbrna i zdecydowana sprawiać kłopoty, jak zawsze.

- Ty się również nie zmieniłaś, matko. Co król zaproponował ci w zamian za to, że nakłonisz mnie do pójścia na bal?

- Nie wiem, o czym mówisz.

- Owszem, wiesz. Tytuł księżniczki to dla ciebie za mało. Pragniesz tego, co idzie w parze z tytułem: władzy. Co król ci zaproponował?

- To pozostanie między nim a mną, chyba że przyjdiesz na bal. Przyjdź, to ci powiem.

Pokręciłam głową.

- Nędzna to przynęta, matko, bardzo nędzna.

- A to co ma znaczyć? - Była bardzo zła i nie próbowała tego ukryć, co miało być dla mnie najwyższą zniewagą. Nie byłam nawet warta ukrywania przede mną gniewu. Być może byłam jedną z bardzo niewielu sidhe, które tak znieważyla. Nawet wokół własnej siostry chodziła na paluszkach.

- To, droga matko, że nie przybędę na bal bożonarodzeniowy Dworu Seelie. - Dałam znak Doyle'owi i przerwał raptownie przekaz, przerywając mojej matce w połowie słowa.

Lustro rozbrzmiało niemal natychmiast tym samym dźwiękiem dzwonka, podobnym do trąbki, ale wiedzieliśmy już kto to i udawaliśmy, że nie ma nas w domu.

Rozdział 33

Rosmerta skontaktowała się z nami następnego ranka, tak wcześnie, że byliśmy jeszcze w łóżku. Obudził mnie dźwięk maleńkich dzwoneczków. Zapach róż - wizytówka Rosmerty - był niemal przytłaczający. Najwidoczniej próbowała nas obudzić już od dłuższego czasu i wreszcie uciekła się do dzwoneczków i zapachu róż.

Spróbowałam usiąść, ale byłam tak zaplątana w długie włosy Nikki i ramiona Rhysa, że nie dałam rady. Rhys otworzył oko i mrugnął do mnie sennie.

- Która godzina?

- Wczesna - odrzekłam.

- Jak wczesna?

- Gdybyś przesunął rękę, byłabym w stanie zobaczyć zegarek i ci powiedzieć.

- O, przepraszam - wymamrotał. Cofnął rękę.

Usiadłam i spojrzałam na zegarek.

- Ósma.

- Dobra bogini, co może być tak ważne, żeby budzić nas o tej porze?

Nicca podparł się na łokciu, próbując odgarnąć włosy na plecy, nie udało mu się to jednak, ponieważ Rhys i ja nadal na nich siedzieliśmy. Uwielbiałam takie włosy, ale zaczynałam sobie przypominać, dlaczego nie pozwoliłam swoim urosnąć na taką długość.

Rhys i ja przesunęliśmy się, by Nicca mógł zabrać włosy. Nie tyle zgarnął je do tyłu, co przełożył przez głowę jak ciasno skreconą pelerynę.

Rhys przewrócił się na plecy, ponieważ chciał widzieć lustro.

Nicca pozostał podparty na łokciu za mną. Ja siedziałam pomiędzy nimi, naciągnąwszy na siebie kołdrę. Nagość na Dworze Unseelie jest czymś zwyczajnym, na Dworze Seelie - nie zawsze. Ludzka wstydlivość jest tam bardziej rozpowszechniona. Zajęliśmy pozycje, gotowi do połączenia, kiedy Rhys i ja zdaliśmy sobie sprawę, że ktoś musi dotknąć lustra.

- Cholera - powiedział, po czym wyskoczył z łóżka, dotknął lustra i wrócił bardzo szybko, jakbyśmy pozwali przed aparatem fotograficznym z samowyzwalaczem. Ciężar jego ciała wyrwał kołdrę z mojej ręki. Rhys zdał sobie sprawę, że jest na pościeli, a nie pod nią. Mieliśmy zaledwie chwilę na to, żeby wybrać, czy zamierzamy walczyć z kołdrą i prześcieradłem, kiedy lustro ożyje, czy spokojnie pozować. Oboje postanowiliśmy wyglądać swobodnie, nie w pośpiechu. Rhys rozłożył się przede mną, z jedną ręką za głową. Oparłam się o Niecę jak o oparcie fotela. Przytulił się do mnie od tyłu.

W lustrze pojawiła się Rosmerta. Miała na sobie różową jedwabną suknię, trochę ciemniejszą niż poprzednim razem. Żółte warkocze były przewiązane różową wstążką, która pasowała idealnie do sukni. Cała była różowa, złota i piękna niczym lalka. Spojrzenie jej trójkolorowych oczu było jasne, jakby była na nogach od kilku godzin.

Jej uśmiech zbladł trochę, gdy dobrze nam się przyjrzała. Otworzyła usta, ale nic nie powiedziała. Pomogłam jej.

- Czy czegoś chciałaś, Rosmerto?

- A, tak, tak. - Wyraźnie nie mogła się pozbierać. W końcu jednak odzyskała równowagę. - Król Taranis chciałby zaprosić cię na ucztę na twoją cześć, która odbędzie się na kilka dni przed Bożym Narodzeniem. Bardzo przeprasza za nieporozumienie w związku z balem. Oczywiście rozumiemy, że musisz uczestniczyć w uroczystościach na własnym dworze. - Uśmiechnęła się przeprasząco. To nawet mógł być szczerzy uśmiech.

Byłam zmęczona. Miałam za sobą bardzo pracowitą noc. Ponieważ nie musieliśmy chodzić do pracy, nie musieliśmy również chodzić wcześniej spać. A teraz miałam przed sobą Rosmertę, która wyglądała kwitnąco o ósmej rano. To naprawdę wkurzające. Dlaczego król tak bardzo nalegał na spotkanie przed świętami? Czy miało to związek z Maeve? Czy chodziło o coś innego? Dlaczego akurat teraz chciał się ze mną widzieć? Przedtem miał to gdzieś.

- Rosmerto - powiedziałam i chciałam, żeby mój głos był tak zmęczony, jak ja byłam będąc bezpośrednio, choć wiem, że nie jest to grzeczne. Muszę jednak znać odpowiedzi na kilka pytań, zanim odpowiem na twoje zaproszenie.

- Oczywiście, księżniczko - powiedziała, nieznacznie się kłaniając, gdy wypowiadała mój tytuł.

- Dlaczego moja obecność jest dla króla tak ważna, że chce wydać ucztę na moją cześć jeszcze przed świętami? Cały dwór od miesiący przygotowuje się do balu świątecznego. Służący muszą być wściekli na myśl o uczcie, która odbędzie się na kilka dni przed tym wielkim wydarzeniem. Dlaczego królowi tak bardzo zależy na tym, żeby się ze mną spotkać jeszcze przed świętami?

Jej uśmiech ani trochę się nie zmienił.

- O to musiałabyś zapytać króla.

- To byłoby cudownie - powiedziałam - gdybyś mogła mnie z nim połączyć.

To ją zaskoczyło. Na jej twarzy pojawił się wyraz zagubienia. To nie było grzeczne upominać się o widzenie z królem, ale sprawa była zbyt ważna, bym zawracała sobie głowę zasadami dobrego wychowania.

Rosmerta doszła w końcu do siebie, choć nie tak szybko, jak można się było spodziewać.

- Spytam Jego Wysokość, czy może z tobą mówić. Jednak jego plan dnia jest napięty, więc nie mogę niczego obiecać.

- Wcale nie chciałam, żebyś mi coś obiecywała, Rosmerto. Jestem pewna, że jego plan dnia jest

bardzo napięty, ale naprawdę muszę znać odpowiedzi na te kilka pytań. Wątpię, czy przyjmę zaproszenie bez nich, a uzyskanie ich prosto od króla powinno znacząco przyspieszyć moją decyzję. - Uśmiechnęłam się, naśladowując jej miły, prawie zawodowy uśmiech.

- Przekażę mu tę wiadomość. Może odezwać się bardzo szybko, więc ośmielę się pokornie zasugerować, żebyś ten czas przeznaczyła na ubranie się, tak byś mogła zaprezentować się w sposób bardziej odpowiadający twojej randze. - Uśmiechnęła się, ale w kącikach jej oczu widać było napięcie, które mówiło, że nie jest pewna, czy powinna była mówić cokolwiek. A może sprawiła to mina, którą zrobiłam, kiedy wypowiadała te słowa?

- Zapewniam cię, że zaprezentuję się przed królem tak, jak uznam za stosowne, Rosmerto.

- Nie chciałam cię urazić, księżniczko Meredith. - Tym razem już się nie uśmiechała. Jej twarz stała się piękną maską bez wyrazu, którą sidhe przywdziewają tak często.

Zignorowałam to, ponieważ nie chciałam zarzucać jej obłudy. Być może zresztą naprawdę nie chciała się tak zachować; a może po prostu nie mogła się powstrzymać.

- Być może, Rosmerto, być może. Oczekuję na rozmowę z królem. Czy uważasz, że odezwie się, zanim wstaniemy z łóżka?

- Nie zdawałam sobie sprawy, że cię obudzę, księżniczko, najpokorniej przepraszam. Wyglądała na szczerą. - Postaram się, żebyś miała czas na wstanie i poranne... obowiązki.

- Oblała się rumieńcem, a ja zaczęłam się zastanawiać, co takiego miała na myśli.

Nagle zdałam sobie sprawę, że chodzi jej o seks. Gdy Dwór Seelie kontaktował się z Andais, często przyłapywał ją *in flagranti*. Być może po mnie oczekiwali tego samego.

- Dziękuję ci, Rosmerto. Najbardziej niestosowne, co można zrobić, to wstać prosto z łóżka, żeby rozmawiać z królem.

Uśmiechnęła się i bardzo ładnie się ukloniła, prawie znikając mi z pola widzenia. Rosmerta była okazem przyzwoitości. Ten pokłon był z jej strony w rzeczywistości wielką pochwałą, bo oznaczał, że rozumie, iż jestem o krok od tronu. Miło było wiedzieć, że ktoś na Dworze Seelie to rozumie.

Nie podniosła się, a ja połapałam się trochę za późno dlaczego.

- Możesz się wyprostować, Rosmerto. Dziękuję ci.

Wyprostowała się, trochę niepewnie, widać trzymałam ją w tej pozycji zbyt długo. Nie chciałam. Po prostu zapomniałam, że Dwór Seelie ma w sobie dużo z dworu angielskiego; jeśli się skłoniłeś, nie mogłeś się wyprostować bez zgody króla. Dużo czasu minęło, odkąd byłam ostatni raz na Dworze Seelie. Na dworskim protokole było już trochę rdzy. Dwór Unseelie był mniej formalny.

- Pomówię z Jego Wysokością w twoim imieniu, księżniczko Meredith. Życzę ci miłego dnia.

- Ja tobie również, Rosmerto.

Obraz w lustrze zniknął. Poczulałam, jak wszyscy troje się odprężamy, oddychamy z ulgą.

Rhys założył ręce za głowę, i spytał:

- Jak myślisz? Może odrobinę biżuterii, żeby było bardziej formalnie?

Spojrzałam na niego, przypominając sobie swój język na jego brzuchu, zjeżdżający coraz niżej... Na razie musiałam wybić sobie z głowy podobne myśli.

- Najpierw się ubierz. O dodatkach pomyślimy później.

Uśmiechnął się do mnie.

- No nie wiem, Merry. Ani trochę cię nie kusi, żeby mieć nas wszystkich w łóżku, kiedy odezwie się Taranis?

Chciałam powiedzieć, że nie, ale zdałam sobie sprawę, że byłoby to kłamstwo.

- Faktycznie, trochę mnie kusi, ale musimy wyglądać przyswoicie.

Uśmiechnął się jeszcze szerzej.

- Skoro nalegasz...
- To ty zawsze wypowiadasz jego imię niemal z nabożną czcią. Skąd ta nagła zmiana poglądów?
- Nadal mnie przeraża, Merry, ale to nie zmienia w niczym faktu, że jest strasznie napuszonym starym prykiem. Nie zawsze był taki, ale przez stulecia stał się bardziej... ludzki, w najgorszym znaczeniu tego słowa. - Nagle przestał się uśmiechać.
- O co chodzi? - spytałam.
- Myślę tylko, kim się stał. Kiedyś był kompanem do bitki i wypitki.
Uniosłam brwi.
- Taranis? Jakoś nie mogę sobie tego wyobrazić.
- Znasz go dopiero od trzydziestu lat. - Wstał. - Zamawiam prysznic.
- Jeśli ty bierzesz prysznic dzisiaj pierwszy, to ja jutro - powiedział Nicca.
- Tylko jeśli będziesz wystarczająco szybki - odparł Rhys, kierując się w stronę łazienki.
Nicca odwrócił mnie twarzą do siebie.
- A, niech ma ten swój prysznic. - Uniósł smukłą brązową rękę do moich włosów, po czym przewrócił się na plecy, przyciągając mnie do siebie. Kołdra zsunęła się z niego i zobaczyłam, że znowu jest podniecony.
- Czy ty nigdy nie masz dość? - roześmiałam się.
- Jeśli o to chodzi, to nigdy. - Jego twarz stała się bardziej poważna, trochę mniej delikatna. - To z tobą po raz pierwszy kochałem się bez strachu.
- O czym ty mówisz?
- Królowa jest przerażająca, Meredith, i lubi podporządkowywać sobie mężczyzn. Nie jestem dominujący, ale nie bawi mnie jej pomysł na seks.
Pochyliłam się i delikatnie go pocałowałam.
- My też czasem robimy ostre rzeczy.
Przytulił mnie do siebie.
- Nie, Meredith, ty nie. Ty nigdy mnie nie przerażałaś. - Trzymał mnie w swoich ramionach. Prawie za mocno. Prawie bolało.
Pogłaskałam go po plecach i zwolnił uścisk. Zastanawiałam się kiedyś nad tym, czy nie odesłać go do domu, ponieważ nie chciałam, żeby został królem. Nie miałam żadnego wpływu na to, czy nim zostanie czy nie. W końcu to on mógł mnie zapłodnić.
Głaskałam go delikatnie, aż go uspokoiłam. A wtedy wziął mnie w ramiona i zaczął całować. Miałam nadzieję, że król Taranis nam nie przerwie. Seks ostatecznie odprężył Niccę. Nie chciałam widzieć w jego brązowych oczach smutku.
Kiedy Rhys wrócił z łazienki, właśnie kończyliśmy. Zaklął pod nosem.
- Za późno na to, żeby się przyłączyć, co?
- Tak - odparłam i pocałowałam Niccę po raz ostatni. - A tak przy okazji, ja teraz biorę prysznic. - Wygramoliłam się z łóżka i poszłam do łazienki, zanim Nicca zdążył zaprotestować. Pozostawiłam ich śmiejących się. Sama również się roześmiałam. Czyż można wyobrazić sobie lepszy sposób na rozpoczęcie dnia?

Rozdział 34

Tego popołudnia w naszych drzwiach pojawili się Maeve i Gordon Reed. Od naszego ostatniego spotkania minęło zaledwie kilka dni, ale Gordon wyglądał tak, jakby minęły lata. Jego skóra z ziemistej stała się szara. Musiał stracić na wadze, bo wyglądał jak szkielet. Jego oczy były większe, a spojrzenie pełne bólu. Rak zżerał go od środka.

Maeve uprzedziła nas przez telefon, że z Gordonem jest gorzej, ale i tak jego widok był dla nas

szokiem. Żadne słowa nie mogą przygotować na widok umierającego człowieka.

Mróz i Rhys zeszli do samochodu, żeby pomóc mu pokonać krótką drogę do naszego mieszkania. Maeve szła za nimi w dużych okularach przeciwsłonecznych skrywających większość jej twarzy i jedwabnej chustce przewiązującej złote włosy. Długie do kostek futro miała zapięte ciasno pod szyją, jakby było jej zimno. Wyglądała jak ucieleśnienie hollywoodzkich wyobrażeń wielkiej gwiazdy filmowej. W sumie, czyż ktoś miał większe prawo, by tak wyglądać?

Moi ludzie pomogli Gordonowi udać się do sypialni, by mógł odpocząć, podczas gdy my wykonamy pierwszą część rytuału płodności. Maeve chodziła nerwowo po salonie. Wyjęła papierosa, ale powiedziałam jej, że w moim domu się nie pali.

- Meredith, proszę, muszę zapalić.

- Możesz to zrobić na dworze.

Zsunęła okulary, by mi pokazać swoje słynne niebieskie oczy. Znow skrywała się za zaklęciem, próbując wyglądać jak człowiek. Utkwiła we mnie spojrzenie swych niebieskich oczu, po czym rozchyliła futro. Była, wyjąwszy wysokie buty, całkiem naga.

- Czy jestem ubrana odpowiednio dla oczu twoich sąsiadów?

Pokręciłam głową.

- Twoje zaklęcia wystarczą, żeby ukryć cię gołą na środku autostrady, więc otul się futrem i wyjdź ze swoimi papierosami na dwór.

- Jak możesz być tak okrutna? - spytała, otulając się futrem.

- To nie okrucieństwo, Maeve, dobrze o tym wiesz. Spędziłaś zbyt wiele stuleci na królewskim dworze, żeby myśleć, że jestem okrutna tylko dlatego, że nie chcę, żeby twoje papierosy zasmrodziły mi mieszkanie.

Spojrzała na mnie, krzywiąc się. Miałam już tego dosyć.

- Kiedy tu wrócę, chcę zastać Conchenn, boginię piękna i wiosny, a nie jakąś zepsutą hollywoodzką gwiazdę. I żadnej magicznej osłony. Chcę zobaczyć cię taką, jaka jesteś naprawdę.

Otworzyła usta, zapewne chcąc zaprotestować. Powstrzymałam ją, unosząc rękę.

- Zachowaj to, co chcesz powiedzieć, dla siebie. Teraz musisz się skoncentrować na tym, żeby nasz rytuał się udał.

Wsunęła okulary z powrotem na nos i powiedziała trochę cichszym głosem:

- Zmieniłaś się, Meredith. Jest w twoim głosie twardość, której wcześniej nie było.

- To nie twardość - włączył się Doyle - to władczość. Będzie królową, wreszcie to do niej dotarło.

Maeve przeniosła na mnie wzrok.

- Dlaczego masz na sobie bikini? Myślałam, że masz zamiar się pieprzyć, a nie iść na plażę.

- Wiem, że jesteś wściekła i boisz się o swojego męża, ale wszystko ma swoje granice, Maeve. Nie przekrocz ich.

Opuściła głowę, nadal trzymając w ręce papierosa i zapalniczkę.

- Przepraszam, po prostu bardzo martwię się o Gordona. Nie rozumiesz tego?

- Rozumiem, ale gdybym nie musiała tu siedzieć i się z tobą spierać, mogłabym już przygotowywać się do rytuału.

Odwróciłam się do niej plecami, mając nadzieję, że zrozumie aluzję.

- Doyle, rozciągnąłeś osłonę na mały ogródek za domem tak, jak prosiłam?

- Tak, księżniczko.

Westchnęłam. Nadeszła chwila, której się bałam. Musiałam wybrać jednego z moich mężczyzn do roli małżonka w rytuale. Tylko kogo? Nie wiem, jaką decyzję bym podjęła, gdyby w tej chwili Galen nie powiedział głosem wyraźnym, choć niepewnym:

- Znowu jestem zdrowy, Merry.

Wszyscy z wyjątkiem Maeve odwrócili się, by mu się przyjrzeć. Wyglądał na trochę skrępowanego, ale na jego twarzy był uśmiech zadowolenia, a w oczach pojawił się błysk, którego dawno nie widziałam.

- Nie chcę być niegrzeczny - powiedział Rhys - ale skąd wiemy, że jest zdrowy? Maeve i Gordon mogą nie mieć drugiej szansy.

- Jeśli Galen mówi, że jest zdrowy na tyle, żeby wziąć udział w rytuale, to ja mu wierzę - odparł Doyle.

Spojrzałam na niego. Jego twarz była jak zwykle ciemną maską, niemożliwą do odczytania. Rzadko mówi, jeśli nie jest o czymś przekonany.

- Skąd ta pewność? - spytał Mróz.

- Meredith potrzebuje małżonka dla swojej bogini. Kto może być lepszy od zielonego człowieka, który właśnie powrócił do pełni życia?

Wiedziałam, że mianem zielonego człowieka określano czasami Małżonka Bogini, czasami zaś boga lasu. Spojrzałam na Galena. Kogo jak kogo, ale jego z pewnością również można było tak nazwać.

- Jeśli Doyle uważa, że wszystko w porządku, niech to będzie Galen.

Nie wydaje mi się, by Mróz był zadowolony z tego wyboru, ale pozostali przyjęli go z marszu, więc i on nie protestował. Czasami to wszystko, o co można prosić mężczyznę.

Rozdział 35

Musiałam być sama, by przygotować się do rytuału. Doyle'owi nie podobało się, że jestem sama choćby przez chwilę, ale rozciągnęliśmy osłonę na mały, zapuszczony ogródek za naszym domem. W tym przypadku to dobrze, że był zapuszczony, ponieważ to oznaczało, że od długiego czasu nie stosowano w nim żadnych chemikaliów. Wcześniej, tego samego dnia, ustawiliśmy rytualny krąg. Otworzyłam w nim przejście, przesłam przez nie i zamknęłam je za sobą. Teraz stałam nie tylko w osłonie domu, ale i w kręgu. Nic magicznego nie mogło przekroczyć tego kręgu, nic mniejszego od bóstwa albo samego Bezimiennego. Duchy starych bogów zostałyby zatrzymane; jeszcze nie są bóstwami.

Ogródek był zarośnięty, tak jak większość ogródków w południowej Kalifornii. Był to opuszczony cytrynowy zagajnik. Drzewka były pokryte ciemnozielonymi liśćmi. O tej porze roku było już za późno na kwiaty. Żałowałam tego. Ale w chwili, kiedy szłam między ciasno stłoczonymi drzewkami po suchej, kruszącej się trawie i liściach, wiedziałam, że to jest to, czego potrzebuję. Drzewa szeptały między sobą jak staruszki wspominające przeszłość, siedzące obok siebie w bardzo ciepłym słońcu. Eukaliptus, który rósł przy ulicy tuż za murem ogrodu, miał ciężki, ostry zapach, który mieszał się z zapachem nagrzanego cytrynowca. Duży bawełniany koc leżał na ziemi, czekając. Maeve zaproponowała, że przyniesie jedwabne prześcieradła, ale potrzebowaliśmy czegoś pochodzącego z ziemi, zwierzęcia albo warzywa. Czegoś na tyle grubego, by nakryć twardą ziemię, ale nie na tyle grubego, by nas od niej oddzielić. Nadal musieliśmy być w stanie czuć ziemię pod naszymi ciałami.

Położyłam się na kocu, jakbym zamierzała się opalać, z rękami i nogami rozłożonymi szeroko. Była tutaj woda, inaczej cytrynowce by uschły i obumarły, ale ziemia wydawała się wysuszona na proch, jakby nigdy nie tknął jej deszcz.

Wiatr dotknął mojego ciała. Igrał na mojej skórze, szeleszcząc suchymi liśćmi i chwastami wokół koca. Liście szeptały i uciszały się nawzajem. Zapach eukaliptusa pokrył wszystko ciepłym, sosnowym aromatem.

Przewróciłam się na plecy i mogłam obserwować drzewa poruszające się na wietrze, czuć żar

słońca na ciele. Nie wiem, czy usłyszałam coś, czy też może poczułam, że tam stoi. Odwróciłam głowę, kładąc policzek na łożu własnych włosów. Był tam.

Galen stał pośród mieniącej się zieleni liści i zapachu szepczących drzew. Włosy unosiły się wokół jego twarzy w aureoli zielonych loków. Cienki warkocz, który był wszystkim, co zostało z jego bardzo długich włosów, spływał po jego nagiej piersi.

Kiedy wyszedł spośród drzew, zobaczyłam, że jest nagi. Jego skóra była perłowobiała, o zielonym odcieniu jak lśniąca wewnętrzna część muszli. Bez ubrania wyglądał na szczuplejszego. Jego penis był większy, niż sądziłam, że może być, dłuższy, grubszy, i potężniał, kiedy patrzyłam, jakby czuł moje spojrzenie.

Wydaje mi się, że przestałam na chwilę oddychać. Naprawdę nie wierzyłam, że przyjdzie. Już miałam dosyć tego ciągłego czekania. A tu proszę, był.

Uniosłam głowę i ujrzałam jego uśmiech. Uśmiech, od którego, odkąd pamiętam, przyspieszało bicie mojego serca. Usiadłam na kocu, wyciągając do niego rękę. Chciałam podbiec do niego, ale bałam się ruszyć poza krąg drzew, wiatru i ziemi. Bałam się, że jeśli choćby na chwilę odwrócę od niego wzrok, zniknie.

Stanął na brzegu koca, poza zasięgiem moich ramion, i powoli uniosł rękę w moim kierunku, aż nasze palce otarły się o siebie i to dotknięcie przeszło moje ciało dreszczem. Westchnęłam. Upadł na kolana, z rękami po bokach, nie dotykając mnie.

Uklękałam naprzeciw niego. Wpatrywaliśmy się w siebie nawzajem. Jego ręka uniosła się powoli i zawisała nad nagą skórą mojego ramienia. Czułam jego aurę, jego moc. Jego dłoń ślizgała się po drżącej energii mojej własnej aury i te dwa osobne ciepła rozjarzyły się, dosięgając siebie nawzajem. Bałam się, że może być ciężko przywołać magię, ale zapomniałam. Zapomniałam, co to naprawdę znaczy być istotą magiczną, być sidhe. My byliśmy magią, tak samo, jak były nią ziemia i drzewa. Płonęliśmy tym samym niewidzialnym płomieniem, który wiązał świat w całość. Ten ciepły płomień między nami potężniał, wypełniając powietrze dookoła nas migoczącą, bijącą energią jak trzepotem skrzydeł.

Pocałowaliśmy się poprzez tę budzącą się energię. Przepływała ona między naszymi ustami, kiedy pochylił się nade mną, a ja uniosłam twarz, by spotkać jego wargi. Był dla moich ust aksamitnym ciepłem, kiedy wewnątrz nich jego moc spłynęła przez gardło do wnętrza mojego ciała. Kiedy dzieliliśmy się magią Niceven, była ona ostra, gorąca, prawie bolesna. To było coś więcej, to było delikatne ciepło, pierwsze tchnienie wiosny po drugiej zimie.

Jego ręce odnalazły moje ciało, uwalniając piersi. Oderwał wargi od moich i wziął do ust najpierw jednego, a potem drugiego sutka. Ujął moje piersi, przyciskając je palcami, aż krzyknęłam. Jego ręce zjechały po plecach do moich bioder, docierając do dolnej części bikini. Ściągnął je ze mnie.

Po raz pierwszy leżałam przed nim naga, z wiatrem owiewającym moje ciało tak jak i jego. Oparł się na jednej ręce, jego ciało było tuż obok. Przejechałam dłonią w dół jego piersi, brzucha, aż wreszcie dotknęłam jego członka. Ujęłam go w dłonie, a on zadrżał, zamykając oczy. Kiedy je otworzył, były pełne światła, mrocznej wiedzy, która sprawiła, że wstrzymałam oddech. Ścisnęłam go delikatnie i pogładziłam, a on wygiął się i odrzucił głowę do tyłu, tak że nie byłam w stanie orzec, czy jego oczy są otwarte, czy zamknięte.

Zniżyłam głowę i zaczęłam go pieścić językiem. A potem zdecydowanym ruchem włożyłam go sobie do ust. Jęknął. Popatrzyłam na niego. Nasze spojrzenia się spotkały. Usta miał otwarte, twarz niemal dziką. Jego oddech przeszedł w szybkie sapnięcia. Wydyszał moje imię jak modlitwę. Pokręcił głową.

- Nie wytrzymam długo.

Oderwałam usta od jego ciała i popchnęłam go na plecy. Uklękałam na jego nogach i wpatrzyłam się w niego. Pragnęłam tego od tak dawna... Pieściłam jego ciało samym tylko wzrokiem, ucząc się na pamięć barwy jego skóry, która przechodziła z perłowobiałej do jasnozielonej, ciemności jego przeżących się sutków. Przejechałam dłonią po jego piersi. Jego skóra przypominała w dotyku aksamit albo zamsz. Ale to nie tylko jego ciała pragnęłam przez wszystkie te lata. Pragnęłam również jego magii.

Przywołałam swoją moc i jego aura połączyła się z nią. Nasza magia popłynęła razem jak dwa prądy oceanu, mieszając się, tonąc w sobie.

Przesunęłam się i opadłam powoli na niego, aż w końcu cały znalazł się we mnie. Wyszeptał moje imię, a ja nachyliłam się i pocałowałam go, upajając się tym, że nasze ciała połączone są w najbardziej intymnym z uścisków.

Wiatr dotknął moich pleców jak zimna dłoń. Usiadłam, patrząc na Galena. Znowu czułam drzewa. Słyszałam je, jak szeptały między sobą, szeptały do mnie o mrocznych sekretach skrytych gdzieś głęboko pod ziemią i czułam ziemię pod nami. Czułam, jak obraca się w szalonym tańcu pod ciałem Galena.

Staliśmy się częścią tego tańca. Nasze ciała były połączone, poruszały się w zgodnym rytmie. Nagle poczułam, że jego ciało napręża się i ścisnęłam go mocno w sobie, trzymając go rękami, ustami, każdą częścią siebie, jakby mógł zniknąć, gdybym go mocno nie przytrzymała. Ciepło między moimi nogami zmieniło się w żar, który rozlał się po całym moim ciele, i odpłynęłam w wiatr i szepczące drzewa. Jedyne, co przytrzymało mnie na ziemi, to twardy, gorący punkt ciała Galena. Poczułam, jak wyslizguje się ze skóry, poczułam jego moc wylewającą się na zewnątrz i przez chwilę nie byliśmy rzeczywistości. Byliśmy wiatrem, drzewami, które korzenie trzymały jak kotwice, bo inaczej wzniosłyby się w powietrze, myślącymi zarówno o głębokiej ziemi, jak i o świetle słońca. Byliśmy słodkim, wiecznie zielonym zapachem eukaliptusa i mocnym, ciepłym aromatem wyschniętej trawy. Kiedy już nie czułam swojego ciała, ledwie pamiętałam, kim jestem, powróciłam. Moje ciało odzyskało formę, a Galen nadal był we mnie. Z trudem łapaliśmy oddech, śmiejąc się wtuleni w siebie. Położyłam się obok niego, z policzkiem na jego piersi, tak że mogłam słyszeć szybkie, pewne uderzenia jego serca.

Kiedy już się nieco uspokoiiliśmy, wstaliśmy i poszliśmy do domu, by odnaleźć Maeve Reed i jej męża i podzielić się z nimi magią, którą odnaleźliśmy.

Conchenn czekała w mojej sypialni na swój magiczny pocałunek. Gordon Reed wyglądał przy niej jeszcze bardziej jak szkielet. Ból na jego twarzy, kiedy patrzył na nią, ścisnął za serce. Ten ból był widoczny nawet przez pulsujący blask magii, którym byliśmy okryci. Nie mogłam go wyleczyć, ale miałam nadzieję ulżyć jego cierpieniom.

- Pachniesz naturą - powiedziała Conchenn. - Serce ziemi przez ciebie bije, Meredith. Jesteś dla mnie zielonym blaskiem. - Zaczęła płakać kryształowymi łzami. - Twój zielony rycerz pachnie niebem, wiatrem i światłem słońca. On w mojej głowie jarzy się żółtym blaskiem. - Usiadła na brzegu łóżka, jakby nogi odmówiły jej posłuszeństwa. - Ziemię i niebo nam przynosicie, matkę i ojca nam przynosicie, boginię i boga nam przynosicie.

Chciałam powiedzieć: „Jeszcze nam nie dziękuj, jeszcze nie daliśmy ci dziecka”, ale nie powiedziałam tego, ponieważ czułam w sobie magię, czułam ją w Galenie, kiedy trzymał mnie za rękę. Była to ta rzadka moc życia, stary jak świat taniec ziemi, w której zasadziło się ziarno, które przyniesie owoce. Tego cyklu nie można zatrzymać, bo jeśli się to zrobi, ustanie życie.

Maeve usiadła obok Gordona i ujęła jego rękę w swoje lśniące dłonie. Galen i ja stanęliśmy przed nimi. Uklękałam przed Gordonem, podczas gdy Galen przybliżył się do Maeve. Pocałowaliśmy ich

równocześnie. Moc przeskoczyła z nas w nich w pędzie, który zjeżył nam włosy na głowie i wypełnił pokój ciszą, jak przed uderzeniem pioruna. Sypialnia nagle stała się tak pełna magii, że trudno było oddychać.

Galen i ja cofnęliśmy się i zobaczyłam, że oboje płoną blaskiem, wypełnieni ogniem ziemi i złotem słońca. Maeve zbliżała właśnie usta do warg męża, kiedy ich zostawiliśmy, cicho zamykając za sobą drzwi.

W ciszy, która zapadła, usłyszeliśmy głos Doyle'a.

- Udało ci się, Meredith.

- Nie wiesz tego na pewno - odparłam.

Spojrzał na mnie tak, jakby to, co powiedziałam, było niedorzeczne.

- Doyle ma rację - włączył się Mróz. - Taka moc nie zawiedzie.

- Skoro mam taką moc, to dlaczego sama jeszcze nie jestem w ciąży?

Nie odpowiedzieli, najwyraźniej zmieszani.

- Naprawdę nie wiem - przyznał w końcu Doyle.

- Musimy bardziej się starać, to wszystko - dodał Rhys.

Galen skinął głową.

- Więcej seksu, musimy uprawiać więcej seksu.

Spojrzałam na nich, marszcząc brwi, ale nie potrafiłam długo utrzymać tego wyrazu twarzy.

Roześmiałam się.

- Więcej seksu i nie będę w stanie chodzić.

- Będziemy cię nosić na rękach - obiecał Rhys.

- Tak - potwierdził Mróz.

Popatrzyłam na nich. Wcale nie byłam pewna, że żartują.

Następnego dnia właśnie kończyliśmy lunch, kiedy odezwał się Taranis. Przetykałam pospiesznie resztę sałatki owocowej i świeżego chleba, podczas gdy Doyle z nim rozmawiał. Maeve była w ciąży. Taranis nie mógł jeszcze o tym wiedzieć, ale bałam się tego, co mógłby zrobić, gdyby się dowiedział. Doszło mi jeszcze jedno zmartwienie, z którym będę musiała sobie jakoś poradzić.

Wybrałam sukienkę w kolorze królewskiego fioletu, z wycięciem na plecach. Była bardzo kobieca, bardzo spokojna i w stylu, który był modny od dawna. Na Dworze Seelie wciąż nie przyjmowano do wiadomości, że mamy już dwudziesty pierwszy wiek.

Usiadłam na świeżo poślany łóżku. Nie przypadkiem fiolet mojej sukienki uwydatniał bordowe wezłowie i pasował do fioletowych poduszek rozrzuconych razem z bordowymi i czarnymi.

Pociągnęłam usta czerwoną szminką i uznałam, że jesteśmy gotowi. Zamierzaliśmy być jak najbardziej naturalni. Założyłam nogę na nogę, a ręce położyłam na udach. Nie była to oficjalna poza, ale to było wszystko, co mogłam zrobić, nie mając do dyspozycji pokoju do oficjalnych rozmów.

Doyle stanął po mojej jednej stronie, a Mróz po drugiej. Doyle jak zwykle miał na sobie czarne dżinsy i takież T-shirt. Do tego czarne buty, które sięgały do ud. Na koszulce błyszczał jego naszyjnik z pajakiem. Pająk był jego znakiem. Kiedyś byłam świadkiem, jak sprawił, że pająki pokryły całe ciało człowieka i rozszarpały go na strzępy. To właśnie o zabicie tego nieszczęśliwca podejrzewał mnie porucznik Peterson.

Mróz poszedł w bardziej tradycyjnym kierunku i włożył białą tunikę wyszywaną srebrnymi, białymi i złotymi nićmi. Małe kwiaty i winorośle oddano z wielką dokładnością. Tunikę przewiązywał szeroki pas z białej skóry ze srebrną sprzączką. Miecz Mroza, Zimowy Pocałunek, Geamhradh Pog, wisiał u jego boku. Przez większość czasu trzymał to magiczne ostrze w domu, ponieważ nie potrafiło powstrzymać kul; nie miało aż tak dużej mocy. Ale na audiencję u króla ten miecz nadawał

się doskonale. Rękojeść wykonana była z rzeźbionej kości, inkrustowanej srebrem. Kość wytarła się przez stulecia.

Obaj zrobili wszystko, by stać z boku i nie dominować nade mną, ale to było trudne. Nawet gdybym stała, byłoby to trudne; siedzenie było prawie niemożliwe, ale chcieliśmy, żebym wyglądała przyjaźnie. Oni dla odmiany mieli wyglądać złowrogo. Coś w rodzaju dobrego i złego policjanta, tyle że przeniesione w realia wielkiej polityki.

Taranis, Król Światła i Iluzji, siedział na złocistym tronie ubrany w światło. Tunika, którą miał pod spodem była światłem słonecznym widocznym przez liście, maleńkimi żółtymi punkcikami. Wierzchnia tunika była ostrą, niemal oślepiającą żółcią pełnego letniego słońca na jasnych liściach. Kolory zmieniały się z każdym jego ruchem. Nawet wdechy i wydechy sprawiały, że tańczyły.

Jego włosy opadały złocistymi promieniami po obu stronach twarzy, która była tak jasna, że tylko oczy wyzierały zza tego blasku. Te oczy były trzema kręgami błyszczącego błękitu, jak trzy różne oceany, z których każdy tonie w blasku słońca i każdy jest w innym odcieniu błękitu.

Wszystko w nim poruszało się, i to w różnych kierunkach. To było tak, jakby patrzyło się na różne rodzaje światła w różne dni w różnych częściach świata, ale zmuszając je, żeby były razem. Taranis był kolażem światła, które błyskało, pływało i drżało. Musiałam zamknąć oczy. To wszystko przyprawiało o zawroty głowy. Czulałam, że robi mi się niedobrze, jeśli będę patrzeć na niego zbyt długo. Zastanawiałam się, czy Doyle i Mróz też się tak czuli, czy tylko ja.

Nie było to jednak coś, o co mogłabym spytać w obecności króla. Zamiast tego powiedziałam:

- Królu Taranisie, nie potrafię patrzeć na ciebie swoimi częściowo śmiertelnymi oczami bez uczucia całkowitego przytłoczenia. Błagam, zmniejsz nieco swój blask, inaczej zaraz zemdleję.

Jego głos zabrzmiał jak muzyka, jakby śpiewał jakąś cudowną pieśń. On jednak tylko mówił.

- Cokolwiek pragniesz, żeby uczynić tę rozmowę przyjemną, będzie ci dane. Popatrz, jestem już bardziej przystosowany dla śmiertelnego oka.

Otworzyłam ostrożnie oczy. Nadal był jasny, ale światło nie przemieszczało się i nie pływało tak chaotycznie. Spowolnił błyski, a jego twarz nie była już tak oślepiająca. Widziałam zarys szczęki, ale nie było widać brody, a wiedziałam, że ją nosi. Złociste fale były bardziej pełne, mniej rozjarzone. Przynajmniej mogłam już na niego patrzeć.

Tylko w jego oczach nadal trwała płynna, błękitna gra światła. Uśmiechnęłam się i spytałam:

- Gdzie są te piękne zielone oczy, które zapamiętałam z dzieciństwa? Nie mogłam się doczekać, żeby ujrzeć je ponownie. A może to pamięć mnie zawodzi i oczy innego sidhe wzięłam za twoje? Te oczy były zielone jak szmaragdy, jak liście latem, jak głęboka, stojąca woda w zacienionym stawie.

Moi strażnicy dali mi wskazówki, jak mam postępować z Taranisem. Wskazówka numer jeden: nigdy nie zaszkodzi mu schlebiać; jeśli coś jest słodkie dla uszu, jest skłonny w to uwierzyć. Zwłaszcza jeśli mówi to kobieta.

Roześmiał się dźwięcznie i jego oczy stały się nagle tak piękne, jak je zapamiętałam. Wyglądało to tak, jakby tęczęwka była kwiatem o bardzo wielu płatkach. Każdy z nich był zielony, ale miał inny odcień, niektóre były obramowane bielą, niektóre czernią. Dopóki nie zobaczyłam prawdziwych oczu Maeve, te uważałam za najpiękniejsze oczy sidhe, jakie kiedykolwiek widziałam.

Mogłam się do niego szczerze uśmiechnąć.

- Tak, twoje oczy są tak piękne, jak je zapamiętałam.

Odwzajemnił uśmiech i jego twarz zaczęła być widoczna, zupełnie jakby stopniowo pojawiał się przed nami. Nie, to było raczej coś w rodzaju striptizu, tyle że to nie ubranie wolno zrzucał, a swą magiczną osłonę.

Wreszcie ukazał się nam jako istota uformowana ze złotego światła, z falami jasnych złocistych

włosów sięgających do ramion. Zielone oczy zdawały się unosić na powierzchni złocistego światła jak kwiaty na wodzie. Te oczy były prawdziwe, choć wyjątkowe, reszta

-już nie. Gdyby zrobiło mu się teraz zdjęcie, wyszłyby na nim tylko te oczy i jakieś plamy. Nowoczesne aparaty nie lubią magii skierowanej w ich kierunku.

- Witaj, księżniczko Meredith. Księżniczko Ciała, jeśli dobrze słyszałem. Gratuluję. To naprawdę przerażająca moc. Każę sidhe z Dworu Unseelie dwa razy się zastanowić, zanim wyzwą cię na pojedynek. - Jego głos uspokoił się. Był teraz prawie normalny, chociaż nadal miał piękne brzmienie.

- Dobrze jest czuć się w końcu bezpiecznie.

Wydawało mi się, że zmarszczył brwi. Trudno było orzec z powodu blasku jego twarzy.

- Przykro mi, że na mrocznym dworze znajdowałaś się w ciągłym niebezpieczeństwie. Zapewniam cię, że na Dworze Seelie nie miałabyś tak trudnego życia.

Zamrugałam, starając się, by wyraz mojej twarzy pozostał przyjemny. Zbyt dobrze pamiętałam, jakie było moje życie na Dworze Seelie. Najwyraźniej moje milczenie było dość wymowne, ponieważ król powiedział:

- Jeśli przybędziesz na ucztę na swoją cześć, mogę ci zagwarantować, że będzie dla ciebie przyjemna i nic ci się nie stanie.

Zaczerpnęłam powietrza, po czym wypuściłam je i uśmiechnęłam się.

- Czuję się zaszczycona tym zaproszeniem, królu Taranisie. Uczta na moją cześć na Dworze Seelie to dla mnie prawdziwa niespodzianka.

- Mam nadzieję, że miła - roześmiał się radośnie. Musiałam się uśmiechnąć. Ten śmiech był tak zaraźliwy, że nie mogłam się powstrzymać.

- Och, trudno sobie wyobrazić milszą, Wasza Wysokość. - Naprawdę tak uważałam. Oczywiście, że było miło zostać zaproszoną na ucztę na swoją cześć na piękny, lśniący dwór. Nie mogło być nic lepszego.

Zamknęłam oczy i nabrałam powietrza. Przytrzymałam je przez chwilę, podczas gdy Taranis mówił coraz piękniejszym głosem. Skoncentrowałam się na oddechu, nie na głosie. Czułam swój oddech, rytm swojego ciała. Skoncentrowałam się na nabieraniu i wypuszczaniu powietrza, na kontrolowaniu tego, jak wciągam je do środka, trzymam je aż do bólu i wreszcie powolutku wypuszczam.

W ciszy usłyszałam nagle głos Doyle'a. Skoncentrowałam się na tyle, by zrozumieć, co mówi.

- Księżniczka jest przytłoczona twoją obecnością, królu Taranisie. To właściwie jeszcze dziecko. Trudno jej wytrzymać twoją moc.

Doyle ostrzegł mnie, że Taranis jest tak dobry w osobistej magii, że używa jej rutynowo przeciwko innym sidhe. Nikt mu nigdy nie powiedział, że to zabronione, ponieważ był królem i większość dworzan się go bała. Za bardzo się go bali, by mu to wytknąć. Dzięki ostrzeżeniu Doyle'a skoncentrowałam się na oddychaniu. Większą część życia spędziłam wśród istot, które lepiej ode mnie posługiwały się magią osobistą, więc nauczyłam się wyzwalać spod jej wpływu. Czasami wymagało to robienia, takich rzeczy, jak ta sztuczka z oddychaniem. Większość sidhe prędzej by zerwała zaklęcie, niż usiłowała wytrzymać moc innego sidhe. Ja podjęłam to wyzwanie.

Powoli otworzyłam oczy, mrugając, aż poczułam się lepiej. Uśmiechnęłam się.

- Przepraszam, królu Taranisie, Doyle ma rację. Jestem odrobinę przytłoczona twoją obecnością.

Odwzajemnił uśmiech.

- Moje najszersze przeprosiny, Meredith. Nie chciałem sprawić, żebyś się źle poczuła.

Może i faktycznie nie chciał, żebym się źle poczuła, chciał jednak, żebym przyszła na przyjęcie, które wydawał. Chciał tego tak bardzo, że usiłował mnie nakłonić za pomocą magii do przyjęcia zaproszenia.

Ja dla odmiany chciałam spytać, dlaczego tak bardzo mu na tym zależy. Taranis jednak dobrze wiedział, kto mnie wychował, a nikt nigdy nie posądziłby mojego ojca o to, że jest nieuprzejmy. Bywał bezpośredni, to prawda, ale nigdy nieuprzejmy. Nie mogłam udawać dzikuski, tak jak przed Maeve Reed. Znał mnie lepiej od niej. Problem w tym, że nie miałam pojęcia, jak dowiedzieć się tego, co chciałam wiedzieć, nie pytając o to wprost.

Ale to nie było ważne. Król był zbyt zajęty próbami oczarowania mnie, by zwracać uwagę na inne rzeczy.

Nie próbowałam dorównać czarem jednemu z największych czarodziei, jakich kiedykolwiek zrodziły nasze dwory. Wolałam spróbować czegoś innego.

- Zapamiętałam twoje włosy jako słońce zanurzające się w morzu. Tak wielu sidhe miało złocistożółte włosy, ale tylko twoje miały barwy zachodzącego słońca. - Zrobiłam do tego odpowiednią minkę, jedną z tych, które kobiety stosowały od stuleci dla lepszego efektu.

- A może źle zapamiętałam? Większość moich wspomnień dotyczących ciebie, kiedy nie byłeś otoczony magiczną osłoną, pochodzi z dzieciństwa. Być może ten kolor tylko mi się śnił.

Ja bym na to nie dała się złapać; żaden z moich strażników by temu nie dał wiary; Andais pewnie by mnie spoliczkowała za tak oczywistą manipulację. Ale żadne z nas nie było tak rozpieszczone przez poddanych jak Taranis. Od wieków jego poddani przemawiali do niego właśnie tak albo nawet jeszcze bardziej słodko. Jeśli ciągle się słyszało, jakim się jest cudownym, pięknym i doskonałym, w końcu zaczynało się w to wierzyć. A jeśli się w to wierzy, to nie wydaje się już głupie czy fałszywe. Jest jak prawda. Najśmieszniejsze było to, że ja naprawdę uważałam, że jego prawdziwa forma jest bardziej atrakcyjna niż ta, którą przybrał tutaj. Byłam więc w swych pochlebstwach szczerą. To mogła być potężna broń.

Złociste fale skrzyły się, zamieniły w pojedyncze loki. Jego prawdziwe włosy nie pojawiły się od razu, ale powoli, jakby robił striptiz. Ich prawdziwy kolor był tak karmazynowy jak zachód słońca, jakby całe niebo wypełniło się błyszczącą krwią. Ale wplecione weń były loki czerwono-pomarańczowe, barwy słońca, które właśnie skrywa się za horyzont.

Wypuściłam powietrze. Nawet nie zdawałam sobie sprawy z tego, że wstrzymuję oddech. Nie kłamałam, kiedy mówiłam, że jego naturalny kolor jest piękniejszy niż iluzja.

- Czy teraz lepiej, Meredith? - Jego głos był niemal dotykalny, jakbym mogła nabrać jego pełne garście i przyciągnąć do siebie. Nie potrafiłam powiedzieć, jaki byłby w dotyku, ale byłoby to coś grubego, może słodkiego. Jakbym przykryła siebie watą cukrową, czymś, co stopnieje i robi się lepkie.

Drgnęłam, kiedy Doyle dotknął mojego ramienia. Taranis używał czegoś więcej niż tylko magicznej osłony. Osłona zmienia czyjś wygląd, ale nadal masz wybór, czy apróbujesz to czy nie. Może sprawić, że suchy liść będzie w twoich oczach słodkim kawałkiem ciastka, ale wciąż możesz wybrać, czy chcesz to ciastko zjeść. Osłona zmienia tylko doznania. Nie wpływa na twoją wolę.

Mogłam wykorzystać to, co Taranis właśnie zrobił.

- Czy pytałeś mnie o coś, Wasza Wysokość?

- Tak, pytał - powiedział Doyle. Jego głos z kolei przypominał mi coś mrocznego, gęstego i słodkiego zarazem. Zdałam sobie sprawę, że to magia sprawiła, że tak pomyślałam. Ale Doyle nie usiłował mieć nade mną władzy; próbował pomóc mi wyzwolić się spod władzy króla.

- Pytałem, czy zaszczyisz mnie obecnością na uczie ku twojej czci.

- Jestem zaszczycona, że w ogóle zawracasz sobie tym głowę, Wasza Wysokość. Byłabym szczęśliwa, gdybym mogła wziąć udział w takim przyjęciu za mniej więcej miesiąc. Teraz jestem zajęta, przygotowania do świąt i tak dalej, rozumiesz. Nie mam do dyspozycji zastępów służących,

żeby realizować tak sprawnie swoje pomysły jak ty. - Uśmiechnęłam się, ale w środku krzyczałam na niego. Jak śmie manipulować mną, jakbym była człowiekiem albo pomniejszą istotą magiczną. Nie tak się traktuje równego sobie. Nie powinnam być zaskoczona. Przez cały czas w najlepszym przypadku zaniedbywał mnie. Nie uważał mnie za równą sobie. Dlaczego miałby mnie jak taką traktować?

Potrafiłam zmienić kolor włosów, przyciemnić skórę, dokonać małych zmian w wyglądzie. Byłam mistrzynią w tego rodzaju zaklęciach. Ale nie miałam nic, co ochroniłoby mnie przed mocą Taranisa. W czym byłam lepsza od niego? Miałam moc ciała, której on nie miał, ale to było coś, co mogło tylko zabijać, i tylko przez dotyk. Nie chciałam go zabić, tylko trzymać go w bezpiecznej odległości.

Tymczasem on ciągnął swoim słodkim głosem:

- Bardzo bym się cieszył, gdybyś zawitała do mnie jeszcze przed świętami.

Dłoń Doyle'a zacisnęła się na moim ramieniu. Sięgnęłam, by jej dotknąć i poczuć jego skórę. W czym byłam lepsza od Taranisa?

Przesunęłam rękę i Doyle dotknął jej palcami. Jego dłoń była bardzo rzeczywista, bardzo solidna. Jego dotyk pomagał mi nie dać się uwieść temu słodkiemu głosowi i lśniącemu pięknu.

- Nie chciałabym odmawiać, ale ta wizyta z pewnością mogłaby poczekać do okresu po świętach.

Naciskał na mnie ze zdwojoną mocą. Gdyby to był ogień, spłonęłabym; gdyby to była woda, utonąłabym; ale to była perswazja, prawie jak uwodzenie. Już nie pamiętałam, dlaczego nie chcę iść na Dwór Seelie. Oczywiście, że pójdę.

Nagły ruch powstrzymał mnie przed powiedzeniem „tak”. Doyle usiadł za mną, otaczając mnie nogami. Dłoń nadal zaciskała się na mojej. Powstrzymał mnie przed wyrażeniem zgody, ale to było za mało. Nacisk jego gołej skóry na moją rękę był nadal cenniejszy dla mnie od dotyku całego jego ubranego ciała za mną.

Sięgnęłam po omacku, a Mróz odnalazł moją dłoń. Ścisnął ją i to też pomogło.

Spojrzałam z powrotem w lustro. Taranis nadal był lśniącą istotą, piękną jak dzieło sztuki, ale to nie było piękno, które przyśpieszało mi puls. Jakby za bardzo się starał, bym brała go poważnie. Wyglądał trochę absurdalnie w lśniącej masce i ubraniu ze światła słonecznego.

Jego moc znowu wzrosła, jak ciepły policzek wymierzony mi w twarz.

- Chodź do mnie, Meredith. Przyjdź do mnie za trzy dni, a ja pokażę ci ucztę, jakiej nigdy nie widziałaś.

Tym razem uratowały mnie otwierające się drzwi. To był Galen. Popatrzył na Doyle'a na łóżku i Mroza trzymającego mnie za rękę.

- Wzywałś mnie, Doyle? - spytał.

Nie słyszałam, żeby Doyle cokolwiek mówił. Sądzę, że przez jakiś czas mogłam słyszeć tylko króla. Odzyskałam głos; był cienki i dyszący.

- Przyślij tu Kitta, proszę. Tylko w takim stroju, jak jest.

Galen uniósł brwi, ale skłonił się pośpiesznie i sprowadził goblina. Celowo poprosiłam, by Kitto przyszedł do mnie w takim stroju, w jakim jest. Kiedy leżał w swoim legowisku, miał na sobie zwykle niewiele ubrania. Chciałam dotyku skóry, a nie mogłam poprosić strażników, by się rozebrali.

Kitto wszedł, mając na sobie tylko kuse szorty; z punktu widzenia Taranisa pewnie był nagi. A, niech sobie myśli, co chce.

Goblin spojrzał pytająco na mnie i Doyle'a. Uważał, by nie patrzeć w lustro. Położyłam dłoń Doyle'a na swojej szyi, a wolną rękę wyciągnęłam do Kitta. Podszedł do mnie bez wahania. Jego mała dłoń chwyciła moją, a ja pociągnęłam go na podłogę, by usiadł na moich stopach.

Przyciągnęłam go do swoich nagich nóg. Nie miałam pończoch, tylko fioletowe sandały bez palców, pod kolor sukienki.

Kitto owinał się wokół moich nóg. Ciepły dotyk jego skóry uspokoił mnie.

Zacząłam rozumieć, dlaczego Andais rozmawia z Dworem Seelie ukryta wśród nagich ciał. Zawsze myślałam, że to zniewaga wobec Taranisa, ale teraz nie byłam tego taka pewna. Może to król znieważał królową, a nie odwrotnie.

- Dziękuję, Taranisie, ale mimo najszczerzych chęci nie mogę zgodzić się na ucztę przed świętami. Byłabym zaszczycona, gdybym mogła odwiedzić cię po świętach. - Mój głos był bardzo wyraźny, bardzo spokojny.

Doyle wreszcie połapał się, że chodzi mi o dotyk i zaczął gładzić moje ramiona. W zwykłych okolicznościach dotyk jego ręki byłby podniecający; teraz jednak był czymś, co dawało mi punkt oparcia.

Król smagnął mnie mocą, nadając jej kształt chłosty, która bolała, mimo że była przyjemna. Z moich ust wyrwało się westchnienie i rzuciłabym się do lustra, gdybym mogła się ruszyć, i krzyknęła „tak”, gdybym mogła mówić. W tej jednej rozpaczliwej chwili stały się jednak trzy rzeczy. Doyle delikatnie pocałował mnie w kark, Kitto polizał moje kolano, a Mróz usiadł na brzegu łóżka i przyłożył moją dłoń do swoich ust.

Dotyk ich ust był jak trzy kotwice. Mróz zsunął się na podłogę obok Kitta. Jego usta były niczym aksamitna rękawiczka.

Westchnęłam i znowu mogłam myśleć, przynajmniej trochę. Doyle przebiegł palcami po mojej głowie, masując skórę pod moimi włosami. To, co powinno być rozpraszające, oczyściło mi umysł.

- Próbowałam być uprzejma, Taranisie, ale ty potraktowałeś mnie tak obcesowo, że nie będę dłużej przebierać w słowach. Dlaczego chcesz mnie w ogóle widzieć, a co dopiero przed świętami?

- Jesteś moją krewną. Chciałbym odnowić naszą znajomość. Święta to czas spotkań.

- Przez większą część mojego życia ledwie akceptowałeś moje istnienie. Dlaczego teraz tak ci zależy na odnowieniu naszych stosunków?

Jego moc zdawała się wypełniać pokój. Miałam wrażenie, jakby było w nim coś gęstszego od powietrza. Nie mogłam oddychać. Nie widziałam. Świat ograniczył się do światła. Było wszędzie.

Nagły ból otrzeźwił mnie tak brutalnie, że krzyknęłam. Kitto ugryzł mnie w nogę, jak pies, który próbuje zwrócić na siebie uwagę, ale to podziałało. Sięgnęłam w dół i pogłaskałam go po twarzy.

- Koniec rozmowy, Taranisie. Byłeś z niewiadomych powodów nieprzyjemny. Nie robi się czegoś takiego innym sidhe, co najwyżej pomniejszych istotom magicznym.

Mróz wstał, by wyłączyć lustro, ale Taranis powiedział:

- Słyszałem na twój temat wiele plotek, Meredith. Chciałbym zobaczyć osobiście, kim się stałaś.

- A co widzisz teraz, Taranisie? - spytałam.

- Kobietę, która kiedyś była dziewczynką. Sidhe, która kiedyś była pomniejszą istotą magiczną. Widzę wiele rzeczy, ale większość pytań pozostanie bez odpowiedzi, dopóki nie spotkam cię osobiście. Przybądź do mnie, Meredith, poznajmy się.

- Mówiąc szczerze, Taranisie, ledwie mogę funkcjonować w obliczu twojej mocy. Ty to wiesz i ja to wiem. A przecież i tak dzieli nas duży dystans: Byłabym głupia, gdybym dopuściła do tego, żebyś spróbował osobiście na mnie swoich magicznych sztuczek.

- Daję ci słowo, że nie zrobię nic takiego, jeśli przybędziesz na mój dwór przed świętami.

- Dlaczego właśnie wtedy?

- A dlaczego później? - odparował.

- Ponieważ zdajesz się pragnąć tego tak mocno, że to wzbudza podejrzenia.

- A więc odmawiasz tylko dlatego, że twoim zdaniem za mocno tego pragnę?
- Nie. Dlatego, że sprawiasz wrażenie, jakbyś był gotów zrobić wszystko, co w twojej mocy, żeby to zdobyć.

Nawet przez złocistą maskę ujrzałam, jak marszczy brwi. Najwyraźniej nie nadażał za mną.

- Przeraziłeś mnie, Taranisie. To chyba jasne. Nie oddam się w twoje ręce, chyba że złożysz przysięgę, że w mojej obecności będziesz zachowywał się, jak należy.

- Obiecuję, co tylko chcesz, bylebyś tylko przybyła przed świętami.

- Nie przybędę przed świętami, a ty i tak obiecasz mi, co tylko chcę. Chyba że wolisz, żebym nie przybyła wcale.

Tym razem zaczął błyszczeć z gniewu.

- Przeciwstawiłabyś mi się?

- Nie mogę ci się przeciwstawić, ponieważ nie masz nade mną władzy.

- Jestem Ard-Ri, arcykrólem.

- Nie, Taranisie, jesteś królem Dworu Seelie, tak jak Andais jest królową Dworu Unseelie. Nie jesteś moim Ard-Ri. Nie należę do twojego dworu. Dałeś mi to jasno do zrozumienia, kiedy byłam młodsza.

- Jak możesz pielęgnować urazy, Meredith, kiedy ja wyciągam dłoń w pokoju?

- Nie dam się zwieść pięknym słówkom, Taranisie, ani pięknym widokom. Prawie pobiłeś mnie na śmierć dawno temu, kiedy byłam dzieckiem. Nie powinieneś się dziwić, że się ciebie boję, skoro zadałeś sobie tyle trudu, żeby ten strach we mnie wywołać.

- Nie tego chciałem cię nauczyć - powiedział, nie zaprzeczając, że mnie pobił. Przynajmniej to było szczere.

- Więc czego?

- Nie kwestionować rozkazów króla.

Oddałam się dotykowi dłoni i ust Doyle'a na moim karku, języka Mroza liżącego moją dłoń, zębów Kitta gryzących mnie delikatnie w nogę.

- Nie jesteś moim królem, Taranisie. Nie mam nad sobą króla, tylko królową.

- Szukasz króla, Meredith, tak głosi plotka.

- Szukam ojca dla mojego dziecka. Zostanie on królem Dworu Unseelie.

- Już dawno temu mówiłem Andais, że cierpi na brak króla, prawdziwego króla.

- A ty takim jesteś, Taranisie?

- Tak - odparł i chyba wierzył w to, co mówił.

Nie wiedziałam, jak na to zareagować. W końcu powiedziałam:

- Szukam innego rodzaju króla, takiego, który zrozumie, że nawet nieskończona liczba królów nie jest warta jednej królowej.

- Obrażasz mnie - powiedział i światło stało się ostre. Musiałabym włożyć okulary przeciwsłoneczne, by ochronić się przed jego nieprzyjaznym spojrzeniem.

- Nie, Taranisie, to ty mnie obrażasz, a przy okazji również moją królową i mój dwór. Jeśli nie masz nic lepszego do powiedzenia, to nie mamy o czym rozmawiać. - Skinęłam na Mroza i wyłączył lustro, zanim Taranis zdążył zrobić to sam.

Przez dłuższą chwilę milczeliśmy. W końcu Doyle powiedział:

- Zawsze uważał się za babiarza.

- Sądziś, że to był jakiś rodzaj uwodzenia?

Poczułam, jak wzrusza ramionami. Potem objął mnie i przytulił do siebie.

- Dla Taranisa każdy, kto nie jest pod jego wrażeniem, jest jak paproch w oku, który uwiera i boli.

Musi go za wszelką cenę usunąć.

- Czy dlatego właśnie Andais rozmawia z nim nago, otoczona mężczyznami?

- Tak - odpowiedział Mróz.

Spojrzałam na niego. Ciągłe stał przy lustrze.

- Czy na pewno robienie czegoś takiego przy innym władcy to zniewaga?

Wzruszył ramionami.

- Od stuleci usiłują się uwieść nawzajem albo zabić.

- Zabójstwo albo uwiedzenie - czy jest trzecia możliwość?

- Znaleźli ją - powiedział mi Doyle wprost do ucha. - Niepewny pokój. Sądzę, że Taranis chce przejąć władzę nad tobą - a poprzez ciebie, nad Dworem Unseelie.

- Dlaczego tak naciska, żebyśmy spotkali się przed świętami? - spytałam.

- Kiedyś w święta Bożego Narodzenia składano ofiary - powiedział cicho Kitto. Chcąc zapewnić sobie powrót światła, mordowano Króla Ostrokrzewu, żeby zrobić miejsce dla Króla Dębu.

Spojrzelismy na siebie.

- Czy sądzisz, że szlachetnie urodzeni na jego dworze wreszcie nabrali podejrzeń, że coś z nim nie tak, skoro nie ma dzieci? - spytał Mróz.

- Nie słyszałem nawet echa takiej plotki - odparł Doyle. Oznaczało to, że ma swoich szpiegów na tym dworze.

- To zawsze króla składano w ofierze - powiedział Kitto.

- Nigdy królową.

- Być może Taranis chce zmienić tradycję - zauważył Doyle, obejmując mnie mocno.

- Nie pojedziesz na Dwór Seelie przed świętami. Nie ma mowy.

Oparłam się o niego, pozwalając, by dotyk jego rąk dodał mi otuchy.

- Zgadzam się - powiedziałam cicho. - Cokolwiek planuje Taranis, nie chcę brać w tym udziału.

- A więc wszyscy się zgadzamy - stwierdził Mróz.

- Tak - przyznał Kitto.

Była to jednogłośna decyzja, ale jakoś wcale mnie to nie cieszyło.

Rozdział 38

W salonie ujrzelismy detektyw Lucy Tate siedzącą w różowym fotelu i popijającą herbatę. Wyglądała na niezbyt zadowoloną.

Galen siedział na kanapie i starał się być czarujący, w czym akurat jest dobry. Lucy nic sobie z tego nie robiła. Wszystko, począwszy od ułożenia ramion, przez to, jak skrzyżowała długie nogi, po machanie stopą mówiło, że jest zła albo zdenerwowana, albo jedno i drugie.

- No, wreszcie - powiedziała, kiedy wyszłam z sypialni. Przyjrzała się nam krytycznie.

- Czy nie jesteście za bardzo ubrani jak na popołudniowe przyjemności?

Rzuciłam okiem na Galena na kanapie, potem na Rhysa i Niccę snujących się po pokoju. Nie widziałam nigdzie Kitta, co znaczyło, że jest w swoim legowisku. Nie było też Mędrca i zastanawiałam się przez chwilę, czy przypadkiem nie jest na swoim kwiatku w korytarzu. Galen kupił kilka kwiatów, usiłując poprawić mu humor. Nie pomogło.

Trzej strażnicy patrzyli na mnie z niewinnymi minami. Zbyt niewinnymi.

- Co jej powiedzieliście?

- Powiedzenie jej, że uprawiasz seks z Doyle'em i Mrozem było jedynym sposobem na powstrzymanie jej przed wtargnięciem do twojej sypialni, kiedy kończyłaś swoje spotkanie w interesach - wyjaśnił Rhys.

Lucy Tate wstała i rzuciła kubek do Galena. Złapał go w ostatniej chwili. Jej twarz oblał rumieniec.

- To znaczy, że tkwiłam tu blisko godzinę, bo oni mieli jakieś spotkanie w interesach?

- Jej głos stał się niebezpiecznie cichy, każde słowo bardzo spokojne, bardzo wyraźne.

Galen wstał i zaniósł kubek do kuchni, trzymając go drugą ręką od spodu, by nie poplamić herbatą podłogi.

- Rozmawiałam z jednym z dworów faerie - powiedziałam. - Wierz mi, że wolałabym już, żebyś przeszkodziła mi w uprawianiu seksu.

Przyjrzała mi się uważnie.

- Wyglądasz na roztrzęsioną - zauważyła.

Wzruszyłam ramionami.

- To tylko moja rodzina, z pewnością byś ją polubiła.

Patrzyła na mnie długo, prawie minutę, jakby się na coś decydowała. Wreszcie pokręciła głową.

- Rhys ma rację. Tylko perspektywa zobaczenia cię *in flagranti* mogła mnie tu tak długo zatrzymać.

Policja nie powinna się jednak mieszać do spraw rodzinnych.

- Jesteś tu służbowo? - spytał Doyle.

- Tak - odparła i stanęła przed nim z rękami skrzyżowanymi na piersi. Wyglądała cokolwiek bojowo.

- Co się dzieje, Lucy? - spytałam, siadając na kanapie. Jeśli chciała patrzeć mi w oczy, musiała ją obejść. Tak też zrobiła, ponownie siadając w różowym fotelu.

- Co się dzieje, Lucy? - spytałam raz jeszcze.

- Tej nocy miało miejsce kolejne masowe zabójstwo. - Lucy zazwyczaj patrzyła w oczy rozmówcy.

Dzisiaj jednak wodziła wzrokiem po mieszkaniu, niespokojnie, nie zatrzymując się nigdzie na dłużej.

- Podobne do tamtego? - spytałam.

Skinęła głową, patrząc na mnie przez chwilę, po czym przeniosła wzrok na telewizor i zioła, które Galen uprawiał na parapecie.

- Takie samo z wyjątkiem miejsca.

Doyle podszedł do oparcia kanapy, opadł na kolana, dotykając lekko rękami moich ramion. Sądzę, że uklęknął, by nad nami nie górować.

- Jeremy poinformował nas, że jego agencja została odsunięta od tej sprawy. Twój porucznik Peterson chyba za bardzo nas nie lubi.

- Nie wiem, co ugryzło Petersona, podobnie jak nie wiem, czy mnie to obchodzi. Gdyby dowiedział się, że z wami rozmawiam, mogłabym stracić pracę. - Wstała i zaczęła chodzić po pokoju, od okna do różowego fotela i między kanapą a białym stolikiem pod telewizor.

- Zawsze chciałam być gliną. - Pokręciła głową, przeczesując palcami gęste ciemne włosy. - Ale wolę stracić pracę, niż znów zobaczyć coś takiego.

Usiadła nagle w różowym fotelu i spojrzała na mnie szeroko otwartymi oczami, z poważną miną.

Podjęła decyzję. Miała to wypisane na twarzy.

- Czy śledziliście tę sprawę w prasie albo w telewizji?

- W *Wiadomościach* mówili, że wypadek w klubie spowodowany był wyciekiem gazu.

- Doyle trzymał brodę na moim ramieniu, kiedy to mówił. Jego niski głos wibrował na moim ciele.

Musiałam zmusić się, by ukryć wrażenie, jakie zrobiły na mnie jej słowa. Myślę, że się udało.

- Drugi wydarzył się w jednym z klubów techno. Tym razem mówiło się o narkotykach.

Skinęła głową.

- Tak, o pechowej partii ecstasy. To my wymyśliliśmy tę historyjkę. Musieliśmy czymś zająć dziennikarzy, żeby nie wpadli na właściwy trop i nie wywołali paniki w mieście. Ale oni zginęli dokładnie tak samo, jak w dwóch pierwszych wypadkach.

- Dwóch pierwszych? - spytałam.

Skinęła głową.

- Pierwszy wypadek prawdopodobnie nie zostałby dokładniej zbadany, gdyby nie wydarzył się w bogatej części miasta. Tylko sześć dorosłych ofiar. Pewnie byłaby to kolejna nierozwiązana sprawa. Ale ofiary były szuchami, więc kiedy ktoś zaatakował klub, w centrali podniesiono larum i od razu dostaliśmy pomoc brygady specjalnej. Potrzebowaliśmy jej, ale nigdy byśmy jej nie dostali tak szybko, gdyby wśród pierwszych ofiar nie było przyjaciół burmistrza i komendanta policji. - W jej głosie słyhać było gorycz i zmęczenie.

- Pierwsze morderstwa miały miejsce w prywatnej rezydencji? - spytałam.

Lucy skinęła głową. Była zmęczona i przybita, ale spokojniejsza.

- Tak. Pierwszy raz widzieliśmy coś takiego. Uroiłam sobie, że już wcześniej był jakiś tego rodzaju atak i nagle znajdziemy na przykład jakąś wytwórnię narkotyków, w której będą leżały dziesiątki gnijących ciał. Jedyłą gorszą rzeczą od tych wypadków byłby jakiś starszy. Znowu pokręciła głową, przeczesując rękami włosy, po czym zmierzwiła je. - W każdym razie, pierwszy wypadek miał miejsce w prywatnej rezydencji. Znaleźliśmy parę, która tam mieszkała, dwójkę gości, dwoje służących.

- Jak daleko znajduje się ten dom od klubu, w którym byliśmy? - spytałam.

- Oba leżą niedaleko Holmby Hills.

Poczułam, jak Doyle za mną nieruchomieje. Cisza zdawała rozchodzić się od nas jak kręgi na wodzie. Wszyscy wpatrywaliśmy się w nią i staraliśmy się nie patrzeć na siebie.

- Powiedziałaś Holmby Hills? - spytałam.

Odwzajemniła spojrzenie.

- Tak. Co was tak zatkało?

Spojrzałam na Doyle'a. On na mnie. Rhys oparł się o ścianę jak gdyby nigdy nic, ale nie potrafił ukryć podniecenia. Nie mógł nic na to poradzić, ale podobało mu się to.

Galen ukrył się w aneksie kuchennym, wycierając kubek. Mróz usiadł obok mnie, jego twarz nic nie wyrażała. Nicca patrzył szczerze zdziwiony i zdałam sobie sprawę, że nie wie, gdzie mieszka Maeve Reed. Pomagał nam przy przygotowaniach do rytuału płodności, ale nie znał jej adresu.

- Nie - powiedziała Lucy. - Nie będziecie tu tak siedzieć jak trusie. Kiedy powiedziałam Holmby Hills, spojrzeliście na mnie tak, jakbym wdepnęła w coś paskudnego. Nie możecie robić niewinnych min i nie powiedzcie mi, o co chodzi.

- Możemy robić to, na co mamy ochotę - odparł Doyle.

Spojrzała na mnie.

- Czy zamierzasz uniknąć odpowiedzi? Zaryzykowałam karierę, przychodząc tutaj i rozmawiając z wami.

- To ciekawe - powiedział Doyle. - Dlaczego przyjdzie tutaj i rozmowa z nami miałyby cię kosztować karierę? Masz informacje Teresy i zapewnienie Jeremy'ego, że to było zaklęcie. Co jeszcze mamy powiedzieć?

Zmierzyła go wzrokiem.

- Nie jestem głupia, Doyle. Gdzie nie spojrzę, w tej sprawie są istoty magiczne. Peterson po prostu nie chce tego widzieć. Pierwszy wypadek wydarzył się tuż obok rezydencji Maeve Reed. To sidhe z rodziny królewskiej. Wgnana czy nie, nadal jest jedną z was. Obdzwoniliśmy okoliczne szpitale, szukając kogoś wykazującego objawy podobne do tych, które miały nasze ofiary. Znaleźliśmy jedną taką osobę.

- Macie ocalałego? - spytał Rhys.

Spojrzała na niego, potem na Doyle'a i na mnie.

- Nie mamy pewności. Żyje i z każdym dniem ma się coraz lepiej. - Patrzyła na nas dwoje. - Czy to was zachęci do mówienia, jeśli powiem, że to istota magiczna?

Nie wiem jak reszta, ale ja nawet nie próbowałam kryć wyrazu zaskoczenia na twarzy.

Lucy uśmiechnęła się do nas, prawie złośliwie, jakby wiedziała, że nas ma.

- Nie chce się skontaktować z Urzędem do spraw Ludzi i Istot Magicznych. Bardzo mu zależy na tym, żeby tego uniknąć. Porucznik Peterson twierdzi, że istoty magiczne nie mają z tą sprawą nic wspólnego, a to, że Maeve Reed mieszka blisko miejsca pierwszego wypadku, to zbieg okoliczności. Twierdzi, że nawet istota magiczna by czegoś takiego nie przeżyła. - Rozejrzała się po pokoju, patrząc po kolei na wszystkich nas. - Nie wierzę w to. Widziałam istoty magiczne, które szybko dochodziły do siebie po obrażeniach, których człowiek by nie przeżył. Widziałam, jak jeden z was spadł z wieżowca, a potem wstał, otrząpiał się i poszedł dalej. - Znowu pokręciła głową. - Nie, to ma coś wspólnego z waszym światem, prawda?

Z ledwością powstrzymałam się od tego, by nie spojrzeć na któregoś z moich strażników.

- Czy powiecie mi prawdę, jeśli pozwolę wam porozmawiać z rannym? Porucznik Peterson zarządził, że mamy nie mieszać w to istot magicznych. Ten ranny to moja przykrywka. Zawsze mogę powiedzieć, że szukałam kogoś, kto pomoże mu się przystosować do warunków wielkiego miasta. A że akurat znalazłam was, to już nie moja wina.

- Sądysz, że jest spoza miasta? - spytałam.

- Jasne, że nie ma na czole napisu „nigdy nie byłem w dużym mieście”, ale kiedy po raz pierwszy usłyszał buczenie monitora rejestrującego pracę serca, zaczął krzyczeć. Pochodzi z miejsca, w którym nigdy nie widziano nowoczesnego sprzętu. Pielęgniarki mówiły, że musiały zabrać z jego sali telewizor, bo gdy go włączyły, o mało nie dostał ataku serca.

Spojrzała na mnie.

- Porozmawiaj ze mną, Merry, proszę. Porozmawiaj ze mną. Nie powiem porucznikowi. Nie mogę. Proszę, pomóż mi to powstrzymać, cokolwiek to jest.

Spojrzałam na Doyle'a, Mroza i Rhysa. Galen wrócił z kuchni, ale rozłożył szeroko ręce i wzruszył ramionami.

- Ostatnio nie miałem za wiele do czynienia z pracą detektywa, więc chyba nie powinienem zabierać głosu.

- Królowej to się nie spodoba - odezwał się niespodziewanie Nicca. Mówił wyraźnie, ale zarazem cicho, jakby był dzieckiem szepczącym z obawy, że ktoś go może podsłuchać.

- Nie mówiła, że nie wolno nam dzielić się informacjami z policją - powiedział Doyle.

- Naprawdę? - spytał Nicca jeszcze ciszej.

Odwróciłam się na kanapie, by Nicca spojrział mi prosto w twarz.

- To prawda, królowa nie zakazała nam rozmów z policją.

Westchnął ciężko.

- Dobrze. - Znowu odpowiedź dziecka. Dorośli powiedzieli mu, że nie będzie kłopotów, a on im uwierzył.

Jeszcze raz wymieniliśmy spojrzenia, po czym powiedziałam:

- Rhysie, powiedz jej o zaklęciu.

Tak też zrobił, podkreślając przy tym, że nie jesteśmy pewni, czy na dworach pozostał jeszcze ktoś, kto mógłby rzucić to zaklęcie, i że to mógł być jakiś człowiek - czarownik albo wiedźma. Byliśmy pewni tylko jednego: nie był to nikt z Dworu Unseelie.

- Skąd możecie mieć pewność? - spytała Lucy.

Po raz kolejny wymieniliśmy spojrzenia.

- Wierz mi, Lucy, królowa nie musi się martwić przestrzeganiem praw obywatelskich. Jest bardzo dokładna, kiedy kogoś przesłuchuje.

Wpatrywała się w nas badawczo.

- A jak dokładni mogą być twoi strażnicy?

Zmarszczyłam brwi.

- O czym mówisz?

- Słyszałam plotki o tym, co królowa robi ze swoimi ludźmi. Czy potraficie zrobić coś równie skutecznego bez pozostawiania śladów?

Uniosłam brwi.

- Czy prosisz nas o to, o co myślę, że nas prosisz?

- Proszę was o powstrzymanie tego czegoś przed ponownym uderzeniem. Ranny w szpitalu nie chciał rozmawiać z policją ani z pracownikiem Urzędu do spraw Ludzi i Istot Magicznych. Wpadł w panikę, kiedy zaproponowałam, że możemy pomóc mu skontaktować się z ambasadorem, jeśli pracownik urzędu mu nie odpowiada. Widząc, jak go przeraziła perspektywa rozmowy z ambasadorem, pomyślałam, że wy moglibyście go przestraszyć jeszcze bardziej.

- Niby dlaczego? - spytałam.

- Ambasador nie jest sidhe.

- Co mielibyśmy z nim według ciebie zrobić?

- Oczekuję, że zmusicie go do mówienia. Cena nie gra roli. Mamy ponad pięciuset martwych, prawie sześciuset. Poza tym, z tego, co mówi Rhys, wynika, że jeśli te duchy nie zostaną powstrzymane, powrócą do życia. Nie chcę mieć na głowie stada zmartwychwstałych starożytnych bogów biegających z żądzą mordy w oczach po całym mieście. Musimy to powstrzymać, zanim będzie za późno.

Zgodziliśmy się pojechać z nią do szpitala, ale najpierw zadzwoniliśmy do Maeve Reed. Powiadomiliśmy ją o tym, że duchy martwych bogów zostały wskrzeszone, by ją zabić. Co oznaczało, że stoi za tym ktoś z Dworu Seelie i, co więcej, ma na to pozwolenie króla.

Rozdział 39

Lucy mnóstwo razy błysnęła swoją odznaką, by nas przeprowadzić przez wykrywacze metalu z naszymi pistoletami i nogami. Moi ludzie musieli nawet pokazać dokumenty potwierdzające, że są królewskimi strażnikami, zanim pielęgniarka zaprowadziła nas na piętro. W końcu stanęliśmy przy łóżku mężczyzny... no, w każdym razie czegoś rodzaju męskiego. To coś było malutkie i bezkształtne. Mędrzec też był mały, ale proporcjonalnie zbudowany. Miał być właśnie takiego rozmiaru, jakiego był; istota leżąca w łóżku, z kołdrą naciągniętą po szyję, najwyraźniej nie.

Pochodzę z Dworu Unseelie i nie przerażają mnie istoty o najbardziej wymyślnych kształtach, ale w tym osobniku było coś, co zjeżyło mi włosy na głowie. Musiałam odwrócić wzrok, jakby był odrażający, chociaż wcale nie był.

Nie tylko ja miałam ten kłopot. Rhys i Mróz wręcz odwrócili się plecami do łóżka. Ich reakcja wskazywała na to, że obaj go znają. Czyżby rzucono na niego anatemę? Może złamał jakiś starożytny zakaz? Doyle nie odwrócił wzroku, ale on nigdy tego nie robił. Galen rzucił mi spojrzenie, które mówiło, że jest tak samo zaskoczony i zmieszany jak ja. Kitto stał tuż przy mnie, trzymając mnie za rękę jak dziecko.

Zmusiłam się do tego, by ponownie spojrzeć na niego, starając się ustalić, co w nim sprawiało, że miałam ochotę stąd uciec. Miał trochę ponad dwie stopy wzrostu, jego malutkie stopy tworzyły malutkie wybrzuszenia na kołdrze. Coś powodowało, że jego ciało wydawało się zniekształcone, mimo że wszystko było na miejscu. Jego głowa była trochę za duża w porównaniu z resztą ciała.

Oczy miał o wiele za duże w stosunku do twarzy. Odnosiło się wrażenie, jakby zostały przeniesione z innej twarzy. Nos pasował do oczu, ale ponieważ reszta twarzy była malutka, też wydawał się za wielki.

Nicca podszedł do niego z uniesionymi rękami.

- Och, Bucca, co się z tobą stało?

Mała postać na łóżku początkowo ani drgnęła. Potem, wolno, uniosła rękę cieniutką jak zapalka. Położyła swoją malutką bladą dłoń na brązowej ręce Nicki.

Kitto wznosił twarz mokrą od łez do światła.

- Bucca-Dhu, Bucca-Dhu, czym teraz jesteś?

W pierwszej chwili myślałam, że Kitto zjadł słowo albo dwa; dopiero potem uświadomiłam sobie, że nie. On zapytał dokładnie o to, co chciał wiedzieć.

- Wygląda na to, że dwóch z nas go zna - stwierdził Doyle.

Nicca skinął głową, klepiąc delikatnie swojego znajomego po rękę. Przemówił do niego w jakimś starym celtyckim języku o melodyjnej intonacji. Mówił zbyt szybko, bym mogła to stwierdzić z całą pewnością, ale raczej nie był to szkocki, gaelicki ani irlandzki.

Kitto włączył się do rozmowy, mówiąc podobnie do Nicki, ale jednak nieco inaczej, co mogło oznaczać, że albo mówił innym dialektem, albo starszą lub nowszą odmianą tego języka. To mogła być taka różnica, jak między średnioangielskim a nowo-angielskim.

Patrzyłam na twarz Kitta i widziałam na niej przejęcie i smutek. Wiedziałam, że bardzo martwi się stanem swojego znajomego, ale to było wszystko, co mogłam odszyfrować.

W końcu z odsieczą przyszedł mi Doyle. Najwyraźniej wszyscy inni ich rozumieli, tylko ja nie.

- Nicca zna go z czasów, gdy wyglądał mniej więcej tak samo jak teraz - wyjaśnił mi.

- Kitto z kolei pamięta go z czasów, gdy był taki jak my, sidhe. Bucca był kiedyś czczony jako bóg.

Popatrzyłam na tę pomarszczoną postać i nagle zrozumiałam, co przyprawia mnie o dreszcze. Te wielkie brązowe oczy i duży prosty nos były bardzo podobne do oczu i nosa Nicki. Zawsze myślałam, że brązowa skóra i oczy Nicki są spadkiem po krwawych motylach. Teraz wiedziałam już, że byłam w błędzie.

Spojrzałam na tego mężczyznę z przerażeniem, ponieważ nagle to spostrzegłam. To było tak, jakby ktoś wziął wojownika sidhe i sprasował go do czegoś o rozmiarach dużego królika. Nie miałam słów, by wyrazić swoje przerażenie na widok tej istoty leżącej prawie bez życia w szpitalnym łóżku. I nie miałam pojęcia, jak mogła stać się czymś takim.

- Jak? - spytałam cicho i natychmiast tego pożałowałam, bo malutki człowieczek spojrzał na mnie.

- Sam jestem sobie winien, dziewczyno - powiedział bezbłędnie po angielsku, choć z silnym akcentem. - Tylko ja jestem za to odpowiedzialny.

- Nie - zaprotestował Nicca. - To nieprawda.

Malutki człowieczek potrząsnął głową.

- Są tu jeszcze inni, których znam, oprócz ciebie, Nicco, i goblina. Ci inni również kiedyś byli bogami i tak samo jak ja stracili wyznawców. Nie zmarnieli tak bardzo jak ja. Odmówiłem oddania swojej mocy, bo obawiałem się, że mnie to osłabi. - Roześmiał się gorzko. - I popatrz na mnie teraz, Nicco, oto, do czego doprowadziły mnie duma i strach.

Byłam zdezorientowana, delikatnie mówiąc, ale nie chciałam o nic pytać, bojąc się, że moje pytania zostaną uznane za zbyt niegrzeczne.

Mężczyzna na łóżku odwrócił swoją wielką głowę, by spojrzeć na Kitta.

- Ostatnim razem, gdy się widzieliśmy, wydawałeś mi się mniejszy. Zmieniłeś się, goblinie.

- On jest teraz sidhe - powiedział Nicca.

Bucca spojrział zdziwiony, po czym się roześmiał.

- Przez wieki walczyłem o czystość naszej krwi. Nawet ciebie, Nicco, uważałem kiedyś za mieszańca.

Nicca poklepał go po ręce.

- Stare dzieje.

- Nie powinienem dopuścić do tego, żeby ktoś z naszej czystej linii Bucca-Dhu znalazł się pomiędzy innymi sidhe. Teraz wszystko, co zostało z mojej linii, to tacy, jak ty, którzy nie są czystej krwi. - Odwrócił z wysiłkiem głowę. - A wszystko, co pozostało ze wszystkich Bucca-Gwidden, to ty, goblinie.

- Są jeszcze inni pośród goblinów. A widzisz kolor skóry tych sidhe? Krew BuccaGwidden dalej w nas krąży.

- Mogli odziedziczyć skórę, ale nie odziedziczyli włosów ani oczu. Nie, goblinie, moi pobratymcy są zgubieni, i to z mojej winy. Nie powinienem pozwolić naszym ludziom łączyć się z innymi. Powinniśmy pozostać w ukryciu i trzymać się starych dróg. Teraz już nic z nich nie pozostało, goblinie.

- On jest sidhe - sprostował Doyle - uznanym przez Dwór Unseelie.

Bucca uśmiechnął się smutno.

- Nie sądziłem, że Unseelie sidhe upadną tak nisko, że zaakceptują pomiędzy sobą goblina. Mimo że umieram, a ostatni moi ludzie umarli przede mną, nie mogę zobaczyć w nim sidhe. Po prostu nie mogę. - Wyrwał rękę z uścisku Nicki i zamknął oczy.

Detektyw Lucy Tate dotąd bardzo cierpliwie znosiła to wszystko. W końcu jednak zapytała:

- Czy ktoś mógłby mi wytłumaczyć, co tu się dzieje?

Doyle, Mróz i Rhys wymienili spojrzenia, ale żaden z nich nic nie powiedział. Wzruszyłam ramionami.

- Nie patrz tak na mnie. Jestem prawie tak samo zdezorientowana, jak ty.

- Ja również - dodał Galen. - Rozpoznałem, że mówi po kornwalijsku lub bretońsku, ale tak archaiczną odmianą, że nic nie rozumiałem.

- Po kornwalijsku - powiedział Doyle. - Mówił po kornwalijsku.

- Nie wiedziałem, że w Kornwalii żyły gobliny - zdziwił się Galen.

Kitto odwrócił się i spojrział na niego.

- Gobliny nie były jedynym ludem oprócz sidhe, który miał kilka dworów. Ja byłem kornwalijskim goblinem, bo moja matka była Bucca-Gwidden, kornwalijską sidhe, zanim dołączyła do Dworu Seelie. Kiedy ujrzała swoje dziecko, postanowiła je zostawić pośród węży Kornwalii.

- Gniazda węży są wszędzie na Wyspach - powiedział Bucca. - Nawet w Irlandii, nieważne, w co wierzą wyznawcy Padriga.

- Większość goblinów żyje teraz w Ameryce - powiedział Kitto.

- Ponieważ żaden inny kraj ich nie chciał - dorzucił Bucca.

- To prawda - przyznał Kitto.

- No dobrze - powiedziała Lucy - cokolwiek to jest, kłótnia rodzinna czy co, nic mnie to nie obchodzi. Chcę wiedzieć, jak ten Bucca, który podał, że nazywa się Nick Bottom - jak jedna z postaci ze *Snu nocy letniej* - bardzo sprytnie, nawiasem mówiąc - skończył tutaj, prawie wyspany z życia..

- Bucco - powiedział cicho Nicca.

Małutka postać otworzyła oczy. Były pełne tak wielkiego zmęczenia, że musiałam odwrócić wzrok. To było tak, jakby się widziało tunel, na końcu którego jest coś gorszego niż zapomnienie, o wiele gorszego niż śmierć.

Jego akcent stał się wyraźniejszy.

- Nie mogę umrzeć, rozumiesz to, Nicco, nie mogę umrzeć. Byłem królem mojego ludu, nie mogę zgasnąć. A mimo to gasnę. - Uniósł chudą rękę. - Usycham, jakby jakaś gigantyczna ręka mnie wyżyła. - Bucco, proszę, powiedz nam, jak to się stało, że zaatakowały cię te wygłodniałe duchy - powiedział cicho Nicca.

- Kiedy to ciało w końcu już zgaśnie, stanę się jednym z nich.

- Nie, Bucco.

Bucca wyciągnął przed siebie chudą rękę.

- Tak, Nicco, to właśnie spotkało większość z tych, którzy byli kiedyś bogami. Nie możemy umrzeć, ale nie możemy też żyć, więc jesteśmy zawieszani pomiędzy życiem a śmiercią.

- Niewystarczająco dobrzy na niebo i niewystarczająco źli na piekło - powiedział Doyle.

- Zgadza się - odparł Bucca, patrząc na niego.

- To zawsze dobrze pogłębiać swoją wiedzę o kulturze istot magicznych, ale może wróćmy do sedna sprawy - powiedziała Lucy. - Proszę mi opowiedzieć o ataku na pana, panie Bottom, Bucca, czy jak się tam pan nazywa.

Zerknął na nią, po czym powiedział:

- Zaatakowały mnie, gdy okazałem pierwszą oznakę słabości.

- Czy mógłby pan to trochę rozwinąć? - spytała Lucy. Zdażyła już otworzyć swój notes i zamarła teraz w gotowości z długopisem w ręce.

- To ty je obudziłeś - powiedział Rhys. Dopiero teraz się odwrócił i spojrzał na Buccę.

- Tak - przyznał Bucca.

- Dlaczego? - spytałam.

- To była część zapłaty za możliwość powrotu na dwór.

Zatkało nas. Po chwili jednak zaczęło do nas docierać, że to ma sens. Andais to zrobiła. To dlatego nie było śladów. To dlatego żaden z jej ludzi o tym nie wiedział. Nie potrzebowała ich pomocy.

- Komu musiałeś za to zapłacić? - spytał Doyle.

Spojrzałam na niego, o mało nie mówiąc: „Przecież wszyscy wiemy”.

I wtedy Bucca odpowiedział.

- Taranisowi, oczywiście.

Rozdział 40

Wszyscy odwróciliśmy się do łóżka jak w zwolnionym tempie.

- Czy powiedziałaś Taranis? - spytałam.

- Jesteś głucha, dziewczyno?

- Nie - odparłam - tylko zaskoczona.

- Dlaczego?

Popatrzyłam na niego w zamyśleniu.

- Nie sądziłam, że Taranis jest aż tak szalony.

- Najwidoczniej nie zwróciłaś na to uwagi.

- Ostatni raz widziałam Taranisa, gdy była dzieckiem - wyjaśnił Doyle.

- W takim razie przepraszam. - Przyjrzał mi się krytycznie. - Wygląda na Seelie sidhe. Nie byłam pewna, jak zareagować na ten komplement. Nie byłam nawet pewna, czy to w ogóle był komplement.

- Twierdzi pan, że król Dworu Seelie namówił pana do obudzenia tych duchów?

spytała Lucy, podchodząc do łóżka.

- Tak.

- Dlaczego? - spytała. Chyba wszyscy wiele razy zadawaliśmy już dzisiaj to pytanie.
- Chciał, żeby zabiły Maeve Reed.
- Nie rozumiem. Dlaczego król miałby chcieć śmierci złotej bogini Hollywood?
- Nie wiem - odparł Bucca - i nic mnie to nie obchodzi. Taranis przyrzekł, że obdarzy mnie mocą wystarczającą, żebym odbudował to, co straciłem. W końcu miałem zostać przyjęty na Dwór Seelie. Ale warunkiem miała być śmierć Maeve i to, że będę miał władzę nad duchami starych bogów. Za życia wielu z nich było moimi przyjaciółmi. Myślałem, że mnie lubią i ucieszą się z szansy powrotu, ale okazało się, że to nie są już Bucca ani sidhe, ani nawet istoty magiczne. To po prostu potwory. - Zamknął oczy i nabrał powietrza w płuca, po czym kontynuował: - Gdy tylko osłabłem, zaatakowały mnie i zaczęły wysysać ze mnie życie, nie dlatego, że chciały wrócić, ale dlatego, że były głodne. Jedzą z tego samego powodu co wilki: żeby zaspokoić głód. Jeśli wyciągną ze swoich ofiar tyle życia, żeby znów stać się kimś podobnym do sidhe, będą tak straszni, że nawet Dwór Unseelie nie będzie chciał ich przyjąć.
- Dlaczego teraz nam pan to opowiada, a nie chciał pan rozmawiać z pracownikiem Urzędu do spraw Ludzi i Istot Magicznych ani z ambasadorem? - spytała Lucy.
- Kiedy zobaczyłem Niccę i goblina, zrozumiałem, że byłem głupcem. Mój czas minął, ale moi ludzie nadal żyją. Tak długo, jak krąży moja krew, Bucca nie wyginęli. - W jego oczach pojawiły się łzy. - Próbowałem ocalić siebie, nawet za cenę zniszczenia tego, co zostało z moich ludzi. To był błąd, straszliwy błąd.
- Tym razem to on wyciągnął rękę do Nicki. Ten chwycił ją z uśmiechem.
- Jak możemy je powstrzymać? - spytał Doyle.
- Wzbudziłem je do życia, ale nie mogę ich skierować z powrotem tam, skąd przyszły, nie mam na to siły.
- Możesz wyjawić nam zaklęcie? - spytał Doyle.
- Tak, ale nie sądzę, żeby wam się udało.
- Zostaw to nam.
- Bucca powiedział nam, w jaki sposób chciał pozbyć się duchów. Lucy robiła notatki. Reszta słuchała. Rzecz nie polegała na magicznych zaklęciach, bardziej na tym, by wiedzieć, co robić.
- Kiedy skończył, spytałam:
- Czy to ty ukryłeś Bezimiennego przed Dworem Unseelie?
- Dziewczyno, czy nie uważałaś? To Taranis go przed wami ukrył.
- To ty go dla niego obudziłaś? - Nie mogłam powstrzymać zdumienia.
- Obudziłem duchy starych bogów z niewielką pomocą Taranisa, jeśli jednak chodzi o Bezimiennego, to jego obudził Taranis z niewielką pomocą mnie.
- Dlaczego Taranis to zrobił? - spytałam.
- Podejrzewam, że chciał odebrać Bezimiennemu trochę swojej mocy - odparł Bucca i być może mu się to nawet udało, ale nie wszystko poszło zgodnie z planem.
- Więc Taranis ma władzę nad Bezimiennym - powiedział w zamyśleniu Galen.
- Nie, chłopcze, jeszcze nie rozumiesz? Taranis uwolnił go i polecił mu zabić Maeve, ale ma nad nim nie większą władzę, niż ja nad duchami starych bogów. Udało mu się ukryć to, co zrobił, ale Bezimienny mu się wymknął. Taranis był przerażony, kiedy sobie to uświadomił. I wcale się mu nie dziwię.
- To znaczy? - spytałam.
- Duchom nie udało się sforsować osłony Maeve. Wróciły do mnie i znalazły sobie

nową ofiarę. Widziałem to coś, co nazywacie Bezimiennym. Jak myślisz, co zrobi, gdy uda mu się dostać do Maeve i ją zabić?

- Nie wiem - odparłam cicho.

- Cokolwiek zechce - powiedział Bucca.

- A to znaczy - włączył się Rhys - że kiedy zabije Maeve Reed, nie będzie miał żadnego celu. Będzie po prostu ogromną siłą, która niszczy wszystko wokół.

- Bystry chłopiec - pochwalił go Bucca.

Spojrzałam na Rhysa.

- Skąd masz taką pewność?

- Oddałem Bezimiennemu większość swojej magii. Wiem, do czego jest zdolny. Nie możemy dopuścić do tego, żeby zabił Maeve. Tak długo, jak ona żyje, będzie usiłował ją zabić i ukrywał się, dopóki tego nie zrobi. Gdy tylko ją zabije, uderzy na całe miasto.

Najgorsza energia, jaką dysponowały istoty magiczne, zostanie uwolniona w południowej Kalifornii. On spustoszy LA tak, jak Godzilla Tokio w japońskich filmach.

- Jak mam przekonać Petersona, że jakaś starożytna magiczna istota może zniszczyć miasto? - spytała Lucy.

- Nie uda ci się - odrzekłam. - Nie uwierzy.

- Więc co mamy robić?

- Musimy chronić Maeve Reed. Może uda się ją nakłonić, żeby wyjechała do Europy.

Może po prostu musimy ją trzymać pod strażą, zanim wymyślimy coś innego.

- Niezły pomysł - przyznał Rhys.

- Zwracam honor - powiedział Bucca. - Ty też jesteś bystra.

- Miło mi to słyszeć - odparłam. - Czy ktoś ma komórkę?

Lucy miała. Zadzwoiłam do Maeve. Odebrała Marie, jej osobista asystentka.

- To księżniczka! To księżniczka! - krzyczała histerycznie. Słuchawkę przejął Julian.

- Meredith, to ty?

- Tak. Co się dzieje?

- Coś tu jest, coś tak potężnego, że nawet nie jestem w stanie tego ogarnąć. Próbuje sforsować osłonę i chyba zaczyna mu się to udawać.

Zaczęłam biec w kierunku drzwi.

- Zaraz tam będziemy. Wyślemy przed nami policję.

- Nie sprawiasz wrażenia zaskoczonej. Wiesz, co to za siła?

- Tak - odparłam i powiedziałam mu, kiedy biegliśmy przez szpital do samochodu, o Bezimiennym, choć i tak byłam pewna, że w niczym mu to nie pomoże.

Rozdział 41

Zanim dojechaliśmy do posiadłości Maeve Reed, była ona już otoczona przez policję. Radiowozy, samochody bez oznaczeń, wozy opancerzone, karetki czekające w bezpiecznej odległości. Pistolety były wszędzie. Wszystkie wymierzone w mur otaczający rezydencję. Kłopot w tym, że nie było nikogo, w kogo można by strzelać.

Kobieta w pełnym rynsztunku brygady antyterrorystycznej stała za barierą z samochodów w pentagramie i kręgu, który narysowała kredą na jezdni. Los Angeles było jednym z pierwszych miast, w których policja wprowadziła osoby o zdolnościach nadprzyrodzonych do wszystkich jednostek specjalnych.

W chwili, gdy silnik samochodu zgasł, wyczułam jej zakłęcie. Czyniło powietrze trudnym do oddychania. Doyle, Mróz i ja przyjechaliśmy z Lucy. Doyle źle zniósł szybką jazdę. Ukłąkł teraz obok

rosnących przy drodze krzewów. Ludzie mogliby pomyśleć, że się modli - i faktycznie, w pewnym sensie to robił. Odnawiał swój kontakt z ziemią. Doyle był przerażony prawie wszystkimi środkami transportu wymyślonymi przez człowieka. Mógł podróżować mistycznymi drogami, które mnie z kolei napełniały przerażeniem, ale szybka jazda po Los Angeles to było coś ponad jego siły. Mróz, w odróżnieniu od niego, nie miał z tym problemu.

Pozostali strażnicy i Mędrzec wysiedli z vana. Na skutek nalegań Doyle'a wrócili do mojego mieszkania po broń. Lucy była temu przeciwna, ale wyjaśnił jej, że dopóki nie przedrzemy się przez osłonę Bezimiennego, kule nie będą się go imać. Zapewnił ją, że w mieszkaniu mamy magiczną broń, dzięki której sforsowanie osłony powinno być możliwe.

Lucy przyznała, że to warte nadrobienia drogi. Uprzedziła przez radio innych policjantów, że bez wsparcia magii nie zdołają nawet zobaczyć atakującego, a co dopiero go ostrzelać.

Najwyraźniej uwierzyli jej na słowo. Prawdopodobnie wiedźma, którą sprowadzili, początkowo próbowała czegoś prostego, a gdy to nie przyniosło żadnych rezultatów, zaczęła pisać kredą. Jej magia działała jak muskający skórę wiaterek.

Zakłęcie rozwinęło się i uderzyło w swój cel. Powietrze drgało jak nad rozgrzanym asfaltem w upalny dzień. Tylko że tutaj słup rozgrzanego powietrza unosił się jakieś dwadzieścia stóp nad ziemią.

Nie byłem pewna, czy policjanci bez zdolności nadprzyrodzonych w ogóle byli w stanie coś zauważyć, ale ich sapnięcia i przekleństwa przekonały mnie, że tak. Lucy wpatrzyła się w słup drgającego powietrza.

- Czy mamy po prostu w to strzelać?

- Tak - odparł Mróz.

To naprawdę nie miało znaczenia, co zrobimy. Ktoś jednak musiał wydać rozkaz do strzału, bo nagle zewsząd zaczęły dobiegać wystrzały, zamieniając się w jedną wielką eksplozję.

Kule przechodziły przez słup powietrza, jakby tam nic nie było. Zaczęłam się zastanawiać, gdzie wszystkie te kule poleciały, ponieważ w końcu musiały w coś trafić. Potem rozległy się krzyki:

- Wstrzymać ogień!

Nagła cisza zadźwięczała mi w uszach. Słup powietrza dalej naciskał na mur posiadłości Maeve czy też raczej na jej osłonę. Wydawał się nie zwracać uwagi na ostrzał.

- Co się dzieje? - spytała Lucy.

- Używa specjalnego rodzaju osłony, która pozwala istotom magicznym ukrywać się przed oczami śmiertelników - odparł Doyle. Podszedł do nas, gdy obserwowaliśmy strzelaninę.

Lucy spojrzała na mnie.

- Umiesz to zrobić?

- Nie - odparłam.

- Ani nikt inny spośród nas - dodał Doyle. - Oddaliśmy tę umiejętność Bezimiennemu.

- Nigdy nie byłam w stanie zrobić czegoś takiego - powiedziałam.

- Urodziłaś się po tym, jak ostatni raz oddaliśmy naszą magię Bezimiennemu zauważył Doyle. - Jak ktoś mógłby cię winić za to, że jesteś gorsza, niż my kiedyś byliśmy?

- Wiedźma złamała trochę osłony - włączył się Mróz.

- Ale nie wystarczająco - odparł Doyle.

Wymienili spojrzenia.

- Nie ma mowy - powiedziałam. - Nawet o tym nie myślcie.

Spojrzeli na mnie.

- Meredith, musimy go powstrzymać.

- Nie - odparłam. - Musimy tylko utrzymać Maeve Reed przy życiu. Tak, jak postanowiliśmy. Nie było mowy o tym, żeby zabijać Bezimiennego. A zresztą, czy jego w ogóle można zabić? Znów wymienili spojrzenia.

- Nie, nie można - włączył się Rhys.

- Czy on jest realny? - spytała Lucy.

- Co masz na myśli?

- Czy to jest ciało stałe, któremu możemy coś zrobić naszymi kulami? Skinął głową.

- Tak, na to jest wystarczająco realny. Pod warunkiem, że nie ma magicznej osłony.

- Musimy go jej pozbawić - powiedział Doyle.

- Niby jak? - spytałam i zrobiło mi się niedobrze na samą myśl, czego to może wymagać.

- Musi zostać zraniony - stwierdził Mróz.

Spojrzałam na jego arogancką minę i domyśliłam się, że coś przede mną ukrywa. Ścisnęłam go za ramię.

- Jak możemy go zranić? - spytałam.

Jego spojrzenie złagodniało, gdy popatrzył na mnie; szarość jego oczu zmieniła się z barwy chmur burzowych w kolor nieba zaraz po deszczu, gdy właśnie zza chmur wychodzi słońce.

- Magiczną bronią, jeśli władający nią posługuje się nią z dostateczną biegłością. Ścisnęłam mocniej jego ramię.

- Co to znaczy: z dostateczną biegłością?

- Z biegłością dostateczną, żeby nie dać się zabić - wyjaśnił Rhys.

Mróz i Doyle popatrzyli na niego nieprzyjaźnie.

- Słuchajcie, nie mamy czasu na wygłupy. Jeden z nas musi mu upuścić krwi powiedział.

Dalej trzymałam Mroza za ramię, ale spojrzałam na Doyle'a.

- Który z was dwóch jest na tyle biegły w posługiwaniu się bronią, żeby to zrobić?

- Czuję się urażony - oświadczył Rhys. - Doyle i Mróz nie są jedynymi, którzy tu stoją.

Po raz kolejny popatrzyli na niego niezbyt przyjaźnie.

- Nigdy nie byłem ulubionym strażnikiem królowej, ale moje umiejętności w sztuce walki były cenione.

- Jestem jak Merry - powiedział Galen. - Urodziłem się długo po starych czasach. Dobrze władam mieczami, ale nie są to miecze magiczne.

- Ponieważ straciliśmy zdolność robienia takich rzeczy - dodał Mróz.

- Za każdym razem, gdy oddawaliśmy coś Bezimiennemu, stawaliśmy się bardziej cieleśni a mniej duchowi. Dzięki temu przetrwaliśmy, ale nie obyło się bez poniesienia pewnych kosztów.

Spojrzałam na Mroza i ujrzałam przy jego boku jego miecz, Zimowy Pocałunek. Popatrzyłam na pozostałych. Mróz jako jedyny był w tunice. Inni mieli na sobie normalne ubrania: T-shirty, dżinsy, buty, z wyjątkiem Kitta, który nosił tylko szorty i koszulkę. Ubiór mieli źle dobrany, ale ich broń była jak najbardziej na miejscu.

Mróz miał na plecach drugi miecz, który był prawie tak duży jak ja. Wiedziałam, że tunika skrywała więcej broni. Zawsze nosił pod nią broń, mimo że królowa tego zakazała.

Doyle nosił pistolet w kaburze na ramieniu, ale oprócz tego miał miecz przy biodrze i dwie pochwy z nożami na nadgarstkach. Noże błyszczały srebrzyście na jego czarnej skórze, ale miecz był tak samo czarny jak on. Ostrze było żelazne, a nie stalowe. Nie wiedziałam, z czego wykonana została czarna rękojeść; na pewno był to metal, ale metal, którego nie znałam. Ten miecz nazywany był Czarnym Szaleństwem, Bainidhe Dub. Jeśli ktokolwiek inny poza Doyle'em próbował go użyć, stawał się kompletnie szalony. Sztylety na jego nadgarstkach były takie same, wykonane zostały razem. Te

legendarne ostrza trafiały w każdy cel. Na dworze nazywano je Ugryź i Zagryź. Naprawdę nazywają się zupełnie inaczej, ale nie wiedziałam jak.

Galen miał miecz przy boku i był to dobry miecz, ale nie magiczny. Przy jego pasku wisiał też sztylet. Pod koszulą miał oprócz tego kaburę z pistoletem i drugi pistolet z tyłu.

Ja przepasana byłam paskiem z kaburą, w której miałam pistolet. Nie pasował do sukienki, ale wolałam uratować się, wyglądając nieco głupio, niż zginąć, wyglądając idealnie. Oprócz tego miałam dwa składane noże za podwiązkami pod sukienką i mniejszy pistolet przy kostce u nogi. Swego czasu obydwie dwory uznały mnie za niegodną noszenia nawet niemagicznej broni.

Rhys miał swój miecz na plecach. Był on znany jako Przerazająca Śmierć, Uamhas. Oprócz tego miał topór przyczepiony do pasa i sztylety, ale nie jestem pewna, czy chciałabym stać obok tego kogoś, w kogo rzucał. Kiedy nie masz jednego oka, możesz mieć problemy z celnością.

Nicca miał miecz, który, podobnie jak miecz Galena, pozbawiony był magicznej mocy, a także dwa pistolety w kaburach.

Miałam powody, by sądzić, że obie ręce ma jednakowo sprawne. Z tyłu miał trzeci pistolet, a na pasku sztylet. To było standardowe wyposażenie, podobnie jak miecz.

Kitto miał tak małe pojęcie o broni palnej, że lepiej było nie ryzykować tego, że strzeli sobie w stopę, ale miał krótki miecz.

Mędrzec dysponował zaś malutkim mieczykiem, który błyszczał srebrzyście w słońcu. Nie zdradził nam jego nazwy.

- Znać nazwę czegoś, to mieć nad tym czymś władzę - wyjaśnił.

Rozległo się dudnienie. Ziemia uniosła się do góry, gdy część muru otaczającego posiadłość Maeve upadła. Bezimienny przechytrzył nas. Nie mógł ominąć osłony, więc zniszczył to, do czego była przymocowana.

Drgający kształt ruszył przez wyrwę w murze. Rozległo się kilka strzałów i dowódcy krzyknęli:

- Nie strzelać! Nie strzelać!

Doyle ruszył zdecydowanym krokiem naprzód.

- Użyję sztyletów. Muszą go trafić, taką mają moc.

- Czy uda ci się podejść wystarczająco blisko, a jednocześnie pozostać poza jego zasięgiem? - spytał Mróz.

Doyle spojrzał na niego przez ramię.

- Mam nadzieję - odparł, po czym ruszył dalej.

Mróz odsunął mnie od siebie i położył mi ręce na ramionach.

- Muszę iść z nim. Tam, gdzie on, tam i ja.

- Najpierw mnie pocałuj - powiedziałam.

Potrząsnął głową.

- Jeśli dotknę twoich ust, nie będę w stanie się od ciebie oderwać. - Pocałował mnie w czoło, po czym pobiegł za Doyle'em.

Rhys porwał mnie w ramiona. Byłam zbyt zaskoczona, by zareagować. Pocałował mnie tak mocno, że miał na ustach większość mojej czerwonej szminki. Opuścił mnie na ziemię cokolwiek pozbawioną tchu.

- Nie możesz odebrać mi odwagi jednym pocałunkiem, Merry. Nie kochasz mnie wystarczająco mocno. - Z tymi słowy pobiegł za Doyle'em i Mrozem, zanim byłam w stanie coś powiedzieć.

Brygada antyterrorystyczna udała się w ślad za mężczyznami, by ich wesprzeć. Potem wszyscy zniknęli nam z oczu, przechodząc przez wyrwę w murze.

O dziwo, Bezimienny również zniknął, chociaż słup powietrza powinien górować nad murem.

- A gdybyśmy weszli od tyłu i wyciągnęli stamtąd Maeve? - spytał Galen w ciszy, która zapadła. Spojrzeliśmy na niego.
- Nie damy rady walczyć z Bezimiennym, ale to możemy zrobić.
- Lucy uderzyła się w czoło.
- Ale ze mnie kretynka. Powinniśmy ewakuować stąd panią Reed już dawno temu.
- Ruszyłyby za nią - odparłam. - Nie udałoby się nam jej stąd wywieźć, chyba że mielibyśmy na miejscu helikopter.
- Lucy zamyśliła się.
- Może uda się go załatwić. Reedowie mają w tym mieście duże wpływy.
- Więc go załatw, jeśli możesz - powiedziałam.
- A tymczasem daj nam kilku ludzi i pozwól nam iść na tyły posiadłości - włączył się Galen.
- Idę z wami - oznajmiłam.
- Potrząsnął z powagą głową.
- Nie, Merry, zostajesz.
- A właśnie, że idę. Zostałam nauczona, że przywódca nigdy nie prosi swoich ludzi o to, czego nie chce zrobić sam.
- Twój ojciec dobrze cię uczył, ale nie zapominaj, że jesteś śmiertelna, Merry. My nie.
- Policjanci też są śmiertelni, a idą z wami.
- Potrząsnął głową.
- Nie pójdiesz.
- W końcu postawiłam na swoim, ponieważ wszyscy mężczyźni, którzy mieliby szansę mnie przekonać, znajdowali się po drugiej stronie muru, stojąc twarzą w twarz z tym czymś, co mieliśmy zniszczyć.

Rozdział 42

Przedostanie się na drugą stronę muru okazało się dziecinnie proste. Był wysoki, ale nie tak wysoki, by nie można było przez niego przeskoczyć. Policjanci byli już w środku. Przekradłam się w wąską alejkę, która była porośnięta ciemnozielonymi kameliami, które tworzyły drugi mur, prawie skrywając dom przed naszym wzrokiem. To nie była pora ich kwitnienia, więc były tylko wysokimi krzakami z grubymi liśćmi. Miałam czas, by dokładnie przyjrzeć się tym liściom, ponieważ Lucy i Galen zatrzymali mnie w tych cholernych krzakach. Poszłabym dalej, ale oboje chcieli mieć pewność, że nie zrobię nic głupiego.

Jeden z idących z nami policjantów w mundurze poszedł za róg i wrócił z wiadomością, że z tyłu domu są przesuwane oszklone drzwi: łatwe do sforsowania. Właśnie mieliśmy iść za ten róg i otworzyć drzwi, by poszukać Maeve Reed, gdy zdarzyło się coś okropnego.

Bezimienny stał się widzialny.

Jego magiczna osłona opadła. Wciąż wciśnięta w krzaki kamelii, nie mogłam nic dostrzec, ale dwóch policjantów otworzyło szeroko usta i zaczęło krzyczeć. Inni policjanci tylko zbledli i próbowali uspokoić tamtych dwóch, ale jeden z krzyczących upadł na kolana i usiłował wydrapać sobie oczy. Jeden z policjantów rzucił się wówczas na niego, by go przed tym powstrzymać. Inny zaczął policzkować drugiego z krzyczących, klnąc pod nosem po każdym uderzeniu, aż w końcu tamten usiadł na trawie i zasłonił twarz, szlochając.

Pozostali dwaj policjanci i Lucy byli bladzi, ale trzymali pistolety w gotowości.

Kiedy magiczna osłona opadła, Galen odsunął się od muru i stał oniemiały, patrząc na to, co było przed nami. Ledwo mogłam patrzeć. Byłam po części człowiekiem; mój umysł mógł nie wytrzymać tego wszystkiego, podobnie jak umysły tych dwóch policjantów. Musiałam jednak się temu czemuś przyjrzeć.

Jak można opisać coś niemożliwego do opisania? To coś miało macki, oczy, ręce, usta i zęby, ale za każdym razem, gdy wydawało mi się, że udaje mi się dostrzec, jakiego jest kształtu, ten kształt się zmieniał. Może po prostu nie mogłam tego ogarnąć umysłem. Może to, co widziałam, było wszystkim, co mogłam pojąć. Może ta drżąca góra przede mną była okrojona wersją tego, co mój umysł pozwalał mi widzieć, może nie wytrzymałabym straszniejszego widoku.

Lucy wpatrywała się w ziemię, grymas bólu wykrzywił jej twarz.

- I my to mamy zabić, tak? - spytała.

- Powstrzymać - odparł Galen. - Tego nie można zabić.

Potrząsnęła głową, zaciskając mocniej palce na pistolecie, po czym zmusiła się do spojrzenia w górę.

Policyjne krótkofalówki zaskrzeczały. Wydano rozkaz: ognia!

Zdażyłam tylko pomyśleć: „Gdzie jest Maeve?”, gdy nagle Galen rzucił się na mnie i przygniótł mnie do ziemi. Chwilę później usłyszałam świst kul nad głową. Jeden z krzyczących policjantów wyrwał się dwóm kolegom, którzy usiłowali go przewrócić na ziemię, i padł trafiony serią kul. W tej chwili ostrzał policjantów był dla nas bardziej niebezpieczny niż Bezimienny.

- Mamy tu zabitego! - krzyknęła Lucy do krótkofalówki. - Zginął od naszego ognia! Nie możemy dłużej chronić cywilów! Wstrzymajcie ogień, chyba że jasno widzicie cel, do którego strzelacie. - Strzały nie milkły. Lucy krzyczała dalej: - Zabiliście jednego z naszych! Powtarzam: jednego z naszych!

Strzały zaczęły wreszcie cichnąć, aż w końcu całkiem umilkły. Przez kilka chwil leżeliśmy jeszcze na ziemi, nasłuchując. Zaczepnęłam powietrza, jakbym robiła to po raz pierwszy w życiu. A może to zakrwawione ciało nieżyjącego policjanta sprawiło, że oddychanie stało się taką przyjemnością, zupełnie jakbyśmy wszyscy nadrabiali za niego.

W końcu Lucy uklękła. Pozostali policjanci również zaczęli się podnosić. Nie upadli na ziemię bez życia, więc i my ostrożnie wstaliśmy.

- Patrzcie - powiedział jeden z policjantów.

Spojrzeliliśmy. Bezimienny krwawił. Krew leciała karmazynową strużką z jego „głowy”.

- Cholera - powiedziała Lucy. - Chyba będziemy potrzebować dział przeciwpancernych, żeby to coś rozwalić.

Zgodziłam się z nią.

- Ile czasu zajęłoby ich sprowadzenie?

- Zbyt dużo - odparła. Jej krótkofalówka znowu zaskrzeczała. Wysłuchała się w niewyraźny głos, po czym powiedziała: - Helikopter już wyleciał. Musimy odszukać panią Reed i wydostać ją na zewnątrz.

Nie musieliśmy szukać pani Reed; to ona odszukała nas. Ona i Gordon Reed wyszli z za rogu budynku tak szybko, na ile pozwalał stan jej męża. Za nimi szedł Julian. Największym niebezpieczeństwem w pierwszej chwili było to, że z nerwów ktoś mógł do nich strzelić. Jakoś się opanowaliśmy, ale i tak w skroniach mi pulsowało i wszyscy patrzyliśmy na siebie wielkimi oczami.

Maeve Reed ścisnęła moją rękę dwiema swoimi.

- Czy to Taranis? Czy się dowiedział?

- O dziecku nie.

- W takim razie...

- Dowiedział się o naszym spotkaniu.

- Pani Reed - powiedział jeden z policjantów - musimy wyprowadzić panią poza teren posiadłości.

Pocałowała mnie w policzek i pozwoliła, by policjant podsadził ją, żeby przeszła przez mur.

Potem przyszła kolej na Gordona Reeda. Nic nie mówił. Wydawał się całkowicie pochłonięty tym, żeby oddychać równo i stać prosto pomiędzy Julianem i tym samym policjantem, który przed chwilą pomagał Maeve.

- A gdzie twoi pozostali ludzie? - spytałam Juliana, gdy już państwo Reed byli bezpieczni.

- Wszyscy z wyjątkiem Maxa nie żyją. Max był zbyt ciężko ranny, żeby z nami iść. Ukryłem go więc w domu.

Nie miałam pojęcia, co powiedzieć. Na szczęście policjant powiedział do Juliana: „Teraz pan” - i nie musiałam już nic mówić, patrzyłam tylko, jak wchodzi na mur. Za nim zaczęli przechodzić na drugą stronę policjanci.

Nagle Lucy powiedziała cicho:

- O mój Boże. Odwróciłam się do Bezimiennego.

Białe włosy Rhysa błyszczą na tle ciemniejszych kolorów potwora. Coś pomiędzy ręką a macką było owinięte wokół niego na wysokości piersi. Ostrze jego toporka zabłysło w słońcu, gdy rzucił nim w oko wielkości samochodu. Oko zalało się krwią, a potwór krzyknął. Rhys również.

- Zabierzcie stąd Merry - powiedział Galen. A potem zaczął biec w stronę pola walki.

Rozdział 43

Nie czekałam, aż Nicca albo Lucy mnie złapią, tylko pobiegłam za Galenem. Moje sandały nie nadawały się za bardzo do biegu, toteż zrzuciłam je, gdy tylko wbiegłam za róg. Kitto deptał mi po piętach, a Nicca i Mędrzec byli tuż za nim. Lucy i ostatni policjant, który został na terenie posiadłości, zamykali stawkę.

Jednak to, co ujrzeliśmy, zmroziło nas wszystkich na kilka chwil. Bezimienny zamiast nóg miał jakąś poskręcaną masę, której widoku nie mogłam wytrzymać. Chciałam krzyknąć, ale wiedziałam, że jeśli zacznę, nie będę mogła przestać - jak policjant wciąż leżący pod murem.

Rhys nadal był otoczony w pasie przez mackę, ale przestał się ruszać. Jego ręce zwisały bezwładnie i wiedziałam, że w najlepszym razie jest nieprzytomny, w najgorszym zaś... wołałam nie kończyć tej myśli. Będzie na to czas później.

Policjanci z brygady antyterrorystycznej, którzy przyszli tu z moimi strażnikami, leżeli wokół Bezimiennego jak wyrzucone zabawki. Bezimienny miał za sobą basen, zdołał już zniszczyć domek kąpielowy.

Srebrne włosy Mroza opadały połyskliwą kurtyną. Jedna ręka zwisała bezwładnie przy jego boku, ale udało mu się dotrzeć do potwora. Zanurzył Zimowy Pocałunek w jego ciele. Macka uderzyła go, rzucając nim o ścianę. Upadł bezwładnie. Tylko ręka Galena na ramieniu powstrzymała mnie przed podbiegnięciem do niego.

- Zobacz - powiedział mój zielony rycerz.

Tam, gdzie utkwiał miecz Mroza, widać było białą, rosnącą kropkę. Kiedy była już wielkości dużego stołu, uświadomiłam sobie, że to mróz i lód. Zimowy Pocałunek właśnie tak działał. Bezimienny jednak wyrwał z siebie ostrze i odrzucił miecz za siebie. Plama zimna została, ale już się nie powiększała.

Rozejrzałam się w poszukiwaniu Doyle'a i zobaczyłam go leżącego w kałuży krwi. Uniósł się na rękę, a wtedy potwór uderzył go jakby od niechcienia, wrzucając do basenu. Zniknął pod wodą.

Galen odwrócił mnie do siebie, ściskając moje ramiona tak mocno, że aż bolało.

- Przrzeknij mi, że nie podejdziesz do tego czegoś.

- Galenie...

Potrząsnął mną.

- Musisz mi to przrzec!

Nigdy jeszcze nie widziałam go tak zawziętego i wiedziałam, że nie pozwoli, bym poszła im na pomoc, i sam im też nie pomoże, zanim przyrzeknę, że nie ruszę się z miejsca.
- Przyrzekam.

Przyciągnął mnie i pocałował gwałtownie, po czym pchnął mnie do Kitta.
- Musisz ją chronić - przykazał mu.

Potem on i Nicca wymienili spojrzenia i wyciągnęli pistolety. Lucy i policjant zrobili to samo. Wszyscy ustawili się w szyku i zaczęli strzelać.

W końcu zabrakło im amunicji. Potwór zaczął iść w ich stronę. Lucy zdołała uciec do domu. Towarzyszący jej policjant miał mniej szczęścia. Chwyciło go coś, co wyglądało jak gigantyczne, szponiaste ręce, ale niezupełnie nimi było. Te olbrzymie szpony wbiły się w niego, wysyłając w powietrze strumienie krwi. Mężczyzna krzyknął rozdzierająco, a potem raptownie nastąpiła cisza i mogłabym przysiąc, że słyszałam w niej odgłos darcia ubrania, a potem rozdzierania ciała i trzask kości, gdy potwór złamał mężczyznę na pół i cisnął go w naszym kierunku.

Kitto rzucił się na mnie, osłaniając przed lecącymi w naszą stronę kawałkami ciała. Krew zmoczyła jego ubranie jak deszcz.

Kiedy uniosłam głowę, zobaczyłam Niccę i Galena podchodzących do potwora. Każdy z nich w jednej ręce trzymał nóż, w drugiej miecz. Zaczęli go okrążać, ale jak można okrążyć coś, co ma niezliczoną liczbę oczu i kończyn?

Nie miałam pojęcia, czy to któreś z ostrzy zraniło go na tyle poważnie, że nie chciał ryzykować walki, czy też po prostu był już zmęczony tym ciągłym nękaniami, ale tym razem uderzył na nich magią. Nicca nagle został pokryty białą mgiełką. Kiedy mgiełka się rozproszyła, okazało się, że nie może się ruszyć. Nie miałam czasu, by się przekonać, czy wciąż oddycha, ponieważ Bezimienny ruszył na Galena. Mój zielony rycerz stał nieruchomo. Nikt nie mógł mu zarzucić tchórzostwa.

Krzyknęłam do niego, ale nie odwrócił się, a ja nie chciałam go rozpraszać; chciałam po prostu go ocalić.

Spróbowałam się podnieść. Kitto w końcu przestał mi w tym przeszkadzać. Galen nie miał żadnej magicznej broni; musiałam coś zrobić. Ruszyłam naprzód, ale Kitto mnie powstrzymał. Usiłowałam się mu wyrwać, ale poślizgnęłam się i upadłam w kałużę krwi. Moje ręce były teraz całe pokryte krwią - ciepłą, karmazynową posoką. Lewa dłoń zaczęła mnie swędzieć, potem piec. To była krew Bezimiennego, tak samo trująca, jak cały on.

Podniosłam się, usiłując zetrzeć krew rękawem sukienki, ale bezskutecznie. Gorąco wślizgnęło się do mojej ręki, mojej skóry i zaczęło wsączać się w moje żyły. Miałam uczucie, jakby cała krew w moim ciele zamieniała się w stopiony, gorący metal.

Krzyknęłam z bólu. Kitto dotknął mnie, próbując mi pomóc. Nagle krzyknął i odskoczył ode mnie. Przód jego T-shirtu pokrył się czerwoną krwią. Uniósł koszulkę na tyle, bym zobaczyła, że ze śladów, które zostawiły na jego ciele moje paznokcie tamtej pamiętnej dla nas nocy, zaczęła lecieć krew, o wiele mocniej, niż wtedy, gdy te ślady uczyniłam.

Mój kuzyn Cel był Księciem Starej Krwi. Mógł otworzyć każdą ranę, nieważne, jak starą. Ale te rany mogły być tylko tak duże, jak te kiedyś zadane. To było coś innego. Doyle powiedział mi kiedyś, że na pewno jeszcze moja druga ręka otrzyma magiczną moc. Nie było jednak sposobu, by dowiedzieć się, kiedy to nastąpi ani co to będzie za moc. Ból w moim ciele ustał, gdy Kitto zaczął krwawić. Ale nie chciałam, żeby Kitto krwawił. Chciałam, by krwawił Bezimienny.

Gdybym musiała dotknąć Bezimiennego tą swoją nową magiczną dłonią tak, by ona zadziałała, zginęłabym. Zamierzałam jednak zastosować magię tak, jak ludzie strzelają z pistoletów. Zaczynają z dużej odległości, stopniowo zbliżając się do celu. I strzelają cały czas, dopóki mają amunicję.

Wyciągnęłam przed siebie lewą rękę, kierując ją w stronę potwora, z otwartą dłonią i myślą o krwi, właśnie myślą o krwi, a nie z samym słowem „krew”. Pomyślałam o jej smaku, słonawym, metalicznym; o tym, jaka jest świeża i gorąca, o tym, jak zasycha. Myślałam o zapachu krwi i o tym, że świeżo utoczona zawsze pachnie mięsem jak surowy hamburger.

Myśląc o krwi, zaczęłam iść w stronę Bezimiennego.

Zrobiłam ledwie kilka kroków, kiedy ból powrócił, moja krew wlała się z powrotem w moje żyły i potknęłam się. Upadłam na kolana, rękę wciąż jednak mając skierowaną na potwora. Byłam pewna, że Kitto przestał krwawić. Krzyknęłam i zobaczyłam, że olbrzymie oko zaczyna się we mnie wpatrywać, jakby widziało mnie po raz pierwszy. Ból zaćmił mi wzrok i odebrał głos, oddech. Dławiłam się z bólu. Potem złagodniał, najpierw troszkę, potem bardziej. Kiedy mgiełka cofnęła się sprzed moich oczu, zobaczyłam, że z ran Bezimiennego leci krew, nie tak jak krew powinna tryskać, tylko jak strumienie wody, szybciej. W końcu, gdy ból zupełnie zniknął, krew zaczęła lecieć z wszystkich ran, jakie zadano tego dnia potworowi. Z każdej dziury po kuli, z każdego zadraśnięcia. Bezimienny ruszył w moją stronę ciężkim krokiem. Wiedziałam, że jeśli mnie dosięgnie, zabije mnie, więc musiałam go zatrzymać.

Pomyślałam tym razem nie o krwi, a o ranach, nie o krwawieniu, a o zabijaniu. Chciałam go zabić.

Rany zaczęły się otwierać jedna po drugiej. Wyglądało to tak, jakby jakieś gigantyczne, niewidzialne ostrze zadawało potworowi wciąż nowe pchnięcia. Krew zaczęła lecieć szybciej, aż w końcu Bezimienny był nią pokryty od stóp do głów. Potem krew wytrysnęła z niego prawie czarną falą. Rozlała się i dotarła do mnie, aż w końcu klęczałam w gorącym strumieniu krwi, a on wciąż jeszcze krwawił.

A im bardziej krwawił, tym spokojniejsza się stawałam. Spokój wypełnił mnie całą. Klęczałam w coraz większym strumieniu krwi, patrząc na potwora, który pochylał się nade mną, i nie czułam strachu. Nie czułam nic oprócz magii. W tej chwili żyłam, oddychałam i cała byłam zaklęciem. Moja magiczna dłoń użyła mnie tak, jak ja użyłam jej. W starej magii to, kto jest panem, a kto sługą, nigdy nie jest pewne.

Bezimienny wznosił się nade mną jak wielka krwawa góra, był już ledwie kilka jardów ode mnie. Słyszałam jego ostry oddech. A potem eksplodował. Tak jakby każda kropelka krwi wybuchła w tym samym momencie. Powietrze stało się czerwone od krwi i nagle miałam wrażenie, jakbym znalazła się pod wodą. Przez chwilę myślałam, że się utopię, potem jednocześnie zakrztusiłam się i próbowałam wypluć krew.

Coś dużego uderzyło mnie w bok głowy i upadłam na pokrytą krwią ziemię. Nawet teraz potwór usiłował zabrać mnie ze sobą. Pokryty posoką Kitto i Mędrzec na jego ramieniu to były ostatnie rzeczy, jakie zobaczyłam, zanim ciemność wypełniła cały mój świat.

Kiedy odzyskałam przytomność, unosiłam się w powietrzu. W pierwszej chwili pomyślałam, że to sen. Potem ujrzałam Galena, który również się unosił, ale był poza zasięgiem moich rąk. Odkryłam, że wszystkie istoty magiczne, które były ze mną u Maeve, unoszą się w powietrzu. Magia była wszędzie, wypełniała powietrze jak wielobarwny pokaz ogni sztucznych, latając wokół nas jak stada fantastycznych ptaków, które nie znały nieba śmiertelników. Całe lasy rosły i wędły na naszych oczach. Śmierć pojawiała się i zniknęła. To było tak, jakby czyjeś sny i koszmary senne maszerowały przed moimi oczami w jasnym kalifornijskim słońcu. Był w tym jakiś surowy urok, prosta magia.

A potem ta magia rozlała się na Rhysa, Mroza, Doyle'a, Kitta, Niccę, nawet na Mędrca. Patrzyłam na drzewo unoszące się obok Nicki i znikające w nim. Mędrzec był pokryty kwitnącą winoroślą. Umarli ludzie podeszli do Rhysa i wmaszerowali w niego, podczas gdy on krzyczał. Mróz był pokryty przez coś, co wyglądało jak śnieg. Zmiał to swoją zdrową ręką, ale nie mógł tego powstrzymać. Ujrzałam

też Doyle'a ukrytego za czymś czarnym i wijącym się; potem magia w końcu odnalazła Galena i mnie i okazało się, że unosimy się ledwie kilka stóp od siebie. Byliśmy spowici zapachami i kolorami. Czulałam zapach róż i krew pojawiła się na moim nadgarstku, jakbym skaleczyła się kolcami. Pomyślałam, że wszyscy odzyskali to, co oddali Bezimiennemu, tylko ja i Galen nic nie odzyskaliśmy, bo nic mu nie oddaliśmy. Myślałam, że to nas ominie, ale myliłam się. Magia uwolniona z jego ciała chciała znów w kimś być.

Coś białego jak wielki ptak wzbilo się z krwawej miazgi i zaczęło lecieć w moim kierunku. Galen krzyknął „Merry!” i błyszczący kształt uderzył we mnie, ale nie wyleciał z drugiej strony. Przez chwilę widziałam świat jak za mgłą. Poczułam swąd spalenizny, a potem znów zapadła ciemność.

Do czasu, gdy ja i Galen odzyskaliśmy ponownie przytomność, pozostali uwięzili Bezimiennego w ziemi, wodzie i powietrzu. Musieli go uwięzić. Nie mogli go zabić, ale nie mogli też pozwolić, by wrócił do sił i dalej był na wolności.

Maeve Reed łaskawie pozwoliła nam użyć swojej dużej posiadłości jako miejsca pochówku, chociaż to nie było dokładnie to, co zrobiliśmy. Bezimienny został zarówno pochowany, jak i nie. Został uwięziony w miejscu, które nie było ani tym, ani tym.

Maeve zaproponowała, byśmy zamieszkali w jej domku gościnnym, który był większy niż domy wielu ludzi. To rozwiązywało nasze problemy mieszkaniowe i sprawiało, że byliśmy w pobliżu na wypadek nowego ataku Taranisa.

Zawsze myślałam, że to Andais jest szalona, ale zmieniłam zdanie. Taranis jest zdolny zrobić wszystko, byleby tylko uratować swoją skórę, dosłownie wszystko. Dobrzy władcy nie myślą w ten sposób.

Bucca-Dhu znajduje się w areszcie prewencyjnym Dworu Unseelie. Musieliśmy powiadomić o wszystkim Andais. Mamy świadka na to, co zrobił Taranis, ale to nie wystarczy, by obalić władcę panującego od tysiąca lat. To będzie koszmar tak chodzić wokół niego na paluszkach. Ale nie można pozwolić, by pozostał u władzy.

Taranis wciąż nalega, bym złożyła mu wizytę. Ani mi się śni!

Rhys z łatwością uporał się z duchami starych bogów. Odzyskał moc, którą kiedyś musiał oddać Bezimiennemu, tak samo jak i pozostali. Co to oznacza w praktyce?

Ano to, że Rhys mówi do siebie w pustym pokoju... chociaż jeśli jest pusty, to dlaczego słyhać w nim głosy? Mróz może oszronić moje okno w środku lata lodową koronką. Doyle potrafi nagle zniknąć z pola widzenia i nikt z nas nie może go znaleźć. Jestem pewna, że nie jest niewidzialny, ale równie dobrze może być. Nicca umie sprawić, że drzewo nagle zakwitnie, tylko się o nie opierając. Kitto rozmawia z węzami. Wypęłzają z trawy, by mu się pokłonić, jakby był ich królem. To zdecydowanie onieśmielające, że jest tak wiele węży, których się nie widzi, dopóki nie zechcą, byś je ujrzał. Mędrzec potrafi utrzymać pojedynczy kwiat jaśminu przy życiu przez dwa tygodnie bez podlewania. Po prostu trzyma go za uchem, a on nie więdnie.

Co do mnie i Galena, to dotknęła nas tak wielka ilość obcej magii, że jeszcze nie wiemy, co nas czeka. Doyle uważa, że nowe moce przyjdą za jakiś czas. Moc na dobre wypełniła moją drugą dłoń. Dzięki temu mogę sprawić, że każda istota zacznie krwawić. Wszystko, czego potrzebuję, to małutka ranka. Jestem Księżniczką Ciała i Krwi. Dłoń krwi ostatni raz była widziana w czasach Balora. Dla tych, którzy nie są obeznani z kulturą staroceltycką: to było tysiące lat przed narodzinami Chrystusa.

Królowa jest ze mnie zadowolona. Jest w tak dobrym humorze, że poprosiłam, by dała mi moich ludzi na własność. Księżę Cel ma swoją własną prywatną straż; ona ma swoją. Czy ja też jej nie powinnam mieć? Andais zgodziła się, więc wszyscy, którzy są ze mną, należą już do mnie. Zachowałam ich wszystkich.

Przyrzekłam Mrozowi, że będę go chronić, że będę chronić ich wszystkich. Księżniczka zawsze dotrzymuje przyrzeczeń.

Andais postanowiła wysłać mi jeszcze kilku strażników. Chciałam mieć wpływ na ich wybór, ale nie spodobało jej się to. Spytałam, czy w takim razie Doyle nie mógłby ich wybrać, i na to się również nie zgodziła. Myślę, że Królowa Powietrza i Ciemności ma swoje własne plany i wyśle, kogo chce. Nie mogę nic na to poradzić, pozostaje mi tylko czekać.

Dobrze przynajmniej, że mogę wreszcie spędzać noce ze swoim zielonym rycerzem, Galenem. Moja Ciemność jest wciąż tak groźny jak zawsze, ale pod spodem widzę przebłyski bólu i jego postanowienia, że będzie się starał polepszyć nasz los. Rhys natomiast się zmienił i nie jest już tak skory do żartów ani nie chce się mną dzielić z Nicca. Wraz z powrotem mocy stał się poważniejszy i ważniejszy zarazem. Jest w nim teraz więcej magii, więcej pożądania, więcej siły; więcej wszystkiego.

Nicca jest wciąż po prostu Niccą. Uroczym, łagodnym, ale niezbyt silnym.

Kitto również się zmienił. Z czymś w rodzaju podziwu obserwuję, jak rośnie jego moc.

No i jest jeszcze Mróz. Co można powiedzieć o kimś, kogo się kocha? Bo że jest to miłość, nie mam wątpliwości.

I wszystko byłoby pięknie, gdyby nie to, że wciąż nie spodziewam się dziecka.

Odprawiłam rytuał płodności, dzięki któremu w łonie innej sidhe pojawiło się życie, ale sama pozostałam pusta. Dlaczego? Gdybym była bezpłodna, rytuał by się nie powiodł.

Muszę zająć w ciążę i to niedługo, nie ma niczego ważniejszego. Święta Bożego Narodzenia minęły i mamy już tylko dwa miesiące do wyjścia Cela na wolność. Czy okaże się szalony? Czy porzuci wszelkie środki ostrożności i będzie starał się mnie zabić? Lepiej żebym była w ciąży, zanim Cel wyjdzie na wolność. Rhys zasugerował, byśmy wynajęli kogoś do zabicia księcia. Gdybym nie bała się gniewu królowej, prawie bym się zgodziła. Prawie.

Nie pozostaje mi nic innego, jak uklęknąć przy ołtarzu i pomodlić się. Pomodlić się o wskazówki i o to, by mi się wiodło. Dobrze wiodło. Niektórzy ludzie życzą sobie tylko tego, by im się wiodło, zapominają dodać, czy ma im się wieść dobrze czy źle. Zawsze musisz być ostrożny, kiedy się modlisz, ponieważ bóstwo słucha i zwykle daje ci dokładnie to, o co prosisz, a nie to, co masz na myśli. Bogini, spraw, by nam się dobrze wiodło i zima okazała się płodna.